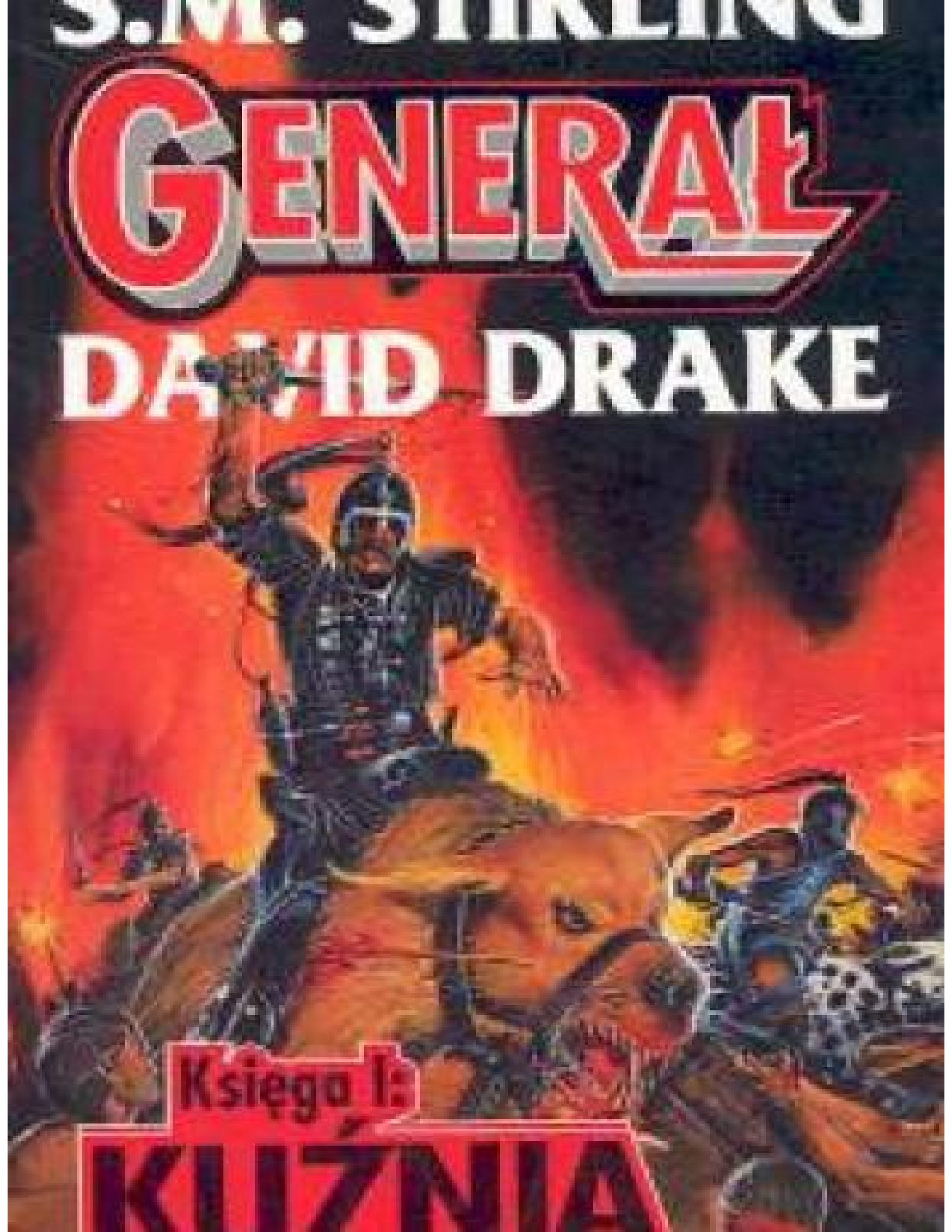


S.M. STIRLING

# GENERAL

DAVID DRAKE



Księga I:

# KUZŃNIA

**S.M. STERLING DAWID DRAKE**

**General**

**Tom 1: Kuźnia**

## Rozdział pierwszy

Szczur pisnął.

Raj Whitehall obrócił się na pięcie, a światło karbidowej lampy błyskało tylko trochę szybciej niż lufa pistoletu, który trzymał w prawej dłoni.

- Cholera - wymamrotał, kiedy światło padło w kąt podziemnej komnaty. Gryzoń już nie żył, a jego ciało zwisało z pyska spersauroida, istoty wielkości kota o wielkiej głowie i smukłym ciele wspierającym się na czterech długich, pajęczych nogach. Spersauroid zamrugał na ich widok, jego źrenice zmieniły się w dwie pionowe szparki, po czym zniknął z szelestem łusek trących o kamienie. Raj skrzywił się. Jedną z niewielu dobrych stron mieszkania we Wschodniej Rezydencji było to, że terrańskie istoty zastąpiły niemal zupełnie miejscowe formy życia. W katakumbach było jednak inaczej.

Thom Poplanich roześmiał się.

- Ostrożnie Raj - powiedział. - Kule rykoszetują, wiesz?

Raj uśmiechnął się z zakłopotaniem, chowając broń do kabury. Oryginalny pięciostrzałowy rewolwer informował o jego szlachectwie, tak samo jak szabla, którą nosił przewieszoną przez ramię. Oba te przedmioty były dla niego równie naturalne jak ubranie. Whitehall urodził się w hrabstwie Descott, dwa tygodnie ciężkiej podróży na północ od stolicy, gdzie mężczyźni nosili broń od kiedy kończyli okres dorastania. Platynowe gwiazdy i sceny z polowań wyryte w stali rewolweru również miały znaczenie. Informowały o przynależności do gwardii gubernatora.

- Duchu Człowieka Gwiazd - powiedział Raj, dotykając wiszącego na jego szyi srebrnego medalionu z wyrytymi na nim świętymi kręgami. - To miejsce przyprawia mnie o ciarki.

Wszyscy wiedzieli, że katakumby pod Nową Rezydencją są stare i rozległe... ale to były tylko słowa dopóki się ich nie zobaczyło. System korytarzy mógłby pomieścić wszystkich mieszkańców stolicy i jeszcze zostałyby miejsce - a Nowa Rezydencja była największym miastem na Ziemi.

- To nie miejsce na piknik - zgodził się Poplanich.

Opuszczony szyb windy, który znalazł pod swoimi komnatami, kończył się właśnie na tym pełnym gruzu poziomie. Z głuchych odgłosów i ze sposobu, w jaki się rozchodziły, można się było domyślić, że byli wiele pięter pod ziemią. Plamy rdzy znaczyły miejsca, gdzie kiedyś stały starożytne maszyny. Teraz był tu tylko chłodny, nadtopiony kamień i jedne na wpół otwarte drzwi... ale nie, chwilę...

- Spójrz - powiedział Poplanich. Przeszedł szybko między popękkanymi skałami i skierował promień lampy w dół, cały czas poruszając się z wystudiowanym wdziękiem. - To znalazło się tutaj już po Upadku.

U jego stóp leżał zatopiony w kałuży stopionego tłuszczu ogarek łojowej świecy. Nad nim widać było ślad od dymu, ale całe miejsce przykrywała gruba warstwa kurzu.

- Ale i tak leży tu od dawna - skomentował Raj, próbując otworzyć drzwi. Zastygły w tej na w pół otwartej pozycji, pozostawiając jednak wystarczająco dużą szparę, by Raj zdołał się wcisnąć. - Mógłbyś podać mi rysik, Thom?

Tu w katakumbach będą musieli bardzo uważać, by nie zgubić drogi. Raz jeszcze dotknął wisiora. Wszystko wokół nich zostało stworzone przez ludzi żyjących tu przed Upadkiem, po tym, jak Duch Człowieka Gwiazd natchnął ich dusze. Widać to było w sposobie, w jaki obrabiano kamień, gładko i równo, a także w dziwacznych fragmentach potrzaskanych maszyn, wykonanych z nieznanymi materiałami. Może nawet...

- Jeśli natkniemy się na jakieś komputery, będziemy musieli powiedzieć kapłanom - powiedział. Thom roześmiał się.

- Oni już nie potrzebują prawdziwych relikwii - powiedział cynicznie. - Czyżbyś nie słyszał, co postanowił ostatni synod na temat cudownej multiplikacji?

Raj zarumienił się. Obaj skończyli niedawno dwadzieścia pięć lat, ale zdarzało się, że Thom Poplanich sprawiał, że Raj czuł się jak mały chłopiec, wiejski giermek z zapadłej prowincji. Thom, nawet ubrany w tweedowo-skórzany strój do polowania, miał w sobie pełną pewności siebie elegancję, która sugerowała dziesięć pokoleń miejskiej arystokracji. Raj raz jeszcze potarł swój amulet. Dobrze było wiedzieć, że chociaż on był autentyczny. Znalaziono go dwa stulecia temu, a błogosławiła go sama święta Wu. Nawet jeśli Kościół postanowił, że wiara czyni relikwii świętym, zamiast odwrotnie.

Wcisnął się w drzwi i zaczął pchać kolanami i dłońmi, plecami opierając się mocno o ścianę. Przez długą chwilę nic się nie poruszyło, dopóki nie zaczerpnął głęboko tchu i nie włożył w pchnięcie całej siły ramion i pleców, koncentrując się na wydechu, dokładnie tak, jak uczył go rodzinny zbrojmistrz. Obcisła kurtka mundurowa pękła na boku, a gruba płyta przesunęła się z jękiem wyginanego metalu. Raj opadł na kolana nieco zdyszany.

- Na pokaz - powiedział Thom, przeciskając się obok niego. W jego głosie słychać było jednak podziw i nieco zazdrości. Jego przyjaciel wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Mocne plecy przydają się nie tylko do ciągnięcia pługu - powiedział podnosząc lampę. - Trzymajmy się prawej strony.

\* \* \*

Raj przyklęknął raz jeszcze, dotykając czołem starożytnego, pokrytego kurzem terminala komputerowego.

- Chyba nie ma sensu iść dalej - powiedział. Znajdowali się pięć poziomów poniżej punktu wyjścia. Pustka, biura i magazyny, nienaturalnie pozbawiony rdzy metal i zapach wilgotnego kamienia. A także wystarczająco dużo sprzętu komputerowego, by zaopatrzyć kościoły na ziemiach Rządu Cywilnego oraz barbarzyńców.

Poplanich przesunął dłonią po oparciu obrotowego krzesła, stojącego przed terminalem. Jego dotyk podniósł obłok kurzu, mieniący się w świetle lamp na srebrno i żółto.

- Dotknij - powiedział zafascynowany. - Wygląda jak skóra, ale jak nowa skóra. Nikt tu nie był od czasu Upadku, więc powinna już dawno doszczętnie zgnić. - Przechylił krzesło w przód i w tył. - Nawet naoliwiona oś nie przesuwalaby się tak gładko, a ta nawet nie skrzypi.

Raj wzruszył ramionami.

- Przed Upadkiem mieli moce. Duch opuścił ich, kiedy okazali się niegodni.

Thom skinął obojętnie głową. To było z Wyznania.

- Nadal wydaje mi się, że to była morska instalacja - powiedział, podnosząc z jednego ze stołów plastikowy znak. Wykonano go z dwóch pasków połączonych dłuższą krawędzią. Jedna strona była pusta, na drugiej widniały czarne litery tworzące słowa w starym nameryjskim. "Weźni wino w'rzuci: Niwolny 'eba przędac". Powoli poruszał ustami, najpierw tłumacząc słowa na nowożytny nameryjski, a potem na swój ojczysty sponglijski. Obojętnie zmarszczył brwi. Cóż, oczywiście, pomyślał.

- Nie wiem - odrzekł Raj, ostrożnie wychodząc z powrotem na korytarz. - Księga Upadku... hej, tu są schody na dół, podaj mi jeszcze raz rysik... mówi, że wojsko przyłączyło się do Rebelii.

Obaj słyszeli na ten temat mnóstwo nudnych kazań.

Thom wyszczerzył usta w uśmiechu.

- Moja interpretacja - czy mógłbyś nie opowiadać tego Dozorowi Przeciwko Herezji? - jest taka, że Brygada i Eskadra, i inni, byli słabo wyszkoleni, a do tego znajdowali się na pustkowiach, kiedy

nadszedł Upadek. Nie spowodowali rozpadu Świętej Federacji, po prostu przejmowali władzę, gdzie tylko mogli, kiedy odcięto ich od Gwiazd.

Raj poczuł się nieco niepewnie. Nie wykraczało to poza kanony interpretacji, ale było niebezpiecznie bliskie wolnomyślicielstwa.

- Chodź - powiedział. - Jeszcze dwa poziomy i wracamy.

\* \* \*

- Tam jest światło - syknął Thom, kiedy wyszli z za rogu. Stopą odsunął na bok rozpadającą się ludzką kość udową. Widzieli na tym poziomie wystarczająco dużo szkieletów, by się do nich przyzwyczaić. Kruchy stos brązowoszarych kości, prawie nie naruszonych zębami szczurów, a wokół niego fragmenty lin, sztywnej skóry i zardzewiałego metalu.

Raj zmrużył oczy, a potem zgasił swoją lampę. Jego przyjaciel zrobił to samo i przez chwilę stali w bezruchu, próbując przyzwyczaić oczy do ciemności. Poczuł, jak otaczające go ciemności rzedną, a wraz z nimi zmniejsza się straszliwy ciężar katakumb. Czuł suchość w ustach. Tam naprawdę jest światło, pomyślał. Łagodne białe światło, niepodobne do niczego, co kiedykolwiek widział. Niepodobne do światła słońca, gwiazd, ognia, czy nawet aktywnych lamp, które czasem widywał w pałacu gubernatora lub w posiadłościach bogaczy. To było światło starożytnych. Światło Ducha Człowieka Gwiazd.

- Działający sprzęt - wyszeptał, ponownie przyklękając. Błuznierstwo. Oczy Upadłego są ślepe na Światło Ducha. Nie jestem godzien. Wysiłkiem woli rozluźnił twarde jak kamień mięśnie karku i ramion.

- Thom, nie powinniśmy tu być. To coś dla Rady Patriarchów albo dla gubernatora. - Ręce trzęsły mu się nieco, kiedy sięgał po pistolet, wysuwał bębenek i sprawdzał ilość pocisków. Nienaturalny blask odbijał się od mosiężnych naboju. Zdawał sobie sprawę z tego, jak bardzo bezużyteczna była ta czynność. Cóż mógłby zrobić rewolwer wobec mocy nie-Upadłych. Oczywiście nie był bardziej bezużyteczny niż cokolwiek innego, co mógłby teraz zrobić.

- Kapłani... - zastanawiał się Thom. - Kapłani wcale nie są bardziej cnotliwi niż ty lub ja, Raj - powiedział rzeczowo. Jego oczy wpatrywały się w blask i można w nich było odczytać wyraz pierwotnego głodu. - Oczywiście, jeśli nie jesteś... pewien... możesz poczekać tutaj, kiedy ja pójde sprawdzic. Nie sądzę, by stać cię było na więcej.

Raj zarumienił się. Jestem za stary, żeby dać się wciągnąć w coś głupiego przez wyzwanie,

pomyślał ze złością, czując jak jego usta się otwierają.

- Spróbuję łomem - powiedział. - Mógłbyś go wyjąć?

Thom zaczął grzebać w plecaku, a Raj podszedł bliżej, by przyjrzeć się drzwiom. Czuł w żołądku to samo, co czuł, kiedy czekał ukryty za barykadą podczas walk ulicznych ostatniej jesieni, kiedy krzyki demonstrantów huczały tuż za rogiem, i słychać było łomot kroków i skandowanie: "Podbój! Podbój!". Dokładnie tak jak wtedy. Widział wpatrzone w nich oczy żołnierzy, stojących jak na paradzie. Podszedł do wysokiej do piersi barykady, zbudowanej z powozów, mebli i kamieni z trotuaru, jakby podchodził do frontowej bramy posiadłości swego ojca, by uspokoić psy. Sierżancie majorze, pierwsza kompania na czoło. Przygotować się do salwy, jeśli łaska. Własny głos nie brzmiał jak przestraszony skrzek, jak tego oczekiwał.

Można przejść przez wszystko, kiedy już tylko zdecyduje się, że to konieczne. Trzeba spojrzeć na to jak na pracę, która musi zostać wykonana, a potem ją wykonać, bo ktoś musi to zrobić, a z pewnością nie stanie się to, jeśli będzie się czekać na kogoś innego. A poza tym rola, jaką odegrał w tłumieniu zamieszek, wyniosła go do rangi kapitana, a co ważniejsze pozwoliła zostać gwardzią wicegubernatora.

Jeszcze bliżej, a światło zmieniło się z klina w wąski pasek w drzwiach. Przycisnął policzek do szczeliny, ale światło załamywało się na niemal zamkniętym mechanizmie zapadkowym.

Czuł na twarzy dochodzący ze środka suchy i metaliczny podmuch powietrza, o zapachu... "starych kości?" pomyślał.

- Może uda mi się je otworzyć - powiedział niepewnie, próbując znaleźć oparcie dla dłoni. Szczelina była za wąska, ale Thom podał mu z kłaśnięciem ośmiokątną rękojeść łomu. Narzędzie było na tyle grube, by się nim wygodnie posługiwać i miało około metra długości. Na jednym końcu było spłaszczone w klin, a na drugim wygięte w hak. Klin wsunął się w szparę bez problemu na szerokość dłoni, a Raj oparł stopę o futrynę drzwi.

- Zaczekaj chwilę - wyszeptał Thom. Wskazał na prostokątną tabliczkę umieszczoną na ścianie tuż obok drzwi. - Widziałem stary manuskrypt opisujący takie drzwi, Zapisy Osiedla Annamana. Mówiły one "kwadrat ów pchnij, a on drzwi otworzy".

- Ale czy to teraz zadziała? - powiedział odrobinę za ostro Raj. Dziedzic Descott miał za młodu lepsze rzeczy do roboty niż przekopywać się przez starożytne manuskrypty i analizować czasowniki w starym nameryjskim. Było jednak dość irytujące, gdy jakiś miejski szlachcic recytował klasyczne cytaty. Przynajmniej jego cytaty mają czasami coś wspólnego z rzeczywistością, pomyślał.

W odpowiedzi Thom spojrział raz jeszcze na światło, z którego powodu tu stali, i nacisnął

mechanizm kontrolny. Głęboko w ścianie rozległo się stuknięcie, a drzwi otworzyły się nieznacznie. Tak nieznacznie, że nie zauważyłby tego, gdyby nie drżenie metalu, które poczuł pod opartymi o ścianę dłońmi.

- No cóż, pozwól mi spróbować siły mięśni, jeśli nauka nie pomaga - mówił dalej Raj, nadając swemu głosowi pogodny ton. - I heeeeejjjjj!

Chwila rozedrganego napięcia, po której drzwi zaczęły się poruszać. Pierwszy centymetr bardzo powoli i ze skrzypieniem, potem znacznie szybciej. Kiedy Raj otworzył je do połowy, zatrzymały się z bezgłośnie stanowczością mówiącą o tym, że mechanizm blokowało coś bardzo solidnego. Raj wsunął do środka głowę i ramiona, mrużąc oczy i mrugając, by zobaczyć cokolwiek w unoszących się wewnątrz tumanach kurzu i w kiepskim oświetleniu.

- Widzę źródło światła - powiedział.

Thom wychylił się zza niego, próbując też coś zobaczyć. Za drzwiami zaczynał się szeroki na pięć metrów i znikający w ciemnościach korytarz. Po ich lewej widać było prostokąt światła - drzwi. Podłoga znajdowała się dwa metry poniżej miejsca, w którym stali, przy czym resztki schodów raczej im zagrażały, niż mogły pomóc.

- Jeśli się położysz i chwycisz mnie za nadgarstki, będę mógł opuścić się na dno - powiedział Thom.

- A jak, na Zewnętrzne Ciemności, wejdiesz na górę? - zapytał ironicznie Raj. - Podaj mi lepiej swój pas.

Niższy mężczyzna podał mu wąski pasek, który przewiązywał jego kurtkę. Zrobiono go ze skóry rogosauroida, sprowadzonej z regionu Skinner na północ od Morza Piersona, i był wystarczająco mocny, by utrzymać ciężar czterokrotnie większy niż razem ważyli. Pasek Raja był podobny, tyle że szerszy i mniej dokładnie wykończony. Spojrzał z namysłem na drzwi i postukał w nie na próbę dłonią. Wydawało się, że utknęły na dobre. Ale z drugiej strony... Łom był tylko odrobinę krótszy niż szerokość, na jaką otworzyły się drzwi. Położył go w szczelinie i przesunął, dopóki nie ułożył go solidnie, wpychając zakończony klinem koniec między krawędź drzwi a podłogę.

- Pasy się na tym utrzymają - powiedział, spinając je razem. - Lepiej pójde pierwszy.

Raj chwycił pas w jedną rękę, pistolet w drugą, oparł stopy o ścianę i znalazł się na dole po trzech odbiciach od niej. Spod jego stóp uniósł się kurz i rozległ się trzask pękających kości, z których podniosły się kolejne tumany pyłu. Zaklął i splunął, przypominając sobie, kiedy ostatni raz miał okazję się napić. Potem znowu zaklął, już ciszej, kiedy stanął obok niego Thom i obaj



zorientowali się, czym była pokryta podłoga.

- Kości - wyszeptał. Thom odsłonił światło swojej lampy i skierował je na podłogę. Było jaśniejsze niż poświata zza drzwi, a także lepiej wyławiało z ciemności szczegóły.

- Dużo kości - zgodził się jego przyjaciel, a w jego głosie można było usłyszeć więcej przygnębienia niż zazwyczaj.

Nie było ich tyle, by nie można było postawić stopy na podłodze, ale dużo do tego nie brakowało, a pył między nimi świadczył o wielu innych, jeszcze starszych.

- Popatrz - mówił dalej Thom. - Co to jest, do diabła? - To była pokryta rdzą broń. Raj podniósł ją i ułożył usta do bezgłośnego gwizdu.

- To karabin-koorg - powiedział. - Zbrojownia Rządu Cywilnego przestała je produkować dwieście lat temu.

Raj może i nie uczył się w szkole retoryki, ale nie było nic złego w pochwaleniu się znajomością historii.

- Dwulufowy, ładowany przez ośmiokątną lufę.

Światło wyławiało z mroku coraz to inne fragmenty wyposażenia. O ścianę stało oparte coś, co przypominało ceremonialną broń, którą trzymały manekiny ze straży Sali Audiencyjnej. Raj przyjrzał się jej z bliska: to był prawdziwy laser, starożytna broń Świętej Federacji. Metalowi ludzie w Sali Audiencyjnej mieli bezużyteczne repliki, ale ten był prawdziwy. Oczy żołnierza zwęziły się, kiedy patrzył na linię lufy. Po prawej stronie powyżej drzwi była głęboka nisza, wytopiona w kamieniu, z długim językiem zastygłej lawy poniżej. Nie było nic na metalowych drzwiach ani na futrynie, choć broń z pewnością zdołałaby je stopić.

- Thom - powiedział Raj z ożywieniem. - To zaszło za daleko. Tu jest naprawdę dziwnie. Powinniśmy się wycofać i złożyć raport. Natychmiast.

Jego towarzysz z ociąganiem skinął głową. I...

TRZASK. Drzwi nad nimi zamknęły się tak szybko, że dźwięk pękającego łomu zniknął zupełnie w łomocie uderzających w futrynę drzwi. Kawałek metalowej sztaby przeleciał przez korytarz, odbił się od ściany i upadł u stóp Raja. Mężczyzna pochylił się, by go podnieść, ale zatrzymał dłoń, kiedy poczuł gorąco wywołane energią pęknięcia. Thom badał uważnie połączone pasy. Sprzączki, którą przytwierdzili je do łomu, nie było, a twarda skóra jaszczura była przecięta równo jak brzytwą. Raj poczuł, jak potężna dłoń zaciska się wokół jego klatki piersiowej, i poczuł żółć podchodzącą mu do gardła.

- Cóż - powiedział, a z jego ust wydobyło się krakanie. - Cóż, przynajmniej nadal działają. Thom skinął szybko głową.

- Zauważyłeś coś w tych szkieletach? - zapytał. Raj rozejrzał się.

- Są martwe.

- Tak, ale nie ma śladów na kościach. Wygląda na to, że upadli w tym miejscu i nic ich nie niepokoilo.

Raj Whitehall skinął głową. Szkielety były nienaruszone, jak modele anatomiczne, żadnych śladów kłów, żadnych znaków działania padlinożerców.

- Nie sądzę, by był sens tam iść - odrzekł, pokazując gestem w ciemność po ich prawej. Światło lampy nie pokazywało niczego poza ścianami korytarza zbiegającymi się w punkt gdzieś w oddali. - Prowadzi na wschód, o ile się orientuję - Spod miasta na wzgórze. - Jeśli jest coś za tym... światłem... może znajdziemy szyb prowadzący w górę.

Thom skinął głową, przecierając twarz rękawem.

- Może. Szkoda, że nie wzięliśmy ze sobą wody. Raj uśmiechnął się ponuro.

- Wolalbym, żebyś tego nie powiedział - rzekł. - Naprawdę.

\* \* \*

- Lustra - powiedział Thom. Raj nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek słyszał w głosie przyjaciela podziw. - Nigdy nie widziałem takich luster.

- Ja nie widziałem nigdy takiego światła - dodał Raj.

Pokój był okrągły, jego podłoga i sufit wykonane były z luster. Również ściany pokrywała pozbawiona rys lustrzana tafla. W centrum kręgu znajdowała się kolumna światła. Białego, łagodnego, chłodnego, bezzapachowego, oświetlającego powtórzone w nieskończoność postaci obu mężczyzn. Raj stał oniemiały, zagubiony i rozszczępiony między własnymi odbiciami. Dłuższą chwilę stał bez ruchu, zanim zauważył najdziwniejsze w tym pomieszczeniu rzeczy.

- Thom - powiedział ponagłajaco. - Dlaczego te lustra nie odbijają światła? - Mieli ją przed oczami, kolumnę równie materialną jak ich własne dłonie, światło, dzięki któremu pomieszczenie nie było ciemne jak wnętrze trumny. A jednak w lustrach nie było po nim ani śladu, tylko obaj mężczyźni i ich wyposażenie.

Thom zamrugał oczami. Potem jego źrenice rozszerzyły się, a on sam odwrócił się, by uciekać. Zaczął uciekać, lecz po jednym kroku zastygł w bezruchu jakby zamieniony w kamień. Nawet jego twarz zastygła, więc Raj mógł zobaczyć, że źrenice również były nieruchome. Drzwi, w kierunku których skierował się Thom.. nie zamknęły się, lecz po prostu zniknęły. Tylko kierunek, w jakim zwrócony był żywy posąg, który był jego przyjacielem, pozwalał Rajowi odróżnić to miejsce od jednolitej powierzchni lustra. Kolumna światła w centrum pokoju zaświeciła jaśniej.

Raj wystrzelił, trzymając na spuście palec środkowy, a wskazujący na bębenku, dokładnie tak, jak uczył go zbrojmistrz: na niewielkiej odległości po prostu wskazujesz cel i strzelasz. Pięć strzałów zabrzmiało jak jeden, a pomarańczowy płomień wylotowy i dym podrażniły jego oczy. Równie głośno jak wystrzały rozbrzmiał świst miękkich, ołowianych kul, odbijających się i rozpryskujących na twardych jak diament ścianach. Nie pozostawiały na nich nawet najmniejszych śladów. Coś uderzyło Raja w stopę z siłą młota kowalskiego, kiedy kula urwała obcas buta. Rozdarcie powstało także na miękkich bryczesach Thoma... A potem nic, nic poza gryzącą chmurą brudnobiałego dymu prochowego, który zmusił Raja do kaszlu.

Raj znieruchomiał w połowie przeładowywania broni. Rozległ się głos: nie w jego uszach, lecz w umyśle. Mówił z nieludzką obojętnością, która miała posmak nieodwołalnej pewności.

»Tak, tak. Świetnie sobie poradzisz.«

## Rozdział drugi

Zniknęła podłoga i kolumna światła. Nie było pod nim nic, lecz czuł pod stopami jakąś powierzchnię. Białawy dym po wystrzałach zniknął nagle, jakby powietrze zostało oczyszczone, choć nie poczuł żadnego powiewu. Również Thom trwał w zawieszeniu, nadal zamrożony w pierwszym kroku, jakby znalazł się w Zewnętrznych Ciemnościach, gdzie ci, którzy odrzucili Ducha Człowieka na wieczność, pozostawali w bezruchu.

Poczuł, że z jego gardła zaczyna się wydobywać jęk i to przywróciło mu zmysły. Był Whitehallem z Hillchapel, żołnierzem i dorosłym mężczyzną. Najgorsze, co może zrobić cokolwiek to jest, to zabić go, a przecież równie dobrze mógł zginąć trafiony kamieniem w czasie zamieszek. W czasie polowania mógł go ukąsić ukryty w bucie skorpion, mogła go dosięgnąć kula Kolonistów lub bagnet Brygady. Jego duszę mógł zbawić lub potępić tylko Duch.

»Tak. Doskonale.«

- Kim, na Ciemności, jesteś? - zapytał Raj, próbując mówić tonem, którego jego ojciec używał, kiedy rozmawiał ze sprzedawcami maszyn w Hillchapel. Hillchapel, słodki, dziki zapach srebrnych sosen przynoszony z wiatrem z gór, dźwięk kowalskiego młota na żelazie...

»Jestem strefową jednostką dowódczo-kontrolną AŻ 12 - b 14 - cOOO Mk. XIV.«

Człowiek otworzył usta z podziwu. Próbował przyklęknąć, ale odkrył, że nadal nie może się poruszyć.

- Jesteś... komputerem? - zapytał z niedowierzaniem.

»Tak. Choć nie w znaczeniu, w jakim ty używasz tego określenia.«

- Co masz na myśli?

»Nie jestem istotą nadprzyrodzoną.«

- Czym zatem jesteś?

»Jestem świadomym, sztucznym bytem, zbudowanym w oparciu o podsystemy fotonowe, którego zadaniem jest polityczno-wojskowy dozór tego sektora w imieniu dowództwa Federacji.«

Przecież to właśnie jest istota nadprzyrodzona, do cholery. Raj zmarszczył czoło. To było żywcem wzięte z Wyznania, nawet budowa zdania była rodem z archaicznego dialektu, którego używali kapłani. Najpierw mówi, że nie jest istotą nadprzyrodzoną, potem mówi, że pracuje dla Świętej Federacji, pomyślał oszołomiony. Anioł.

- Czego ode mnie chcesz? - zapytał prosto z mostu. Szkielety na zewnątrz podpowiedziały mu kilka ponurych możliwości.

»Obserwuj. Myśl.«

Thom i lustra zniknęli. Tym razem Raj krzyknął, chociaż bardziej z zaskoczenia niż ze strachu. Zawisł w powietrzu, latał jak ludzie przed Upadkiem. Dłuższą chwilę zabrało mu zorientowanie się, gdzie jest. Nie był przyzwyczajony do widoku z lotu ptaka, a tego, co było pod nim, nigdy wcześniej nie widział. Dopiero kształt lądów, który napotykał na setkach map, uzmysłowił mu, gdzie się znajduje. Nowa Rezydencja, miasto gubernatorów i stolica Rządu Cywilnego. Niemal doskonale okrągła zatoka, jej brzeg przecięty jednym, trzykilometrowym kanałem. Budynki rozmieszczone były na wzgórzach Srebrnego Antlera, tuż przy przejściu do morza. Na południu zobaczył pograżoną w porannej mgle deltę rzeki Hemmar...

Ale to nie było jego miasto, to, którym rządził w 1103 Roku Upadku gubernator Yernier. Zamiast wąskich uliczek, upchniętych za potężnymi murami obronnymi, były tam wieże i niskie, zwieńczone kopułami budynki, rozrzucone wśród lasów i parków jakby całe miasto było posiadłością bogacza. Ulice były alejami wśród drzew, po których pojazdy poruszały się, nie dotykając zielonego podłoża. Miasto było olbrzymie, rozciągało się tak daleko, że znikało mu z oczu w oddali. Metaliczne jaja poruszały się na pozór powoli po tym podobnym do mapy krajobrazie daleko pod nim. Przez kanał płynął statek, smukła maszyna bez żagli, wiosł czy dymiącego komina - perspektywa zmieniła się teraz, a Raj zobaczył, że statek miał tysiąc metrów długości, a może jeszcze więcej.

Widok obniżył się, by pokazać ludzi w dziwnych, bogatych strojach, przechadzających się wśród nieziemskich luksusów. W ogrodach, otoczonych parkanami oznaczonymi dziwnym symbolem podwójnej spirali, dzieci bawiły się z fantastycznymi zwierzętami, gryfami i centaurami, miniaturowymi niedźwiedziami i maleńkimi psami, sięgającymi nie wyżej niż do pasa. Nawet zwykłe psy pod wierzch były dziwne, jakby skurczyły się do nie więcej niż pięciuset funtów, były mniejsze nawet niż damskie palfreye.

- Święty Duchu Człowieka Gwiazd - wyszeptał Raj. Łzy radości zakręciły mu się w oczach i pociekły po policzkach. - Nie jestem godzien! - Wizja czasów sprzed Upadku! wybuchnął radością Raj. Dlaczego ja? Jestem tylko żołnierzem, nie kapłanem. Ja... ja próbuję żyć jak przykazał Duch... Przypomniawszy sobie grzechy, które popełnił przy Wejściu do Terminala i skrzywił się.

»Nie.« Czy w tym pozbawionym emocji głosie znalazła się nutka rozdrażnienia? »To symulacja z czasów, które nadeszły około dwudziestu lat po tym, co nazywacie Upadkiem. Po ostatnim nadświecym trzasku z Bellevue. Obserwuj.«

Coś przeleciało obok niego w powietrzu, coś poruszającego się tak szybko, że zobaczyć można było jedynie smugę. Pod nim płonął ogień. Serce Raja krzyknęło, widząc, jak smukłe wieże wałą się w gruzy, a włosy na jego karku próbowały stanąć, kiedy kula płomieni zaczęła się rozszerzać w jego stronę niczym pomarańczowokarmazynowa bańka mydlana. Rozległ się niesamowicie głośny i długi huk.

Chwileczkę, pomyślał. Nie czuję żadnej różnicy. Nawet powietrze pachnie tak samo jak przed wizją. Dlaczego nie czuję wiatru?

»To symulacja. Możesz potraktować ją jako bardzo dokładną mapę. Możesz zmieniać punkt widzenia koncentrując się.«

Poczuł coś w rodzaju stuknięcia za oczami, a cała scena obniżyła się z przyprawiającą o zawrót głowy prędkością. Raj spadał przez chwilę, zanim udało mu się odzyskać kontrolę. Jakby był parą bezcielesnych oczu i uszu, obdarzonych mocą latania. Ostrożnie obniżył się jeszcze trochę. Piękne, starożytne budynki leżały w gruzach, płonęły, lub pogruchotane wypełniały zachodzące na siebie koła w pobliżu rozszerzającej się kuli płomieni. Przemieszczał się, dopóki promień zniszczenia nie znalazł się za nim, a potem niczym bożek przyglądał się, jak małe, nurkujące maszyny zabierały rannych. Ohydnie poparzone postaci wiły się lub leżały bez ruchu, a pojazdy lądowe, które przemieszczały się zielonymi drogami, były poprzewracane jak zabawki, niektóre wbite w ściany domów.

Musiał tu uderzyć podmuch silny jak huragan, pomyślał, bowiem cała scena pasowała do opisów straszliwych sztormów na znajdującym się daleko na południu morzu Zanj. Ogień jak w sercu gwiazdy, a potem zabójczy wiatr. Raj otrzymał podstawy klasycznej edukacji, pomimo pragmatyzmu swej ziemiańsko-wiejskiej rodziny. Była tylko jedna rzecz pasująca do tego opisu: bomba termojądrowa, zwiastun Upadku.

Na ziemię opadły kolejne latające pojazdy. Sapnął z zaskoczeniem, kiedy rozpoznał emblematy na ich burtach - dwie błyskawice, a między nimi numer 591 - insygnia 591. Brygady Tymczasowej. Barbarzyńcy, którzy okupowali Starą Rezydencję, pierwotną siedzibę rządu planetarnego, po drugiej stronie Morza Śródświatowego. Ale to nie są barbarzyńcy, pomyślał oszołomiony, kiedy otworzyły się włazy i ze środka wyskoczyli żołnierze. Rozpoznał również ich broń i zbroje. Mechaniczno-pneumatyczne automaty, które stały wzdłuż ścian w Sali Audiencyjnej, wykonane były na ich podobieństwo i miały podobną broń. Rozbłysły smugi ognia, kiedy inni żołnierze, podobnie wyposażeni, lecz z emblematami Gwardii Federacji, ruszyli na ich spotkanie.

»Dość.« Głos przerwał mu, kiedy żołnierze Brygady zmiotali ostatnie punkty oporu i ruszali naprzód, by zrównać z ziemią wielką budowlę, której fundamenty miały taki sam kształt jak

fundamenty Pałacu Gubernatora, który znał. Punkt widzenia przesunął się bez jego woli i zatrzymał na twarzy leżącego człowieka o na wpół spalonej, pomimo bojowej zbroi, klatce piersiowej. Usta otwierały się za wizerem, ale poza gęstą krwią nic się z nich nie wydostało. »Dalej.«

Rozległ się cichy trzask i znalazł się znów w wyjściowej pozycji. Miasto znów było na miejscu, nie naruszone przez wybuch bomby, ale kiedy przyjrzał mu się bliżej, zobaczył, że przedmieścia są opuszczone, porośnięte zielonymi, terrańskimi roślinami i brązowo-zieloną miejscową florą. Było też mniej latających jaj... Tym razem atak nadszedł z morza, z wielkich kwadratowych statków, które przemieszczały się na giętkich fartuchach w chmurach mgły. Z niezwykłą prędkością statki znalazły się na brzegu. Zaczęły strzelać laserami, a wybuchy znały miejsca, w które kierowały się dziwnie smukłe lufy. Potem opadły pomosty, a opancerzeni żołnierze zalali ulice. Tym razem opór był jeszcze mniejszy, a atakujący mniej zdyscyplinowani. Niemal natychmiast zaczęli plądrować i gwałcić. Ich insygnia również rozpoznał. 3. Eskadra Krążowników, panowie terytoriów południowych. W głowie Raja powstał gniewny zamęt. Nawet Brygada uznawała Eskadrę za dzikusów, którzy z trudnością posługiwali się karabinami skałkowymi, a co dopiero technologią nie-Upadłych.

Raz jeszcze opadł niżej i zobaczył człowieka z podniesioną przyłbicą, który kierował obroną zza barykady zniszczonych pojazdów. Błysk, a potem fragmenty ciała wymieszane z metalem i syntetykami.

»Dalej.«

Raj znowu znalazł się w punkcie wyjścia. Roślinność pochłonęła niemal całe miasto poza bezpośrednim sąsiedztwem pałacu, a ten rozbierano właśnie na materiały budulcowe. Wokół rozciągała się szachownica pól i dróg. Ściany z gruzu zbudowane na wałach z ziemi osłaniały centrum, a żwirowa szosa prowadziła do zaimprovizowanych doków, w których stały statki żaglowe. Najszersza droga prowadziła na południe i wschód. Oceniał odległości wyćwiczonym okiem oficera, łącząc linią wzgórz, które rozpoznawał. Tak, to był Szlak Wielkiej Rzeki, główna droga do Wschodniej Rezydencji. O wiele węższa i pozbawiona świetnej kamiennej nawierzchni... i maszerowała nią armia, przedzierająca się przez olbrzymie ruiny.

Tym razem byli to Koloniści: śniadzi mężczyźni, niektórzy w powłóczystych szatach, brodaci, z zieloną flagą islamu powiewającą nad głowami tuż obok szkarłatnego pawia Osadników, klanu, który uważał, że jako pierwszy poprowadził ludzi z Ziemi na Bellevue. Tym razem mieli niewiele broni energetycznych, a tych, którymi dysponowali, używali oszczędnie. Raj zmarszczył brwi, kierując uwagę z jednego oddziału na drugi. Dziwne, pomyślał. Koloniści byli śmiertelnymi wrogami Rządu Cywilnego - w końcu to oni jako pierwsi rozpoczęli rebelię po Upadku - ale byli przecież na swój sposób cywilizowani. Ci tutaj wyglądali na motłoch i do tego fatalnie wyposażony. Nie mieli

kawalerii, choćby jednego psa wierzchowego dla oficera. Dysponowali ciągniętymi przez woły działami, ale jakże prymitywnymi! Były ładowane przez lufy, a wyglądały na wykonane z jakichś rur. Piechota uzbrojona była w najprzeróżniejsze rodzaje broni - od włóczni po maczety. Ich przeciwnicy odziani byli w błękit i szkarłat Rządu Cywilnego, ale broń nosili podobną i do tego było ich znacznie mniej.

Raj odprężył się nieco i poczuł, jak mięśnie jego brzucha rozluźniają się - przynajmniej tę bitwę potrafił zrozumieć. Przypominała gigantyczną bójkę, w której liczebność górowała nad zamysłem taktycznym. Oczekiwał zbliżenia na dowódcę. Tym razem był to wysoki, starszy mężczyzna, z hakiem w miejscu, gdzie powinno znajdować się lewe ramię. Nosił prymitywną wersję diademu gubernatora, a w prawej dłoni miał broń energetyczną. Ta zawiodła, a fala Kolonistów ogarnęła go, kłując i rąbiąc. Chwilę później ponad tłum uniosła się włócznia, na której zatknięto głowę mężczyzny.

»Dalej.«

Ruiny niemal zupełnie zniknęły, a dziwne materiały budowlane nie-Upadłych wchłonęła ziemia - nie potrafiąc znieść zepsucia Upadłego świata, jak uczył dziecięcy katechizm - a centrum pałacu wyglądało tak, jak za jego czasów, tyle że lśniło świeżym wapieniem, na którym nie było patyny stuleci. Rozpoznał kilka ulic, a także pękata, przypominającą stodołę budowlę z gwiazdą na dachu, stojącą dokładnie w miejscu, gdzie za czasów Raja stała świątynia. W porcie wrzała bitwa morska. Tylko galery, niektóre odkryte, wyglądające jak wielkie łodzie wiosłowe, w zasięgu wzroku nie było żadnego parowca. Ponad polem bitwy powiewało mnóstwo flag: Brygady, Eskadry, a także cała kolekcja proporców różnych plemion, nawet zaciśnięta pięść z wyciągniętym w górę palcem, należąca do Skinnerów, którzy byli przecież prawdziwą bandą dzikusów ze stepów dalekiej północy. Działa ryczały, wymiotując chmurami dymu, który słał się niczym brudny dywan na błękitnych wodach portu. Statki płonęły. Rozbitkowie dryfowali, a niektórzy z nich, nadal żywi, poruszali się rozpaczliwie, dopóki nie wciągnęły ich pod wodę macki morskich drapieżników.

Nagle Raj zobaczył zbliżenie pokładu rufowego jednego z galeonów. Leżał tam z głową na kolanach podwładnego człowiek noszący insygnia admirała floty Rządu Cywilnego. Poniżej opasek uciskowych widać było kikuty nóg. Mimo okaleczenia nadal próbował wydawać rozkazy, aż wreszcie otworzył szeroko usta i stracił przytomność.

»Dalej.«

Wschodnia Rezydencja była na wpół ukończona, a grupa ludzi budowała fundamenty świątyni. W każdym razie robili to do tej pory. Teraz próbowali utrzymać mury, które stały bliżej pałacu niż za czasów Raja, choć wykonano je z solidnego kamienia. Próbowali i cofali się. Sztandary Kolonii



zatrzepotały nad bramą, która otworzyła się, wpuszczając żołnierzy jadących wierzchem na psach. Zwierzęta były jednak małe, nie cięższe niż sześćset funtów. Jak we śnie, pomyślał Raj. Na wpół znajome, lecz zniekształcone. Koloniści natarli na linię piechoty Rządu Cywilnego, uzbrojoną w ładowane przez lufę strzelby z zamkiem kołowym. Mieli czas na jedną salwę, a kiedy rozwiął się po niej dym, psy warczą na rząd pochylonych bagnatów, zaczęły się cofać. "Kontratak z..." zaczął myśleć Raj. Wtedy zobaczył kolumnę jeźdźców Rządu Cywilnego wylewającą się z ulicy za plecami walczącej piechoty. Na jej czele łopotał sztandar gubernatora, wizerunek świata w rzucie Merkatora, i jeszcze jeden, który wyglądał jak flaga z piaskowym lwem wzgórz Descott. A niósł go człowiek, którego rysy przypominały Rajowi rodzinne strony - twarz miał kwadratową, o orlim nosie, ogorzałej skórze, był czarnowłosy i czarnobrody. Kolumna ruszyła na przeciwników z trzaskiem uderzających o siebie szabel. Raj zobaczył zbliżenie twarzy mężczyzny z Descott na chwilę przed tym, jak jeden z Kolonistów wypalił w nią z pistoletu załadowanego śrutem.

»Dalej.«

Raj był tym bardziej dezorientowany, im bardziej znajome stawało się miasto. Ukończono już wewnętrzne mury, świątynię również, a także cały pałac z wyjątkiem Długich Galerii i ich ogrodów. Posiadłości dostojników stały poza Wewnętrznymi Murami, nigdzie natomiast nie było widać warsztatów i slumsów, które powinny się znajdować na ich miejscu. W porcie pełno było żagli, widać również było kilka prymitywnych kominów. Trwało oblężenie - z zachowaniem zasad sztuki wojennej, z zygzakami okopów i bunkrów, z wielkimi działami oblężniczymi kruszącymi mury obronne i znikomym ogniem obrońców. Z ulic Wschodniej Rezydencji podnosiły się kolumny dymu. Wśród nich miotał się tłum, a żołnierze, którzy zmierzali na mury, mieli więcej kłopotów z własnymi rodakami niż z wrogiem. Za murami znajdował się obóz oblegających. Wielki, ośmiokątny pawilon, nad którym łopotał sztandar Osadników, otoczono umocnieniami. Mnóstwo grup i oddziałów ludzi Brygady, las namiotów i szałasów Eskadry. A do tego różności ze wszystkich części świata. Skinnerzy na chudych ogarach, uzbrojeni w swe dwumetrowe strzelby - choć ładowane przez lufę, to nie takie, do jakich Raj przywykł. Psy były tym razem normalnej wielkości, potrafił nawet rozpoznać kilka ras, i ważyły od ośmiuset do tysiąca funtów.

W obozie przebywało niewielu napastników. Kolumny, grupy i bezładne bandy ruszały naprzód okopami komunikacyjnymi. Z doświadczenia Raj wiedział, że zbliża się ostateczny atak. Widok obniżył się. Nie na pole bitwy, lecz do Sali Audiencyjnej pałacu. Wystrój był inny, ale miejsce wyglądało w zasadzie tak samo. Starożytna morska kość słoniowa i złoto. Krzesła były nowsze, klejnoty jaśniej świeciły. Siedzący na najwspanialszym z nich mężczyzna zdawał się nie zwracać uwagi na panujący w dole chaos, krzyki i prośby o rozkazy. Dotknął za to diadem gubernatora nad

swymi brwiami, podniósł smukłą lufę jednostrzałowego pistoletu skałkowego, który zostałby uznany za przeżytek nawet za czasów dziadka Raja. Włożył lufę do ust i...

- Zaraz! - rozległ się krzyk. Ciało mężczyzny osunęło się, pokazując ranę wylotową, i plamę szarych włókien i różowych fragmentów kości na złotym Krześle. Powróciła pamięć, portret w Galerii Gubernatorów.

- Zaraz, to Muralski IV, on zmarł w czasie drżącej zarazy, prowadząc kampanię na wyspie Stern dwieście dwadzieścia lat temu, a za jego panowania nie było oblężenia Wschodniej Rezydencji!

»Dalej.«

Raj otworzył usta, by zaprotestować, ale natychmiast je zamknął. Nie było żadnej bitwy a miasto wyglądało tak, jak je pamiętał. Splątany chaos alejek i zaułków, ulic i placów, łączący zielone wzgórze pałacu i brudne kłębowisko doków, wszystko to otoczone podwójnymi murami. Jego niewidoczne oczy opadły do poziomu gruntu. Obok przejechała powolna lokomobila, ciągnąca przyczepę z towarem z odlewni. Dalej lektyka, za którą jechał oddział gwardii pałacowej, pogrążony oporządzeniem, arogancki, na swych wyszczotkowanych collie. Ponownie wzniósł się w niebo i kiedy przyjrzał się miastu dokładniej, poczuł ukłucie gdzieś w kręgosłupie. Nie było dokładnie tak, jak pamiętał. Kolej Wschodnia ciągle była w budowie. Tak jak podczas jego pierwszej wizyty w mieście, kiedy ojciec brygadier przywiózł go, sześciolatnie dziecko z prowincji, by obejrzał miasto. Lekki mentalny nacisk i już był za nasypem. Jak tamtego dnia, którego nigdy nie zapomniał, piach i żwir, gwoździe, długie, drewniane szyny, których wierzch kryto żelazem, inżynierowie w płaszczach, rzemieślnicy, grupy niewolników machających kilofami, motykami i łopatami.

Scena uciekła mu sprzed oczu i znalazł się w pokoju, który znał. Był w Sali Rad Gubernatora, tej mniejszej i mniej oficjalnej, w której odbywały się prawdziwe narady, znajdującej się wysoko ponad Długimi Galeriami. I...

- Ojciec - wyszeptał.

Znowu młody, około trzydziestki, z pagonami generała korpusu, czyli rangi, do której Huego Whitehall nigdy nie doszedł. Stał skupiony przed starym gubernatorem, Morrisem Poplanichem. Bezdzielnym wujkiem Thoma, który zmarł dziesięć lat temu. Na stole rozłożono mapę wojenną. Raj spojrzał na nią i zobaczył drewniane klocki, oznaczające dużą ofensywę wojsk Kolonii przez przełęcz w górach Oxhead w dolinę Hemmar, która stanowiła serce Rządu Cywilnego.

- Nie! - krzyknął Raj.

- I nie wiem, czy zdradziłeś, czy tylko jesteś karygodnie niekompetentny, Whitehall - mówił

gubernator. - To nie ma znaczenia. Odbieram ci dowodzenie.

- Ale, panie, wiem, że jeśli to zrobisz... - zaczął Huego Whitehall. Zamilkł wzruszając z rezygnacją ramionami i nie protestował, kiedy strażnicy chwycili go za ramiona i zaczęli zdierać insygnia z munduru.

- Nie - szepnął Raj. Czas rozmył się. Wschodnia Rezydencja płonąła, a żołnierze Kolonii wyciągali jego ojca z celi i prowadzili korytarzami pełnymi dymu i trupów żołnierzy Rządu Cywilnego. Huego wyrwał się im, kiedy znaleźli się na zewnątrz, w miejscu, z którego widać było panoramę płonącej Wschodniej Rezydencji. Wskoczył na balustradę tarasu, ale strażnicy mieli powtarzalne karabiny Kolonii. Zdołali go trafić co najmniej trzykrotnie, zanim zdążył przekroczyć krawędź.

- Kłamstwa! - krzyknął Raj. - Same kłamstwa!

»Uspokój się. Zastanów.«

Raj zmusił się do uspokojenia oddechu, poczuł, jak pot schnie na jego skórze w nieruchomym powietrzu.

- Te... bitwy. Mogły się rozegrać, gdyby...

Gdyby co?

»Gdyby komuś przed tobą pozwolono opuścić to miejsce z moją pomocą.«

Poczuł, jak uścisk, w którym trzymano jego ciało, słabnie, i odkrył, że może poruszać ramionami, tułowiem i głową. Z niewyobrażalną ulgą przetarł twarz wierzchem dłoni.

- Twoja pomoc jest chyba niewiele warta - powiedział prosto z mostu.

»Wyobraź sobie generała dysponującego idealnym rozpoznaniem sytuacji, który zawsze zna najbardziej prawdopodobne rezultaty swych działań.« Mentalny głos... należący do Centrum, jak sądził... mówił dalej. »A przecież wszechświat to kombinacja prawdopodobieństw. Jeśli prawdopodobieństwo sukcesu jest wystarczająco niskie, nawet moja pomoc nie wystarczy. Czynniki socjopolityczne i ekonomiczne są często ważniejsze niż wygrana bitwa. Poza tym kompleksem mogę tylko radzić i obserwować, nie mogę niczego wymuszać. Z moich kalkulacji wynika, że nadszedł odpowiedni czas do wykonania twojej misji.«

- Jakiej misji? - zapytał Raj.

»Zjednoczyć Bellevue, jako podstawę do odbudowy Przestrzennej Sieci Przesiedleńczej Tanaki« - nawet w tym bezdźwięcznym głosie Raj słyszał wielkie litery w Świętej Nazwie Podróży Szybszej

niż Światło.

- Zjednoczyć Ziemię? - zapytał Raj z niedowierzaniem, dotykając amuletu.

»Bellevue« poprawiło Centrum pedantycznie. »Na Ziemię przyjdzie czas potem.«

Usta młodzieńca ułożyły się do bezgłośnego gwizdu. Whitehallowie z Hillchapel służyli gubernatorom pod bronią od pół tysiąca lat, dowodząc żołnierzami werbowanymi spośród twardych chłopów ze wzgórz. Urodzonymi żołnierzami z Descott, a nie złamanymi przez podatki wieśniakami z nizin. Pamiętał niewyraźne chłopięce marzenia o chwale, marzenia, które konkretyzowały się, w miarę jak wkraczał w dorosłość. Może odbicie terenów zagarniętych przez Kolonię na południowym wschodzie. Co pokolenie toczono wojnę graniczną ze szmacianymi łbami. A może zmiażdżyć kolumnę wojsk Brygady na północnym zachodzie, za cieśninami Kelden, gdzie Rząd Cywilny utrzymywał przyczółek na Terytoriach Środkowych. Ale zjednoczyć świat...

- To zadanie dla świętego bohatera - zaprotestował.

»Jestem strefową jednostką dowódczo-kontrolną AŻ 12 - b 14 - cOOO Mk. XIV.« Bezgłośnie słowa zagrzmiały jak salwa baterii dział. »I mówię, że ty nim jesteś.«

Raj przyklęknął. Nikt nie spiera się z aniołem.

- Znam swe powinności - powiedział, prostując się.

»To jedna z twoich zdolności« zauważyło Centrum. Młodzieńcowi przyszła do głowy pewna myśl.

- Nie chodzi chyba o to, bym został gubernatorem, prawda? - zapytał z troską w głosie. - Złożyłem przysięgę gubernatorowi Yernierowi. Wicegubernatorowi Barholmowi także. Przynależę mu lojalność jako jego strażnik.

»Yernier umrze w ciągu roku.« powiedziało Centrum. »Krzeseł zajmie jego bratanek Barholm.« To nic nowego. To Barholm dzierżył władzę, nie jego chory krewniak. A Raj był człowiekiem Barholma. »Będiesz tarczą i mieczem gubernatora Barholma, a tak czy inaczej wiele lat spędzisz za granicą na wojnie - masz talenty militarne i administracyjne, nie polityczne.«

Raj skinął potwierdzająco głową. Może i orientował się w zdradzieckich intrygach pałacu, ale wiedział, że brak mu umiejętności, by osiągnąć w tym doskonałość. Jakiś udział mógł w nich brać, ale nic więcej. Polityka była jak szermierka, jeden błąd, chwilowa utrata koncentracji, i jesteś martwy. Pomyślał o układaniu sobie stosunków z kanclerzem, Robertem Tzetasem, i zadrżał. To tak, jakby mieć przeszczepionego na przedramieniu plującego kłogęba. Był nawet dowcip, który raczej szeptano niż mówiono, że pewnego popołudnia kłogęb ugryzł kanclerza podczas oficjalnego

spotkania. Tzetzas nie przerwał nawet jedzenia truflii, a jadowita jaszczurka zdechła w konwulsjach...

- Złożyłem przysięgę - powiedział - że będę bronić Rząd Cywilny przed każdym wrogiem, by przywrócić należne mu miejsce agencji Świętej Federacji w tym świecie. Myślę, że to się będzie zgadzać.

»Doskonale.«

Stożek światła skoncentrował się na czole Raja. Zmrużył oczy, ale uczucie, że dostąpił wielkiego zaszczytu, nie pozwoliło mu odwrócić głowy. Przez chwilę czuł intensywny ból, który zniknął, pozostawiając drażniące uczucie zimna między oczami i pod skórą. Myśli zaczęły płynąć tuż pod powierzchnią świadomości, podsuwając mu fragmenty wspomnień, wydarzeń, których nigdy nie przeżył. I to odeszło, pozostawiając zawroty głowy i zupełnie niematerialne dzwonięcie w uszach. Czuł, jakby jego ciało było trochę za małe, by go pomieścić.

»To wrażenie przeminie« powiedziało Centrum. »Od teraz zawsze będziemy pozostawali w kontakcie. Pamiętaj, że twoje działania muszą pozostać twoje. Moja pomoc ogranicza się do udzielania informacji.«

Raj skinął głową, nadal oszołomiony echem, które odbijało się w jego głowie. Pragnął tylko długiego snu i...

- Będę musiał powiedzieć Suzette. Ona...

»Patrz.«

Coś zamigotało mu przed oczami i nagle znalazł się z powrotem w swoich komnatach, niedaleko części pałacu, w której rezydował wicegubernator. Niedaleko stała Suzette, na której twarzy zobaczył konsternację ustępującą miejsca przerażeniu. Skinęła głową, uśmiechnęła się, wyszła, potem weszli kapłani, uzdrowiciele strapionych, mówiący uspokajające słowa i zakładający mu kaftan bezpieczeństwa.

Komnata zniknęła.

- Cholera - powiedział zde gustowany, a potem zaczerwienił się na myśl, jakim świętokradztwem było przeklinanie tutaj. - Sądziłem, że mi uwierzy.

»Nie bez dowodu, którego ci nie dostarczę« odrzekło Centrum. »Wiedza o moim istnieniu uniemożliwiłaby dalsze obliczenia.«

Raj zadrżał.

- Dobrze. Puść Thoma.

Mężczyzna przypomniał sobie kości za drzwiami. Nagle zdał sobie sprawę, jak by to było, czekać w ciemnościach nie mogąc nawet kontrolować wyrazu własnej twarzy. Nie móc mrugnąć, czuć, jak wysychają oczy, czekając, aż zabierze cię pragnienie lub szaleństwo. - Ależ puścisz go, czy jesteś aniołem, czy nie - powiedział spokojnie Raj. Jego dłoń opadła do rękojeści bezużytecznego pistoletu, nie tyle jako groźba, lecz by podkreślić intencje. Whitehallowie nie opuszczają przyjaciół, niezależnie od nagrody.

»Poplanich jest za blisko starej dynastii.« Którą obalił Yernier. Stary Morris Poplanich zmarł, nie pozostawiając męskiego potomka... z przyczyn naturalnych, a w każdym razie tak powszechnie sądzono. Yernier Clerett był głównodowodzącym Wojsk Terenu Rezydencji, a to znaczyło w sporach o sukcesję więcej niż dziedziczenie, czego dowodziła historia Rządu Cywilnego. »Teraz Thom Poplanich osiągnął odpowiedni wiek, jest popularny. Jest też powszechnie szanowany przez starsze rodziny.« Do których nie należeli Clerettowie. Yernier nie był ani bogatszy, ani lepiej urodzony niż sam Raj Whitehall, tylko aspirował do posiadania starożytnych krewnych. »Kiedy Barholm Clerett obejmie Krzesło, Poplanich umrze. Patrz.«

Obrazy. Gongi świątyni dźwięczące rankiem, czarne opaski na głowach obywateli. Barholm wchodzący po schodach do Krzesła, z zarumienionymi policzkami, tryumf wyglądający spod maski żałoby. Żołnierze z 2. Żandarmerii, wyciągający Thoma Poplanicha przez bramę posiadłości jego rodziny. Młodzieniec oswobadzający ramiona i wyglądający na siebie płaszcz, podchodzący z godnością do zaprzężonego w dwa psy czarnego powozu. Raj obserwujący spomiędzy szeregów gwardii Barholma jak przywiązują Thoma do żelaznej kolumny na placu Pamięci, heroldowie odczytujący zbrodnie - "zdrada Rządu Cywilnego i Ducha Człowieka Gwiazd" - oraz kat o nagim torsie stojący przy włączniku potężnego generatora. Stojący Barholm. Tłum, który gwizdze i cofa się pod naporem dragonów. Warczenie pięciuset psów bojowych rozbrzmiewa najgłośniej, dopóki włącznik nie zostaje przekręcony i Thom nie krzyczy. Krzyk, skwierczenie i zapach pieczonego mięsa.

Raj poczuł pot na dłoniach, poczuł, jak krople ciekną mu po bokach, ale nie mógł kontrolować wizji. Więcej: Raj z oficerami, których poznawał, rozmawiający w pokoju na zapleczu tawerny. Z nimi starsi ludzie. Berzetayz z Rady Gubernatora, przywódca klikki rzeki Hemmar, a także wielcy ziemianie. Alois Wijolska, magnat hut żelaza. Strzały w pałacu. Ludzie padający przed dwumetrowymi drzwiami z litego brązu, prowadzącymi do wewnętrznej komnaty, i jego własny pies stający na tylnych łapach, by wyłamać drzwi przednimi. Barholm wyskakujący z łóżka, zupełnie nagi, opierający się plecami o ścianę i zasłaniający twarz dłońmi. Jego żona, Anna, również naga, przeklinająca bunt i podnosząca pistolet. Salwa zza jego pleców.

Fragmety. Widok, który po chwili rozpoznał jako widok z Krzesła, i wysoki kapłan trzymający diadem nad jego własną głową. Umierająca Suzette - Suzette - jej niebieskie od trucizny usta. Kanclerz Tzetzas skazany na kolumnę. Wiwatujący tym razem tłum, i kanclerz plujący pod nogi kata, kiedy gubernator Raj Whitehall podnosi ramię. Raj prowadzący wojska, za wrogów mający żołnierzy Rządu Cywilnego i ludzi w strojach domów magnackich. Kolejne bitwy, kalejdoskop.

Ostatnia scena. Raj Whitehall słaniający się obok strzemięcia mężczyzny, którego znał aż za dobrze z raportów wywiadu, z rękami przywiązany do siodła. Tewfik, amir Armii Południa, jednooki, najstarszy syn Osadnika. Nie jego spadkobierca, w końcu nie mógłby nim być nikt okaleczony, lecz z pewnością jego reprezentant na polu bitwy, choć również nie za sprawą swej krwi. Znajdowali się w płonącej Wschodniej Rezydencji, otoczeni przez rzucone na stosy martwe ciała. Na jego oczach padł pod ogniem plutonu egzekucyjnego Kolonistów kolejny rząd żołnierzy, a siwobrody imam modlił się z Koranu, kiedy wprowadzano następnych. Inni, w większości kobiety i dzieci, słaniali się zakuci w łańcuchy pod batami jadących wierzchem strażników. Wozy z solą toczyły się ulicami.

- Posypimy to solą - powiedział Tewfik, patrząc na zakrwawioną twarz swego więźnia. - Ale nie martw się. Gorące żelazo sprawi, że nie będziesz tego widział.

\* \* \*

- Nie - powiedział Raj. W ustach czuł smak żelaza i miedzi, smak własnego strachu, pachniał nim. Suzette umarła w cierpieniach, zobaczył w jej oczach ślepy, zwierzęcy strach, nic ludzkiego. - Nie. Ale mimo tego nie pozwolę ci zabić Thoma. Mężczyzna, który nie staje przy swoich przyjaciółach, nie jest mężczyzną. Jeśli ugnę się teraz, stanę się niewolnikiem. Będę służył Duchowi Człowieka, ale niech mnie szlag, jeśli stanę się niewolnikiem choćby samego boga.

»I znowu doskonale.« Uznanie dla jego oburzenia. »Dobry generał musi wiedzieć, co to lojalność, zanim będzie jej wymagał. Poplanichowi nie stanie się krzywda. Mogę utrzymać jego ciało niezmięzione i zapewnić bardziej niż wystarczającą stymulację mentalną.«

Czy to miał być jakiś dowcip?

»Możesz od czasu do czasu wracać tu i odwiedzać go, kiedy nie będzie to wzbudzać podejrzeń.«

Zawahał się.

»Pamiętaj, że jeśli teraz wyjdzie, umrze. I nie tylko on.«

- Raj - Whitehall podniósł głowę. Głos Thoma. Niższy mężczyzna spojrzał na przyjaciela. - Raj,

wszystko w porządku... pokazuje mi najwspanialsze... najwspanialsze rzeczy...

Zastygł ponownie, ale tym razem na jego twarzy malował się zachwyt, a nie strach. Raj spróbował postąpić krok naprzód i odkrył, że może się poruszać. Dotknął palcami skóry przyjaciela. Stawała się chłodniejsza, jakby gumista pod palcami. W oczach Thoma widać było nieznaczne migotanie, wyglądające jak złudzenie, które dostrzega się kątem oka, a Raj zobaczył, jak jego źrenice rozszerzają się i zwężają, jakby Thom wodził wzrokiem po krajobrazie z wieloma plamami światła i cienia.

- Do widzenia - powiedział. I zasalutował z jakiegoś powodu, którego nie potrafił wyjaśnić nawet sobie.

Korytarz z kośćmi wyglądał dokładnie tak, jak kiedy był w nim ostatnio, tyle że drzwi ponad podłogą były otwarte. Nie zaoferowano mu żadnej pomocy, widocznie Centrum stwierdziło, że sam sobie poradzi w świecie na zewnątrz.

Raj Whitehall skinął głową i zatrzymał się, by przeładować rewolwer, zanim podskoczył, by uchwycić się krawędzi. Na szczęście niewiele osób wiedziało, że poszli na wyprawę razem z Thomem. Nie powiedział o tym nawet Suzette, która coraz częściej napomykała o tym, jak niebezpiecznie było znać Poplanicha.

Nie aż tak niebezpiecznie, pomyślał Raj, uśmiechając się ponuro w ciemność i podciągając do krawędzi. Wydaje się, że niebezpieczniej jest znać mnie.



## Rozdział trzeci

- Kapitan, dostojny messer Raj Ammenda Halgern da Luis Whitehall, Whitehall z Hillchapel, dziedzic opiekun parafii Smythe w hrabstwie Descott, strażnik najjaśniejszego wicegubernatora, stawia się gotów do służby!

Raj skrzywił się, gdy herold ryknął ogłuszająco w jego lewe ucho. Używał megafonu, który pozostawał bardzo użyteczny, pomimo tego, że wykonano go z cienkiej, srebrnej blachy z dekoracjami w niklu i małymi diamentami. Rozpychający się tłum petentów znieruchomiał na chwilę, a ludzie odwracali głowy w kierunku głównych drzwi, ciągle napierając na linię żandarmów w strojach galowych. Karabiny, które trzymali żandarmi, były bogato zdobione, ale załadowane i bezbłędnie działające. Raj domyślał się, że to samo można było powiedzieć o całej Sali Przyjęć Gubernatora.

Była długa na dwieście metrów i wysoka na pięćdziesiąt. Sufit pokrywała mozaika, przedstawiająca spiralną galaktykę gwiazd na tle nieba w kolorze indygo, z górującą nad nią głową i ramionami Ducha Człowieka. Tak samo jak w świątyni, również tutaj czuło się nieprzyjemne mrowienie między łopatkami, jakby te wielkie, ciemne oczy śledziły cię i zaglądały w twoją duszę. Podłogę pokryto polerowanym marmurem. W okna wstawiono witraże, przedstawiające głównie sceny ze świętych ksiąg - komputery, startujące statki kosmiczne - albo makabryczne obrazy męczeństwa, czy też tryumfy gubernatorów. Ryk trąbek, po którym mechaniczni ludzie poustawiani wzdłuż ścian zmienili pozycję "spocznij" na pełne napięcia "baczość", uderzając repliki laserów lewymi dłońmi przy prezentowaniu broni. Rozległ się syk i szum skompresowanego powietrza w maszynerii automatonów, a łukowate lampy na suficie i ścianach zamigotały i zapaliły się, zalewając pomieszczenie niebieskim, aktywnym światłem i syjąc iskrami. Tłum jęknął, kłaniając się zgodnie przed wspaniałą technologią starożytnych.

Raj zaczął iść nieco szybciej, a ostrogi ze stopu złota, które miał przytwierdzone do butów, zaczęły dzwonić o podłogę. Ubrany był odpowiednio do okazji i, jak zawsze, czuł się jak tancerka w rewii na ulicy Carcosa. Miał na sobie przylegające do ciała, karmazynowe spodnie ze złotymi lampasami wzdłuż szwów i klapą zasłaniającą krocze, wysadzany klejnotami pas podtrzymujący szablę i bogato zdobioną kaburę na pistolet. Łańcuszki, na których wisiała szabla, były tak długie, że musiał trzymać pochwę w lewej dłoni, by nie ciągnąć jej po ziemi. Niebieska kurtka opinała jego ramiona tak ciasno, że czuł przez nią pagony, a długie poły sięgały niemal do kostek.

Krzesło stało dokładnie na środku podkowiastej tylnej ściany sali, samotne i dostojne u szczytu

półkolistych schodów z marmuru. Wicegubernator Barholm siedział na tym samym urzędowym krześle co zwykle, na jednym z niższych stopni. Po obu stronach siedzieli szefowie departamentów za swymi bogato zdobionymi biurkami. Ceremonialne ekrany na każdym z nich również miały znaczenie symboliczne, a prawdziwe dokumenty podawał i przynosił tłum gońców i pomocników, unoszących się w powietrzu za ich plecami.

Raj przyklęknął na jedno kolano, głęboko się kłaniając. Było to konieczne, biorąc pod uwagę status Barholma i jego własny. Długa szata wicegubernatora była tak ciężka od haftów i klejnotów, że prawdopodobnie stanowiła dla Barholma takie samo utrapienie jak mundur dla Raja, nawet w tak chłodny wiosenny dzień. Twarz wicegubernatora była jednak równie obojętna jak twarze stojących za nim strażników. Albo urzędników. To przecież również była część rytuału władzy.

- Powstań, Whitehallu z Hillchapel - powiedział Barholm. Wyglądał na człowieka ze wzgórz Descott bardziej jeszcze niż sam Raj, brakowało mu bowiem wzrostu młodzieńca. Był krępy, silnie umięśnionym mężczyzną o torsie jak cegła, który poruszał się z pełną napięcia szybkością, nawet pomimo prowadzonego od dawna siedzącego trybu życia. Ale akcent miał ze Wschodniej Rezydencji, bezbłędny, jakby był nauczycielem języka.

Raj wstał, zsalutował energicznie wolną ręką i rozpiął hełm z pióropuszem. Kiedy miał go na głowie, nie łaskotał go w nos tak, jak teraz pod pachą. Stał w pozycji "spocznij" za Hemltem Stansonem, gwardzistą, który przewyższał go starszeństwem. Ich miejsce było dokładnie za wicegubernatorem. Stali z dłońmi opartymi na rękojeściach pistoletów. Nie, żeby oczekiwali kłopotów, bo przecież doskonale wyszkoleni szambelanowie przeszukiwali dokładnie każdego wchodzącego do pałacu. Oprócz tego były tu dwa tuziny bardzo dobrze wyszkolonych strzelców z karabinami z lunetą, ukrytych za częściami ozdobnej mozaiki. Gwardzistów nie wzywano przy każdym zaciągu do wojska, ale ich status okazywał się często znacznie wyższy niż jakiegokolwiek stopnia wojskowego. Wszyscy gwardziści byli dobrze urodzeni, mieli rozległe koneksje. Byli wojownikami, którym można było powierzyć każde zadanie.

»Obaj z wicegubernatorem Barholmem mamy tę samą potrzebę« zauważyło Centrum, »zapytać któregoś dnia o znaczenie terminu "bucellari"».«

Raj prawie podskoczył. Pod nosem powiedział - Ostrożnie, rozpraszasz mnie. - Zmusił swój umysł do akceptacji. Pełen skupienia podziw dobry był w kościele, ale on miał w tym świecie zadanie do wykonania, to do tego wybrał go anioł. Zachowuj się, jakby nic się nie działo, powiedział do siebie. Zachowuj się tak, a sam uwierzysz w to sercem i umysłem.

Cisza, kiedy herold wprowadzał pierwszych gości. Było ich troje, dwóch mężczyzn i kobieta, ubrani w kosztowne, lecz niemodne stroje z prowincji. Nigdy też nie pozwolili sobie na luksus

zatrudnienia instruktora, który pomógłby im naprawdę zgłębić zawiłości dworskiego rytuału. Zaczęli iść w kierunku schodów głęboko pochyleni w ukłonach, lecz szybko zatrzymał ich w miejscu gniewny syk herolda. Tak podchodziło się tylko do samego gubernatora. Raj zamrugał, obserwując niewielkie zmiany zachodzące na twarzy Barholma - zabawne, nigdy nie byłem w tym aż taki dobry - i stwierdził, że prowincjusze nie zrobili nic złego, a herold niczego dobrego. Wiele czasu upłynęło, od kiedy do Krzesła dostał się ktoś, kto nie śnił o tym we dnie i w nocy. Był to jeden z problemów Rządu Cywilnego. Prawdopodobnie byłoby lepiej, gdyby to stanowisko objął ktoś taki jak Thom Poplanich.

Oczywiście Thom był dżentelmenem i naukowcem. Nie utrzymałby się nawet przez tydzień.

- Messer Benedict Cromar Buthelesi, reprezentujący wszelką szlachtę - ogłosił herold obojętnym głosem. Ktoś musiał dać zbyt małą łapówkę.

- Wasza Dostojność wicegubernatorze - zaczął przewodniczący delegacji. Raj rozpoznał akcent, hrabstwo Gaur, w połowie biegu rzeki Hemmar. - Reprezentujemy Związek Śluz hrabstwa Gaur, a także wydobywców węgla z Siedmiu Wzgórz - z każdym słowem głos stawał się coraz pewniejszy, choć dłonie jego właściciela nerwowo ścisnęły plik dokumentów. - Jak Wasza Dostojność wie, służą teraz przebudowywane, by mogły przez nie przepływać statki parowe. - Było ich rzeczywiście coraz więcej, w każdym razie w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat.

Większość urzędników nawet nie starała się ukryć znużenia. Człowiek wykształcony poznawał prace nie-Upadłych, a nie niezdarne, zatłuszczone wynalazki, które uchodziły za technologię w tych zdegenerowanych czasach. Tylko dwie osoby słuchały uważnie: kanclerz Tzetzas i Barholm. Ten ostatni, pochodząc z Descott, był praktyczny aż do przesady i interesował się wszystkim, co mogło przynieść państwu dodatkowe wpływy z podatków.

- Tak, tak - powiedział Barholm, machając dłonią, by skłonić mężczyznę do pominięcia wstępu. - Widziałem plany.

Człowiek uparcie kontynuował, najwidoczniej zmagając się z wiele razy ćwiczoną mową. Był zbyt spięty, by zrobić cokolwiek innego, nawet kiedy w równaniu pojawiła się nowa wartość.

- Wasza Dostojność... ahm. - Spojrzenie Barholma zmusiło go w końcu do podsumowania. - To znaczy, Jego Wysokość gubernator Yernier, wiceregent Ducha Człowieka Gwiazd, jesteśmy mu wierni w hrabstwie Gaur, mój panie... to znaczy, państwo wypłaciło z góry część pieniędzy na renowację... ale materiały dostaliśmy tak późno, mój panie! Kiedy służby nie działają, my... nie mamy dopływu gotówki, mój panie, a wydatki... no i, cóż, musimy transportować węgiel poniżej wodospadów na grzbietach zwierząt. Wasza Dostojność, błagamy o ulgi w spłacie odsetek albo w

podatkach.

Barholm zmarszczył brwi i skinął na doradcę, cały czas wybijając rytm na poręczy swego fotela. Twarz Tzetasa pozostała równie spokojna jak mozaiki awatara, ale jego palce szybko przeszukiwały pudełko maleńkich fiszek.

Ciekawe, co się za tym kryje, pomyślał mimowolnie Raj. W "Taktyce i strategii" Porifro Rifery cały rozdział poświęcono temu, jak istotny jest transport w czasie dużych operacji, a przecież wodospady Gaur były kluczowym punktem na rzece między Wschodnią Rezydencją a końcem żeglownego odcinka rzeki u podnóżu gór Oxhead. Ciekawe, jak się to skończy.

»Obserwuj.«

\* \* \*

W powietrzu przed nim pojawił się prostokąt. Po chwili rozdzielił się, a część, która znalazła się po lewej stronie, zamigotała.

»Działanie wicegubernatora.«

Wodospady i kanał wokół nich. Z barek wyładowywano beczki cementu, stopy nowiutkich kilofów i skrzynki materiałów wybuchowych. Holownik z kołem napędowym z boku ciągnął cały pociąg barek do jednego z dorzeczy, którego brzegi lśniły świeżo ciętymi blokami aszlaru. Na barki ładowano bale skór, kotły smoły, zboże, suszone owoce, ładownie innych wypełniały góry lśniącego węgla. Miasto za nabrzeżem wrzało krzątaniem.

»Odniesienie do kanclerza.«

Ta sama scena, lecz rozgrywająca się rok później. Holownik miał na burcie wagę - znak rodziny Tzetasa. Miały go również wozy, które dostarczały węgiel z kopalń na przystań. Ubrojeni strażnicy, ubrani w mundury w kanclerskich barwach, wprowadzali na pokład grupę ludzi. Byli oni skuci łańcuchem i mieli na policzkach czarny znak dłużników. Raj rozpoznał członków delegacji, ubranych w więzienne tuniki ze zgrzebnego lnu zamiast w dostatnie szaty, które mieli na sobie teraz. Za nimi szły ich rodziny i inni, prawdopodobnie osoby na ich utrzymaniu. Przez chwilę trwała szamotanina, kiedy strażnicy odłączali od łańcucha czternastoletnią dziewczynkę idącą za Benedictem i zaczęli ciągnąć ją w kierunku rufy barki, gdzie zdarli jej przez głowę tunikę. Dziewczyna krzyknęła i zaczęła się szarpać, podobnie jak Benedict, dopóki w bok jego głowy nie uderzyła pałka. Wkoło rozległ się trzask, jakby kamień uderzył w melon.

- Cóż, opóźnienie to z pewnością poważna... - zaczął Barholm. Posłaniec Tzetasa podszedł do krzesła wicegubernatora i pochylił się, by wyszeptać coś w jego ucho. Wyraz twarzy Barholma zmienił się. Mężczyzna patrzył teraz obojętnie i twardo. - ... poważna sprawa - mówił dalej ostrzejszym głosem. - Od tych, którym państwo zdecydowało się pomóc, oczekiwałem czegoś lepszego niż wymówek! Skierujcie swą petycję do kanclerza Tzetasa, może uda się coś zrobić.

Stojący obok Raja Stanson szepnął sotto voce. Akustyka pomieszczenia gwarantowała bezpieczeństwo.

- Tak, pogadajcie z Tzetasem i jesteście załatwieni, jak małpa załatwiła żonę młynarza.

Raj odchrząknął z naganą, byli ludzie, o których nigdy nie można było bezpiecznie rozmawiać.

- Ależ panie! - jęknął mężczyzna, upuszczając plik dokumentów. - On... szanowny kanclerz... on jest właścicielem firm, które opóźniają dostawy materiałów do budowy!

- Stawiasz zarzuty mojemu kanclerzowi? A może kwestionujesz decyzje moje i mojego wuja?

- Nie, Wasza Dostojność - wyszeptał mężczyzna. Barholm uśmiechnął się jak pies bojowy w sklepie rzeźnika.

- No to żegnam. Jak sam wspomniałeś, kanclerz Tzetasa bardzo troszczy się o rozbudowę państwa i rozprzestrzenianie myśli Ducha Człowieka. Może zaciągniesz pożyczkę.

»Obserwuj.«

... a bankier w mycce podawał kolejne umowy w maleńkim biurze bogato zdobionym kością słoniową z Zanj. Z obrzydzeniem patrzył, jak Tzetasa je przegląda. Światło gazowych latarni migotało na bogatych pieczęciach.

- Mając to, jako zabezpieczenie, jestem pewien, że kolejne pożyczki zaciągane przez Jego Dostojność będą, hm, o połowę niżej oprocentowane. - Chwila ciszy.

- Chyba, Joshue, że uważasz za swój obowiązek wykupienie przymusowych obligacji wojennych, tak jak reszta twoich ziomków? Masz jak w banku, że tam na nich nie zarobisz ani grosza, a biorąc pod uwagę stosunek Kościoła do niewierzących...

Stanson stuknął go delikatnie stopą, dbając, by nikt nie zauważył.

- Co ci tak migocze przed oczami? - zapytał.

Zamknij się, pomyślał Raj. Wyszepiał za to - Cicho.

Gwardzista zadrżał. Raj znał myśli Stansona - jak to on powiedział? - że Raj Whitehall jest jak kolec w dupie, i że minęło za mało czasu, od kiedy zszedł ze wzgórz Descott. I myślał, że jest mydłkiem, który sądzi, że pochodzenie zwalnia go z dyscypliny. Nie, żeby było bezpiecznie mówić coś takiego, Stanson zabił czterech ludzi w pojedynkach, a Raj miał lepsze rzeczy do roboty, niż uczyć się, jak się pojedynkować na pistolety. Ale z szablą byłoby interesująco...

Kolejni petenci narzekali na poborców podatków w swoim okręgu. Wszyscy wiedzieli, że są oni bezwzględni - na tym zarabiali, żyli z różnicy między tym, co musieli wysłać rządowi, a tym, co zbierali od ludzi - ale najwyraźniej teraz zabierali nie tylko pieniądze i towary, ale także środki produkcji.

»Obserwuj.«

\* \* \*

Chłop stał między brzdami i patrzył z otwartymi ustami, jak poborcy oddalają się z wołami i pługiem. Typowy chłop z nizin w lnianej tunice z surowego materiału, z brodą sięgającą do piersi i bez połowy zębów. Na oko w średnim wieku, choć miał około trzydziestki, z głową owiniętą szmatami dla ochrony przed deszczem i ze szmatami zamiast butów. Zwierzęta ryczały ze strachu, wywracając wielkimi, brązowymi oczami. Musiało to być dość zamożne gospodarstwo, jeśli stać je było na taki zaprzęg. Słyszając ryk zwierząt, chłop otrząsnął się i poszedł chwiejnie naprzód.

- Pszepana! - krzyknął. - Pszepana, poczkajcie. Mom ja jęczmień, coby go dać. Ni zabiroycie mi...

Przywódca poborców siedział na wspaniałym alzaczyku, co najmniej piętnaście dłoni w kłębie. Na jego pysku nie było stalowego kagańca. Mężczyzna był uzbrojony, miał pistolet i strzelbę śrutową, ale nie sięgnął po broń. Pies odwrócił się, obnażając długie na palec kły, a z szerokiej piersi rozległo się głucho warczenie. Chłop zatrzymał się daleko poza zasięgiem potężnych szczęk i stał z pięściami zaciśniętymi w bezsilnej złości. Jeździec podjechał bliżej. Łapy psa grzęzły głęboko w rozmięklej, zaoranej ziemi. Potem wychylił się w siodle i trzasnął wieśniaka szpicrutą w twarz.

- No to powiedz swemu panu, żeby płacił podatki, buraku! Teraz woły, a w przyszłym roku twoje bękarty. Dwadzieścia sztuk srebra, dwa buszle zboża, albo belę najlepszego tytoniu. Tyle bierzemy z tej działki.

Raj zacisnął usta.

»Działanie wicegubernatora.«

\* \* \*

Poborca podatków o twarzy zalanej śluzem i łzami, zdejmowany z trójkąta, na którym go chłostano. Ludzie wyładowujący z wozów porcelanę i srebra przed małym dworkiem. Krzątająca się między nimi szlachcianka, wydająca ostrym głosem polecenia.

- Uważać, gdzie chodzicie! I tak połowę już potłukli albo rozkradli!

Ruch: patrzący w górę wieśniak, z pełnym niedowierzania, bezzębnym uśmiechem na twarzy, rzucający przewieszoną przez ramię linę i biegnący w stronę żwirowej drogi, po której żandarmi prowadzili jego zaprzęg. Wcześniej ciągnął pług z bezkształtną, owiniętą w szmaty żoną i trzymającym narzędzie synem.

»Działanie kanclerza.«

\* \* \*

Nic oprócz twarzy wieśniaka, zgiętego u boku swojej żony, oboje szarpiący liny. Oddechy mieli ciężkie i zmęczone, a stopy wydawały mokry odgłos za każdym razem, kiedy uwalniały się z błota, przenosząc dwudziestofuntowe grudy przy każdym kroku.

\* \* \*

Barholm wykonał nieznaczny gest, a herold oznajmił - Zanieście swą prośbę do szacownego kanclerza, dobrzy panowie.

Następne dwie petycje dotyczyły znaczących ulepszeń. Pierwsza mówiła o ciągniętej przez woły kolei, mającej dostarczać marmur na wybrzeże, wzdłuż półwyspu Kobolassa, a druga o zbudowaniu zbiornika wodnego i systemu kanałów na skraju południowej pustyni, u podnóży gór Oxhead. Obie rozpatrzono pozytywnie i wysłano do ministra Nakazów Urzędowych i Zgromadzeń. Prawdziwe działanie, pomyślał Raj ironicznie. Cóż, nawet Tzetzas nie może rozkraść wszystkiego.

- Wasza Dostojność.

Człowiek uklonił się rzeczowo, po żołniersku. Ubrany był w tradycyjny dworski strój ziemianina,

a spod gładkiej, błękitnej szaty wyzierały czubki czystych, lecz znoszonych butów do jazdy. Na jego pasie, w miejscu, gdzie zwykle wisiała kabura pistoletu i pochwa szabli, teraz widać było wyświecone smugi. Szczupła, orla twarz, czarne oczy ponad wysokimi policzkami i nos tak haczykowany, że mógł należeć albo do Kolonisty, albo Descotczyka.

Herold oznajmił - Messer Mustaf Agrood Naxim, dziedziczny opiekun Głębokiej Fontanny, hrabstwo Sna Barbra.

Raj nastawił uszu. To było w górnym biegu rzeki Drangosh, daleko na południowym wschodzie, niecałe sto kilometrów od Sandoralu. Na granicy z terytoriami kontrolowanymi przez Kolonię i, rzeczywiście, mężczyzna wyglądał na pogranicznika.

- Mój panie - zaczął Naxim energicznie. - Niech będzie z tobą błogosławieństwo Ducha Człowieka Gwiazd. - Ludzie z pogranicza byli bardzo ortodoksyjni. - Twoja mądrość - i mądrość Jego Wysokości, rzecz jasna - jest naszą tarczą. A jednak Wasza Dostojność nie może być wszędzie i jest moją powinnością donieść ci, że twoi słudzy popełnili na granicach mego hrabstwa karygodne zaniedbania. W ciągu ostatniego roku tylko na moich ziemiach dwie wioski...

- Bandyci to twoje zmartwienie, człowieku - powiedział niecierpliwie Barholm.

Naxim opuścił wzrok i mówił dalej.

- Mój panie, to nie bandyci, to regularne wojska Kolonii i słudzy szlachcica Kolonii, wykonujący rozkazy. Podczas ostatniego najazdu mieli ze sobą artylerię! Mój panie, palą, zabijają i zabierają wolnych ludzi jako niewolników. Zasypują kanały i wycinają sady, by pochłonęła je pustynia! Ci chłopcy są murem Waszej Dostojności, chroniącym przed muzułmanami, a...

- A ciebie upoważniono do fortyfikowania swych włości i powoływania milicji dokładnie w takich okolicznościach - powiedział Barholm. - Rząd Cywilny przesyła fundusze sięgające... ile?

Minister Finansów odwrócił się, by skonsultować się ze swymi doradcami. Głos Tzetasa rozległ się łagodnie niczym dźwięk wody płynącej w dworskim ogrodzie.

- Sięgające... jeśli chodzi o samo tylko hrabstwo Sną Barbra, Wasza Dostojność... pięćdziesięciu tysięcy srebrnych kredytów rocznie. To podatek gruntowy. Dodając do tego straty w podymnym, podatku wyborczym, monopolu solnym, podatku akcyzowym, podatku wodnym, zakwaterowaniu i podatku na rzecz garnizonów, dziesięć... i tak dalej, panie.

- Cóż - Barholm rozparł się w fotelu i zaczął postukiwać palcami.

Naxim zamknął oczy, a jego usta przez chwilę poruszały się w modlitwie.

- Wasza Dostojność, Sna Barbra i inne hrabstwa graniczne finansują z własnych funduszy



dziesięć batalionów uzbrojonej kawalerii, system łączności...

- A mimo to przychodzisz tu jęczeć o pomoc, kiedy tylko pojawiają się najmniejsze problemy.

- Panie, damy sobie radę z bandytami, Beduinami, a nawet z amirami z terenów przygranicznych, nawet z fanatykami ghazi, którzy przybywają z całej Kolonii, by nas nękać... ale nie poradzimy sobie z regularną armią Osadnika!

- Przekaż swą petycję kanclerzowi - powiedział zimno Barholm. - Jeśli okaże się konieczne wysłanie większej ilości regularnych oddziałów na południowy wschód, trzeba będzie rozważyć wasze powinności podatkowe. Nasza pomoc potrzebna jest w wielu miejscach - Naxim ukłonił się w milczeniu.

\* \* \*

»Obserwuj.«

Naxim zatrzymał psa, o sierści w kolorze piasku i o pysku zamkniętym w kagańcu, na skraju urwiska, z którego roztaczał się dobry widok na szeroką, wysuszoną dolinę. Miał za sobą prawie tysiąc żołnierzy. Nie była to regularna armia, lecz uzbrojeni byli dobrze i wyglądali na równie twarde jak Naxim, a jechali na takich samych długonogich kundlach jak szlachcic. Wielu nosiło turbany i zasłaniało twarze woalami, większość miała na sobie luźne szaty, a na piersi każdego lśnił medalion z Gwiazdą. U boku Naxima jechał hierarcha kapłan Gwiazdy. Za nimi, daleko na horyzoncie widać było ośnieżone szczyty Oxheadów.

- Lordzie Naximie - mówił kapłan, wskazując w dół, na kamieniste zbocze. - Nie możesz przepuścić niewiernych! - zza jego pleców rozległy się pomruki ludzi, brzęk broni i pisk wierzchowców.

Pod nimi przechodziła armia, armia w szkarłacie i zieleni, a na jej czele niesiono sztandar z półksiężycem islamu. Równe szeregi psich dragonów, nad głowami których powiewały sztandary poszczególnych regimentów, piechota w zwartych kolumnach skupionych wokół ciągniętych przez woły wozów zaopatrzenia. Wokół przemykali kurierzy na lekkich i zgrabnych dobermanach. Przemknęła też galopem ciągnięta przez charty bateria szybkostrzelnych dział.

- Nie mogę ich zatrzymać - powiedział Naxim, miarowo uderzając dłonią w udo. - Idzie ich tu dwadzieścia tysięcy.

- Mógłbyś ich nękać, zasadzać się na wozy zaopatrzeniowe...

- Robiliśmy to już wcześniej - warknął Naxim. Splunął na piaszczystą ziemię. - Kiedy mieliśmy wsparcie regularnej armii. A gdzie ona jest teraz? Pijana w koszarach, wysikująca nasze podatki! Mamy zostawić nasze domy, by je spalono, i uciekać na wzgórza, jeśli nic nam z tego nie przyjdzie?

Z szeregów uzbrojonych mężczyzn dał się słyszeć pomruk aprobaty. Kapłan pochylił głowę i zapłakał, trzymając mocno swój medalion.

\* \* \*

- Ambasadorowie Wolnego Kantonu Halvardi!

Barholm kiwnął palcem. Raj zbliżył się do niego, szepcząc - Panie, to górskie plemię ze wschodu kontroluje nasze najlepsze trasy do Skinnerów na północnych stepach. I najlepsze trasy Skinnerów na południe, południowy zachód do półwyspu i południowy wschód do Kolonii.

Wicegubernator skinął głową i uśmiechnął się przyjaźnie do około tuzina stojących przed nim barbarzyńców. Nawet z odległości dwunastu metrów można się było zorientować, że nablyszczyli sobie włosy masłem i że nigdy ich nie myli. W większości byli blondynami, a obie płcie nosiły długie warkocze opadające aż do pasa. Nosili kurtki i spodnie z krowich skór ozdobionych rogami, piórami i paciorkami, i mieli ze sobą dość broni tnącej, by uzbroić kompanię, choć przed wejściem do sali proszono ich, by zostawili kusze i halabardy. Dwóch niosło kosz wypełniony podarkami: kręgami żółtego sera, rzeźbami, cedrowymi beczkami piwa i wyjątkowo pięknymi kocimi skórkami, śnieżnobiałymi i długimi na prawie metr.

Przed delegację wysunął się kapłan, machając krzyżem i ceremonialną drewnianą klatką, w której siedział maleńki, wysadzany klejnotami ptaszek. Śpiewał dziwaczne “kuku-kuku”, na dźwięk którego kilka dłoni sięgnęło do amuletów. Najwyższy hierarcha kapłan Gwiazdy zerkał na to wszystko nerwowo, lecz tradycja i traktaty utrzymywały cudzoziemców nie mieszkających na ziemiach Rządu Cywilnego poza jurysdykcją kościoła. Wynajęty dyplomata szedł tuż za odzianym w rogaty hełm wodzem Halvardi, a będąc obywatelem, na wszelki wypadek trzymał mocno medalion z Gwiazdą, by pokazać, że nie ma nic wspólnego z przybyszami.

Wódz Halvardi uklonił się lekko, podniósł obie ręce i zaczął śpiewać. Wynajęty dyplomata tłumaczył linijkę po linijce ze zvetchieckiego, języka gór. Rajowi wydał się on nieznośnie monotony, jakby w nieskończoność powtarzać “hburni - burni – hrji”.

hburni - burni - hrji

- ... Pogromca lizsauroidów Frenkel, wódz domów Halvardi...

hburni - burni - hrji

- ... pozdrawia wielkiego wodza bogatych domów...

Na marginesie - Taki mają nieokrzesany sposób zwracania się do Waszej Dostojności...

hburni - burni - hrji.

- ... dziękuje mu za jego stały... - spojrział na jednego z Halvardi, który najwyraźniej znał cywilizowany sponglijski, a w każdym razie rozumiał go na tyle, by wiedzieć, czy tłumaczenie jest dokładne - ... trybut za obronę przełęcz przed bandami Skinnerów...

hburni - burni - hrji

- ... a także za dodatkowe łapówki, by pozwalał Skinnerom palić i grabić terytoria Kolonistów wokół jeziora Quofur...

hburni - burni - hrji

- ... co też czynili. Jednak...

hburni - burni - hrji

- ... Jamal, Osadnik Kolonii...

Wszyscy Halvardi splunęli na dźwięk tego imienia, a na ten widok heroldzi skrzywili się z obrzydzeniem.

- ... poprzysiągł wysłać w góry armię...

hburni - burni - hrji

- ... i zabić albo wykastrować każdego zdolnego do walki Halvardi...

hburni - burni - hrji

- ... i zająć przełęcz dla islamu. Co gorsza, wysła...

hburni - burni - hrji

- ... z tym zadaniem swego jednookiego generała Tewfika.

hburni - burni - hrji

- A w takim razie...

hburni - burni - hrji

- ... lepiej jakoś sami sobie radźcie.

Barholm zmarszczył brwi.

- Ty - powiedział, zwracając się do dyplomaty. - Wolno ci prowadzić negocjacje?

- Tak, Wasza Dostojność, pod warunkiem, że wódz i jego rada zgodzą się na ustalenia i zawrą porozumienie - odrzekł. Skrzywił się. - Szaman musi też rozciąć brzuch owcy - wykonał gest, który znał każdy na dworze, pokazując mocno ściśnięte kciuk i dwa palce: przekupić go.

- Zabierzcie ich do Ministra Wojny - powiedział zdecydowanie Barholm. - To poważna sprawa - gestem wydał polecenie heroldowi.

- Audiencja dobiegła końca! - ogłosił megafon. - Cześć Jego Dostojności, wicegubernatorowi Barholmowi!

\* \* \*

- Usiądźcie, panowie. Moja droga - dodał Barholm, zwracając się do swej żony, Anny.

Sala konferencyjna została zbudowana w czasach Negrina III, trzysta lat wcześniej. Ściany były z bladego kamienia, na którym wymalowano trzciny i unoszące się w powietrzu dactosauroidy i ptaki. Freski były odważnie pozbawione treści religijnych, chyba żeby policzyć pojedynczą gwiazdkę w jednym z rogów. Stół konferencyjny był reliktem z czasów sprzed Upadku, był długi, owalny i wykonany z tworzywa, którego żadna znana współczesnemu człowiekowi siła nie mogła nawet zadrapać. Raj usiadł w końcu stołu najbardziej oddalonym od wicegubernatora i z uśmiechem skinął głową Annie. Odpowiedziała mu uśmiechem, jak zwykle chłodnym i enigmatycznym. Anna, pani Clerett była wysoka, o cal wyższa od własnego męża i sądząc po figurze, nadal trenowała jako tancerka. Miała ponad trzydzieści lat, lecz jej wygląd tego nie zdradzał. Długie, ciemnorude, splecione srebrem w warkocz włosy opadały jej do pasa. Miała na sobie szerokie, plisowane spodnie i tunikę z bordowego jedwabiu, która podkreślała zieleń jej oczu.

Na pierwszy rzut oka widać było, w jaki sposób usidliła młodszego od siebie Barholma. Ale zrozumienie, jak udało się jej go utrzymać, wymagało bliższej znajomości. Przeszła wszystkie szczeble, od kurtyzany, przez oficjalną kochankę, aż do poślubionej w majestacie Kościoła żony, pomimo rozlegających się wszędzie krzyków o skandalu i politycznej niepewności. Raj pamiętał, jak stała na balkonie Plaza podczas zamieszek, spokojnie patrząc na zwrócone w górę twarze. Stał obok niej, nie wiedząc, czy powinien zmusić ją do wejścia do środka. A wtedy ona podniosła kieliszek do tłumu i roześmiała się, podczas gdy pochodnie i cegły uderzały tuż obok, a zagubione kule odbijały się od kamiennych ornamentów.

Uśmiechnęła się wtedy do niego, odwracając się, by powrócić do wątpliwie bezpiecznego pałacu. Uśmiechnęła się i powiedziała - Zawsze najlepiej mi szło przed entuzjastyczną publicznością - roześmiała się, widząc na jego twarzy zdumienie... Była bliską przyjaciółką żony Raja, Suzette, która nadal była jedyną szlachcianką chcącą się z nią widywać. Raj podejrzewał, że towarzyska blokada zostanie złamana z większą jeszcze bezwzględnością niż ta, która charakteryzowała matrony towarzystwa, kiedy tylko Barholm zajmie Krzesło swego wuja. Istniały bronie ostrzejsze niż zniewaga, a Anna nie zawaha się ich użyć.

- Pani Anno - szepnął. Okazja była półoficjalna. Powitanie zaczynało się od najmłodszych do najstarszych obecnych. Potem witało się innych, mężczyzn dysponujących prawdziwą władzą. Generał Klostermann, dowódca Sił Wschodnich, drugi w hierarchii dowódca połowy. Najważniejszy był rzecz jasna dowódca Sił Rejonu Rezydencji. To dlatego wicegubernator trzymał tę funkcję pewnie we własnych rękach. Kanclerz Tzetas - na wpół przymknięte oczy i doskonała uprzejmość. Kapitan Stanson - energiczny ukłon. Delegat Horanz, wynajęty dyplomata Halvardi.

Pojawili się bezszelestni słudzy, ustawili na stole tace z winem, z kawe, talerze z przekąskami, i zniknęli tak dyskretnie, jak potrafi tylko służba pałacowa. Jeden z adiutantów przyniósł wielką mapę plastyczną i rozłożył ją na stole. Był to bezcenny skarb Rządu Cywilnego, z którym równać się mogły tylko mapy Kolonii i niczyje inne.

- Popatrzcie, proszę - powiedział gorzko generał Klostermann, kiedy Barholm skinął głową otwierając naradę. Był w średnim wieku, a jego skórę przyciemniły mroźne zimy i gorące lata służby. Głębokie zmarszczki rzeźbiły skórę wokół jego skośnych, migdałowych oczu, patrzących teraz za okno, na dziedziniec, na jego fontanny i kwietniki. - Tewfik jest bliżej Halvardi niż ja, a poza tym ma tereny rolnicze wokół jeziora Quofur jako bazę wypadową. On ma skąd wziąć posiłki, a my nie, taka jest prawda. Gdybyśmy troszczyli się wcześniej o stan dróg...

Tzetas zmarszczył brwi.

- Generale - powiedział cicho. - Zasoby Rządu Cywilnego są ograniczone, choć życzyłoby się inaczej. Pytanie, czy dostojny generał wolałby mieć drogi zamiast żołdu dla swych żołnierzy?

- I tak za późno na takie rozważania - powiedział Klostermann. - Mój panie - zwrócił się do Barholma. - Wasza Dostojność, może moglibyśmy wysłać Halvardi jakąś pomoc. Broń, inżynierów, którzy pomogliby ufortyfikować przełęcze?

Barholm rozparł się w fotelu i zaczął ponuro popijać kawe. Popatrzył na kubek, zamrugał.

- Nie, nie chcemy umacniać Halvardi, chcemy by nadal byli od nas zależni. Klostermann, z pewnością możemy im wysłać jakieś wojska?

- Ach, Wasza Dostojność... cóż, może kilka kompanii Saudyjskich Dragonów?

Tzetas roześmiał się.

- Jest pewnym, że czuliby się jak w domu, sami będąc w większości barbarzyńcami.

Generał z widocznym wysiłkiem powstrzymał się od skrzywienia, ale pamiętał, że niedobrze było uczynić sobie z kanclerza wroga.

- Może to i nieregularne wojska, ale potrafią jeździć i strzelać.

- Ale nie na tyle szybko, by powstrzymać siły, które przyprowdzi tam Tewfik - powiedział Stanson, dźgając palcem mapę.

- Jeśli można wysłać cokolwiek, stosunki z Halvardi ulegną znaczącej poprawie - powiedział delegat Horanz. Wykonał wytworny gest. - A w takim przypadku można by, ahhh, zrezygnować z tegorocznych dotacji... i przeznaczyć je na szczytniejsze cele? - jego wzrok napotkał spojrzenie kanclerza Tzetas, czego nie przegapił żaden z obecnych.

Raj spojrział na mapę. Przedstawiała ona wschodnie fragmenty Morza Śródświatowego i zachodnie prowincje Kolonii, ziemie, na których kwitła cywilizacja. Rząd Cywilny kontrolował półwysep o kształcie kciuka na północno-wschodnim brzegu, a także tereny na północy i południu. Ich granice rozmywały się w na ogół zhołdowanych prowincjach, zamieszkanych głównie przez ludy plemienne. Kartograf był najwyraźniej optymistą - Skinnerzy, na przykład, opisani byli jako "plemiona wasalne".

Na Zewnętrzne Ciemności, ileż oni mają kłopotów z dojściem do porozumienia, pomyślał. Ale do rzeczy. Południowy kraniec półwyspu otaczały góry Oxhead, wgryzające się w ląd od strony morza i dochodzące do pustyni i szlaków wodnych Drangosh. Miasto-forteca Sandoral kontrolowało żeglugę. Na południu i wschodzie rozciągały się pustynie. Ziemie Kolonistów, których centrum były bogate, nawodnione prowincje delty Drangosh i miasto Al-Kebir. Były bogate i zasiedlone od niepamiętnych czasów, bo to właśnie na tych terenach osiedlili się pierwsi ludzie na Bellevue.

»Obserwuj.«

\* \* \*

Hologramy Centrum pokryły mapę masą projekcji: liczebnością oddziałów, drogami i ich stanem, czasami przemarszów.

»Również Tewfik będzie miał kłopoty z przesunięciem sił na północny wschód« mówiło dalej

Centrum. Pojawiła się linia łącząca Al-Kebir, skaliste wyżyny Gederosii, trudne tereny na północy i wreszcie wielką oazę wokół jeziora Quofur. »Rozciągnie im to linie zaopatrzeniowe i uszczupli zapasy, a większe rezerwy mają tylko w stolicy. Armia Tewfika na południu nadal jest w pobliżu Hammametu, odpoczywa i ekwipuje się po wojnach w Zanj.«

- Ehm, mój panie? - powiedział Raj. Barholm szybko podniósł głowę. - Mój panie, wydaje mi się, że reagujemy na zagrożenie ze strony Kolonii. A lepiej by było, gdyby to oni reagowali na nas.

Raj zdawał sobie sprawę z wlepionego w siebie wzroku Tzetzasa i tłumionego zniecierpliwienia Klostermanna, które zaciskało się węzłem w jego żołądku. Do Zewnętrznych Ciemności z Klostermannem, pomyślał. Przez dwadzieścia lat wygrywał tylko potyczki. Bardzo niewielu gubernatorów chciało, by taką masą doświadczonych i ruchliwych jednostek dowodził zbyt zdolny generał.

- Powiedz nam coś, czego nie można wyczytać w podręcznikach - powiedział generał.

- Cóż, by zabezpieczyć przełęczę Halvardi, Tewfik musiałby przemieścić większość armii z dołu Drangosh, a potem wezwać amirów i ich ghazi z całej Gedorosii - Był to trudny, górzysty kraj, który, podobnie jak Descott, dostarczał raczej żołnierzy, niż płacił podatki Osadnikowi. - Potem musiałby połączyć się z garnizonem z terenów jeziora Cjuofur i ruszyć na zachód... a jeśli udałoby mu się zdobyć przełęczę, mógłby ruszyć na Novy Haifa - postukał palcem w mapę, pokazując północno-wschodni kraniec półwyspu, gdzie linia brzegowa skręcała na północ, tworząc wschodni brzeg Morza Piersona.

Tzetas skrzywił się nieznacznie. Raj pamiętał, że rodzina kanclerza miała w tamtych okolicach plantacje tytoniu, a także udziały w handlu zbożem i skórą z krajów stepowych. Barholm skinął głową.

- A co możemy zrobić, by ich powstrzymać?

- Sprawić, że to oni będą się obawiać naszej inwazji - powiedział Raj, zachowując kamienną twarz i przeklinając krople potu na swym czole.

Przez chwilę Raj nie wiedział, kto protestuje najgłośniej. Barholm trzasnął pięścią w stół, domagając się milczenia. Potem, w ciszy, która zapadła, spojrzał uważnie na młodego gwardzistę.

- Mówisz poważnie, Whitehall? - zapytał. - Wziąłem cię do gwardii, bo myślisz, a nie dlatego, że jesteś zabijaką ze wzgórz.

Raj przełknął ślinę.

- Jak najzupełniej poważnie, mój panie. Nie powiedziałem jednak, że mamy najeżdżać Kolonię.

Powiedziałem, że oni muszą tak myśleć.

Raz jeszcze popatrzył na mapę, mrugając oczami. Nadal czuł się nieswojo, patrząc na leżącą na stole mapę i migoczące, zmieniające się ciągle kolorowe światła, wyświetlane przez Centrum, pionki oddziałów poruszające się na życzenie Raja.

- Najpierw musimy związać siły Kolonistów na północnym wschodzie.

- Jak? - zapytał ostro Klostermann.

Raj podniósł głowę i uśmiechnął się uśmiechem zaczerpniętym wprost z chłodnej złośliwości kanclerza.

- Przekupując Skinnerów - powiedział spokojnie. Barholm sapnął z zainteresowaniem i pochylił się do przodu, wpatrując się w mapę. - A także Halvardi, by ich przepuścili. W kraju Quofur zbliżają się żniwa, dobre zbiory... dziesięć tysięcy Fed-Kredów powinno wystarczyć Shefdetowtom plemion Bekwa i Traryvier. Ściągnie to ze stepów przynajmniej kilka tysięcy wojowników. Moglibyśmy dać im część w prochu, kulach i magazynkach.

- Nie podoba mi się myśl o przepuszczaniu tych dzikusów przez cywilizowane ziemie - powiedział Klostermann. Raj odkrył, że wszyscy przyglądają się starcowi. Jego spojrzenie napotkało wzrok wicegubernatora, a Raj wiedział, że myśleli o tym samym. Zbyt wiele czasu spędził w bundu.

- Pięć tysięcy złota - powiedział zdecydowanie Tzetas. - Połowa w gotówce, połowa w wyposażeniu. - Skrzywienie ust z trudem maskowane dłonią. - Należy pamiętać, że dzikusy nie są przyzwyczajone do cen Wschodniej Rezydencji.

Można by pomyśleć, że sam będzie musiał płacić, pomyślał Raj. Cóż, w słowach tak właśnie będzie.

- Potem dokonamy demonstracyjnych wypadów na całej długości południowej granicy - mówił dalej Raj. Jego palec zatoczył łuk łączący Ty-Och na zachodzie i Sandoral na wschodzie.

- To tak, jakby wsadzić fiuta w gniazdo szerszeni! - prawie krzyknął Klostermann. A potem, zwracając się do Anny - Proszę o wybaczenie Waszej Dostojności.

- Wybaczam - powiedziała obojętnie, podnosząc do ust firkę z kości lwa morskiego i zaciągając się dymem.

- Podpalisz całą cholerną granicę! - mówił dalej generał. Raj przypomniał sobie słowa dzisiejszych petentów.

- Już jest w ogniu, idioto! Po naszej stronie! - przesunął dłonią wzdłuż kropkowanej linii na



mapie. - Jeśli sprawimy, że pomyślą, że zmiękczyliśmy ich przed atakiem, będą musieli skoncentrować siły. A to znaczy, że będą musieli wycofać się tam, gdzie są wystarczające zapasy pożywienia, by zaopatrzyć ludzi i psy. Będą musieli schować kły i pochować się w miastach-fortecach na brzegu rzeki.

- Dość! - Wszyscy podnieśli głowy. Wicegubernator usiadł wygodnie na krześle i oparł brodę na pięści. Wyrzucił z siebie rozkazy, jasne i zdecydowane. Od dekady nie zdarzyło się, by Barholm Clerett wstrzymywał wodze swej władzy we Wschodniej Rezydencji. - Wyślemy Skinnerom pięć tysięcy. Tzetas, dogadaj się w tej sprawie z ministrem do spraw barbarzyńców. - Gorące, czarne spojrzenie. - I chcę, żeby to było zrobione, Tzetas, zrozumiano? Powstrzymaj się od swoich gier. Nie czas teraz na nie.

Kanclerz skłonił się z ręką na piersi. Barholm mówił dalej.

- Generale Klostermann, zmobilizuje pan swoje wojska, wliczając w to ten motłoch z piechoty, i wyśle duże siły blokujące w przełęcze przez Oxheady, zostawiając jednak dość sił, by wesprzeć Halvardi, jeśli będzie to konieczne - a także, by utrzymać w ryzach Skinnerów; przypomnieć im, w którą stronę mają iść.

- Whitehall, Stanson - mówił dalej. - Każdy z was weźmie batalion kawalerii z rejonu Rezydencji - wybór należy do was - z odpowiednim wyposażeniem i wsparciem, i udacie się na wschód do miasta-fortecy Komar. Przejmiecie tam dowodzenie, użyjecie jako bazy do demonstracyjnych wypadów. Zabijajcie i palcie, rozbijajcie każdy napotkany oddział Kolonii i sprawcie, by pomyśleli, że zupełnie straciliśmy rozum. Aha, i nie zostawcie za sobą żadnego meczetu, mam, na Zewnętrzne Ciemności, ten synod eklezjastyczny na głowie i lepiej, żebym pokazał, jaki jestem religijny. Tzetas, przełącz rozkazy ministerstwu wojny i generałowi Heartwellowi w Sandoralu. Próbne ataki wzdłuż rzeki i na tereny rolnicze na południowym wschodzie. Maksimum zniszczeń, chcę też zobaczyć jakieś godne uwagi łupy, więźniów z szeregów regularnej armii Osadnika i zdobyte armaty. - Wstał. - Czy to jasne, panowie?

Twardy, pomyślał Raj, kiedy wszyscy wstawali i kłaniali się. Barholm to twardy człowiek... lecz kruchy. Teraz chłodne zdecydowanie. Z trudem przypomniawszy sobie drżenie i panikę, które ogarnęły wicegubernatora w czasie zamieszek. W myślach wzruszył ramionami. Było wielu mężczyzn, którzy potrafili znieść fizyczne zagrożenie, nagłe i nieoczekiwane wyzwania, ale którzy byli bezsilni wobec konieczności podejmowania ważnych decyzji. Słabości Barholma można było tolerować u gubernatora, o ile miał ludzi, którzy wytrzymywali presję, przed którą on uciekał. I panią Clerett. Anna miała kręgosłup za ich dwoje.

- Rozejść się. Nie ty, Whitehall.

Kiedy drzwi zamknęły się za ostatnim z mężczyzn, wicegubernator zupełnie zmienił ton.

- Dobra robota, Raj - powiedział, okrążając stół i klepiąc młodzieńca po ramieniu. - Cholernie dobra robota. Nie jesteśmy jeszcze gotowi na prawdziwą wojnę, Tzetzas nadal napełnia skarbiec, ale na Ducha, to zaszczerpi strach przed cywilizacją temu szmacianogłowemu bękartowi, Jamalowi.

Podał Rajowi kieliszek i podniósł w górę własny.

- Za zwycięstwo!

- Za zwycięstwo - mruknęła Anna. Raj zdał sobie sprawę z jej obecności z lekkim zdziwieniem, kiedy podniosła się z krzesła i stanęła obok swojego męża, otaczając jego talię ramieniem. Zadziwiające, jak potrafiła wtapiać się w tło, kiedy było to potrzebne. To chyba część jej aktorskiego kunsztu.

- No i - powiedział Barholm - dobrze zająłeś się sprawą Poplanicha. Sprytnie, zabrałeś go na wyprawę, zanim spadło ostrze topora. Bardzo sprytnie.

Anna kiwała głową i uśmiechnęła się w taki sposób, że niemal przestał czuć falę podniecenia, którą odbierał w jej obecności każdy niemal mężczyzna. Duchu Człowieka, gdybym obudził się z nią leżącą na moim ramieniu, odgryzłbym je sobie, żeby się uwolnić, nie budząc jej, pomyślał Raj przerażony i zafascynowany.

A na głos powiedział - Ach, zupełnie nie wiem, o czym mówisz, panie.

Barholm roześmiał się na głos, jowialny i zadowolony.

- A mówią, że Descotczycy są uczciwi i prości! - mrugnął do Raja. - Tak dla pewności, by brudny mały zdrajca - przez chwilę jego twarz się wykrzywiła, potem znowu przyjęła normalny wyraz - przypadkiem nigdy nie wrócił. Dla pewności. Nie będę cię zatrzymywał, Raj. Młodzieniec, który daleko zajdzie, co, moja droga?

Kiedy Raj kłaniał się z szacunkiem, Anna powoli skinęła do niego głową i ponownie się uśmiechnęła.

»Groźniejsza niż mężczyzna« zauważyło Centrum.

Kiedy młodzieniec odwracał się, żeby wyjść, poczuł między łopatkami lekkie swędzenie.

## Rozdział czwarty

- Przepraszamy, panie - powiedział sługa.

Raj chrząknął, odwracając wzrok od kolorowego hologramu przedstawiającego Kolonistów Tewfika, okopujących się wokół jednej z przygranicznych osad. Przez drzwi przeciskało się dwóch niewolników, dźwigających na kijach wiklinowy kosz, wypełniony najróżniejszymi przedmiotami.

Zamrugął ze zdziwienia, a potem prześliznął się obok nich i znalazł w przedpokoju swego apartamentu. Jako kapitanowi, a co ważniejsze, jako gwardziście, Rajowi i jego żonie przysługiwała sześciopokojowa kwatery w Południowym Skrzydle w dwupiętrowym budynku stojącym przy czworokątnym dziedzińcu i ogrodzie. Wydawał mu się olbrzymi już w chwili przybycia, był przecież oficerem z prowincji. Rezydencja w Hillchapel była znacznie większa, ale będąc nie tylko domem, lecz również fortecą, była urządzona z surową prostotą. Nie było w niej tych chłodnych, marmurowych podłóg, pokrytych wykonanymi w Kolonii dywanami, mozaik na ścianach, wysokich okien z czystego szkła, wyglądających na fontannę, i krzaków bzu i lawendy, stojących w doniczkach na dziedzińcu.

Powietrze było chłodne od cienia i grubych murów. Czuć w nim było zapach kurzu, który tłumiał zwykle aromaty pszczelego wosku, kadzideł i kwiatów. Większość mebli odepchnięto pod ściany i przykryto lnianymi płachtami, ale wszystko inne upychano do koszy. Skąd się tu wzięły te wszystkie komplety pościeli, bibeloty, ubrania i w ogóle te wszystkie rzeczy? Raj uświadomił sobie ze smutkiem, że większość z nich należała do Suzette. Zgodziła się, że najpraktyczniej będzie sprzedać biżuterię, którą otrzymała w prezencie od innych jeszcze przed ich ślubem - zdziwił się, ile tego było i jak sprytnie ulokowała uzyskane pieniądze. Nie musiał wydawać swojego żołądu ani zaciągać pożyczek, chyba że chciał. Również większość lepszych dzieł sztuki i ornamentów należała do niej. Linia Wenqui była w mieście równie starożytna jak Poplanichowie, a wiele z antyków, nie wyprzedanych podczas długiej i z góry przegranej walki z bankructwem, stanowiło jej pamiątki rodowe.

- Tingra, Mustfis, ostrożnie z tym! - głos Suzette dobiegł z jednego z wewnętrznych pokoi. A potem - Kochanie! - kiedy go zobaczyła i podbiegła, by pocałować na powitanie.

Raj poczuł, jak coś rozluźnia się w jego piersi na jej widok. Zawsze tak było, zawsze od kiedy spotkał ją po raz pierwszy podczas ogrodowego przyjęcia u wujka Aloisa. Musiał się pochylić, by ją pocałować, kiedy ujęła jego twarz w dłonie. Była niska, sięgała mu tylko do ramienia. Była szczupłą, i miała charczą gracją biorącą się ze starannego wychowania. Sprawiała też wrażenie bardzo czujnej,

choć nie nadawało jej to żadnych pozorów nadpobudliwości. Miękkie jak puch czarne włosy nosiła krótko przycięte, tak by wygodnie jej było nosić dworskie długie blond peruki, które czasem zakładała. Oczy miała migdałowe, zielone, duże i niecodzienne biorąc pod uwagę jej ciemnooliwkową karnację.

- Gratulacje, kochanie - powiedziała, z trudem łapiąc oddech po pocałunku. Słudzy krzątali się wokół nich, jak zwykle ignorowani. Ale Suzette mawiała, żeby pamiętać, że oni też mają uszy. To dlatego nalegała, by im płacić. Dzięki temu powtarzali jej wszystko, co usłyszeli. - Ty mój pierwszy niezależny dowódco polowy!

- Cóż, u boku Stansona - powiedział Raj, rozpinając pod szyją mundur. - Turbo, podaj mi mundur polowy - rzucił do służącego.

- Leży już w sypialni, panie - powiedział sługa, kłaniając się ze złączonymi dłońmi.

- Stanson - powiedziała Suzette, machając pogardliwie ręką, kiedy wchodzili do pokoju. - Anna powiedziała, że Barholm tobie przyznał starszeństwo. Wicegubernator wie, kto jest kompetentny. I komu można zaufać.

Raj parsknął, ale rozejrzał się, zanim dodał - To dlaczego Tzetzas ciągle jest kanclerzem?

Suzette zmarszczyła nieco brwi.

- To bardzo zdolny człowiek - powiedziała bardzo poważnie.

- Intencje ma proste jak korkociąg.

Jego polowy mundur leżał na szerokim łożu z baldachimem. Niebieska, wełniano-lniana kurtka i czerwone spodnie, workowate i prawie nie ozdobione, poza kapitańskimi belkami i paskami kolczugi wszytymi w ramiona kurtki. Szabla, dobry, gładki łuk kolobasyjskiej stali z mosiężną, koszową rękojeścią, rewolwer, sakiewka z pięćdziesięcioma nabojami, lornetka, mapnik i suwak logarytmiczny, buty, stalowy hełm z kolczą osłoną na kark. A oprócz tego ubrania, ubranie Suzette do jazdy konnej i jej wyposażenie. Powtarzalny karabinek Kolonii i derringer.

Raj nachmurzył się.

- Chwileczkę, Suzette, pani Whitehall - zaczął, zdejmując niewygodną kurtkę mundurową i rzucając na bok jedwabną koszulę, którą nosił pod spodem. - A dokąd, na Zewnętrzne Ciemności, ty się wybierasz? Chyba, że chcesz przejechać się do Hillchapel i zostać u wujka Aloisa. - Brat ojca Raja zarządzał dobrami rodziny w hrabstwie Descott, podczas gdy młodszy Whitehall wypełniał rodzinną tradycję służby.

- Jadę z tobą, rzecz jasna - powiedziała Suzette. Odwrócił się i zobaczył, że odziana jest tylko w

leciutki, enigmatyczny uśmiech.

- Trzymam się w siodle równie dobrze jak ty - powiedziała, powoli mrugając porozumiewawczo. Delikatnie dotknęła koniuszkami palców jego umięśnionych, wilgotnych od potu ramion. Potem przesunęła palce niżej, na piersi i płaski brzuch, zaczęła bawić się sprzączką od paska. Jej palce były chłodne i delikatne. Jej włosy pachniały hiacyntem.

- Co drugi żołnierz - mówiła dalej, rozpinając mu spodnie - będzie miał ze sobą dziewczynę albo kochasia, że nie wspomnę o służących. Czy mogłabym pozwolić, żebyś pojechał sam? - Uklęła, by zsunąć obcisły materiał. - Wiesz - powiedziała, patrząc na niego i zwilżając usta - niemili ludzie mawiali, że kiedy mam na sobie ubranie do jazdy konnej, to wyglądam jak chłopiec. Też tak mówiłeś?

\* \* \*

- Duchu Gwiazd! - krzyknął Raj, patrząc na zegar nad kominkiem i chwilę później wyskakując z łóżka. - To już ponad godzina, kurierzy zaraz tu będą.

W apartamencie był gorący prysznic. Umył się i ubrał w gorączkowym pośpiechu, bezskutecznie próbując przybrać pochmurny wyraz twarzy. Suzette uśmiechnęła się i podparła brodę na dłoniach. Leżała na brzuchu i machała w powietrzu stopami. Wyglądała przez to nedorzecznie młodo.

- Nie zaszkodzi im chwilę poczekać - powiedziała leniwie. Wzięła szybki prysznic i położyła się z powrotem na łóżku, wycierając się i przyciągając do siebie części ubrania. Zaczęła się ubierać nie wstając. Okazało się to tak zajmujące, że Raj krzywo zapiął koszulę, spotkali się spojrzeniem i zgodnie wybuchli śmiechem.

- Przykryj się czymś, na Ducha - powiedział, poprawiając na sobie ubranie. - Bo żadne z nas nigdy niczego nie robi.

- Które oddziały bierzecie ze Stansonem? - zapytała, owijając się w pasie kurtką do jazdy konnej. Okazało się, że pod nią leżała kabura z maleńkim, dwulufowym derringerem. Raj z trudem zamaskował niesmak. To broń szulerów.

- Cóż, Stanson bierze 2. Batalion Żandarmerii - powiedział Raj z parsknięciem. Zatrzymał się na chwilę, by popatrzeć na siebie w wielkim lustrze, jednym ze sprzętów stanowiących o luksusie tej sypialni. Zapinanie hełmu i szelest obramowanej skórą osłony karku były dla niego jak przekraczanie granicy, oddalanie się od cichego pokoju i jego subtelnej elegancji. Postać uderzająca w dłoń złożonymi rękawicami nie należała do pałaców.

Suzette uniosła brew, wsuwając stopę w skórzany but z obcasem do jazdy konnej.

- To bardzo dobra jednostka - powiedziała. - Mają pięćdziesięciu ludzi ponad stan, no i są doskonale wyposażeni.

- Pudelki - powiedział Raj krótko.

Jego żona usiadła i oparła łokcie na kolanach.

- Alzaczki - powiedziała. - Jeżdżą na alzaczkach.

Raj skrzywił twarz w uśmiechu.

- Jak mi się udało znaleźć kogoś z takim zestawem zalet? - powiedział.

- Nie znalazłeś - powiedziała spokojnie Suzette. - To ja cię znalazłam i zamierzam zatrzymać... ale co z tym Drugim? - za pytaniem kryło się prawdziwe zainteresowanie. Zaczęła czytać wojskowe teksty, kiedy tylko wrócili z miesiąca miodowego, a Raj zaczął wypełniać obowiązki.

- Pałacowe pudelki - mówił dalej. - Drugi to wojsko rejonu Rezydencji, oni praktycznie Wschodniej Rezydencji nie opuszczają.

- Tata zabierał mnie na pikniki żandarmerii, kiedy byłam mała - powiedziała Suzette z zadumą. - Kiedy byli na manewrach na Wzgórzach Zatoki.

Spojrzał na nią przelotnie i zobaczył na jej twarzy wyraz melancholii. Dziwne, pomyślał. Jak rzadko Suzie mówi o swoim dzieciństwie. Suzette, pani Whitehall, z domu Wenqui, miała dwadzieścia sześć lat, czyli o rok więcej niż jej mąż, wyglądała co prawda młodziej, ale trudno było wyobrazić ją sobie jako dziecko.

- Trzymam się w siodle równie dobrze jak ty - powiedziała powoli, mrugając porozumiewawczo. Delikatnie dotknęła koniuszkami palców jego umięśnionych, wilgotnych od potu ramion. Potem przesunęła palce niżej, na piersi i płaski brzuch, zaczęła bawić się sprzączką od paska. Jej palce były chłodne i delikatne. Jej włosy pachniały hiacyntem.

- Co drugi żołnierz - mówiła dalej, rozpinając mu spodnie - będzie miał ze sobą dziewczynę albo kochasia, że nie wspomnę o służących. Czy mogłabym pozwolić, żebyś pojechał sam? - Uklęła, by zsunąć obcisły materiał. - Wiesz - powiedziała, patrząc na niego i zwilżając usta - niemili ludzie mawiali, że kiedy mam na sobie ubranie do jazdy konnej, to wyglądam jak chłopiec. Też tak mówiłeś?

- Duchu Gwiazd! - krzyknął Raj, patrząc na zegar nad kominkiem i chwilę później wyskakując z łóżka. - To już ponad godzina, kurierzy zaraz tu będą.

W apartamencie był gorący prysznic. Umył się i ubrał w gorączkowym pośpiechu, bezskutecznie próbując przybrać pochmurny wyraz twarzy. Suzette uśmiechnęła się i podparła brodę na dłoniach. Leżała na brzuchu i machała w powietrzu stopami. Wyglądała przez to niedorzecznie młodo.

- Nie zaszkodzi im chwilę poczekać - powiedziała leniwie. Wzięła szybki prysznic i położyła się z powrotem na łóżku, wycierając się i przyciągając do siebie części ubrania. Zaczęła się ubierać nie wstając. Okazało się to tak zajmujące, że Raj krzywo zapiął koszulę, spotkali się spojrzeniem i zgodnie wybuchli śmiechem.

- Przykryj się czymś, na Ducha - powiedział, poprawiając na sobie ubranie. - Bo żadne z nas nigdy niczego nie robi.

- Które oddziały bierzecie ze Stansonem? - zapytała, owijając się w pasie kurtką do jazdy konnej. Okazało się, że pod nią leżała kabura z maleńkim, dwulufowym derringerem. Raj z trudem zamaskował niesmak. To broń szulerów.

Cóż, Stanson bierze 2. Batalion Żandarmerii - powiedział Raj z parsknięciem. Zatrzymał się na chwilę, by popatrzeć na siebie w wielkim lustrze, jednym ze sprzętów stanowiących o luksusie tej sypialni. Zapinanie hełmu i szelest obramowanej skórą osłony karku były dla niego, jak przekraczanie granicy, oddalanie się od cichego pokoju i jego subtelnej elegancji. Postać uderzająca w dłoń złożonymi rękawicami nie należała do pałaców.

Suzette uniosła brew, wsuwając stopę w skórzany but z obcasem do jazdy konnej.

- To bardzo dobra jednostka - powiedziała. - Mają pięćdziesięciu ludzi ponad stan, no i są doskonale wyposażeni.

- Pudelki - powiedział Raj krótko.

Jego żona usiadła i oparła łokcie na kolanach.

- Alzaczyki - powiedziała. - Jeżdżą na alzaczykach. Raj skrzywił twarz w uśmiechu.

- Jak mi się udało znaleźć kogoś z takim zestawem zalet? - powiedział.

- Nie znalazłeś - powiedziała spokojnie Suzette. - To ja cię znalazłam i zamierzam zatrzymać... ale co z tym Drugim? - za pytaniem kryło się prawdziwe zainteresowanie. Zaczęła czytać wojskowe teksty, kiedy tylko wrócili z miesiąca miodowego, a Raj zaczął wypełniać obowiązki.

- Pałacowe pudelki - mówił dalej. - Drugi to nie wojsko rejonu Rezydencji, oni praktycznie

Wschodniej Rezydencji nie opuszczają.

- Tata zabierał mnie na pikniki żandarmerii, kiedy byłam mała - powiedziała Suzette z zadumą. - Kiedy byli na manewrach na Wzgórzach Zatoki.

Spojrzał na nią przelotnie i zobaczył na jej twarzy wyraz melancholii. Dziwne, pomyślał. Jak rzadko Suzie mówi o swoim dzieciństwie. Suzette, pani Whitehall, z domu Wenqui miała dwadzieścia sześć lat, czyli o rok więcej niż jej mąż, wyglądała co prawda młodziej, ale trudno było wyobrazić ją sobie jako dziecko.

- To dobre miejsce na polowanie. A większość Drugiego to albo twardzi ludzie z miasta, albo dziedzice fortun, odbywający służbę w miejscu niezbyt odległym od wyścigów, teatru lub ich ulubionych domów uciech. Mają piękne wyposażenie, bo dziedzice rywalizują między sobą w strojeniu swych oddziałów na parady. Jedynymi prawdziwymi żołnierzami są tam długoterminowi podoficerowie, ale większość z nich już odeszła. Dziedzice płacą im, by prowadzili musztrę, a dla dobrych żołnierzy to ostatni stopień przed emeryturą.

- Są beużyteczni? - zapytała Suzette.

- Nie, nie beużyteczni. Można na nich polegać przy tłumieniu strajków i zamieszek.

Pokój zniknął na chwilę, a Raj szedł schodami w porcie morskim, wizja był bardziej żywa niż te, które przysyłało Centrum. Przed nim szedł szereg odzianych w tradycyjną, "polową" biel żandarmów. Ładuj! - dało się słyszeć ponad wrzaskami tłumu. Metaliczne trzaski, dzwonięcie zużytego ołowiu i papierowych łusek uderzających o marmur i ładowania nowych pocisków. Plutonami, salwą - pal! I huk dwustu karabinów, zamieszanie i panika w tłumie sieczonym jedenastomilimetroowymi pociskami. Ciała na schodach były w większości martwe. Krew płynęła strumyczkami, przez które podeszwy butów przyklejały się do podłoża z cichym "klak-klak".

- Umrą też pewnie z honorem. Wezmę jednostkę ze wzgórz Descott z doświadczeniem Sił Polowych. Może...

»Obserwuj.«

\* \* \*

Tym razem twarze, porównanie oficerów 12. Batalionu Rezydencji, jednostki, którą miał zamiar wziąć. Twarze szczupłe i kwadratowe, lisio sprytne i krowio spokojne, do każdej z nich szepty komentarz Centrum.

- Kochanie! Dobrze się czujesz?



Raj zachwiał się lekko, odjął rękę od czoła.

- Ależ oczywiście, najdroższa. Dlaczego?

- Wyglądałeś tak... tak dziwnie przez chwilę - powiedziała jego żona z niepokojem w głosie.

- Aya, dummerlin - powiedział, odruchowo wracając do dialektu. - Wszystko w porządku, ja tylko... zamyśliłem się. Miałem wziąć Dwunasty, ale zmieniłem zdanie. Wezmę 5. Gwardyjski z Descott.

Suzette cofnęła się, a troska zniknęła natychmiast z jej twarzy.

- Ale... kochanie, oni mają braki kadrowe. Raj skinął głową.

- Ale mają lepszych dowódców kompanii, a to właśnie będzie miało decydujące znaczenie. To misja wypadowa, będą musieli dzielić się na mniejsze grupy i działać samodzielnie, nie zawsze będę z nimi, by ich trzymać za rączkę.

Suzette postukała palcami w podbródek.

- Oczywiście wiesz, że nie mają dość ludzi, bo oficerowie biorą dla siebie żołd i racje ludzi, których brakuje?

Raj skinął głową.

- Cóż, oczywiście - powiedział z uśmiechem. - Jestem we Wschodniej Rezydencji już od czterech lat, moja słodka. To dowodzi, że są ostrzejsi niż Dwunasty, prawda?

- Mimo to nadal brakuje im dwustu ludzi - powiedziała z namysłem Suzette. - Może poprosić o uzupełnienia?

Raj wzruszył ze smutkiem ramionami. Centrum, niech to lepiej wypali, pomyślał, a potem skarcił się za wątplenie w słowa... Ducha Człowieka Gwiazd? W każdym razie na pewno anioła.

- Głupio by wyszło, gdybym poprosił o to wicegubernatora - powiedział. - Po tym jak najpierw poprosiłem o Dwunasty.

- W twoim przypadku może i tak - powiedziała Suzette. - Mężczyźni przejmują się takimi rzeczami. Porozmawiam z Anną i nie sądzę, by poczuła się głupio, kiedy będzie załatwiać to z oficerem uzupełnień. Nie będę... - w jej głosie pojawiła się niezłomna pewność - narażać cię bez potrzeby na niebezpieczeństwo, Raj.

Pochylił swą okrytą hełmem głowę.

- Dobrze, że zaprzyjaźniłaś się z nią, jeszcze kiedy Barholm nie był spadkobiercą - powiedział z

powagą. - Bardzo sprytnie.

Suzette popatrzyła na niego, a jej patrycjuszowski nos zmarszczył się nieco.

- Jedyna różnica między mną a Anną - powiedziała zimno - polega na tym, że ja byłam starsza i miałam więcej pieniędzy i możliwości, kiedy wyrzucono mnie na bruk. I kilka kontaktów. Ją sprzedano na stanowisko "tancerki", kiedy miała dziesięć lat. Do zobaczenia na obiedzie.

\* \* \*

- Ufff - mruknął Raj, kiedy wyszła. - Nikt nie może powiedzieć, że życie w małżeństwie jest monotonne - spojrzał na leżącą w nieładzie pościel - albo mało interesujące.

Pierwszym zadaniem będzie ogólna inspekcja, bez ostrzeżenia. Wychodząc do przedpokoju wyjął zegarek i otworzył kopertę z ciężkiego mosiądzu. Godzina 11:00, pomyślał.

Kurierzy czekali, niektórzy oparli o ściany, kilku rozmawiało z co ładniejszymi pokojówkami - dwóch nawet pomagało im w noszeniu bagaży, prawdziwe oddanie - a jeden, o dziwo, czytał. Raj zapamiętał jego twarz i nazwisko.

- Spoczniej - powiedział, kiedy zwrócili na niego uwagę. Kurier pałacowy był odpowiednikiem kaprała z jednostki liniowej. To była wymarzona praca i wielu się o nią starało.

- Najpierw do oficerów 5. Gwardyjskiego z Descott, dowódców plutonów i powyżej. Również do chorążych, mistrza sierżanta batalionu, weterynarza i kwatermistrza. Spotkanie o... - spojrzenie na zegarek - godzinie 15:50 w pokoju odpraw. Niech biuro generała mierniczego dostarczy odpowiednie mapy.

Zwrócił się do drugiej grupy kurierów.

- Wy, chłopaki, będziecie musieli zapracować na swój żołd - tego nie można przekazać heliografem. - Lustra, wieże sygnałowe, teleskopy i latarnie stanowiły najszybszy sposób komunikacji na duże odległości, były jednak bardzo podatne na działania szpiegów. - Zanieście tę wiadomość do garnizonów od 7. do 38., Wschodniej Rezydencji, wszystkich dowódców stacji. "Pozdrowienia. Z rozkazu Rządu Cywilnego przygotować zaopatrzenie i zapasy konieczne do przejścia 2. Żandarmerii oraz 5. Gwardyjskiego z Descott, stan co najmniej 900 ludzi (była to przesada, ale lepiej podać większą liczbę, niż później żałować) i udostępnić je od dnia otrzymania wiadomości do odwołania".

Kurierzy notowali. Wszyscy byli młodzi, sprawni, ubrani w skórzane kurtki i spodnie z frędzelkami, uzbrojeni w strzelby śrutowe. Będą jechać szybko między stacjami pocztowymi,

zmieniając psy co pięćdziesiąt kilometrów. Kolejna piątka skończyła notować, zapieczętowała wiadomości wcześniej przygotowanym woskiem i salutując pospieszyła do stajni. Raj odprowadził ich za drzwi, a pozostali kurierzy szli za nim. Słowa rozkazów wypowiadał rytmicznie jak metronom.

- Do mistrza zaopatrzenia - mówił. - Zapotrzebowanie na trzy działa polowe siedemdziesięciopięciomilimetrowe z pełnym wyposażeniem i ludźmi, dostarczyć nie później niż...

»Obserwuj.«

\* \* \*

Tym razem mógł chodzić i mówić, pomimo wizji, które zsyłało Centrum.

... Flagi Kolonistów powiewają nad otoczoną murami wioską. Rozpoznał zieleń i srebro Lwów Medyny, osobistego regimentu gwardzistów Tewfika. Szczupłe, brązowe psy, przywiązane w rzędzie do palików, leżały i dyszały w oślepiającym słońcu. Ich panowie i pomocnicy okopywali się, wyrzucając łopatami ziemię z okopów. Nastąpiło zbliżenie na brązowoskórych, muskularnych żołnierzy, ubranych tylko w spodnie i spoconych od wyrzucania całych koszy ziemi z przygotowywanych okopów. Karabiny szybkostrzelne ustawiano za odpowiednimi osłonami. Oddział jadących wierzchem zwiadowców wjechał na pole dwójkami, każdy żołnierz opierał kolbę karabinu o udo. Skupił się na twarzy dowódcy - brązowej i jastrzębiej. Jego bródka przycięta była w szpic, na głowie nosił hełm z kolcem na czubku i lnianym materiałem ochraniającym kark. Mężczyzna odwrócił się i powiedział coś do sierżanta jadącego tuż za nim. Podoficer roześmiał się, aż mosiężne kółko, które nosił w uchu, podskoczyło.

Rozmazanie. Zobaczył naradę dowódców regimentu na szczycie wzgórza, te same czerwone jellaby, lecz tym razem znacznie wymyślniej zdobione. Inżynierowie wojskowi pochylali się nad mapami, przykładali do nich suwaki logarytmiczne, kompasy i stalowe linijki. Dowódca patrzył przez lunetę na trójnogu, a wydzielony oddział stawiał wieżę heliografu.

... W porcie rzeczonym na rzece Drangosh wylądowywano barki. Jęczały unoszone siłą mięśni żurawie portowe, przenoszące skrzynki z wymalowanym feniksem - godłem Osadnika. Psy bojowe sprowadzano z ramp, a ciemnoskórzy tragarze w przepaskach biodrowych i turbanach schodzili z innej barki, dźwigając 50-kilogramowe worki sojowego jedzenia dla psów, i rzucali je na zaprzężone w woły wozy, które po chwili ruszały z piskiem nie naoliwionych osi.

W dokach byli również ludzie o jaśniejszym odcieniu skóry, ubrani jeszcze skromniej niż tragarze, ale za to z kajdanami spinającymi ich kostki i powiązani kark w kark długimi linami. Przykucnęli, czekając aż załaduje się ich na barki, które ruszą w podróż w dół rzeki po wyładowaniu zaopatrzenia. Tragarze czasem przystawali, by kopnąć któregoś z nich lub chociaż splunąć w ich kierunku, a w pewnej odległości stała grupa małych chłopców, którzy rzucali w nich śmieciami, i czasem któryś wyskakiwał do przodu, żeby dźgnąć jednego z więźniów patykiem. Wielu ze skutych łańcuchami mężczyzn ogarnęła tak głęboka apatia, że nawet nie starali się unikać ciosów. Wokół bzyczały muchy, a Raj wyobraził sobie panujący tam smród tak dokładnie, że niemal poczuł, jakby tam był, na brzegu tej powoli płynącej rzeki.

Grupy odzianych w długie szaty mieszczan przyglądały się niedawno złapanym niewolnikom z Rządu Cywilnego. Jeden z mieszczan miał na sobie śnieżnobiałą lnianą szatę, obramowaną srebrem, a także związane sznurem nakrycie głowy ha'ik. Targował się bardzo poważnie z umundurowanym oficerem, który doglądał więźniów. W każdym razie uderzali się w dłonie, jakby dobijali targu.

- Na Allacha - powiedział cywil, wygładzając dłonią przetykaną srebrem brodę. - Kupiłbym więcej, gdyby byli w lepszym stanie. Nie oplatca mi się płacić za transport, jeśli nadają się tylko do kopalni lub plantacji trzciny cukrowej.

Mówili po arabsku, ale Raj w jakiś sposób rozumiał wszystko znacznie lepiej niż zwykle.

- Spójrz na tę piękność o twarzy w kształcie księżycy! - mówił dalej handlarz niewolników. Długą laską z kości słoniowej wskazał pulchną dziewczynę, która siedziała na ziemi i gapiała się przed siebie, zupełnie ignorując suchar, który klęcząca obok niej kobieta wciskała jej w dłoń, namawiając do jedzenia. - Mógłbym dostać za nią dwie, trzy setki w Al-Kebir, gdyby nie te zainfekowane ugryzienia na jej piersiach. Poza tym jest szalona. Dlatego nie więcej niż pięćdziesiąt i do burdelu dla marynarzy.

Oficer wzruszył ramionami, spojrział w bezchmurne niebo i naciągnął materiał spływający z hełmu na twarz.

- Na proroka, trudno jest trzymać ludzi w ryzach, kiedy łup jest tak skąpy - powiedział, klaskając w dłonie i pokazując na jednego niewolnika, potem na innego. Strażnicy odwiązali ich i wypchnęli naprzód. Pomocnicy handlarza sformowali z nich na nowo rząd, wiążąc ich liną z włókien kokosowych. Sami chłopcy, jeszcze niedojrzali.

- Ale popatrz tylko na tych tutaj - mówił dalej żołnierz. - Wszyscy zdrowi, sprawni na ciele i umyśle. Dostaniesz za nich dobrą cenę, nawet jeśli panuje moda na czarnych strażników haremów.

- Kapharowie również mają pewną wartość - skinął głową handlarz. - Ale po kastracji traci się

połowę ceny, czasem więcej. Gdzie wtedy jest mój zysk?

Za nimi rozległ się trzask. Obaj mężczyźni odwrócili się, by popatrzeć, co się dzieje. Podczas rozładunku ciężkiego działa ześliznęły się liny. Było to działa obłężnicze o lufie w kształcie butelki wody sodowej, z dodatkowymi wzmocnieniami wokół zamka. Przez chwilę wisiało w powietrzu, trzeszcząc, a potem runęło na dok, pomimo rozpaczliwych wysiłków załogi ciągnącej za liny. Poczuli pod nogami głuchy huk. Żołnierz skoczył naprzód, machając w powietrzu szpicrutą i wykrzykując obelgi.

- Niech pokój będzie z tobą! - krzyknął przez ramię do kupca, zanim powrócił do przeklinania robotników portowych.

- I z tobą, pokój! - odkrzyknął handlarz, klepiąc jednego z chłopców po głowie. Dziecko uśmiechnęło się niepewnie. – Byle nie za dużo - dodał zadowolony.

\* \* \*

Pewny siebie, pomyślał ponuro Raj. Minęło wiele czasu, od kiedy Rząd Cywilny wygrał jakąś większą bitwę przeciwko Kolonii.

»Czterdzieści trzy lata dwa miesiące siedemnaście dni« odpowiedziało pomocne Centrum.

Dziękuję, odpowiedział Raj. Dziękuję ci bardzo. Popatrzył w górę. Byli już prawie przy stajniach, poczuł znajomy odór gotowanego jedzenia i psich odchodów, złagodzony zapachem chłodnego kamienia.

- Musimy się upewnić, żeby nie przeciągać tego do czterdziestu czterech lat - powiedział na głos.

## Rozdział piąty

- Zabieraj to z drogi, zabieraj to kurwa z drogi, natychmiast, bo ci rozwalę twój pieprzony łeb!

Raj Whitehall usłyszał wysoki wrzask mistrza sierżanta 2. Batalionu i westchnął. Minęło piętnaście minut, zanim wielka procesja, na którą składały się dwa bataliony, zatrzymała się, kolejne piętnaście, zanim zdenerwował się na tyle, by pojechać na czoło i zobaczyć na własne oczy co się stało, i jeszcze dziesięć, by przepchnąć się przez szeregi i znaleźć się w odległości głosu od czoła pochodu. Pół dnia, pomyślał. Nie możemy się oddalić od Wschodniej Rezydencji nawet o pół dnia, żeby nie zdarzyło się coś takiego. Popatrzył w górę na czerwonopomarańczową kulę słońca. Patrzenie na pozycję Miniluny przywołało wspomnienia z dzieciństwa, kiedy jedynym zegarem na terenie posiadłości była pamiątka, którą dziadek przywiózł z armii. Tylko jeden z księżyców był teraz na niebie. A trzy godziny uciekły, jak z bicza strzelił.

Raj wbił pięty w boki Horace'a. Bojowy pies wyrwał się z wlekącej się kolumny, nie zwracając uwagi na piski i warknięcia innych wierzchowców ani na zaprzęgi. Połowa 2. jechała wozami, mogącymi pomieścić czterech ludzi. Tylko jedna czwarta oficerów 5. z Descott w powozach, pomyślał sardonicznie. Hura, my Descotczycy jesteście twardymi gnojkami. Duchu Człowieka Gwiazd, daj mi siłę!

Człowiek ubrany w poplamiony kombinezon ścisnął w dłoni z szacunkiem wełniany kapelusz.

- Dobry panie, nie mogę... - przerwał, kiedy podjechał Raj i kiedy zobaczył na jego hełmie trzy gwiazdki kapitana. - Och, dzięki Duchowi! Dobrze mój panie...

- Panie... - zaczął podoficer 2. Żandarmerii.

- Cisza! - Zapadła cisza, zamilkł nawet tłum stojący na poboczu. - Sierżancie, możecie mi powiedzieć, co się tu, na pana ciemności, dzieje?

- No cóż, ponie - podoficer był stary jak na swoją funkcję, miał około pięćdziesiątki, a do tego był łysy jak jajo. Jego wąsy stanowiły mieszankę blond i szpakowatych kosmyków, a oczy miał niebieskie. Raj połączył jego wygląd z akcentem i zdecydował, że pewnie pochodził z hrabstwa wyspy Chongwe, z zachodniej granicy. Twarz miał spaloną na kolor wyprawionej skóry, a jego głos doskonale do niej pasował. - Momy tu jakby problem z transportem. Cywile się poprzesuwal, a ten tu za diobła nie chce. - Sierżant poweselał i położył dłoń na rękojeści szabli. - Zobić ich, ponie?

Strażnicy drgnęli, a psy obu grup zaczęły na siebie warczeć. Cywil otworzył usta, by zaprotestować, spojrzał na sierżanta i zrozumiał, że za tym pytaniem kryła się prawdziwa nadzieja.

Zmiał czapkę w dłoniach i nagle wybuchnął.

- Dostojny panie! Niech Duch Gwiazd i Święta Federacja będą mi świadkami, nie mogę usunąć tego z drogi, nie tutaj, panie. Pojazd waży dwadzieścia ton, panie, nie licząc ładunku, ziemia go nie utrzyma, chyba żebym był awatarem Ducha i potrafił chodzić po wodzie.

- Cóż, to twój problem - powiedział spokojnie Raj, rozglądając się.

Kierowali się na południe drogą biegnącą z południowego wschodu, dwa kilometry od rzeki, na zachodnim horyzoncie widząc zarysy Łańcucha Wybrzeża z jego pokrytymi śniegiem szczytami. Teren podnosił się stale, także za plecami, na północy ciągle widzieli zarysy murów Wschodniej Rezydencji, nasypy ziemne i forty większe niż niektóre miasta, które otaczały stolicę. Pola po obu stronach drogi, pokryte żyzną ziemią z bagien, były płaskie jak stół. Sama droga przeprowadzona była po nasypie, dwa metry ponad poziomem gruntu. Zostawili za sobą pola ryżowe delty rzeki, ale i tu ziemia pomiędzy rzędami młodej kukurydzy była czarna i gąbczasta, a kanały irygacyjne przecinały pola i znikwały dopiero za horyzontem. Zboża zaczynały dopiero kielkować, złote strąki wśród zieleni, w sadach szeleściły liście. Chaty mierniczych rozsiane były wśród pól, gdzieś widać też było niewielkie wioski, z których każda miała własną kaplicę z wieżą i gwiazdą na jej szczycie. Czasem widywali też dwory, lecz ich właściciele spędzali większą część roku w mieście.

- Dobra, sierżancie, przyprowadźcie oddział. Zepchniemy...

- Mój panie, ja pracuję dla Kościoła!

Raj dotknął amuletu. Och. Kiedy przyjrzał się dokładniej, zauważył, że strażnicy mieli przypięte do ramion gwiazdy, i to wykonane z prawdziwego elektrum, które Kościół przyznawał swym świeckim sługom, a nie z mosiądzu. Mistrz sierżant Drugiego westchnął z irytacją i wsunął szablę z powrotem do pochwy, a jasny metal dotykający poplamionej smarem skóry i drewna wydał ostre "szzzzp". To zupełnie zmieniało sytuację. Działać przeciwko Kościołowi było grzechem, a do tego głupotą. Gubernator był wiceregentem Ducha na Ziemi, ale... Raj zaklął pod nosem i rozpiął sprzączkę hełmu. Delikatny wietrzyk nieco ochłodził jego spoconą głowę. Wiatr wiał z południa i przynosił zapach przerzuconej ziemi i rosnących roślin, mokry zapach urodzaju.

- To do Nowej Świątyni, mój panie - powiedział kierowca pospiesznie. - Z polecenia samego wicegubernatora. Wielka praca na chwałę Ducha!

»I na chwałę Barholma.«

Duch posługuje się ludźmi jako narzędziami, pomyślał cierpko Raj. Wiedziano powszechnie, że wicegubernator zatrudnił jako architekta Abła Yunnera, heretyckiego spirytystę Ziemi ze Starej Rezydencji. - Jego duszę pochłona może Zewnętrzne Ciemności, ale jego projekty przyczynią się do

chwały Ducha Człowieka Gwiazd - mawiał kiedyś Barholm.

»Dokładnie. Ludzie - narzędzia, tacy jak ty sam.« Raj poczuł, że rumieni się ze wstydu, lecz po chwili skierował uwagę na praktyczny problem, który musiał szybko rozwiązać. Kiedy myślał o sobie jako o awatarze, człowieku, w którym zamieszkał Duch, czuł się bardzo nieswojo... choć wydawało mu się, że tak to właśnie wygląda.

- Co jest w pierwszym wagonie? - zapytał, pokazując pojazd gestem.

- Cóż, węgiel, Wasza Dostojność.

Raj popatrzył na pobocze, metrowej głębokości kanał i długie zbocze zbiegające aż do pola kukurydzy. Mniej niż pięćdziesiąt metrów dalej zbocze kończyło się rzędem topoli rosnących na brzegu rowu.

- Ile ważą te wagony z nairem?

- Około dwóch ton każdy, panie.

- Hmm - zamknął oczy, oceniając odległość. Na tyle lokomotywy leżał zwinięty doskonałej jakości kabel ze skręconych ze sobą drutów.

- No dobrze - powiedział. - Oto, co zrobimy. Sierzancie, przyprowadźcie... - spojrzał na kolumnę. - Ach, trzy zaprzęgi po dwanaście wołów. Kierowco, odłącz lokomobilę i odciągnij wagon z węglem w tamto miejsce - wskazał gestem prawą stronę drogi. - Wysypimy węgiel...

- Panie! - prawie płacz.

- ... by stworzyć rampę. Potem poprowadzimy przewód do tamtych topoli, przypniemy do niego ten wielokrążek, który jak widzę masz, a jeszcze lepiej, gdybyś miał dwa i zrobił to systemem Y... i sprowadzimy wagony jeden po drugim do podnóża nasypu.

- Ugrzęzną tam, panie, aż po same osie.

- Nie, jeśli użyjemy lin, by usunąć je z drogi. Potem sprowadzimy na dół lokomobilę - oczy kierowcy wyszły na wierzch - i w ten sposób własność Kościoła będzie bezpiecznie mogła czekać na chwilę, kiedy zechcą się tu pofatygować ze sprzętem, by ją wydostać.

- Panie, wielbny sysup obedrze mnie ze skóry, a poza tym zniszczenia na polach, panie...

- Sierzancie, szwadron, jeśli łaska - powiedział Raj. Mina podoficera zmieniła się z obojętnej na wyczekującą.

- Szwadron w siodle, na miejscach! - warknął.



Grupa flagowa składała się z żołnierzy Drugiego, którzy nie mieli dość pieniędzy lub władzy, by podróżować powozem. Byli w niej sami ludzie ulicy ze stolicy. Wśród pól wydawali się zupełnie nie na miejscu, a ich białe mundury już były przybrudzone. Jednak ich podstawowemu wyszkoleniu nie można było nic zarzucić. Jednym ruchem sięgnęli do pokrowców przy lewym kolanie, chwycili kolby wydanych przez rząd ze zbrojowni Wschodniej Rezydencji karabinów i wyjęli je. Lewe dłonie jednocześnie podparły karabiny, a kciuki prawych sięgnęły do bezpieczników spustu. Rozległo się oleiste “snik”, kiedy dźwignie powędrowały w przód i do dołu, pozostawiając otwartą komorę.

“Siap” i dłonie sięgnęły do ładownic. Cichy szelest, kiedy je otwierały i wyjmowały pociski z papieru i mosiądzu; “klik”, kiedy wpychały ciężkie, jedenastomilimetrowe pociski do zamka. “Snik”, kiedy ponownie przesunęły się dźwignie, przygotowując karabiny do strzału.

- Cel!

Lufy skierowały się powolnym ruchem w kierunku kierowcy. Ten zbladł i zaczął drżeć. Kilku strażników patrzyło chwilę z niezdecydowaniem, a potem skierowali swe psy na bok.

- Oczywiście, mój panie, natychmiast! - powiedział kierowca. Konfrontacja zmieniła się w krzątanie.

- Gdzie jest kapitan Stanson? - zapytał Raj, a mistrz sierżant popędził psa i pojechał się rozejrzeć.

Po chwili starszy człowiek wrócił, przyglądając wąsy.

- W swoim powozie, ponie - powiedział. - Ze swoją dziołchą.

- Dziewczyną? - zapytał Raj jak gdyby nigdy nic. Żołnierze interpretowali swoje rozkazy bardzo liberalnie i wybrali ze stojącego na poboczu tłumu kilku co lepiej zbudowanych, każąc im odczepić i zepchnąć węglarkę. Cóż, byle wykonać zadanie.

- Tak, ponie, chłopcy byli w modzie w zeszłym... - odrzekł obojętnie podoficer, całą uwagę poświęcając grupie oczyszczającej drogę, a potem nagle wyprostował się odkasłując. - Cóż, ja tam nic nie wiem, ponie.

- Whitehall - rozległ się znudzony głos przy jego strzemieniu. Raj spojrział w dół. Stał tam Stanson, paląc papierosa z fifki z kości słoniowej, którą tak rozpowszechnił wicegubernator i jego pani. Tunikę miał rozpiętą i trzymał w dłoni kieliszek wina. Butelka była tuż za nim, w dłoniach wyjątkowo obdarzonej przez naturę rudej dziewczyny. Kiedy tak stała z jednym biodrem podanym do przodu w swej rozciętej spódnicy, jasne się stało, że rude włosy są równie naturalne jak inne jej zalety. Rzadki kolor, rzadszy nawet niż blond.

- Co się tu dzieje, przyjacielu?

Raj wyszczerzył zęby w grymasie przypominającym uśmiech.

- Mieliliśmy mały problem, ale już sobie poradziliśmy.

Dowódca szwadronu kierował dwoma tuzinami wieśniaków i pielgrzymów zebranych przy węglarce, która stała już dwoma kołami nad brzegiem kanału.

- No dobra, wy pokraki - zaskrzeczał, kopiąc jednego z robotników w tyłek. – Pchać! - Potężny pojazd przechylił się i rozległ się huk wysypywanego węgla. Potem ludzie spychali wagony jeden po drugim na brzeg drogi, potem po węglu i łagodnym zboczku na dół. Żandarmi cofnęli się, klnąc i otrzepując węglowy pył z mundurów.

- W ogóle nie byłoby tego problemu, gdybyśmy popłynęli barkami w górę rzeki. No i dotarlibyśmy do celu znacznie wcześniej. W czym kłopot, Whitehall?

Cóż, choćby w tobie, pomyślał Whitehall. A na głos powiedział - Ludzie potrzebują solidnej zaprawy. - Choć wszyscy rzucą się zaraz fiutami do przodu na wozy z dziwkami. - A siedzenie na dupie na barce nie przyczyni się do tego - powiedział łagodnie.

Stanson zaczął coś mówić, kiedy rozległ się monotony, jakby żałobny jęk gwizdka lokomobili, która zbliżyła się do skraju drogi, przejechała po węglowym moście, a potem na pole. Natychmiast zaczęła pogrążyć się w pulchnej ziemi. Kiedy hałas ucichł na tyle, by można było rozmawiać, zaczął od początku.

- Sugerujesz, że moi ludzie nie są gotowi do walki? - zapytał Stanson z groźną nutą w głosie.

Raj otworzył usta - Może wywalczyliby sobie drogę do drzwi w pijackiej burdzie...

»Obserwuj.«

\* \* \*

... Raj zobaczył siebie (to najgorsze, widzieć siebie samego), stojącego obok Stansona. Był wczesny ranek, sądząc po promieniach słońca może jutro, bo Miniluna nadal pokazywała tylko swoje trzy ćwierci, a rosnący krąg Maxiluny widać było ponad horyzontem. Stali na łące, dziesięć metrów od siebie. Raj był w cieniu jabłoni, na gałęziach której pozostało jeszcze kilka pączków. Wysoka trawa mieniła się kropelkami rosy, ptaki śpiewały, dactosauroid wielkości jego dłoni przemknął obok na skórzastych skrzydłach i zacisnął miniaturowe szczęki na jakimś owadzie...

- Gotów, panowie - powiedział oficer ubrany w błękit Piątego. Podniósł chustkę. Raj zobaczył,

jak odwraca się bokiem, by stanowić jak najmniejszy cel, i zaciska palce na rękojeści pistoletu. Stanson zrobił to samo, a jego twarz była spokojna niczym twarze kamiennych świętych w kościołach. Wszystko zwolniło, kiedy chusteczka opadła na ziemię, a Raj wiedział dokładnie, jak by się czuł, wysuszone usta, ostrość spojrzenia, chusteczka opada i oba pistolety unoszą się, krak niemal w tym samym momencie...

... a Raj by się zachwiał. Otworzył usta, a z nich poleciał strumień krwi. Raj widział ranę na własnym ciele. Poniżej pachy przechodziła przez płuca i ziała dużą raną wylotową po lewej stronie, cholera, strzelał wydrążonymi pociskami. Suzette podbiegła, by przytrzymać głowę martwego Raja w dłoniach, była równie blada jak on i zupełnie nie przejmowała się krwią, która plamiła przód jej kurtki. Stanson stał nad nimi i coś mówił. Suzette uśmiechnęła się, uśmiechnęła się i wstała, kładąc dłoń na jego ramieniu, a on uśmiechał się, kiedy w jej prawej dłoni pojawił się derringer. Przystawiła lufę do ciała i strzeliła dwa razy.

Ciemność i głos Centrum. »Obserwuj. To alternatywa, ale ostatnia projekcja jest kontynuacją obu.«

\* \* \*

... Raj stał w cieniu jabłoni, lecz tym razem miał w dłoni szablę. Tup, tup, tup ich stóp po pokrytej rosą trawie, pospieszne odzyskiwanie równowagi, kiedy ślizgali się na mokrych liściach, ciężki, urywany oddech i atonalna muzyka stali na stali. Punkt widzenia opadł tak, że patrzył z wysokości, na jakiej znajdowałyby się pewnie oczy przyszłego Raja. Usta Stansona otwierały się z wysiłku. W oczach nie miał strachu, tylko bezlitosne skupienie na zadaniu, które przed nim stało. Krok, cięcie, pchnięcie. Raj zobaczył swoją szansę. Stanson męczył się, nie miał kondycji swego przeciwnika. Ich szable utworzyły X, potem ślizg, obrót, skręt, pchnięcie i ze zdziwieniem poczuł, że ostrze nie napotyka spodziewanego oporu, lecz przebija skórę i mięśnie. Cofnął szablę, mimowolnie skręcając ją ruchem nadgarstka, a jego przeciwnik upadł.

- Myślałem... że zabije mnie... zazdrosny mąż - zdołał powiedzieć Stanson przez zaciśnięte zęby.

»Obserwuj. Konsekwencje.«

Wicegubernator Barholm podpisywał papier. Był to wyrok śmierci, na którym napisano czarnym atramentem i stosowanymi w takich przypadkach dużymi kwadratowymi literami nazwisko Raj Ammenda Halgern da Luis Whitehall.

- Cóż - powiedział z niesmakiem. - To by było na tyle, jeśli chodzi o ten sposób rozwiązania sytuacji granicznej.

Generał Klostermann uśmiechnął się, biorąc do ręki pismo i machając nim, by atrament wysechł.

- Dziękuję, Wasza Dostojność - powiedział. - Te żółtodzioby narobiłyby na granicy jeszcze większego zamieszania...

A Tewfik wjeżdżał na psie w morze, mając za sobą szeregi swej armii. Raj rozpoznał miejsce, to były cieśniny Kolden, sto kilometrów na północny zachód od Wschodniej Rezydencji, niemal już na Terytoriach Środkowych. Pies poczuł falę rozbijającą mu się o pierś, a na smak słonej wody zaskomlał i próbował się cofnąć. Pięty Tewfika pchały go jednak naprzód. W prawej ręce trzymał flagę Osadnika i swej wiary, którą w tej chwili wbił w piasek na dnie morza.

- Allachu, ciebie biorę na świadka! - krzyknął, podnosząc się w strzemionach. - Nie ma tu brodu! Gdyby był, przeszedłbym nim! - Wiwaty przetoczyły się w szeregach jego armii niczym huk pioruna.

\* \* \*

- No i? - zapytał Stanson z rosnącą niecierpliwością. Dziewczyna próbowała napełnić mu kieliszek. Odwrócił się nagle, położył dłoń na jej twarzy i pchnął.

- Wynocha, głupia, cycata krowo! - warknął. Upadła na plecy i zaczęła cicho płakać. Wyglądała na nie więcej niż siedemnaście lat i tyle zapewne miała. - No i? - pytał, patrząc na swego nominalnego przełożonego. - Znowu śnisz za dnia, Whitehall?

- Nie chciałem - powiedział ostrożnie Raj - obrazić ani ciebie, ani twoich żołnierzy, rzecz jasna. A teraz, jeśli pozwolisz...

Pociągnął lejce Horace'a i wbił mu pięty w zębra.

\* \* \*

Zapadł zmrok, zanim kolumna dotarła do garnizonu, zalewając po prostu pięciohektarowy teren i ogrodzony kamiennym murem dziedziniec. Słońce zniknęło właśnie za odległymi szczytami Łańcucha Wybrzeża na zachodzie. Ostatni promień błysnął czerwienią na platformę sygnałową na szczycie sześciopiętrowej wieży heliografu. Raj siedział ponuro w siodle, ignorując Horace'a, który od czasu do czasu próbował usiąść. Psy były... nie niezdyscyplinowane, ale miały własną wolę. Drugi dawno już umieścił wierzchowce i powozy w wyznaczonych miejscach. 5. z Descott nadal krzątał się po

całym terenie, pod kierunkiem wyznaczonego przez Raja oficera, umieszczając powozy z dala od innych środków transportu. Większość z nich to lekkie powozy zaprzężone w cztery psy o kołach ze stalową ramą i sprężynowymi resorami, miejscem na cztery osoby oraz bagażami na dachu, ale widział też co najmniej pół tuzina cięższych powozów z zaprzęgami po sześć psów. Prawie wszystkie miały składane skórzane dachy, a jeden - zauważył, że należał do kapitana Staenbridge'a, dowódcy kompanii o najniższym stanie osobowym ze wszystkich pięciu - miał też ruchome okna z kurtynami i daszkiem.

- Trębacz - powiedział cicho - Zagraj "Oficerowie do sztandaru", jeśli łaska - Raj czekał nieporuszony aż wybrzmiała druga fraza nut. - A teraz "Zbiórkę".

Rozległy się pełne zdziwienia okrzyki i zrobiło się lekkie zamieszanie. Psy, czując frustrację i gniew swych panów zaczęły ogłuszająco ujadać. Oficerowie 5. z Descott wiedzieli, jak cenni są ich ludzie i że nie można pozwolić im oklapnąć, więc ich szeregi szybko się uformowały. Oficerowie klęli i przepychali się między żołnierzami, by wreszcie utworzyć nierówny szereg przed Rajem, który czekał na nich z trębaczami i chorążym batalionu. Kompanie posłusznie wykonywały rozkazy wykrzykiwane przez podoficerów, ustawiając się plutonami.

- Panowie - powiedział Raj, kiedy stawili się wszyscy oficerowie. - Pierwszy rozkaz - nabożeństwo wieczorne - a do trębacza - Zagraj "Z siodła i stanąć przy uździe".

Rozległ się przeciągły szelest, kiedy żołnierze zeskakiwali ze swoich wierzchowców na lewą ich stronę i zbierali ich uzdy tuż przy pysku. Wierzchowce były w większości kundlami, na ogół nakrapianą, rudawą odmianą z hodowli ze Wzgórz. Mocne, o silnych nogach, wysokie na jakieś czternaście dłoni, o krótkich pyskach, klapniętych uszach i czarnych, szpiczastych ogonach, choć zdarzały się także psy stanowiące mieszankę wszystkiego, od collie do nowofundlandczyka. Stały bez ruchu, tak samo jak ludzie. Żołnierze z Piątego pochodzili z rodzin ziemiańskich, urodzili się do siodła, karabinu i polowań. Większość gospodarstw w Descott wysyłała syna do armii zamiast podatków, dawali mu psa i pieniądze na oporządzenie i mundur. Doświadczeni rekruci, skrwawieni w walce z podjazdami Rządu Wojskowego lub bandytami. Albo skrwawieni jako bandyci, pomyślał sardonicznie Raj. Kradzieże na gościńcu były starą tradycją Descott i nie uważano ich za hańbę, dopóki nie zostało się złapanym.

Przed front jednostki wystąpił kapelan, stając pomiędzy korpusem oficerskim a resztą batalionu. Był to podhierarcha, podobni mu ludzie prowadzili parafie w Descott, ubrani w proste, białe szaty ze srebrnymi gwiazdami na szyi. Blizna po cięciu szabłą na policzku mówiła wyraźnie, że zanim oddał się w służbę Kościołowi, szedł za głosem innego powołania.

- Usłysz nas, o Duchu Człowieka Gwiazd - zaintonował.

- Usłysz nas! - rozległa się odpowiedź. Słowa były głębokie, nieco niewyraźne, bo wypowiedzane przez trzysta męskich gardel, którym brakowało synchronizacji.

Kapłan podniósł obie dłonie w stronę pierwszych gwiazd pojawiających się na wschodzie. Żołnierze przyjęli postawę odpowiednią do modlitwy, z jedną ręką nad lewym uchem, a drugą uniesioną ze złączonymi palcami.

- Nie koduj naszych grzechów, niech zostaną skasowane i nie przechowuj ich na twoich dyskach.

- Wybacz nam, o Duchu Gwiazd!

- Duch Człowieka pochodzi z gwiazd i całego uniwersum: oto nasza wiara.

- Bądź nam jej świadkiem, o Duchu Gwiazd!

- Jako że wierzymy i działamy w prawości, zostaniemy wyniesieni na orbitę spełnienia.

- Wynieś nas, o Duchu Gwiazd!

- Uchroń nas od katastrofy, od stopienia, od szkodliwego promieniowania. Ocal nas.

- Ocal nas, o Duchu Gwiazd!

- Ochoczo przyjmujemy dane wejściowe z twego świętego terminala, teraz i na wieki.

- Na wieki, o Duchu Gwiazd!

- Tako my wierzymy, że za naszych dni odbudowana zostanie Święta Federacja, o Duchu Człowieka Gwiazd. A jeśli ciężar grzechów niewiernych pokoleń jest zbyt wielki, niech nasze dusze przeniesione zostaną do sieci. Koniec pliku.

- Koniec pliku! - żołnierze odprężyli się nieco.

- Moje dzieci - mówił dalej kapłan. - Dostojny kapitan Whitehall zezwolił łaskawie na obowiązkowe oczyszczenie grzechów jednostki jutro, dokładnie o godzinie 20:00. - Rozległo się kilka stłumionych jęków. Oznaczało to pokutę, zwykle post. - Niech Duch będzie z wami - odpowiedzią był zbiorowy szept "i z twoją duszą".

- Mistrz sierżant da Cruz - powiedział Raj, zachowując minę jeszcze obojętniejszą niż kapłan podczas odprawiania liturgii.

- Panie! - powiedział Descotczyk starego chowu, zbudowany jak cegła, o zakrzywionym nosie i ciemnej skórze. Poruszał się z wielką łatwością, będąc jednym z tych szybkich, ciężkich mężczyzn, rzadko spotykanych i śmiertelnie niebezpiecznych. Miał około trzydziestu pięciu lat, o dziesięć więcej niż kapitan. Brakowało mu jednego z palców lewej dłoni, a prawą część twarzy pokrywały

blizny od szrapnela. Podciągały one kącik warg, sprawiając wrażenie, jakby cały czas ironicznie się uśmiechał, choć teraz na jego twarzy rzeczywiście gościł uśmiech.

- Proszę kontynuować zgodnie z rozkazem, mistrzu sierżancie.

- Batalion, baczność! - krzyknął, odwracając się do żołnierzy. Stali oni w czworokątnych grupach na dziedzińcu, który stopniowo pogrążał się w ciemnościach. Światła z okien zajazdu i ogniska obozowe wydobywały z gęstniejącego mroku tylko niektóre detale. Oleisty odbłask na kolczej osłonie szyi, błękitny od sprzączki paska lub brązowych guzików ich błękitnych płaszczy, oczu, psich zębów. - Batalion rozłoży obóz. - Uśmiech, który blizna zmieniła w upiorny grymas. - Dokładna inspekcja jutro dokładnie od 6:00. Grupa robocza do mnie, zgodnie z rozkazem. Rozejść się!

- Inspekcja? - zauważył jeden z dowódców kompanii, kiedy zsiadli z psów i podawali lejce przybocznym. Zdjął rękawice i wygładził je ruchem dłoni. W uchu miał kolczyk z błyszczącego kamienia. Kaltin Gruder, pomyślał Raj, a nazwisko to podpowiedział mu jakiś wewnętrzny głos. Przyjechał z Descott dopiero dwa lata temu. Troszkę dandys. Podrywacz. Miał też wielu krewniaków, można by powiedzieć, że większość szlachty Descott. Przynajmniej między ich rodzinami nie było krwawej waśni.

- Czy to nie za szybko? - mówił dalej Kaltin z ujmującym uśmiechem.

- Panie - dodał Raj.

- Panie - powiedział młodzieniec, czerwieniąc się nieco.

- O to właśnie chodzi, panowie - powiedział Raj. - Zrobiliśmy dziś... dwadzieścia jeden kilometrów na kamiennej drodze - pomruki protestu. - Tak, wiem, że ten pociąg nas opóźnił. Ale musimy być przygotowani do szybkiego marszu naprzód. Tymczasem nie chcę tracić czasu, który marnotrawią nasze wozy zaprzężone w woły i nasi, hmm, bogato wyposażeni towarzysze z Drugiego.

Po tej uwadze wszyscy się roześmiali. Piąty spędził długi czas w koszarach, ale Drugi nigdy nie opuszczał bezpośredniego otoczenia Wschodniej Rezydencji, nie za pamięci żyjących.

- A skoro o tym mowa, chciałbym podziękować panom za wypożyczenie waszych powozów.

Martwa cisza, napięcie. Wszystkie głowy odwróciły się. Wyznaczony pluton pracował właśnie przy pojazdach, kierowany przez da Cruza. Usuwano ruchome dachy i wyrzucano je w ciemność, czarna skóra prosto na ziemię. Doskonałe sprężyny jęczały, kiedy żołnierze wspinali się na powozy i zaczęli zdejmować z nich bagaże, niezbyt zresztą delikatnie. Okrzyki protestu zmieniły się w prawdziwy wrzask, kiedy żołnierze zaczęli wyrzucać z wozów sługi, kobiety i inne ciury obozowe. Pojawili się ludzie kolejnej grupy roboczej, zgięci pod ciężarem pakunków z kolumny transportowej.

Nieśli głównie skrzynki z amunicją, środkami opatrunkowymi, bandażami i przenośnymi urządzeniami heliograficznymi.

- To bardzo zwiększy naszą ruchliwość, kiedy już dotrzemy do celu - mówił spokojnie Raj. - Z tymi wspaniałymi zaprzęgami, które z taką hojnością nam przywieśliście, wozy będą się poruszać równie sprawnie jak działa i osiągną sprawność terenową prawie równą tej, jaką posiadają żołnierze. Nie będziemy musieli tak często wracać do bazy.

Wszystkim opadły szczęki. Raj mówił dalej nieco łagodniej.

- Zauważcie, że powóz mojej żony jest tam, na końcu rzędu. - Był to delikatny, zwodniczo smukły powozik. Kiedy wrzucono do niego skrzynki z amunicją, resory jęknęły. Odgłos ten stłumiło nieco obicie z lnu. - Jak już mówiłem, to bardzo patriotyczny i pobożny gest. Szczególnie, że mógłbym zostać źle zrozumiany. - Jego głos stracił żartobliwy ton i nabrał żołnierskiej twardości. - Ponieważ używanie nieregulaminowych pojazdów na polu walki jest surowo zabronione przez kodeks wojskowy Rządu Cywilnego.

Rozległ się trzask pękającego szkła. Po chwili pojawił się umundurowany przyboczny, ocierający rękawem łzy. Chłopiec miał około piętnastu lat, a jeden z jego policzków zabarwiał świeżutki siniak. Sądząc po manierach, dobrze urodzony, miał niemal piękną twarz, która na przyszłość obiecywała przyjemną regularność rysów.

- Gerrin! - powiedział, łapiąc kapitana Staenbridge'a za rękę.

- Gerrin, ten brutalny żołnierz uderzył mnie, a potem powybił okna! - rozejrzał się, napotkał spojrzenie Raja i innych oficerów i wyprostował się. - Panie - dodał, puszczać dłoń dowódcy kompanii.

Staenbridge odwrócił się do Raja.

- Panie, czy pozwolisz na taki brak dyscypliny?

Raj spojrzał mu w oczy i wytrzymał spojrzenie, dopóki nie poczuł, że jego rozmówca mięknie.

- Messer starszy poruczniku Staenbridge - powiedział sucho - twój... twój młody przyjaciel jest przybocznym tylko dzięki uprzejmości... - no i dlatego, że jest kuzynem Meffreda, do tego z dobrej rodziny, przypomniał sobie Raj. - Nie jest ujęty w strukturze dowodzenia. - Raj spojrzał znacząco na pistolet młodzieńca, którego rękojeść wyłożono macicą perłową, i lekką szablę, którą miał u drugiego boku. Żadna z broni zupełnie nie mieściła się w regulaminie. Prawo Rządu Cywilnego było dość surowe w sprawach posiadania broni, szczególnie tu, w samym sercu kraju. - Sugeruję, że jeśli chłopak patrzy na ciebie w poszukiwaniu przykładu - powiedział to bardzo tradycyjnie - to



powinieneś nim świecić. Jeszcze jakieś pytania?

- Nie, panie.

- W takim razie inspekcję mamy o 6:00, jak już słyszeliście. Mamy również zadanie logistyczne do rozwiązania o 7:30, które, jak sędzę, zajmie cały dzień. Skoro jesteśmy za miastem i mamy trochę przestrzeni... tak więc, jeśli łaska, stawcie się w moim namiocie o godzinie 5:00, zaplanujemy to - nagle się uśmiechnął. - Ci ziemianie mają tyle dobrej ziemi, że chyba nie pożałują nam miejsca na przemarsz... Żadnych pytań? Rozejść się!

\* \* \*

- Czy naprawdę musimy pozbyć się powozu, kochanie? - zapytała Suzette.

Raj leżał na brzuchu na swym polowym łóżku. Jego żona siedziała mu okrakiem na plecach, a jej silne palce ugniatały mięśnie jego ramion i karku. Przytłumione odgłosy nocnego obozu dobiegały do nich przez ciemne płótno. Hasła i odzewy wartowników, i chrapliwy śpiew dobiegający gdzieś spomiędzy namiotów Drugiego. Pachniało potem, psami, płótnem, skórą i olejem, mieszającymi się dziwacznie choć przyjemnie ze zdrowym zapachem kobiecego potu i jaśminowych perfum, które roztaczała wkoło Suzette.

- Duchu - powiedział Raj, wtulając głowę w zwinięty koc. - Nie zaczynaj.

Roześmiała się cicho i zaczęła mu masować dół pleców.

- Coś cię niepokoi. Czy Piąty był aż tak kiepski?

- Nie - westchnął. - Katastrofa i stopienie, dobre sobie... Nie, to wojownicy, w każdym razie byli nimi, albo chłopcy, którzy sądzą, że wojna jest chwalebna, co po odpowiednim treningu jest nawet bardziej przydatne. Chodzi o tego sukinsyna Stansona.

Jej dłonie na chwilę znieruchomiały, lecz po chwili znowu podjęły masaż.

- Uważaj na niego, jest niebezpieczny - z jej głosu zniknęło to leniwe uczucie, lecz głos pozostał łagodny. - A ty tam na dworze poradziłeś sobie doskonale.

- To było zanim zobaczyłem, jak próbuje dowodzić oddziałem w polu - powiedział Raj. - Nie jest głupi, w sprawach dworu radzi sobie lepiej niż ja... ale na tych sprawach się nie zna i nigdy się nie nauczy.

- Nie pozwól mu się sprowokować do walki - powiedziała ostro. - Widziałam jak zabija. On to kocha. Poza tym zupełnie traci opanowanie, absolutnie, przestaje myśleć o konsekwencjach, a

przytomność wraca mu, gdy jest już za późno.

- Nie pozwolę - powiedział gorzko Raj. - Nie mogę z nim walczyć. To by wszystko... zniszczyło.

- Znowu się spinasz... o tak, odpręż się... On jest też świetnie ustosunkowany.

- Spokrewniony ze Stansonami z hrabstwa Welman, prawda?

- Tak. I ministrem finansów... którego osobowość nie jest porywająca, lecz nie należy go ignorować.

- W jakiś sposób ma też związek z kanclerzem.

- Żonaty z trzecią kuzynką ciotki jego żony - powiedziała obojętnie Suzette. Jeśli chodzi o genealogię szlachty była lepsza niż Księga Zrodzonych W Gwiazdach. Chwila przerwy i znowu masaż.

- Dlaczego Barholm wyznaczył go na współdowódcę? - zapytał Raj po chwili.

- Cóż, jeśli miałabym zgadywać, chce zobaczyć, jak sobie obaj poradzicie - Suzette mówiła tym samym, wesołym tonem. - To punkt zwrotny w karierach was obu, no i jest to kość rzucona ministrowi finansów. Facet jest tak głupi, że nawet nie wie, że nim manipulują, lecz ma niezrównaną pamięć do przysług i afrontów. - Potem żywiej - Będziesz musiał radzić sobie ze Stansonem. On nie jest głupi, jest w nim nieco nikczemności, lecz umysłowo jest dość leniwy, a takim człowiekiem można manipulować.

Raj jęknął.

- Jakbym nie miał już dość do roboty!

- Znowu jesteś spięty. Nie martw się, coś wymyślimy... odwróć się.

Odwrócił się. Ich twarze niemal się dotykały, a po chwili Suzette ześliznęła się po jego ciele.

- Kocham cię - powiedziała. Jej twarz pozostawała w cieniu, a światło lampy na ropę, zawieszanej na maszcie namiotu, oświetlające tył jej głowy, tworzyło wokół niej aureolę. Jej głos był miękki lecz zawzięty, a pocałunek, który wycisnęła na jego ustach bolał. Roześmiała się gardłowo pozbawiona tchu.

- A teraz sprawię, że się rozluźnisz.

- Kochanie, musimy spać.

- Ach - uśmiechnęła się zawadiacko. - Co mi kiedyś mówiłeś o... środkach doraźnych na polu bitwy? Ja wiem, czego ci trzeba.

Potem, odpływając w nieświadomość, usłyszał jej szept - I dopilnuję, byś to otrzymał.

## Rozdział szósty

- Raz! Raz! Raz!

Pięciu żołnierzy biegających z plecakami wypełnionymi kamieniami trzymało karabiny w wyciągniętych przed siebie rękach i śpiewało chórem. Jadący za nimi sierżant puścił psa wolnym truchtem i gwizdał wesoło, od czasu do czasu trzaskając batem. Odbywający karę patrzyli z gorzką zawiścią na tych, których zaniedbania ograniczyły się do osobistego oporządzenia lub upręży i nie dotyczyły broni. Tamci szczęściarze musieli tylko nosić wielkie, cynowe kotły tłuczonej soi od ognisk kuchennych do miejsca, gdzie stały psy. Robota dla służących, lecz o wiele lżejsza niż bieganie w kółko, dopóki płuca nie zaczynały płonąć, nogi zmieniały się w gumę, stopy w butach do jazdy pokrywały pęcherzami, a ramiona prawie odpadały... a potem trzeba było wykonywać zwykłe, codzienne zadania.

Oczywiście po wyczyszczeniu swojego sprzętu. Teraz, kiedy Piąty był w drodze od dwóch tygodni, liczba ludzi, których łapano podczas nagłych inspekcji, szybko spadała.

Reszta Batalionu stała spokojnie przy swoich wierzchowcach, szczerząc zęby do nieudaczników i wykrzykując od czasu do czasu komentarze. Im nic się nie działo, choć nowy dowódca był stanowczy. Poza tym zmierzali właśnie do miejsca, gdzie za błędy nie wydzierał się na nich podoficer, tam oznaczały one poważne kłopoty. Również dla tych, którzy byli od ciebie zależni. Psy, jeszcze bardziej pragmatyczne niż ich panowie, koncentrowały się na wielkich, pięciokilogramowych porcjach gotowanej mąki sojowej. Było wystarczająco dużo skarg na jakość karmy, by żołnierze musieli spędzać mnóstwo czasu na uspokajaniu, drapaniu za uszami i klepaniu ich po karku. We Wschodniej Rezydencji kupienie kości lub odpadków jako dodatku do karmy nie nastęczało większych trudności. Od kawalerzysty oczekiwano, że zapewni jedzenie sobie i swemu wierzchowcowi z własnego żołądka, co podczas podróży oznaczało, że żywili się tylko podstawowymi produktami.

- No dobrze, panowie - powiedział Raj. Wokół niego stali pozostali oficerowie, a także jeden czy dwóch podoficerów, którzy mogli przydać się do wykonywania zadań w terenie. Batalion w koszarach był jednostką administracyjną i nie miał stałej obsady... a dowódca potrzebował ludzi, na których mógłby polegać w nie mniejszym stopniu niż wicegubernator. - Wychodzimy dziś pierwsi, ale nie sądzę, by przysporzyło nam to jakichś kłopotów.

Wszyscy spojrzeli na obóz Drugiego, który dopiero zaczynał się budzić. Wstało już wielu żołnierzy, część z nich zajmowała się swymi mundurami. Żandarmi byli pięknie wyposażeni. Kurtki i

tuniki z najlepszej bielonej wełny, buty i uprząż z giętkiej i mocnej skóry sauroida z północnych stepów. Osłony karku również mieli ze skóry sauroida, niemal równie mocnej jak kolczuga a znacznie od niej lżejszej, do tego wzmocnionej mosiężnymi lub srebrnymi ćwiekami. Oficerowie konkurowali ze sobą wyposażeniem swoich ludzi, więc wiele hełmów było posrebrzanych, jeden pluton miał nawet złożone, a przywilej noszenia pióropusza przyznawano dosyć często. Ich broń nie miała konkurencji w całym Rządzie Cywilnym. Mieli identyczne karabiny wysadzone szklanymi paciorkami, z kolbami pokrytymi drewnem ognistym i zębami torsauroida, mosiężnymi magazynkami, szable i bagnety z hartowanej stali Kolobassi.

Wszystkie psy były alzaczkami z rodowodem z prywatnych hodowli gubernatora. Robiły wspaniałe wrażenie na poligonie pola bitwy, ustawiając się i skacząc zgodnie, i przechodząc w równiutkiej linii, jak to ćwiczyły przez pięć ranków w tygodniu. Połowa dzieciaków w mieście wspinała się na dachy i drzewa, by popatrzeć.

Nagle z ich szeregów dobiegło ujadanie i warczenie. Dwa psy pogryzły się przy misce z karmą i cofnęły się, gryząc wędzidła. Opuszczały głowy, próbując złapać przeciwnika za łapę, a potem unosiły się na tylnych łapach, obejmowały przednimi i próbowały gryźć. Podbiegł do nich służący z wiadrem wody i wylał na nie jego zawartość. Psy rozdzieliły się, ale jeden z nich chwycił zębami jego udo. Służący podskoczył i zaczął okładać głowę psa rękojeścią bata. Kiedy pies go puścił, noga wisiała na wąskim pasku skóry. Nikt nie sądził, by opaska uciskowa, którą natychmiast założyli jego towarzysze, mogła cokolwiek pomóc.

Psy z rodowodem czasem takie są, pomyślał Raj rozsądnie. Zadziorne. Taki efekt przynosiło ciągle krzyżowanie wewnątrz niewielkiej grupy. Oczywiście nie wszystkie. Większość przypominała wszystkie alzaczki - leniwe, szczęśliwe, przyjazne, pokojowe pieski, łatwe do trenowania i mogące równie dobrze polizać przeciwnika, jak go ugryźć. Szkoda, że krzyżówki między podstawowymi rasami dawały efekt tylko w postaci bezpłodnych mułów. Legenda mówiła, że starożytni potrafili naprawiać takie usterki swymi mocami nie-Upadłych.

- Nie, ja też nie sądzę, by deptali nam po piętach na drodze - powiedział Kaltin Gruder. Dziś rano nie założył swojego kolczyka, ale mundur miał wyraźnie elegantszy niż inni. Skończył suchara, którego jadł i otrzepał dłonie. - Przydałoby się przetrzeć te ich świecidełka.

- Zgadzam się - powiedział Raj. Osobiści służący i ciury obozowe z Piątego zwijali namioty i zbierali oporządzenie, bardzo szybko choć może niedokładnie. Nawet dziwki, które chciały utrzymać się przy batalionie, zdały sobie sprawę, że nie zarobią, leżąc cały czas na plecach, od kiedy nastąpiły nowe porządki kapitana Whitehalla.

- Cóż, panowie, dziś zrobimy podstawowe ćwiczenia z przemieszczania się i prowadzenia ognia,

plutonami i kompaniami, a batalionem przejście z kolumny marszowej do szeregu, tak jak przed przystąpieniem do boju z marszu.

- Panie? - odezwał się Gerrin Staenbridge, przeczesując energicznie kręcone włosy przed założeniem hełmu. - Czy pomyślałeś o nagrodach?

- Oczywiście - odrzekł Raj. Wydajność rosła szybko choć nierównomiernie, a przecież trzeba znać swoje słabe punkty.

- Sądzę, że nieco współzawodnictwa podniesie w ludziach ducha. Kij i marchewka, jak to się mówi.

- Hmm - Raj uśmiechnął się do swego rozmówcy. Teraz, kiedy Gerrin zaczął się uczyć, radził sobie coraz lepiej. Może sam byłby już kapitanem, gdyby miał nieco więcej ambicji i rozleglejsze koneksje.

- Cóż, powiedzmy... podwójna racja wina i zwolnienie od służby wartowniczej dla zwycięskiego plutonu. I... - odwrócił się do grupy podoficerów - mistrzu sierżancie, od teraz obozy będziemy rozbijać w formie pustego kwadratu, z bagażami na środku. Zorganizujcie też miejsce, żeby psy mogły się załatwiać - wiatr niósł w ich stronę niezbity dowód, że nie zajęto się tym wcześniej. - Przegrywający pluton posprząta to, zanim wyruszymy - uderzył pięścią w pięść, naciągając mocniej rękawice. - Do roboty, panowie.

\* \* \*

Batalion 5. z Descott maszerował kolumną dwójkami wzdłuż granicy niewielkiej farmy. Po lewej mieli sad, po prawej pastwisko ciągnące się na sto pięćdziesiąt metrów. Niedawno skoszono je na siano, którego zapach uderzał do głowy w promieniach popołudniowego słońca. Pole obramowane było niewielkim wzniesieniem, tarasem aluwialnej równiny, który stanowił brzeg Hemmar w zamierzchłych czasach, kiedy ludzi nie było jeszcze na Bellevue. Równina porośnięta była gęstymi lasami, były w nich dęby, dzikie wiśnie, sosny, a także tutejsze paseczniki, wysokie, czerwone drzewa o smukłym pniu i wiechciach cienkich, biczowatych gałęzi na szczycie, z których wyrastały wielkie, kształtem przypominające miecze liście.

- ... na prawo, misja ogniowa, stój!

- Kompania!... - Dowódcy podjednostek przekazywali rozkaz dalej, ludzie utrzymywali tempo. Dudnienie psich łap zwolniło nieco. Wierzchowce były chowane w kawalerii ze względu na inteligencję, a większość znała musztrę równie dobrze jak ich panowie. Trębacz odtrąbił rozkaz, a

jego trąbka lśniła wesoło w promieniach zachodzącego słońca. Dwa tygodnie podróży od opuszczenia stolicy znacząco wzmocniły dyscyplinę.

- Pluton... w prawo zwrot! Stój!

Psy zatrzymały się, wbijając łapy w ziemię i uginając potężne jak kolumny tylne nogi, a po chwili odwróciły się w prawo. A w każdym razie próbowały. Niektórzy żołnierze trochę się spóźnili lub pospieszili, dając im sygnał uzdą. Było kilka zderzeń, wokół rozlegały się ciężkie “thud” napierających na siebie tysiącfuntowych psych ciał. Raj wyjął zegarek, machając w powietrzu drugą ręką i patrząc jak ludzie zeskakują z siodeł, prawie nie czekając, aż ich wierzchowce się zatrzymają. Wielu przewróciło się, rozległy się okrzyki bólu i trzask upadających karabinów. Trzasnął też wystrzał, a usta mistrza sierżanta da Cruza zacisnęły się. Raj nie zazdrościł pechowemu żołnierzowi, który jechał z nabojem w lufie i do tego, co gorsza, z odbezpieczoną bronią.

- Żarty, żarty - mamrotał pod nosem podoficer, kiedy żołnierze ustawiali się w nierównej linii na długości niemal tysiąca metrów. Stali w dwóch rzędach, tylny wypełniał luki powstałe w przednim. Psy położyły się na brzuchach, a jeźdźcy mierzyli spoza ich grzbietów. - Trzy minuty to żarty, popróбуйте tego z Kolonistami i wszyscy będziemy kurwa martwi, ponie. - Mistrz sierżant mówił z nieco mniej nosowym akcentem niż inni ludzie z Descott. Okazywał się być zadziwiająco wykształconym, kiedy tylko udało się go nakłonić do mówienia.

- Cóż, jesteśmy tu, żeby ich czegoś nauczyć, prawda? - powiedział Raj łagodnie. To ćwiczenie miało być odpowiedzią na szarżę od strony linii drzew. Najważniejsze było w nim stworzenie jak najszerzej otwartej przestrzeni, by złamać siłę uderzenia, zanim napastnicy podejną na odległość cięcia szablą. Takiej szarży można by się raczej spodziewać po zachodnich barbarzyńcach z Rządów Wojskowych, którzy niemal ślepą czcią darzyli broń tnącą, ale i dragoni Kolonistów mogliby jej próbować.

Plutony po kolei powiadamiały o pełnej gotowości. Staenbridge notował coś w swoim notatniku. Raj zaczekał, aż zameldował się ostatni i nacisnął przycisk na zegarku.

- W sumie pięć minut - powiedział. - O połowę mniej niż pierwszego dnia, ale i tak nie dość dobrze... salwa w linię drzew, plutonami, po cztery pociski - podniósł do oczu lornetkę i skierował ją na skraj lasu, gdzie między pniami drzew rosły gęste krzaki.

- Batalion! Cel na linię drzew! - wszyscy bez trudu słyszeli głos mistrza sierżanta podniesiony o dwie oktawy, by przekrzyczeć hałas i do tego dobytego z jego głębokiej, góralskiej piersi. Trębacz powtórzył rozkaz, a podoficerowie odezwali się za nim jak podwójne echo.

- Salwą, cztery pociski! Ładuj!

Potężny, grzechoczący stuk, który trwał o wiele za długo. Raj odwrócił na chwilę głowę. Polowe działo jadące z Piątego ustawiano właśnie na środku drogi, za linią żołnierzy, o kilka metrów na lewo od siedzących w siodle dowódców zgromadzonych wokół chorągwi. Była to standardowa armata, kaliber siedemdziesiąt pięć, z zaprzęgiem sześciu psów i kesonem, ładowana od tyłu, z kołami wysokimi do piersi. Załoga miała mundury o głębszym odcieniu błękitu. Byli to żołnierze Dowództwa Rejonu, odkomenderowani do tego zadania. Poruszali się zręcznie, obracając stalową lufę w kierunku domniemanego celu i osadzając armatę solidnie na drodze. Celowniczy podszedł do zamka i spojrzął przez niego w lufę, co zawsze robiono przy strzelaniu na niewielkie odległości. Pocisk znalazł się na miejscu dokładnie w chwili, kiedy strzelcy byli gotowi do salwy.

- Salwą... pal!

Po komendzie powinien rozbrzmieć huk toczący się wzdłuż linii, oddzielne BAM dla każdego plutonu. Zamiast tego słyhać było staccato trzaskających kkkk-kkkk-kkkk. Raj patrzył uważnie na linię drzew. Krzaki targane były jakby gwałtownym podmuchem wiatru, ale zbyt wiele gałęzi spadało z drzew i to z wysokości nawet czterech metrów. Raj zacisnął zęby. Niektórzy z jego ludzi nie ustawili odpowiednio celowników. Niektórzy będą dziś bardzo żałować i cierpieć.

PUMPF. Wypaliło działo, dodając długi warkocz brudnobiałego dymu do chmur unoszących się nad linią wojska. Pocisk trafił dokładnie w skraj lasu, obalając średniej wielkości sosnę, która zachwiała się i przewróciła z godnością.

- Przeładuj! - tym razem zrobiono to szybciej. - Salwą, pal!

Plutony wykonały rozkaz i tym razem dźwięk bardziej przypominał BAM-BAM-BAM, którego Raj oczekiwał.

Przeładuj... pal. Przeładuj... pal. Czwarta salwa była niemal do przyjęcia, poza pojedynczym wystrzałem, który rozbrzmiał dobrych kilka sekund po pozostałych.

Mistrz sierżant wydał dźwięk, z którego byłby zadowolony każdy wściekły pies bojowy.

- Chcę znać jego nazwisko! - krzyknął da Cruz w przejmującej ciszy. Tu i ówdzie kaszlano, a lekki wietrzyk niósł chmurę dymu prochowego nad drogą. Przez kilka chwil dym był na tyle gęsty, że zasłaniał ludzi i psy przed siedzącymi w siodłach oficerami.

- Będziemy musieli radzić sobie lepiej - powiedział neutralnym tonem Raj.

- Do otwarcia ognia! - krzyknął celowniczy. Jego ludzie ustawiali działo na pozycji po ostatniej salwie. Raj spojrzął na niego.

- Chcę zobaczyć szrapnel rozrywający się tuż przed linią drzew - powiedział. To był prawdziwy



sprawdzian umiejętności.

Celowniczy przesunął dźwignię otwierającą zamek i wyjął pocisk. Wziął do ręki niewielkie narzędzie przypominające klucz francuski, przyłożył je do czubka pocisku i ostrożnie przekręcił trzy razy. Zapalnik miał dwie funkcje. Powodował wybuch przy zetknięciu z przeszkodą, albo wtedy gdy perforowana, mosiężna tuba z prochem wypaliła się, dosięgając do ładunku wybuchowego. Narzędzie służyło do przesuwania tuby w górę lub w dół, by skrócić lub wydłużyć czas potrzebny do zapłonu, ale prędkość spalania prochu w tubie bywała różna.

Celowniczy umieścił pocisk w zamku, odsunął się na bok i pociągnął linę spustową. Działo wystrzeliło i przetoczyło się niemal po całej szerokości drogi. Rozległ się dźwięk dartej płótna i wszyscy zobaczyli czarny wybuch jakieś dziesięć metrów przed linią drzew. Trawa w nieregularnym kole bezpośrednio pod eksplozją została przyciśnięta do ziemi, pocięta fragmentami rozerwanej łuski. Raj skinął głową. Niektórzy żołnierze skrzywili się. Przed szrapnelem nie można było się obronić, zabijał z bezosobową neutralnością pioruna.

- Hej! - krzyknął ktoś. - Sierpostopy!

Zaskoczony Raj poderwał lornetkę ponownie do oczu. Tak, sierpostopy, stado około dwudziestu sztuk, wybiegające spomiędzy drzew. Zatrzymały się na chwilę, chwiejne i spięte, na swoich długich nogach. Były to miejscowe carnosauroidy, prawie dwukrotnie większe od dużego mężczyzny, dwunogi, których wężowe, dwumetrowe ciała zrównoważone były cienkimi ogonami niemal tej samej długości. Korpus utrzymywały w pozycji niemal horyzontalnej, przyciskając do piersi smukłe przednie łapy o ostrych pazurach. Głowy również miały smukłe, ze skierowanymi do przodu oczami o pionowych źrenicach i pyskach długich na trzy czwarte czaszki, wypełnionych zagiętymi do tyłu zębami, służącymi do rozrywania mięsa ofiar. Ich prawdziwa broń znajdowała się na stopach, półmetrowe tylne szpony, złożone wzdłuż ptasich nóg. Kiedy mięśnie i ścięgna wypychały je w dół, gotowe były ciąć i rozrywać. Wśród dziczy zdarzało się, że stado sierpostopów zabijało wielkie, pasące się sauroidy. Skakały ponad dwukrotnie wyżej, niż same mierzyły i zadawały rany długie na wysokość człowieka i głębokie na ramię. Zwierzęta zafalowały, zaczęły na siebie syczeć, jak lokomotywa mająca zaraz wybuchnąć. Ich paszcze były jaskrawo różowe i zawierały tylko zęby i język, na całej długości przylegający do dolnej szczęki. Był to mechanizm pozwalający przełykać duże kawałki mięsa, bo zwierzęta te nie potrafiły przeżuwać. Pyski pozostawały w uderzającym kontraście do cętkowanych, czerwono-zielonych i bladoniebieskich skór, których kolor przechodził w bladokremowy na podbrzuszach.

- Sierpostopy, w porządku - powiedział Raj, plując na drogę. Zwierzęta te były dość powszechne w hrabstwie Descott, w którym dominowały kamieniste pastwiska i górskie lasy, z porozrzucanymi tu

i ówdzie fragmentami ziemi uprawnej. Ludzie wybili wielkich roślinożerców, będących ich naturalnym pożywieniem, ale sierpostopy nie były wybredne jeśli chodzi o posiłki i uznały żywy inwentarz za doskonale uzupełnienie diety. Albo ludzi. Raj pamiętał, jak patrzył na sierpostopa unoszącego ciągle wrzeszczące dziecko jakiegoś rzemieślnika. To głównie z ich powodu żaden mężczyzna i niewiele kobiet ze wzgórz nie oddalało się od domostw poza zasięg głosu, nie zabrawszy ze sobą broni.

- Gerrin. - Starszy porucznik Staenbridge podniósł głowę. - Który pluton radził sobie dziś najlepiej?

- Pierwszy z Drugiego - powiedział. To była kompania Kaltina Grudera. Jego młodszy brat Evrard był tam porucznikiem.

- Kaltin, gratulacje dla porucznika Grudera. Niech jego ludzie zajmą się tymi zwierzętami. Dopilnuj tego.

- Dziwi mnie, że pojawiają się jeszcze w tak gęsto zaludnionym kraju - powiedział Gerrin.

- Mnie również - odrzekł Raj. - Ale to stado już nas opuszcza.

Zwierzęta badały teren, poruszając się szybkimi skokami. Niektóre patrzyły na drogę i rozchyłały pojedyncze, szerokie nozdrze, znajdujące się na czubku nosa. Jednym z nich był samiec, który po chwili podniósł szkarłatną, skórzastą krezę wokół karku i zagulgotał wyzywająco. Żadne stado w hrabstwie nie zachowywałoby się w ten sposób. Nauczyły się obawiać ludzi, choć posiadały niepokojące wyczucie odległości na jaką mogły strzelać karabiny.

“Krak”. Przewodnik stada skoczył w górę zadziwiającym, piętnastometrowym susem i wylądował wijąc się i uderzając wokół ogonem. Krak-krak-krak, trzydzieści karabinów w rękach ludzi, których życie zawsze zależało od celności strzału. Ciężkie pociski dum-dum trafiały sauroidy, wyrywając w ich ciałach wielkie jak pięść otwory wylotowe, z których wypływała krew o kolorze ciemnej cegły. Stado rozproszyło się jak szkło uderzone młotem kowalskim, ale żadne ze zwierząt nie zdołało uciec. Sierpostopy były istotami z równin, a instynkt podpowiadał im raczej ucieczkę niż szukanie schronienia w gęstych zaroślach, które miały za plecami.

Raj popatrzył w zachodzące słońce. Batalion zaszedł dalej bocznymi drogami w czasie ćwiczeń, niż kolumna transportowa zdoła przebyć przez cały dzień. Będą musieli pójść na skróty na północ i zachód, by się z nimi spotkać.

- Obedrzyjcie je ze skóry - powiedział. Serca i wątroby sierpostopów były dość smaczne, a z ogona dało się ugotować przyzwoity gulasz. Psy z radością zajmą się resztą. - A potem w drogę, wracamy.

\* \* \*

- Panie...

Raj rozejrzał się. To był młody porucznik Gruder. Wyglądał jak model swego starszego brata Kaltina, lecz wykonany w skali dziewięć do dziesięciu i pozbawiony pewności siebie.

- Chwileczkę, poruczniku - powiedział Raj i odwrócił się do właściciela ziemi, który podjechał do czoła kolumny dokładnie w chwili, kiedy mieli wyruszać.

- Przepraszam, messer...

- Minh, messer kapitanie - odrzekł szlachcic. Machnął ręką, by pokazać posiadłości. - Stevin Trahn Minh, strażnik Twinford.

- Raj Ammenda Halgern da Luis Whitehall - powiedział Raj, używając starszej i dłuższej formy, którą stosował w domu.

Trahn dosiadał kremowego wilczarza, który kosztował połowę rocznego żołdu Raja. Drugą połowę kosztowała wysadzana klejnotami spinka przytrzymująca pióra przy jego biece i klamra pasa przytrzymującego broń. Ubranie miał niemal agresywnie modne, tunikę o długich rękawach, koszulę z białego jedwabiu, workowate spodnie i zdobione buty. Pół tuzina jadących z nim gości wyglądało podobnie. Mieli też ze sobą małą armię pomocników.

- Muszę zaprotestować, messer - mówił dalej Minh. - Widząc tak wyraźne łamanie reguł gry.

- Reguł gry? - Raj zakołysał się w siodle, a zaskoczenie podziało jak fizyczne uderzenie. Oczekiwał skargi na zniszczenia w lesie i żądań rekompensaty. Nie było żadnego problemu, wypisz kwit i dowiedz się, jakim sknerą był minister finansów. Ale zasady gry?

- Messer, przyznaję, że siły Rządu Cywilnego mają prawo prowadzić ćwiczenia na mojej ziemi, ale umyślna rzeź moich carnosauroidów jest niewybaczalna! Prawo wyraźnie stanowi, że polowanie sportowe na ziemiach messera jest jego i tylko jego przywilejem. Te sauroidy zostały tu przywiezione przy ogromnych kosztach i kłopotach dla rozrywki moich przyjaciół - machnął ręką ponad ramieniem, pokazując jaskrawo ubrane towarzystwo. - To było ostatnie stado stąd aż do wybrzeża.

- Rzeź? - zapytał Raj. - Sierpostopów? Messer, usiłujesz powiedzieć mi, że trzymasz tu te szkodniki celowo! - Raj spojrzał na niego, wysokiego, smukłego mężczyznę o wąskiej twarzy i oczach tak czarnych, że źrenica nie różniła się od tęczówki. Około trzydziestki, w dobrej kondycji,

jakiej można oczekiwać od zapalonego myśliwego. - W hrabstwie Descott jest za nie nagroda.

- Ach. Descott. - jedna sylaba zawierała bardzo wiele znaczeń, podobnie jak twardy akcent hrabstw domowych. - Cóż, messer kapitanie - podkreślił tytuł, jakby Raj był szlachcicem tylko dzięki uprzejmości szlachty. - Tu jest hrabstwo Harzon, czyżbyś nie wiedział?

Raj usłyszał za swymi plecami poruszenie, kiedy oficerowie usłyszeli zniewagę rzuconą ich hrabstwu. Czy ten człowiek oszalał? zastanawiał się Raj, starając się opanować dudnienie serca w piersiach. Nie, zdecydował, patrząc w oczy, w których nie było śladu strachu ani wątpliwości. Była to twarz człowieka, który nie potrafił sobie wyobrazić sprzeciwu na własnym terytorium. Bez wątpienia Tranh mógł rzucić sumę, za którą można by kupić Hillchapel, na stół podczas gry, i śmiać się ze straty, ale potrzeba było arogancji w niespotykanych ilościach, by zachowywać się tak, kiedy Raj miał za swoimi plecami trzystu zabójców. Każdy giermek z Descott miał twardy kark kiedy stał w granicach swoich ziem, ale nawet największy ziemianin ze wzgórz nie miałby takiego tupetu.

Oczywiście tam, skąd pochodził, nadal praktykowano vendettę, i to nie tylko pomiędzy równymi. Snajper strzelający zza skały mógł zniknąć wśród kanionów i kto by wtedy powiedział, że to nie byli bandyci? Czasami cieszę się, że pochodzę z prowincji, zdecydował Raj. Nagle znowu wtrącił się głos porucznika Grudera.

- Panie, powinieneś to zobaczyć - w jego głosie było coś dziwnego. - Znaleźliśmy to, kiedy rozpruliśmy brzuch ostatniego sierpostopa.

Raj odwrócił się w siodle. Horace wahał z zainteresowaniem pysk wilczarza Minha. Tamten pies nie wiedział, co ma zrobić, nie chciał się zrewanżować, ale był zbyt dobrze wyszkolony, by się cofnąć. Twarz żołnierza jadącego obok Grudera była równie zielona jak twarz jego dowódcy. Miał w dłoni strzęp zakrwawionej skóry sauroida, a w niej kawałek czegoś na wpół przetrawionego. Dopiero po chwili można było rozpoznać, że była to noga, noga dziecka około sześciolatniego, sądząc po jej wielkości, na której ciągle pozostawały strzępy skózanego buta. Domowa robota, wiejski mokasyn, ale z wyszytymi niebieskimi kwiatkami na śródstopiu. Raj przełknął ślinę, przeniósł wzrok z żołnierza na Minha.

- I co? - powiedział.

- Mówiłem ci, messer, że trzymanie ich u siebie jest bardzo kosztowne - wzruszył ramionami. - Dopadły jeszcze dwóch szczeniaków, rozerwały zaprzęg doskonałych wołów i tylko Duch Człowieka Gwiazd wie, ile owiec. Zręczne bestie, dobry zakup.

Raj skierował psa do przodu, by znaleźć się na wyciągnięcie ręki od ziemianina. Horace napał barkiem na wilczarza, który próbował mu się odwzajemnić, ale ugiął się przed masą większego psa.

Pies uniósł wargi odsłaniając zęby i popatrzył w dół na smukłego psa Minha. Raj wyciągnął ramię i złapał nadgarstek ręki, która sięgała po psi bat.

- To, messer - powiedział - byłoby niemądre. Można by to zinterpretować jako napaść na oficera na służbie, surowo karane. - Mięśnie jego przedramienia napięły się. Minh próbował się uwolnić, ale odkrył, że znalazł się w uścisku porównywalnym tylko ze szczękami imadła. Popatrzył w dół, a jego oczy rozszerzyły się lekko, kiedy zobaczył, jak grube były przedramiona Raja. Descotczyk był potężnym mężczyzną, ale jego mięśnie robiłyby wrażenie nawet u kogoś o połowę większego. Palce zacisnęły się, a Raj poczuł, że kości wyginają się, zbliżając do punktu pęknięcia.

Co? powiedział do siebie. Żadnych straszliwych konsekwencji?

»Nic, co można ująć w obliczeniach« odrzekło obojętnie Centrum. »Działaj tak, jak uznasz za stosowne«. Minh syknął, jego usta pobieleły, a na czoło wystąpił pot.

- Przepraszam! - powiedział przez zaciśnięte zęby. Raj ścisnął jeszcze raz, a potem rozluźnił chwyt powodowany falą zadowolenia, które poczuł, widząc, jak w oczach mężczyzny pojawia się strach, prawdopodobnie po raz pierwszy od całych dziesięcioleci.

- Przyjęte, messer - powiedział Raj, pocierając rękę. Od lat nie zbliżył się tak bardzo do kresu wytrzymałości i nie chciał nawet myśleć o konsekwencjach, jakie by to przyniosło. - Twoja posiadłość, messer. Czy jest w jej granicach miasto? - było to określenie prawnicze, a nie opisowe i oznaczało cokolwiek większego niż wieś.

- Tak - powiedział Minh, wodząc wokół szklistym wzrokiem kogoś, kto nie wie, co się z nim dzieje. - Przy brodzie na Toluravir - był to lewobrzeżny dopływ Hemmar, który musieli tak czy inaczej przekroczyć w drodze na południe ku przełęczom przez Oxheady i ku hrabstwom granicznym.

- Oczekujcie dwóch batalionów z uzupełnieniami, staną na kwaterze jutro o zachodzie słońca - powiedział Raj cierpko. Minhowi zrzędła mina. Żołnierze zapłacą za zapasy, ale posłużą się przy tym wekslem rządowym... który można zrealizować we Wschodniej Rezydencji, odległej o dwa tygodnie drogi. Bankier wzięłby ten papier z 10-procentową zniżką. A poza tym zostaną opróżnione magazyny, które przyniosłyby przyzwoity dochód. - A teraz, czy mógłbyś odsunąć się z drogi, messer?

\* \* \*

Jadąc wzdłuż kolumny marszowej, Raj od razu zauważył Suzette, schodzącą z powozu kapitana Stansona. Machała do niego wesoło, a potem wyciągnęła rękę. Stanson pochylił się nad nią i złożył na jej palcach pocałunek. Zwyczajowa uprzejmość w przypadku oficera i messy, damy z klasy

messerów. Horace zaskomlał ze skargą w głosie, a Raj brutalnie ściągnął uzdę, zmuszając go do posłuszeństwa. Pies Suzette - Harbi - przywiązany był za uzdę do tylnej poręczy powozu.

- Och, Raj! - powiedziała jego żona, cała rozpromieniona. - Messer Stanson bardzo uprzejmie zaprosił mnie, bym jechała z nim i Mertą.

- Dobry wieczór, kapitanie Stanson - powiedział krótko Raj. Współdowódca wyprawy leżał rozparty na pochylonej tylnej kanapie powozu. Dach pojazdu opuszczono - był ładny, wiosenny dzień. Rudowłosa dziewczyna - Merta, przypomniał sobie Raj, była we Wschodniej Rezydencji krawcową czy kimś takim - siedziała po drugiej stronie pojazdu.

- Dziękuję za twoją gościnność, messer - mówił dalej, towarzyskie uprzejmości, dla których odpowiedniejsze było używanie tytułów towarzyskich niż wojskowych. Stanson wyglądał spokojnie i elegancko w swym nieskazitelnym białym mundurze ze złotymi lamówkami, był szczupły, twardy i przystojny. Raj doskonale zdawał sobie sprawę z tego, jak sam wygląda. Wszystkie błyskotki przy mundurze miał przybrązowane lakierem, podobnie jak cały Piąty, ociekał potem i był brudny, śmierdzał psem i prochem. Wyciągnął dłoń, zauważając dopiero teraz czarne obwódki za paznokciami.

- Ależ to żaden problem - powiedział Stanson, pochylając się w jego stronę i ściskając jego prawicę. - Doskonale się bawiliśmy, wspominając stare czasy. Kiedyś się już spotkaliśmy, wiesz przecież.

- Tak - skinął głową Raj. - Wiem.

Spotkali się, gdy Suzette w desperacji czepiała się towarzystwa, do którego nikt nie chciał jej przyjąć, poza ciotką, zubożałą szlachcianką jak ona sama. Podczas gdy ta młodziutka iskierka zaliczała przyjęcia i wydawała pieniądze ojca, Raj... Raj dzielił czas między ćwiczenia z bronią, nauczycieli i samotne polowania na wzgórzach, marząc ciągle o stanowisku oficerskim, chwale, czymkolwiek, co by przerwało tę monotonię.

- Messer Stanson zaprosił nas na kolację - powiedziała Suzette z cieniem ostrzeżenia w głosie.

- Tak, moglibyśmy przedyskutować nowy przydział - powiedział Stanson.

- Nowy przydział? - zapytał Raj. Boże, jestem zmęczony, pomyślał.

- Tak, mistrz żołnierzy z rejonu Wschodniej Rezydencji uznał za stosowne przysłać nam dwustu żołnierzy jako uzupełnienie. Z kontrasygnatą biura wicegubernatora, jego osobisty rozkaz. - Suzette opuściła nieco oczy. Anna, domyślił się Raj. - Musimy zdecydować, jak ich podzielić.

- Ależ Helmt - powiedziała przymilnie Suzette, używając jego imienia. - Sądziłam, że opowiesz

mi, jak udało ci się zatopić barkę starego Ebnazara podczas pikniku na wodzie! - uderzyła rękawiczkami w otwartą dłoń. - Wiesz, że masz więcej ludzi, niż możesz wykorzystać. A poza tym, wyglądają tak ładnie, wszyscy na tych pięknych alzatczykach, czy nie byłoby przykro wszystko zepsuć?

Stanson uśmiechnął się przyjaźnie i poklepał Suzette w dłoń opartą ciągle na drzwiczkach powozu.

- Oczywiście, moja droga Suzette, jakżeby inaczej - podniósł wzrok na Raja. - Uda ci się do nas przyłączyć, towarzyszu broni?

- Przykro mi - powiedział Raj kręcąc głową. - Będę musiał zwołać naradę oficerów i zająć się szczegółami. - A potem dodał z wyraźnie wymuszoną uprzejmością - Ale, Suzette, nie kłopotz się moją osobą. Spotkanie potrwa z pewnością najkrócej do 11:00. Ale może moglibyśmy zrewanżować się zaproszeniem za dzień lub dwa?

- Zrobione - powiedział Stanson, ignorując oczywistą nieszczerłość w głosie Raja. - Jesteśmy umówieni na pojutrze - odwrócił się do Suzette. - A dziś wieczorem załóż ten twarzowy komplet do jazdy. Jest olśniewający, moja droga.

\* \* \*

- Ponie - zaczął da Cruz.

- Wiem, wiem - powiedział krótko Raj. Przebrał się i umył w przejmującej ciszy, podczas gdy Suzette ubierała się na kolację.

Rozejrzał się wkoło. Były już dwie godziny po zachodzie słońca, a Miniluna świeciła pełnym blaskiem. Było dość światła, by zobaczyć równe szeregi namiotów Piątego, rozstawione tak, jak każdej nocy, z matematyczną dokładnością rozmieszczone wokół ognisk. Gdzieś rąbano drwa, a kilku żołnierzy śpiewało przy wieczornym posiłku. Powoli przejechał wierzchem patrol udający się na nocny zwiad. Kapral zasalutował energicznie z siodła, a Raj odwzajemnił pozdrowienie.

- Przybędzie nowy przydział. Bierzemy wszystkich.

Mistrz sierżant da Cruz wyglądał, jakby ugryzł pomarańczę i odkrył, że jest na wpół surowa.

- Nic nam po nich, ponie - powiedział. - Na dwóch chłopów jeden tylko z Descott, a do tego ich sierżanci, widzi mi się, że dobrze im tak, jak jest. A kompanie pierwsza i piąta mają tak mało chłopów, że jak ich uzupełnimy, to będzie ich mniej niż trzecia część stanu.

Raj skinął głową. Wszystkie kompanie w 5. Gwardyjskim z Descott rekrutowały się początkowo z gospodarstw szlachty hrabstwa. Dzierżawcy i właściciele stad zakładali mundury, by podążyć za swoim dziedzicem w służbę gubernatora, podobnie jak mogliby walczyć przeciwko bandytom albo w wojnie między rodzinami. Wraz z upływem lat brat szedł w ślady brata, a syn w ślady ojca, więc rzucanie obcych w ten tygiel bliskich powiązań równało się proszeniu o kłopoty. A skoro o tym mowa, przenoszenie ludzi z innych kompanii, by otrzymać lepszą mieszankę starych wyjadaczy i nowoprzybyłych wydawało się równie złym rozwiązaniem.

- Przedyskutuję to z dowódcami kompanii - powiedział Raj. Obowiązek to zwolnienie od troski, pomyślał, cytując święte księgi. - A ty zbierz ludzi, znajdź kilku, którym należy się awans i którzy zechcą przenieść się do pierwszej i piątej kompanii jako kaprale, sierżanci plutonów i tak dalej. - Oficerowie, którzy utrzymywali zaniżone stany osobowe woleli trzymać na służbie martwych podoficerów, gdyż otrzymywali dzięki temu wyższe pensje. - Dzięki temu nie dopuścimy do zalania tych kompanii nowymi.

Da Cruz skinął głową.

- Ponie - przerwa. - Chodzi jeszcze o naruszenie dyscypliny. Jak zobaczyłem, że wydaje pan rozkazy oprowiantowania, podpowiedziałem starszemu porucznikowi Staenbridge'owi, jak by pan chciał się z tym uporać. Proszę o wybaczenie za samodzielność, ponie.

- W porządku, zajmijmy się wszystkim.

Namioty starszych poruczników rozbito wzdłuż ulicy namiotów. Miały po dwa pomieszczenia, sypialnię, w której mieściło się łóżko polowe, i od frontu część biurowo-wypoczynkową, w której stał stół i kilka krzeseł. Kiedy pojawił się Raj, Staenbridge siedział przy stole ze swoim pomocnikiem i przeglądał jakieś papiery. Wstali energicznie i zaszalutowali, dotykając pięścią brwi, a potem wyciągając ją w górę w geście szacunku dla Gwiazd. Stał przed nimi żołnierz z miną winowajcy, a wokół jego stóp leżały dowody przestępstwa. Kilka innych osób wpatrywało się w światło rzucane przez latarnię zawieszoną na maszcie namiotu. Cały szwadron stał przed namiotem z bronią u nogi.

Raj odpowiedział salutując.

- Dobry wieczór, Gerrin - powiedział, przechodząc na nieformalny język, w każdym razie w rozmowie z oficerem.

- Raj - odrzekł mężczyzna. Uśmiechał się nieznacznie lecz szczerze. Zawarli układ wzajemnego, nieufnego szacunku, nie lubiąc się zbyt. Tak naprawdę, to podejrzewam, że bardzo bym go przypominał, gdybym utknął jako dowódca kompanii i nie miał widoków na nic więcej, pomyślał



Raj. Tym, co rzeczywiście mieli ze sobą wspólnego, było upodobanie do kończenia raz zaczętej roboty. Staenbridge był kiedyś na tyle zniechęcony, że zdążył zapomnieć, na czym polegała robota. Z konkretnym wojskowym zadaniem do wykonania szło mu znacznie lepiej.

- Chorąży Foley - mówił dalej Raj. Nadanie chłopcu stopnia wydawało się najrozsądniejszym wyjściem. No i do diabła, były gorsze sposoby na poznawanie świata niż jako nowicjusz w wojsku, szczególnie skoro jego urodzenie było wręcz idealne. Młodzieniec skinął głową i wyjął jakieś papiery.

- Masz jakieś problemy, Gerrin? - ciągnął Raj.

- Nie - odrzekł mężczyzna. - To jeden z moich żołnierzy ma problemy. Sierżancie?

- Żołnierz Antin M'lewis, wystąp! - warknął da Cruz.

Żołnierz był raczej szczupły jak na Descotczyka, a jego ostrzyżone na donicę czarne włosy miały ceglasty odcień. Kulał trochę na jedną nogę, a na jego czerwonych spodniach widać było rozdarcie. Za nim leżały rzucone na kupę dwa świńskie truchła, dokładnie wypatroszone, a wszystkie jadalne organy wewnętrzne umieszczono w płóciennych torbach i wepchnięto z powrotem. Obok leżała jeszcze jedna torba, pełna cebul, suszonych jabłek i fig. Był w niej też bochenek ciemnego chleba i gliniany dzbanek.

- I wy też, gnojki! - dwóch wojskowych służących wystąpiło przed szereg. Każdy ośmioosobowy szwadron miał prawo do jednego sługi, ale ta liczba bywała często znacznie przekraczana.

- Jest z Trzeciego z Pierwszej - powiedział Gerrin. - Salman-Nkita Salman, porucznik 3. plutonu I. Kompanii jest na nocnym patrolu, więc to ja cię tu wezwałem - podniósł lekko głos. - Skarżący, wystąp - przed szereg wystąpił rolnik, przygięty do ziemi ciężarem lat, ubrany w lnianą koszulę rezerwowaną na wyjścia do kościoła w Dzień Gwiazdy. Na nogach miał drewniane chodaki.

- Ta, m'panie - powiedział i klęknął na jedno kolano, tylko po to, żeby po chwili wstać, widząc skinienie głowy Gerrina. - Koleman się zwę, panie. Ziemię dzierzawię od messera Trahn Minha i płacę ziarnem u jego poborcy na Pękniętym Wzgórzu. Dwa razy po dziesięć lat już noszę tam zboże i Duch Gwiazd mi świadkiem, że nigdy nawet mnie batem do roboty nie pędzili.

- Tak, tak, dobry człowieku - powiedział Gerrin. - Mów dalej.

- Ta, m'panie. Wyszli my na pole popatrzeć, czy tytoń dobrze rośnie, ja i moi synkowie, i mój zięć. Przypędził do nas mój wnuk, Tuk, i mówi, że w domu źle się dzieje. To my do domu. A tam ów wojak - wskazał palcem żołnierza M'lewisa - skacze i biega koło drzwi do chałupy. Te dwa inne, te niewolne... - słudzy, jako wolni ludzie poruszyli się niespokojnie, ale szybko opuścili głowy pod

spojrzeniem podoficera - odjeżdżają na wozie. Z moimi świniami. Wojak wskakuje na psa i też w nogi. Ta. Pytam tedy moją żonę i córę, co się działo. One mi na to, że wojak przyjechał i wepchnął je do domu, a niewolnym kazał sprawić świnie. Jak już ich posłał, zaczyna gadać do mojej córki - durny bękart - i wpycha ją do środka, mówi, że ma pieniądze. Łapie ją za cyce. No to ona zaczęła kopać i gryźć, a moja stara wyskoczyła i łup chłopaka chochlą od gorących otrąb w nogę. Potem drzwi pozamykały, jak się ten tu wydzierać zaczął.

Farmer znowu pochylił głowę.

- My są ludzie uczciwi, m'panie. Płacimy podatki i dziesięcinę i czynsz, chodzimy do Kościoła co drugi Dzień Gwiazdy. Grzechy wyznajemy przy terminalu. Wojak to nie messer, żeby mi świnie brać albo córkę za cycki łapać. Po sprawiedliwość tu przychodzę.

Gerrin zamrugał oczami, ale zachował obojętną minę, choć Raj zauważył, że nie przyszło mu to łatwo.

- Zrozumiałem, że kobiety były bezpośrednimi świadkami. Dlaczego ich tu nie ma?

Wieśniakowi opadła szczęka.

- Bab, m'panie? Można zamiast baby i kurczaka na sąd prowadzić, ale po co?

Raj uniósł brwi. W Descott kobieta przestreliłaby intruza na wylot ze śrutówki i odcięła mu głowę, żeby mężczyźni znaleźli ją po powrocie do domu, i kpiłaby z tej przygody na każdym wiejskim jarmarku przez rok i dziesięć dni... Cóż, było tylko jedno hrabstwo Descott, a szkoda. Choć niektóre z innych prowincji były równie twarde.

Gerrin spojrzał na niego. Był to zarówno test, jak i uprzejmość.

Raj skrzyżował ramiona i przemówił.

- Mistrzu sierzancie, przebieg służby tego człowieka?

- Zaciąg na dziesięć lat, odsłużył siedem - powiedział da Cruz. W miarę jak mówił, jego głos nabierał isticie oficerskiej manieri. - Strzelec wyborowy pierwszej klasy, obserwator. - Dobry strzelec, potrafił czytać i pisać, obie jego dodatkowe umiejętności oznaczały ekstra zarobek. - Złoty medal za męstwo w czasie walk na wyspie Stern. - Z twarzy żołnierza zaczęło znikać zdenerwowanie. - Dwa razy awansowany na kaprala, dwa razy degradowany. Uderzył przełożonego po pijanemu, okradł towarzysza broni. - Znowu się zdenerwował i patrzył na Raja kątem oka.

Coś w rysach twarzy żołnierza i brzmienie jego nazwiska poruszyły w pamięci Raja jakąś strunę.

- Ojczysta parafia, szeregowy? - miękko - To poważna zbrodnia kłamać w czasie przesłuchania,

żołnierzu.

Mężczyzna przełknął ślinę.

- Parafia Bufford, ponie - powiedział stanowczo.

Da Cruz uśmiechnął się szeroko, a Gerrin zasłonił usta dłonią, by zamaskować parsknięcie. - Messer kapitanie! - krzyknął żołnierz. - To niesprawiedliwe, wielu jest uczciwych ludzi w parafii Bufford!

- I tam pozostają, tu ich nie widzimy - powiedział da Cruz.

- Powstrzymajcie się od samowolnych komentarzy, mistrzu sierżancie - powiedział Raj, przypominając sobie jednocześnie stare powiedzonko: "Zwykły bandyta z Descott ukradnie ci owcę i zgwałci córkę. Człowiek z parafii Bufford sprzeda twoją córkę, bo mu lepiej zapłacić i zadowolony się zgwałceniem owcy".

- A jaka jest twoja wersja historii, żołnierzu?

- To kłamstwa, same kłamstwa - powiedział z uczuciem M'lewis. Jego twarz wyrażała oburzenie. - Kupiłem jedzenie za żywą gotówkę, ponie, naprawdę. A potem ta kobieta, złapała mnie za fiuta i pociągnęła w krzaki, a potem krzyczała, że gwałcą, kiedy jej mężczyźni wrócili do domu!

- No to pokaż nogę - powiedział Raj. Żołnierz pozostał przez chwilę w bezruchu, a potem popatrzył na wieśniaka tak, że starzec aż się wzdrygnął. Potem pochylił się i podwinął nogawkę.

- Prawą nogę, M'lewis. Tę, na którą utykasz, człowieku. Nie trać czasu kapitana.

Na umięśnionej nodze żołnierza widać było świeże oparzenie.

- Cóż, to przesądza sprawę - Raj skinął głową w stronę kupy mięsa. - Czy wiesz, jaką karę wymierza się za nieautoryzowane plądrowanie na ziemiach Rządu Cywilnego, żołnierzu M'lewis?

- Ach - pełen nadziei uśmiech, ukazujący poczerwiałe od tytoniu zęby. - Odebranie racji rumu, ponie?

- Chłosta.

- Messer kapitanie. Jestem wolnym człowiekiem i do tego Descotczykiem!

Raj skinął głową.

- I dlatego zmniejszam karę do odebrania miesięcznego żołdu, miesiąca karnej musztry i miesiąca... bez rumu - napotkał spojrzenie żołnierza: patrzył jak pies, który odegrał właśnie lekcję opieki nad owcami. - I uważaj się za szczęśliwego - mówił powoli dalej - że nie dodałem do tego

próby gwałtu i dezercji w obliczu wroga. Zapis twojej służby mówi, że jesteś dobrym żołnierzem, M'lewis. Nie zmuszaj mnie, żebym cię powiesił.

- Ponie.

Raj skierował wzrok na dwóch służących.

- Dajcie im po dwadzieścia cztery bity i po wiadrze słonej wody - powiedział. Służący zaczęli zawodzić, a żołnierze przewrócili ich na ziemię i poprowadzili na miejsce wykonania wyroku. Raj skierował wzrok na Gerrina, który skinął głową.

- Musimy trzymać wszystko pod kontrolą - powiedział Raj. - To nie tylko złe, to także niekorzystnie wpływa na dyscyplinę. Mistrzu sierżancie, ogłosicie jutro w czasie musztry, że zakazuje się wszelkich prywatnych zakupów, niczego poza tym, co kupcy przywożą do obozu. Wszelkie potrzebne rzeczy kupuje hurtowo kwatermistrz. Tylko ludzie wyznaczeni przez kwatermistrza mają prawo opuszczać obóz w celu zakupów prowiantu.

- Ponie! - da Cruz zaszalutował, odwrócił się na pięcie i odmaszerował.

- Ach, kapitanie - odezwał się chorąży Foley, podnosząc głowę znad grafiku musztry, nad którym pracował.

- Chłopcze?

- Drugi... cóż, ludziom się nie spodoba, że oni mają takie ograniczenia, a Drugi nie. Myślę, że oni... szemrają. - Zaczerwienił się i spuścił wzrok na swoje dłonie i pióro.

- Dobrze pomyślane, chłopcze... chorąży - powiedział Raj. Gerrin z dumą objął młodzieńca ramieniem. - Ale będziemy musieli z tym żyć. Jeśli pozwalasz żołnierzom, by zachowywali się jak szakale, nie oczekuj, że będą walczyć. Grabież i gwałt to ich przywileje na obcej ziemi, a nie wśród własnych ludzi. W przeciwnym razie bylibyśmy bandytami... - Raj uśmiechnął się ze zmęczeniem. - I wiem dobrze, że za moimi plecami nazywają mnie Mosiężnym Tyłkiem. Kiedy żołnierz przestaje szemrać, martw się, kiedy Descotczyk przestaje szemrać, spodziewaj się noża w plecach... A przy okazji, skoro mowa o Drugim, to jutro przychodzi do mnie na obiad Stanson i byłbym wdzięczny, gdybyś przyszedł. Tak naprawdę - zakaszlał zażenowany - to byłbym wdzięczny, gdybyś pożyczył mi swojego kucharza, Gerrin.

## Rozdział siódmy

- Wcale niezłe - powiedział Stanson, opierając się wygodnie na krześle i pijąc małymi łydkami wino. - Dziwi mnie, że nie ma więcej tych win w stolicy.

- Kiepsko znoszą transport - odrzekł Staenbridge. - Ciesz się nim, póki je masz. Za przełęczami wino jest gęste jak syrop i trzeba je rozcieńczać wodą, a poza tym dodają do niego sosnowej żywicy.

Znowu zapadła cisza. Nie był to specjalnie rozrywkowy wieczór, w tym namiocie rozpiętym pod sztandarem Piątego. Po pierwsze Stanson przyprowadził ze sobą Mertę. Nie byłoby problemu, gdyby to było męskie spotkanie, ale przy stole siedziała zamężna szlachcianka, co czyniło ten gest obraźliwym. A w każdym razie prostackim, nawet jak na obóz wojskowy. Zaczęli od pstrąga z patelni, łatwego do zdobycia na nizinach. Jako główne danie pieczona jagnięcina nadziewana ostrymi kiełbaskami i podana na szafranowym ryżu z dodatkiem sałatek i gotowanych warzyw. Kucharzowi Staenbridge'a udało się nawet ubić czekoladowy koktajl, co w warunkach polowych graniczyło z cudem.

Raj uśmiechnął się do siebie. Spodziewałeś się, że zniżysz się do stada małp z dziczy, co? pomyślał. Staenbridge okazał się być smakoszem i oenofilem. Kaltin Gruder i jego brat znali się doskonale na modzie i psach wyścigowych. Młody Foley posiadał isticie encyklopedyczną wiedzę na temat klasycznego dramatu... I na żadnym z nich nie wywarła wrażenia reputacja, jaką ich gość zdobył w pojedynkach. We Wschodniej Rezydencji mógł uchodzić za zabójczego dżentelmena, ale pozostali siedzący przy stole mężczyźni byli wychowywani w duchu zemsty krwi. Stanson spędził w końcu większość czasu, rozmawiając z Suzette, która przeszła swobodnie na pałacowy żargon, wcale nie tracąc rezonu - ich prywatny język, pełen niezrozumiałych dowcipów i złośliwości.

Raj wyciągnął dłoń z kielichem do służącego, a potem wypił. Staenbridge mrugnął i też się napił.

- Kapitanie?

W wejściu do namiotu pojawił się kapral ze szwadronu pełniącego wartę, stanął na baczność i zasalutował.

- Kapitanie, cosik tu jest dziwnego. Kobita tam jest, co cosik godo o bandytach i prawi, że wyznocie jej chłopca. Dziwnie godo, ni chuja nic z tego nie rozumiem. Przepraszam ponie, pani. - Nie należało się temu dziwić. Akcent podoficera był gęsty jak smoła, a miejscowy wiejski dialekt bardzo się od niego różnił.

Raj wstał, zadowolony, że jeśli coś się miało wydarzyć, wydarzyło się, zanim zaczęli porządnie

pić, bo jeśli kiedykolwiek miał mieć ochotę na bójkę po pijanemu, to było to właśnie dzisiaj. Zobaczył kobietę chwiejącą się pomiędzy dwoma żołnierzami. Spod nieporządnie założonej na głowę chusty wymykały się kosmyki szpakowatych włosów, pomarszczona twarz zapadała się na niemal pozbawionych zębów ustach, ciało przypominające bezkształtny worek kartofli okryte było porządną wełnianą spódnicą z jakimś haftem na brzegu i ziemistoszarą, lnianą bluzką. Miała pewnie około czterdziestki...

- Spawiedliwość, m'pnie - wymamrotała. Z jej osobliwego dialektu, połączonego z brakiem użębienia i wyczerpaniem, rozumiał co trzecie słowo. - Pomós nom. - Klękając wyciągnęła przed siebie spracowane, sękate i pokryte zaschniętymi pęcherzami dłonie.

- Zaczekaj - powiedział. - Kiwaj głową, tak czy nie. Wczoraj był tu twój mąż? - Tak. - Bandyci napadli na waszą farmę i sądzicie, że ciągle tam są? - Tak. - Potrafisz nas poprowadzić? - Tak. - Czy ludzie, którzy was zaatakowali nosili mundury? - Pokazał palcem swoją własną błękitną tunikę. Jeśli to ten drań M'lewis z parafii Bufford, powieszę go na wysokim drzewie - kobieta popatrzyła na niego z niepewnością, potem jeszcze bardziej niepewnie na ubranego na biało Stansona i pokręciła głową.

- Dobrze - powiedział Raj. Wyprostował się, zapiął kurkę i wziął z oparcia krzesła pas z szablą i pistoletem. - Wezmę...

- Mnie na pewno - powiedział Gerrin Staenbridge. Foley również wstał, a za nim Kaltin i Evrard Gruderowie, a także kilku innych, których zaprosił.

Stanson roześmiał się i odwrócił, nie zauważył więc, że po raz pierwszy tego wieczoru Suzette mu nie zawtórowała.

- To zupełnie jak w starych piosenkach - powiedział. - Bohater i jego wierni towarzysze wyruszają zabić potwora i uratować... - jego wzrok spoczął na łkającej wieśniaczce, a twarz przybrała wyraz, jakby zeskrobywał sobie coś z buta - ... piękną panią. - Skrzywił się. - Właściwie myślałem, że to sprawa dla konstabli parafii, ale z przyjemnością do was dołączę - odsunął krzesło i wstał.

- Ależ nie, spróbuj deseru - powiedział Raj, patrząc beznamiętnie, jak mężczyzna osuwa się z powrotem na krzesło i sięga po kieliszek z winem.

- I zostaw nam trochę koktajlu - dodał Gerrin szczerząc zęby, wsadzając w niego palec i oblizując go. - Bardzo trudno jest tu zdobyć świeże składniki, wiesz?

Stanson zamaskował ziewnięcie wierzchem dłoni.

- Oczywiście - powiedział i sięgnął po suszoną figę z kompotiery, sięgając ponad piersią Merty. Zignorował ją zupełnie, patrząc cały czas na Suzette. - Ciągłe będzie tu pewna piękna dama. Będziemy śpiewać pieśni i plotkować aż do świtu, czekając na wasz powrót.

Wychodząc z namiotu Raj zobaczył, z jaką nienawiścią patrzy na tamtą parę Merta.

\* \* \*

Powietrze na zewnątrz było chłodniejsze i suchsze. Znajdowali się o sto metrów od terenów zalewowych rzeki Hemmar a większa wysokość geograficzna z nadwyżką rekompensowała mniejszą szerokość, w miarę jak posuwali się na południe. Księżycy świeciły ponad Oxheadami na południu, sprawiając, że ich szczyty lśniły jak srebro lub sól w miejscu, gdzie wiązały się z Łańcuchem Wybrzeża. Przełęcze to zimne, wysoko wyniesione przejścia, za którymi jest zejście na gorące równiny hrabstw granicznych, wzgórza przechodzące w skąpe pastwiska, a potem w erg głębokiej pustyni, na której, poza okolicami słonych jezior lub rzek, nic nie rosło. Tam właśnie czekali na nich Koloniści.

Ktoś przyprowadził z ciemności psa. Tym kimś okazał się być da Cruz, na którego poznaczonej bliznami twarzy ślizgał się promień latarni.

- Pomyślałem, że będzie mnie pan potrzebował - powiedział.

- Pozytywna plaga ochotników, ehm, to znaczy wiernych towarzyszy? - powiedział cicho Kaltin Gruder, chichocząc. Raj uderzył rękawicami w dłoń.

- Pięć minut, panowie - powiedział. - Evrard - mówił dalej, a młodszy Gruder wyprostował się - sprowadź tu swój pluton... dwadzieścia siedem strzelb, prawda?

- Dwadzieścia pięć, panie, dwaj ludzie w czasie rotacji.

- Oczywiście. Pozostali, szable i broń osobista, proszę - przerwał. - Och, Foley - młodzieniec wyprostował się, gotów bronić swego prawa do wyruszenia na wyprawę. - Znajdź sobie coś o większej sile rażenia, dobrze? - wskazał gestem ośmiomilimetrowy pistolet u pasa chłopca.

- Mam coś odpowiedniego - odrzekł Foley. Wszyscy na chwilę umilkli, a potem odwrócili się, kiedy Raj zakładał rękawice.

- Panowie? - powiedział. - Dziękuję.

Psie łapy niosły ich przez noc szybkim kłusem pod gwiazdami i księżycem, wybijając cicho rytm na powierzchni z tłuczonego kamienia. Trzask i szelest wyposażenia rozlegał się głośniej, ale nie

dość głośno, by zakłócić spokój nocy. Na trawie zaczęła się osadzać rosa, wydobywając intensywny zapach zbóż i drzew, słodki zapach miejscowych roślin. Siedzącą na łąku jego siodła kobietę również było czuć - intensywny, suchy smród, jak wół, który pracował na słońcu, nie gorszy jednak, niż roztaczał żołnierz będący w polu od tygodnia czy dwóch. Prawdziwym utrapieniem były zwierzątka, które wylaziły z jej ubrania i kąsały Raja. Kobietą od czasu do czasu wstrząsały napady łkania, a Raj klepał ją pocieszająco po ramieniu.

- Tutaj - powiedziała, pokazując palcem.

Główny szlak wojskowy skręcał tu na wschód, a droga lokalna prowadziła nadal na południowy wschód. Po jej bokach rosły drzewa eukaliptusa, które wypełniały nocne powietrze silnym, przypominającym lekarstwo zapachem. Drogę stanowił pas ubitej ziemi, szerokiej na tyle, by pomieścić jeden wóz, choć utrzymywano ją w dobrym stanie. Raj podniósł rękę.

- Hej! - odezwał się cicho da Cruz, a cała kolumna się zatrzymała.

- Jak daleko?

Przez chwilę przysłuchiwał się mamrotaniu kobiety i klął w duchu. Najwidoczniej nigdy nie słyszała o kilometrach i oceniała odległości pod względem czasu jaki zajmuje przejście ich. Obóz wojskowy był najdalszym miejscem, w jakim była, a wszystko, co znajdowało się jeszcze dalej, było obcymi krajami, krainami legend i potworów.

- Ehm, ponie - rozległ się głos.

Raj pomógł kobiecie zsiąść z siodła i odwrócił się w tył. Był to żołnierz Antin M'lewis. Siedział prosto w siodle i obojętnie patrzył przed siebie.

- Co wy tu do kurwy nędzy robicie, szeregowy? - zapytał Raj.

- Staram się odzyskać rację rumu, ponie - odpowiedział mężczyzna. Wyraz twarzy miał przepisowy, ale... - Pomyślałem, że mnie pan kapitan będzie potrzebował, bo znam teren.

No, trzeba mu przyznać, że tupet to on ma, pomyślał Raj.

- Gadaj - dodał i gestem uspokoił kobietę, która poznała M'lewisa i zadrżała.

- Narysować na piasku mapę, ponie?

Raj przywołał da Cruza i wyszeptał rozkaz, by wszyscy zsiadli z psów, a potem przyciągnęli wierzchowce do ziemi. Noc nie była nieprzenikniona, a oni nie chcieli być zauważeni, dopóki nie uderzą. M'lewis wyrównał dłonią piasek i zaczął rysować na nim palcem.

- Ponie, tą drogą to się już jedzie niedaleko - powiedział rzeczowo. - Dalej są rozsiane farmy, jak



wszędzie tutaj. - W Descott budowało się samotne osiedla wokół placów i grodziło murami. - Stodoła przy drodze, dziesięć metrów za nią dom, szopy i tak dalej, kurnik i ogródek kuchenny. Niedaleko wcześniej droga skręca, iść trza cicho, to się nie pokapują, dopóki im nie wsiądziemy na tyłki.

- Dobrze, bardzo dobrze - powiedział Raj. - Trzeba, żeby ktoś poszedł przepatrzeć teren.

- Macie już do tego człowieka, ponie - powiedział wesoło M'lewis. Wstali, a ich oczy spotkały się na długą chwilę. Uśmiech żołnierza zgasł.

- Dobrze, człowieku - powiedział w końcu Raj. - Zajmij się tym. Znajdziesz nas - kiwnął głową w prawo - jakieś pięćset metrów w tamtą stronę.

M'lewis skinął głową. Ku zaskoczeniu Raja nie poszedł do siodła po swoją strzelbę, zamiast tego zdjął kurtkę i buty, i przewiesił je wraz z pasem z szablą przez siodło. Miał na sobie czarną, bawełnianą koszulę, nie szarą, jakie nosiła większość żołnierzy. Chusta, którą wyjął i owinął sobie wokół głowy, była tego samego koloru. Wziął ze sobą tylko drugi, zakrzywiony nóż w pochwie i zawiesił go na pasku tuż pod kręgosłupem, a potem wyjął coś z kieszeni. Raj podszedł bliżej, by zobaczyć, co to takiego. Był to drut z drewnianymi rączkami na obu końcach. M'lewis przewiesił go uważnie przez pas, tak by łatwo go było wyciągnąć. Potem schylił się i roztarł sobie na twarzy ziemię.

- Jak za starych czasów w domu, ponie - powiedział i zniknął w ciemności.

- Evrard - powiedział Raj.

- Panie?

- Zostaw czterech ludzi do pilnowania psów. Pójdziemy w szeregu, tylko proszę o ciszę, i zaczekamy. Zapasowe magazynki, broń załadowana. Cisza to nasze hasło, panowie - powtórzył do otaczających go ludzi, wyjmując pistolet i obracając bębenek dla pewności. Przyzwyczajenie, ale to właśnie przyzwyczajenia ratowały ci życie albo cię zabijały.

- Naprzód, towarzysze - wyszeptał Kaltin Gruder, a pozostali roześmiali się cicho. Wydawali się zachwyceni swoim archaicznym przydomkiem.

Podoficerowie powtórzyli rozkazy, a ludzie zostawili leżące psy, szepcząc im stanowczo do uszu "Zostań!". Rozległa się seria "klik-klik", kiedy zakładali pod lufami bagnety, a potem oleisty odgłos pocisków wprowadzanych do lufy. Raj usłyszał, jak sierżant plutonu sprawdza poszczególne szwadrony i składa im żarliwe obietnice.

- I wytnem wam nowe dziurka w dupie, jak któryś z was gnojki skrewi, rozumieją?

Przez drzewa przedzierała się na drogę tylko wąska smuga księżycowej poświaty. Ludzie z Piątego szli w grupach po obu stronach drogi, zmieniając się co jakiś czas. Szli robiąc zadziwiająco mało hałasu, ale w końcu byli myśliwymi. Częścią treningu młodych chłopców w domu było wysyłanie ich ze strzelbą i jednym pociskiem, i jeśli nie wrócili ze zdobyczą, czekało ich bicie i brak kolacji. Raj poczuł słodko-drożdżowy aromat jęczmienia, jeszcze w stadium, kiedy w kłosach jest mleko, rosnącego tuż za niskim, glinianym murkiem po jego lewej. Woda bulgotała w kanale irygacyjnym, a blade, srebrne światło przeświecało przez liście. Dobra kryjówka, pomyślał, pokazując gestem, by ludzie się zatrzymali. Kolumna przystanąła, a ludzie przyklękli na jedno kolano.

- Chyba widzę światło, jakieś czterysta metrów przed nami, po lewej - szepnął Foley. Gerrin położył palec na ustach. Raj wyteżył wzrok. Nic, ale przecież Foley miał młodsze oczy. Do cholery, przestań być młodzieniaszkiem, a zaczniesz umierać, pomyślał i w tej chwili nad ogrodzeniem przeskoczyła jakaś postać i wylądowała na niosących ją bezszelestnie bosych stopach.

- Ponie - powiedziała i natychmiast wymierzono w nią tuzin bagnetów. To był M'lewis. Raj zbliżył się do swoich towarzyszy. - Nie ma problemu, ponie. Nie ma tam bandytów. Tylko przystojniaczki z Drugiego.

- Liczebność i rozmieszczenie, M'lewis - zapytał Raj.

- Cztery wozy na podwórzu, psy rozproszone, jedzą inwentarz, który wybiły. Mężczyźni i chłopcy - czterech albo pięciu, chyba, rodzina i może niewolnik - zamknięci w jednej z szop. Sześciu, może siedmiu z Drugiego, oficerowie i szlachcice z dziewczkami i niewolnikami, bawią się dosyć głośno. Nie ma wart. - M'lewis wydawał się być tym zasmucony, odruchowo dotykając garoty, którą miał przy pasku.

- Co zrobimy, Raj? - zapytał Gerrin. Podkreślając jakby jego pytanie, z oddali rozległ się krzyk.

Raj otworzył usta. No dobrze, jak by tu i teraz odpowiednio powiedzieć "zabić ich wszystkich"? pomyślał. Wtedy...

»Obserwuj.«

\* \* \*

... żołnierze Drugiego padają pod ich strzałami krzycząc, gdy Raj i jego towarzysze wpadają do kuchni rolników. Sięgają po broń, padają, umierają sieczeni ołowiem. Słudzy i kochanki błagają o życie, zasłaniając twarze dłońmi, a żołnierze z Piątego kłują raz po raz bagnetami. Krew gęstnieje na podłodze, zachlapuje ściany i sufity czerwonymi smugami...

... twarz Stansona za pistoletem podczas pojedynku. Tym razem inne miejsce, inny Raj stoi na nagiej ziemi przy drodze. Widzowie, Trahn Minh z satysfakcją wypisaną na jego szczupłej, aroganckiej twarzy. Suzette o ustach białych od zdenerwowania. Stanson parska, podnosząc pistolet łagodnym łukiem, kiedy chustka opada na ziemię...

... Stanson pada na ziemię, kiedy szabla Raja sięga jego gardła...

Tewfik wjeżdża konno w morze, a armia Kolonistów za nim wiwatuje, patrząc na niego spod wielkiego, zielonego sztandaru, łopoczącego na wietrze.

\* \* \*

- ... postąpimy zgodnie z regulaminem - powiedział Raj. - Nie strzelać - następne słowa z trudem przechodziły mu przez gardło - do żołnierzy Rządu Cywilnego, chyba że w samoobronie albo na mój rozkaz. Czy to jasne?

- A co z ciurami obozowymi? - zapytał Kaltin.

- Mięso armatnie, ale nie zaczynajcie niczego, dopóki nie będą próbować walczyć albo uciekać. Najlepiej będzie zostawić na zewnątrz pluton jako siły blokujące, chyba że zrobi się gorąco. Evrard, wyślij swojego sierżanta plutonu, niech weźmie połowę swoich ludzi i M'lewisa. Reszta pójdzie z nami, i zabezpieczy dziedziniec i pojazdy. Z szumowinami w środku sami sobie poradzimy. Za mną. Zrozumiano? - chór przytaknięć. - Ruszamy, ludzie.

\* \* \*

Raj oparł nogę o zasuwę drzwi. Rytmiczne krzyki dochodzące od strony zabudowań ucichły jakąś minutę temu, ale teraz zaczęły się znowu, cichsze i bardziej piskliwe i przytłumione, jakby dochodziły z odleglejszego pomieszczenia. Chata była kwadratowa, miała jedno piętro, ściany z bielonych glinianych cegieł, a na dachu brakowało dachówek. Pewnie w środku była wielka kuchnia-jadalnia, a z tyłu sypialnia, na górze mały stryszek. Stary farmer leżał na zewnątrz, ściskając kurczowo drewniane widły, z oczami wpatrzonymi w niebo. Można było rozpoznać jego twarz, nawet mimo tego, że wyprowadzone od niechcienia cięcie szablą odcięło jej połowę, zostawiając płat skóry i mięsa odsłaniającego różową kość i rozciągającego twarz w wiecznym uśmiechu. Ośmionogie miejscowe półtrobaki chodziły po języku, próbując dostać się do oczu.

Powietrze śmierdziało biedą, psim gównem, krwią i gotowaniem. Przez drewniane drzwi dochodziły odgłosy uczyty i fragment jakiejś piosenki, zagłuszając niemal krzyki. Biały dym unosił się z glinianego komina na środku dachu.

- Raz - powiedział Raj. Tuż za nim rozległ się cichy, metaliczny dźwięk. Foley wziął broń o większej sile rażenia, to dobrze. Dubeltowa śrutówka, przycięta do rozmiaru broni do tłumienia zamieszek, kaliber około osiemnastu.

- Dwa. - Przy nim Gerrin, pistolet w jednej dłoni, szabla w drugiej, drżący z niecierpliwości. Za nim Kaltin podwijający obojętnie jeden rękaw i usta Evrarda poruszające się w modlitwie. Na okaleczonej twarzy mistrza sierżanta da Cruza malował się większy spokój, niż Raj kiedykolwiek na niej widział.

- Trzy. - Raj poczuł, jak słowo zawisa w powietrzu i staje się oślepiająco jasne, a uwaga wszystkich skupia się na tym diamentowym blasku. Czuł w ustach metaliczny posmak, gdzieś w głowie świadomość, że za kilka sekund może nie żyć. Być bezimiennym trupem na tym nędznym, małym podwórku, na którym nic się nigdy nie działo, powtarzały się tylko cykle nędzy... A oni mieli przed sobą zadanie.

Podeszwa buta trzasnęła w słabe, sosnowe deski drzwi, które wystrzeliły z zawiasów w deszczu drzazg. Wejście mieli otwarte. Raj strzelił w sufit, a potem odsunął się, by wpuścić innych.

Chwilę zajęło, zanim wszyscy w pokoju znieruchomieli. Pomieszczenie miało kształt litery L, obramowywało z dwóch stron sypialnię, do której prowadziły jedne, wiklinowe drzwi. Na ścianie w krótszej części litery L były jeszcze jedne drzwi, prowadzące na tylne podwórko i do studni. W dłuższej części stał stół, zastawiony resztkami po uczcie, pieczonymi prosiakami, gęsiami... kurczaki obracały się jeszcze na rożnie, a wokół glinianego dzbana z żółtawym płynem stało wielu chętnych z kubkami. Raj popatrzył na naczynie i przestał się dziwić tępemu wyrazowi twarzy, jaki miało wielu uczujących. Był to tutejszy samogon, destylowany ze skórek winogron pozostałych po wyciskaniu soku na wino, i miał kopa jak sierpostop.

W pomieszczeniu były cztery kobiety, które Raj uznał za członków rodziny - od jednej, która wyglądała na apetyczną czterdziestolatkę, choć z pewnością miała co najmniej dziesięć lat mniej, do dziewczyny, która dopiero dorastała. Raj mógł to powiedzieć z dużą pewnością, bo podobnie jak pozostałe kobiety miała na sobie tylko siniaki i brud. Trzy starsze kobiety gotowały i usługiwały, a najmłodsza klęczała przed oficerem 2. Żandarmerii, poruszając rytmicznie głową w górę i w dół. Mężczyzna gładził jej włosy. Uśmiechał się marzycielsko, opierając czubek bojowego noża na skórze między jej karkiem a obojczykiem. Wokół stołu siedziało jeszcze czterech oficerów w poplamionych,

białych mundurach. Wokół kręciło się co najmniej trzy razy tyle służących, kochanek i pomocników. Wszyscy, cokolwiek robili, zamarli na dźwięk wystrzału, przerywając pijacki sen, wymiotowanie, śpiew czy energiczne parzenie się.

Najstarsza z wieśniaczek krzyknęła rozdzierająco, kiedy drzwi otworzyły się. Najmłodsza cofnęła głowę znad krocza oficera i czując, że ostrze noża nie dotyka już jej skóry, odczołgała się na czworakach do ściany i schowała pod ławą, zaciskając oczy. Zapadła cisza, kiedy zza pleców Raja wyszli jego towarzysze. Cisza, poza jeszcze jednym, ostatnim wrzaskiem z sypialni. Drzwi do niej otworzyły się z trzaskiem i wyszedł przez nie mężczyzna w mundurze Drugiego.

- Co, na Zewnętrzne Ciemności... - zaczął i wtedy zobaczył lufy wymierzonych w niego karabinów. Miał rozpięte spodnie, a obwisłe genitalia pokrywała krew, plamiąca też wełniane spodnie. Raj zobaczył, jak z rosnącym zrozumieniem mruży oczy i sięga do kabury po broń. Przez drzwi do sypialni przeszedł też jego mężczyzna w liberii służącego. On również miał poplamione spodnie, choć na czerwonym płótnie krew nie odznaczała się tak wyraźnie. Prowadził przed sobą chłopca w wieku około dziesięciu lat, ściskając mocno jego kark.

- Zamknę tę smarkatą ciasną dupcię z innymi, messer - zaczął. Zareagował szybciej niż jego pan, a może był po prostu mniej pijany. Odepchnął chłopca na bok i przyklęknął. To chyba był ten chłopak, Tuk, pomyślał Raj, zdziwiony jasnością własnych myśli. Patrzył, jak dziecko z trudem odsuwa się na bok i ujrzał, że tylna strona jego ud zaplamiona jest krwią. Scenariusze Centrum przesuwają mu się przed oczami. Nie potrzebował komputera-aniola, by podjąć teraz decyzję. Tewfik wjeżdżający na psie do morza...

- Messerowie - zaczął Raj, głosem wyraźnym i donośnym. Ważne było, by wszyscy zrozumieli wyrok. - Dziękuję za waszą tymczasową pomoc w... w schwytaniu tych bandytów.

Jeszcze głębsza cisza, przerywana tylko łkaniem zgwałconych dzieci. Potem niewyraźne rozmowy, donośny śmiech któregoś ze sług lub kochanek, okrzyki gniewu żołnierzy Drugiego.

- Niech cię Duch, jakich bandytów? - powiedział mężczyzna z nożem w dłoni. Drugą ręką zapinał spodnie, co jest pierwszym odruchem mężczyzny w sytuacji konfliktowej. Adrenalina trochę go otrzeźwiła, ale nie bardzo. - Tutaj... tutaj nikogo nie ma, tylko my i nasi słudzy, człowieku! - Spojrzał dokładniej. - Ależ to ten owczarz z Descott, ten, który się tarza całymi dniami w błocie, podczas gdy jego żona...

Raj ponownie strzelił w sufit. Zbudowano go z ledwie ociosanych bali sosnowych, a z dziury po kuli posypał się kurz. Raj stłumił kichnięcie.

- Wykazaliście się wielką inicjatywą, chwytając ich tu bezbronych już po tym, jak popełnili te

straszliwe zbrodnie na własności Rządu Cywilnego - mówił dalej, przekrzykując mężczyznę. A właściwie ignorując go. Instynkt podpowiadał mu, że tylko ten stojący przy drzwiach do sypialni mógł stanowić większy problem. Tamten nie kłopotał się nawet zapinaniem rozporka, przeniósł za to ciężar ciała na palce. Oficer i sługa spojrzeli na siebie przelotnie.

Raj uśmiechnął się, a wyraz jego twarzy przywodził na myśl sierpostopy, które zabili poprzedniego dnia.

- Gdyż teraz zabierzemy stąd tych bandytów i zabijemy ich. Jednego po drugim.

Poruszenie: służący stojący przy drzwiach do sypialni chwycił tasak ze stołu i rzucił się do przodu. Poruszenie: dubeltówka Foleya ryknęła. Cel znajdował się mniej niż pięć metrów od niego, o wiele za blisko, by śrut zdążył się rozproszyć. Posiekał brzuch mężczyzny na różową papkę, przez którą widać było szare zwoje jelit. Poleciał w tył prosto w palenisko, przewracając rożny z kurczakami. Do zaduchu panującego w pokoju dołączył zapach pieczonej wieprzowiny, a potem smród palącej się wełny, kiedy ubranie mężczyzny zajęło się ogniem. Młody towarzysz obrócił się jak wieżyczka strzelnicza, cały czas opierając kolbę broni o żebra. Krótkie i grube lufy patrzyły w kierunku oficera Drugiego, który zdążył wyjąć pistolet i podnieść go w tym ułamku sekundy, którego Foley potrzebował, by zabić jego sługę.

- Rzuć to - powiedział Foley. Jego głos załamał się, ale dubeltówka z obciętą lufą nie zadrżała. Jedna lufa dymiła, ale druga czerniała gotowością. - Ten będzie dla ciebie, messer.

Teraz kilku pomagierów z Drugiego zaczęło łkać.

- Ponieważ wasz mężny udział w przygodzie dobiegł końca - mówił dalej Raj - to może lepiej by było, towarzysze żołnierze, żebyście odpięli pasy... tak, trzymajcie je w rękach. A teraz na zewnątrz, proszę. Wy bandyci, także. A jeśli sądzicie, że nie warto pożyć jeszcze piętnastu minut, możecie próbować sztuczek.

Jeden z odzianych w liberię mężczyzn próbował. Poderwał się i wyskoczył przez tylne drzwi ze zręcznością atlety. Zamykane drzwi trzasnęły za nim, a po chwili rozległ się krótki, miękki dźwięk "thunk!", który rozpoznało wielu z obecnych żołnierzy. Dźwięk wbijanego bagnetu. Krztuszący się jęk, a potem długi, bulgoczący wrzask. Potem jeszcze chwila uderzeń bagnetu i drzwi otworzyły się na chwilę. Odcięta głowa odbiła się od stołu, pryskając wokół krwią, i potoczyła po ziemi, zatrzymując obok glinianego naczynia z alkoholem.

Oficerowie Drugiego nadal próbowali protestować, ale żaden nie stawiał oporu. Raj ponownie się do nich uśmiechnął, kiwając głową i machając lekceważąco ręką.

- Nie, nie dziękujcie - powiedział wesoło. - My tylko spełniamy obowiązek. A teraz -

kontynuował, kiedy wszyscy znaleźli się na zewnątrz - oddzielcie z grupy kobiety.

Żołnierze, kłując i pchając bagnietami, oddzielili kobiety od mężczyzn. Kobiety znajdowały się w różnym stadium roznegliżowania, ale wiele nadal miało na sobie biżuterię. Była ona podstawą ich środków płynnych i było mało prawdopodobne, by właścicielki się z nią rozstawały. Niektóre jej fragmenty były naprawdę imponujące, o ile oczywiście były oryginalne. Z pewnością większość złota była.

- Rozbierzcie je i zabierzcie klejnoty - z jednego z wozów wziął prześcieradło i rozłożył je. - Połóżcie tu kosztowności. Wszystkie, żołnierzu M'lewis. - Raj odczekał, aż kobiety znowu zbiorą się w grupę, patrząc na niego otwartymi z przerażenia oczami. - Idźcie - powiedział spokojnie, kiedy ucichły. - I jeśli kiedykolwiek znajdziecie się w pobliżu mojego obozu, to oznajmiam tu i teraz, nie jesteście już pod moją opieką.

Były profesjonalistkami, na swój sposób. Popatrzyły na wilcze uśmiechy żołnierzy, odwróciły się na pięcie i truchtem pobięły drogą, kierując się na południe, w stronę miasta przy brodzie.

Raj zauważył, że staruszka, która przybiegła by go sprowadzić, wróciła już, sapiąc i rżąc stała oparta o ścianę szopy. Zamarła na widok wieśniaka leżącego z widłami w dłoni, potem podbiegła i ukucnęła przy nim, kiwając się i płacząc. Wyciągnęła rękę, by dotknąć jego twarzy, ale cofnęła ją szybko. Płakała rozdzierająco. Druga pod względem starszeństwa kobieta stała na ganku. Ubrała się już, ale rozglądała się niepewnie po stojących wokół żołnierzach.

- Dobra kobieto - mówił dalej Raj; należało dopilnować wielu spraw, zanim ta przekłeta noc dobiegnie końca.

- Tak, messer? - odrzekła głosem zaskakująco mocnym i przyklękła. Cóż, należało być twardym, by prowadzić takie życie, jakie oni tu mieli. - Dziękuję ci, messer, ale... - głos jej zadrżał, kiedy rozejrzała się wokół siebie. - ... oni zjedli wszystkie nasze zapasy, messer, i...

- Widzisz to? - pokazał gestem stos błyskotek i sukien. - Należą do ciebie.

Usta kobiety otworzyły się. Stos był wart dość, by kupić gospodarstwo tak duże, jak to, którego część dzierżawiła jej rodzina i oporządzić je. - Radzę ci ukryć wszystko i sprzedawać ostrożnie i w niewielkich ilościach. - Chłopi, którzy dochodzili do bogactwa, byli jak jedna z tych legendarnych ugotowanych świń, które biegały z widelcem i nożem wbitymi w plecy i krzyczały "zjedz mnie". - Nie wypuszczajcie swoich mężczyzn z chaty jeszcze przez jakąś godzinę - Nie miało sensu sprowadzanie tu rozwścieczonych cywili, którzy sprawialiby tylko kłopoty.

- Mistrzu sierżancie - mówił dalej.

- Ponie?

- M'lewis jest obserwatorem?

- Ponie. Czyta, pisze i liczy.

- Przenieście go do sztabu batalionu jako kuriera. - Kościsty żołnierz zakasłał, zapinając bluzę mundurową. W jednym z rękawów widać było podejrzaną wybrzuszenie, ale Raj zdecydował się je zignorować. - M'lewis, gdzieś tu powinny być narzędzia stolarskie. Przynieś młotki, podbijaki i takie tam, a także kołki i drewniane gwoździe. Szybko. A teraz zaprowadźcie więźniów w tamto miejsce. Wy też chodźcie, messerowie - dodał, zwracając się do oficerów 2. Żandarmerii. - Powinniście zobaczyć wyniki waszej bohaterskiej postawy.

Zewnętrzna ściana szopy znajdowała się zaledwie pięć metrów od drogi. Sięgała nieco wyżej niż do głowy, a zbudowano ją z wielkich, glinianych cegieł spojonych błotem, nigdy też nie marnowano na nią bielidła. Będzie wystarczająco mocna, zdecydował.

- Ustawcie ich pod nią obok siebie - twarde dłonie popychały mężczyzn, ustawiając ich przy powierzchni ze stwardniałego błota. Niektórzy płakali, a kilku upadło na kolana, by błagać. Raj spojrzał w górę, w kryształową czystość nocy.

\* \* \*

- Ach, oddział egzekucyjny, ponie? - zapytał da Cruz.

- W żadnym razie, mistrzu sierżancie, w żadnym razie. - Wszyscy czekali. Raj przypomniał sobie, by odwrócić się i poklepać Foleya po ramieniu. - Dobra, szybka robota, chorąży - powiedział.

Chłopak był blady jak płótno. Wyprostował się.

- Dziękuję, panie - powiedział, patrząc na dubeltówkę i otwierając ją. - To... dobra broń, Gerrin... starszy porucznik Staenbridge zdobył ją dla mnie.

- Używaj jej dobrze - powiedział Raj. Chłopiec zatrzasnął broń i stanął u boku Staenbridge'a, z wdzięcznością przyjmując ramię, które go otoczyło. Pojawił się sapiący M'lewis, z całym naręczem narzędzi.

- Messer kapitanie, znalazłem trochę narzędzi - powiedział. Trochę. Trzy wielkie drewniane młoty, takie, jakimi wbijało się paliki dla winorośli i kilka tuzinów kołków z twardego drewna, długości mniej więcej męskiego przedramienia.

- Doskonale, M'lewis - rzekł Raj, przenosząc wzrok na rząd stojących pod ścianą mężczyzn...



jedenastu. Orzechy przeciw klejnotom, że urodzili się we Wschodniej Rezydencji, widać na nich było znamię ulicy. Oczy przerażone, oczy zbuntowane, oczy potulne.

- Mistrzu sierżancie - mówił dalej, słuchając swego głosu, jakby to jakiś dziwaczny sauroid nawoływał w lesie. - Ta droga prowadzi do brodu na Torunavi, prawda? Batalion może nią pójść?

- Tak, ponie. Trochę węższa niż gościniec. Będziemy może szli trochę dłużej.

- Doskonale - raz jeszcze powiedział Raj. - Niech ludzie pociągną słomki, by ustalić, kto będzie przybijał. I by wyznaczyć wartę, która dopilnuje, by nikt nie dotykał do rana ciała.

Raj usłyszał, jak stojący za nim bracia Gruder syknęli z niedowierzaniem. Słudzy patrzyli, nie rozumiejąc, dopóki żołnierze nie rozłożyli ramion pierwszego i nie podnieśli kołków. Wtedy zaczęli wrzeszczeć.

\* \* \*

Raj wszedł do namiotu. Stół już posprzątano, a klapę wejściową opuszczono. Suzette siedziała na składanym krześle przy lampie, ze szklanką brandy w jednej a papierosem w drugiej dłoni, z książką rozłożoną na kolanach. Wszedł bez słowa, podszedł do barku i nalał sobie śliwkową brandy z Hillchapel, zalewając gorącą falą gardło. Potem wypił jeszcze jedną, poruszając się cały czas jak maszyna. Kiedy skończył, wyrzucił szklankę na zewnątrz, słuchając, jak rozbija się gdzieś w ciemnościach na zewnątrz.

- Raj? - zagadnęła Suzette, zamykając książkę i odkładając ją na bok. Jakaś wydzielona część jego umysłu poinformowała go, że nosiła tytuł: szlachta, szlachectwo i posiadłości Południowych Krajów.

Podszedł do niej, poruszając się ciągle jak jeden z tych pneumatycznych automatonów z Sali Audiencyjnej, opadł na kolana i oparł głowę na jej kolanach.

- Suzette... - wychrypiał.

- Cicho - powiedziała, głaszcząc go po włosach.

- Co ja... musiałem zrobić...

- Cicho, mój bohaterze. Wszystko będzie dobrze. Cicho, śpij już.

Dziesięciu służących żyło jeszcze, przybitych do ściany jak motyle w pudełku entomologa, kiedy dwanaście godzin później przejeżdżał obok nich sztandar 5. z Descott.



## Rozdział ósmy

Trzask.

Wystrzały rozbrzmiały zgodną salwą, a głąz wyznaczony jako cel pokrył się natychmiast odpryskami, kiedy siedemdziesiąt lub osiemdziesiąt karabinów 1. Kompanii wystrzeliło jak jeden. Raj opuścił lornetkę z ponurym uśmiechem i rozejrzał się po falistej równinie. 2. Kompania zwalniała właśnie z galopu jakieś pięćset metrów przed swoimi towarzyszami i ześlizgiwała się na ziemię w poszukiwaniu schronienia.

Trzask. Kolejna salwa miała w sobie tę samą mechaniczną perfekcję, a kępa nożoszczotów, stanowiąca kolejny cel, zniknęła w chmurze kurzu. Pierwsza była już z powrotem w siodłach i pędziła z całych sił naprzód, starając się dobiec do następnej linii strzału. Raj skinął głową stojącemu przy nim sygnaliście. Mężczyzna korzystał z przenośnego heliografu, urządzenia składającego się z luster ustawionych na składanym trójnogu. Zaczął teraz przekazywać zakodowaną wiadomość, posyłając błyski odbitego światła słonecznego w kierunku krawędzi wąwozu położonego około tysiąca metrów od nich. Kapitan raz jeszcze podniósł lornetkę. Wytworzony przez erozję wąwóz przypominał tysiące podobnych, rozsianych po całej równinie, opuszczonych i obramowanych krzewami solnymi.

Nagle coś błysnęło i zadymiło, a żołnierze z 3. Kompanii wychylili głowy znad krawędzi wąwozu i przystąpili do ataku. Sam ich nie widziałem, a przecież wiedziałem, gdzie są, pomyślał Raj. Czwarta i Piąta wychynęły znad krawędzi chwilę później, już w siodłach i wywijając szablami. Nie zatrzymując się, by wyrównać szereg, nie było zresztą nawet takiej potrzeby, uformowali tępy klin i zaszarżowali, skrzeczając przejmująco. Tuż przed nimi wybuchły dwa pociski, kiedy zaryczały dwie siedemdziesiątki piątki stojące u stóp wzgórza, na którym Raj umieścił stanowisko dowodzenia. Nad polem bitwy popłynęły chmury szarego, pachnącego siarką dymu, ale echo wystrzałów zniknęło gdzieś wśród tych bezkresnych równin.

- Wcale nieźle, mistrzu sierżancie - powiedział Raj.

- Może i tak, ponie. Chciałoby się, coby ci nowi byli z nami dłużej, wiedziałoby się, na ile można na nich polegać.

- Cóż, jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać, prawda? - odrzekł. - Trębacz, zagrać "Przegrupowanie" - wstał w strzemionach i przeciągnął się. Horace uznał to za znak, że ma się położyć, ale Raj pociągnął zdecydowanie uzdę.

- Wstawaj, ty sukinsynu - powiedział przyjaźnie. Pies westchnął i popatrzył na niego przez ramię swymi smutnymi oczami. Miał oklapłe uszy i jęzor wielkości ręcznika kąpielowego, którym poruszał w górę i w dół, kiedy oddychał.

Horace był sztandarowym produktem stajni Hillchapel, ale teraz jego eleganckie, czarne futro stanowiło wielką niedogodność w palących promieniach słońca. Szczyty Oxheadów mieli po swojej lewej, na północy. Ostatni tydzień, od kiedy przeszli przełęcz, upłynął pod znakiem monotonnej podróży przez wzgórza prosto na wschód, do miejsca, gdzie wielka, klinowata ostroga wgrzyzała się w step. Z inżynierskiego punktu widzenia łatwiej było iść prosto, ale podróż bez wody i pożywienia dla psów i ich jeźdźców także nie miała sensu.

- Woda i spyża - przypomniał Raj na głos, kiedy batalion formował kolumnę.

- Messer kapitanie? - powiedział uśmiechając się przewodnik przysłany przez legata hrabstwa Komar.

Często się uśmiecha, pomyślał Raj, przyglądając się pełnej fantazji twarzy o białych zębach, dla których tłem były przyciemniona słońcem twarz, czarne, cieniutkie wąsy i wąska bródka. Przewodnik nosił dziwną, małą czapkę z daszkami z przodu i z tyłu, obramowaną śnieżnobiałą tkaniną, której koniec zwisał mu na kark i służył do zakrywania twarzy podczas burzy piaskowej. Muzzafer Kerpatik był eleganckim, zamożnym mężczyzną, nosił jasnobrązową jellabę i buty o zakrzywionych czubkach, a także medalion Gwiazdy na szyi, srebrny i wysadzany odłamkami diamentów, oraz dwa amulety zawieszane przy pasku. Pochwa jego sztyletu i rękojeść rewolweru wysadzane były macicą perłową.

- Nie ma tu za wiele wody i spyży - podkreślił Raj. Piąty wyciągał się już w kolumnie marszowej. Dowództwo zajęło miejsce na jej czele. Podniósł rękę i pokazał nią przed siebie.

- Batalion...

- Kompania...

- Pluton...

- Od lewej... marsz... kłus!

Batalion ruszył z dzwonieniem upręży i sapaniem psów, wielki niebiesko-szary wąż, długi na kilometr, wijący się równiną niczym bojowa stonoga o stalowych nóżkach.

Muzzafer skinął głową, głaszcząc się po brodzie. Był człowiekiem bywałym i ustosunkowanym, na wschód zawędrował aż do Sandoralu, na zachód do Kendrun, i był kilkakrotnie w stolicy. Rozejrzał się, patrząc na wszystko oczami człowieka północy. Południowe zbocza gór były suche, w odróżnieniu od północnych, porośniętych gęstym lasem. Tutaj królował otwarty step, może poza

kilkoma kępami cedrów i drzew butelkowych trochę wyżej. Poniżej były pastwiska, które kwitły w czasie zimowych deszczów, lecz teraz wysychały. Dywany dzikich kwiatów dawno już zniknęły. Owce pędzono w górę dolin na wysokie łąki, mijali już wielkie stada otoczone uzbrojonymi strażnikami. Kilka widać było nawet z miejsca, w którym stali. Teren nie był zupełnie płaski, lecz falował jak zamrożone fale morskie, więc ze wzniesienia, na którym stali, widać było na całe kilometry we wszystkie strony.

- Handel wełną idzie tu bardzo dobrze, messer – powiedział Muzzaf. Jego wyhodowany w Kolonii wierzchowiec z łatwością dotrzymywał kroku czarnemu psu bojowemu.

Raj spojrzał na człowieka, którego przysłał legat i zmarszczył nieco brwi, patrząc jak tamten unosi się rytmicznie w siodle, nauczony wieloletnim doświadczeniem, jak dostosować się do kroku psa. Ten Muzzaf Kerpatik nie był ani żołnierzem, ani urzędnikiem, ani ziemianinem, ani chłopem, ani sklepikarzem, ani rzemieślnikiem, ani robotnikiem..

- Jesteś kupcem, obywatelu Kerpatik? - zapytał grzecznie.

- Ach, niezupełnie, messer Kapitanie - odrzekł mężczyzna, gestykulując szeroko, jak mieli w zwyczaju wszyscy południowcy. - To znaczy, handlem też się zajmuję, owszem. A także manufakturami. A poza tym mam udziały w kopalniach i wykopkach glinu, i pobieram czynsz za wynajem budynków w mieście.

Raj spojrzał na mężczyznę w innym świetle. “Czynsz” brzmiało chociaż znajomo.

- Przepraszam, messer - powiedział.

- Zwykły obywatel wystarczy. Mój ojciec był człowiekiem średniego urodzenia, a moja matka konkubina z Kolonii. Odziedziczyłem więc niewiele i sam musiałem obmyślić sposób na radzenie sobie w świecie - ponownie błysnął uśmiechem. - Jestem kimś, kogo tu w hrabstwie Komar nazwalibyśmy...

Słowo, które wymienił, było Rajowi obce: coś jak “przedsiębiorca”.

- Czy to dialekt?

- Nie, w dzisiejszych czasach używa się tego określenia bardzo często, szczególnie w miastach, choć myślę, że powstało w Kendrun. To ktoś, kto ryzykuje kapitał, pragnąc czerpać z niego zyski.

Niezwykłe, pomyślał Raj. Wzbogacić się, nie dziedzicząc i nie kradnąc. Dziwne, a nawet niepokojące. No i skoro miał tyle pieniędzy w gotówce i dobrach, to dlaczego nie kupił sobie ziemi, jedyne bogactwa, które było naprawdę realne?

Komarianin westchnął.

- Przepraszam messer kapitanie... sądzisz, że wasze siły wystarczą, by obronić miasto Komar przed Wypierającymi Się Duchą?

Raj popatrzył na niego zaskoczony.

- Obrona to problem miejscowego garnizonu - odrzekł. - My jedziemy, by rozpocząć akcje ofensywne.

Muzzaf ponownie zamilkł, oblizał wargi, jakby przygotowywał się do zabrania głosu, ale w końcu wzruszył ramionami.

- Skoro tak mówisz, messer... Jeśli jest jednak sposób, w jaki mógłbym ci pomóc, choćby upokarzający... Komar to mój dom, był dla mnie dobry. A mężczyzna musi spłacać długi.

Raj skinął głową. Słyszał za sobą głos mistrza sierżanta, rozmowę i, sądząc po tonie głosu, zgodę. Wtedy podoficer kompanii krzyknął: - Pośpiewamy, 5. z Descott!

Kapitan wyszczerzył zęby w uśmiechu. Wszyscy znali tę pieśń i było dobrym znakiem, że chcą ją śpiewać po dniu ciężkiej pracy w takim żarze. Ryczało ją pięćset męskich gardeł.

“My Descotczycy włochate mamy uszy,

I gaci nie nosimy,

Każdy z nas fiutem łatwo skały kruszy,

My, twarde skurwysyny!”

Raj roześmiał się w głos, wciągając do płuc wielki haust gorącego powietrza. Podoba mi się ten kraj, pomyślał. Szli łukiem ze wschodu na południe, a w oddali widzieli sunącą w tumanach kurzu kolumnę Drugiego i wozy zaopatrzenia. Okrążyli górską ostrogę, a dolina po drugiej jej stronie okazała się zamieszкана. Jak w domu, pomyślał, ale inaczej. Wokół domów grządki z warzywami, hodują oliwki i figi, by uzupełnić dietę, a nie jabłka, śliwki czy wiśnie, do których przywykł w domu. Domy przypominały mu o Descott swoją funkcjonalnością, mury i wieże obronne, ale brakowało im tej ponurej, czworokątnej konstrukcji z czarnego bazaltu. Najlepszymi produktami eksportowymi Descott były: śliwkowa brandy, wojownicy, treserzy psów i utalentowani murarze. Tu zadowalano się najwidoczniej piaskowcem połączonym błotem, jak w gigantycznych gniazdach dactosauroidów.

“Rzniemy dziwki przez ubranie,

Szczegóły wszelkie mamy w dupie,

Wieszamy jaja na parkanie

I każdy z nas w nie z flinty łupie!”

Ludzie też mi się tu podobają, zdecydował, kiedy mijali płytką depresję na równinie. Zebrało się w niej dość wody, by hodować jęczmień, około pięciu hektarów. Kobiety rzucały ziarno na dwukołowy wóz ciągnięty przez wołu. Na wierzchnie szaty miały narzucone kamizelki wyszywane monetami i kawałkami muszli, na głowach nosiły kapelusze o szerokich rondach, które miały osłonić ich twarze od słońca. Zauważył, że w krajach pogranicza żadna kobieta nie zasłania twarzy, choć robi to, dla wygody, wielu mężczyzn. Z pewnością z tego samego powodu, dla którego pogranicznicy tak lubowali się w jedzeniu wieprzowiny, picciu wina i spluwaniu na dźwięk imienia Mahomet. Wojny w tym kraju były długie i krwawe.

“Owcę się czasem wychędoży

I wciągnie gdzieś w maliny

I nic jak baran się podłoży

My twarde skurwysyny!”

Nikogo z pewnością nie obrazimy, pomyślał Raj. Deskocki dialekt powszechnie używanego sponglijskiego brzmiał dla cudzoziemców archaicznie, a tutejsi rolnicy mówili jego śpiewną wersją, przetykaną słowami zapożyczonymi z arabskiego. Kolumna zwolniła, kiedy do skraju drogi podbiegły kobiety, przynosząc skórzane bukłaki z wodą i suszone owoce, wiwatując na cześć przejeżdżającego wojska. Raj podniósł rękę, a jego rozkaz został przekazany dalej.

- Batalion, marsz!

Kobiety biegły przy bokach psów, trzymając w górze podarunki, i odmawiały uparcie przyjęcia za nie zapłaty. Żołnierze podawali sobie dzbanki, z bluźnierczym zadowoleniem odkrywając, że do wody dolano po ćwiartce miejscowego mocnego wina. Jakiś żołnierz podsadził jedną z dziewczyn na siodło i próbował ukraść jej buziaka. Odwzajemniła pocałunek z entuzjazmem, a potem odchyliła się i trzasnęła go prosto w twarz, dość mocno, by rozkrwawić mu nos. Żołnierz krzyknął z bólu i przyłożył dłonie do twarzy, a dziewczyna zeskoczyła na ziemię i pobiegła do swych przyjaciółek. Towarzysze broni ryknęli śmiechem, z trudem utrzymując się w siodłach.

Śmiali się również rodacy kobiet, którzy pełnili tu w siodle straż przy żniwach. Przypominali mężczyzn, którzy po jednym lub dwóch przyłączali się do nich na ochotnika przez ostatnie sto kilometrów, przyciągani nienawiścią starszą niż wzgórze i zapachem łupu. Dobrze, że przyjmują to z poczuciem humoru, zdecydował Raj, salutując machającym do niego jeźdźcom. Byli szczupli i drobni przy byczej budowie jego Descotczyków, choć mieli podobny odcień skóry, oczywiście w miejscach

nie spalonych słońcem, które uczyniło ich jednymi z najciemniejszych obywateli Rządu Cywilnego. Nosili się praktycznie, w piaskowych szatach i turbanach. Niektórzy mieli ze sobą pojemniki z lekkimi oszczepami, kilku trzymało lance. Większość uzbrojona była w krótkie łuki lub karabiny skałkowe o długich lufach, a do tego każdy chyba czuł się nagi, jeśli nie miał ze sobą co najmniej tuzina noży, długich nawet na stopę.

Raj spojrział w górę, na kamienną wioskę i wyobraził sobie zdobywanie bojem podnóży wzgórze. Długie strzelby i włochate, jastrzębie twarze za każdym głazem, wrzeszczące szarże z bocznych wąwozów, zasadzki, lawiny, wojna partyzancka... a ci ludzie byli fanatykami, nie tylko nienawidzili muzułmanów. Poza Muzzafem nie słyszał na południe od Oxheadów nikogo, kto nie przywoływałby imienia Ducha Gwiazd co drugie słowo, a każda wioska miała kościół, zwykle duży, niezależnie od tego jak małą i zapadłą dziurą dana wieś była.

Dłoń Raja raz jeszcze pochyliła się naprzód, a Piąty znowu podjął równomierny kłus. Jeźdźcy strzegący kobiet jechali wraz z nimi przez dłuższą chwilę, wymachując w powietrzu bronią.

- Aur! Aur! Despert Staahl! – “obudźcie żelazo!”, miejscowy okrzyk wojenny.

- Człowieczy Duch Gwiazd z wami, bracia! Zabijcie wielu! Zabijcie!

- Jestem zaskoczony, że Kolonistom opłaca się organizować wypadki - powiedział, kiedy mężczyźni odjechali do swych obowiązków.

- Hmmm, byłbyś zaskoczony widząc, co Beduin potrafi zrobić za owcę, messer - powiedział Muzzaf. - W górach są przecież kopalnie cennych metali i srebra... no i - dodał z uśmiechem, który nie miał w sobie pewności poprzednich - nie widziałeś jeszcze doliny Komar.

- Jutro - powiedział Raj, patrząc na księżyc. Jest w tym Muzzafie coś dziwnego, pomyślał. Sprawiał stale wrażenie, jakby chciał sprzedać ci dywan, i to było normalne. Ale było jeszcze coś... jakby nie mógł się zdecydować, czy cieszyć się, że nas widzi, czy uciekać na wzgórze? zastanawiał się Raj.

\* \* \*

- Och, Raj - szepnęła Suzette. - Tu jest... pięknie.

Siedzieli w siodłach na skraju doliny, a obok nich płynął drogą prowadzącą w dół doliny skrzypiący strumień bagaży. Była... zielona, myślał Raj. Duchu Człowieka Gwiazd, nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo może mi brakować zieleni. Kształtem przypominała doliny, które mijali już po drodze, lecz była znacznie większa. Przecinały ją kanały, a gdziekolwiek jechali, otaczało ich



życie. Kępy ciemnozielonej trzciny cukrowej, falującej jak morskie fale. Ścierniska, na których widać już było nowe kłoski zboża. Sady pełne pomarańczy i cytryn... A w samym środku doliny, na wzgórzu, miasto. Lśniące bielą, która odbijała promienie słońca jak stos kostek cukru, jak klocki wycięte ze śniegu. Białe Miasto Komar.

- Cóż - powiedział do Suzette. - Jedźmy na dół. - Nie powinienem tracić w ten sposób czasu, przypomniał sam sobie. A potem, ze złością: przynajmniej nie siedzi w powozie tego cholernego Stansona. Było to trochę niesprawiedliwe, Drugi był w siodle i prowadził polowe manewry przez ostatnich cztery czy pięć dni...

- ... i tutaj - Muzzaaf gadał jak najęty - widzicie przedłużenie kanału. Wspaniałe są dzieła Ducha! Nowa, cementowa zapora, i następne dziesięć tysięcy hektarów gotowych do uprawy, wszystko z funduszy miasta i naszego najhojniejszego i ukochanego wicegubernatora, niech Duch...

Raj wyłączył się na chwilę. Administracja cywilna działała tu sprawnie - w każdym razie nie musieli przepychać się przez tłum na drodze. Sama droga była prosta jak drut, budowano ją według standardów Wschodniej Rezydencji. Zasiedloną od dawna część doliny mieli po prawej. Były tam niewielkie farmy o skomplikowanym systemie uprawy. Wielkie palmy daktylowe, pod nimi drzewa owocowe, a jeszcze pod nimi zboże albo warzywa, bawełna, cukier albo trawa. Nawet kozy wiązało się tu i karmiło ręcznie. Domy rolników przypominały białe klocki, czasem otoczone kwiatami. Raj zauważył, że do niemal każdego domu przyklepiony był jakiś warsztat lub pracownia. Mężczyźni i kobiety tkali tkaniny lub pletli kosze, wyprawiali skórę, wyszywali, wykuwali wyroby z mosiądzu lub cyny, toczyli garnki. Wszyscy machali, a wielu podbiegało, by pozdrowić przejeżdżających. Podawano im owoce. Granaty, wielkie, złocistokóre, słodkie pomarańcze, pęki trzciny cukrowej i gliniane kubki pełne soku.

Przez chwilę przy jego siodle biegła dziewczynka, wyciągając w górę ręce. Pochylił się do niej, by wziąć talerz, który podawała, a ona zarzuciła mu na szyję wieniec z kwiatów.

- Cholera - szepnął, widząc uśmiechy na twarzach pozostałych dowódców. Na talerzu były świeże daktyle. Suszone daktyle były drogie nawet we Wschodniej Rezydencji, a do tego kupić je można było tylko raz do roku.

- Daktyle - wymamrotał. - Nic innego nie jemy od dwóch tygodni, a ja oczywiście dostaję daktyle. - Gerrin Staenbridge obierał pomarańczę, podając kawałki śmiejącemu się Foleyowi. M'lewis dostał banana i wgryzł się w niego, lecz natychmiast strasznie się skrzywił. Da Cruz pokazał mu, jak go obrać, a jego twarz przybrała wyraz bardziej podobny do uśmiechu niż cokolwiek, co Raj na niej kiedykolwiek widział.

Po lewej stronie drogi nie było takich atrakcji. Nowe ziemie wykorzystano na wielkie pola trzciny cukrowej, bawełny i indygo, na których pracowali niewolnicy. Jeżdżący wierzchem strażnicy pilnowali robotników, z których wielu nosiło łańcuchy - sądząc z wyglądu, Koloniści. Raj przyjrzał się im bliżej. Jeden lub dwóch było zupełnie czarnych, miało wełniste loki i płaskie rysy, o których mu kiedyś opowiadano. Zanj, a może nawet Azanianie z południowego zachodu Zatoki Kolonialnej. Wcale się nie cieszą, że nas widzą, pomyślał cierpko Raj.

Muzzaf odpowiedział na ostatnie wypowiedziane przez niego zdanie.

- Tak, messer. Jeśli jadłeś na północy daktyle, jadłeś nasze daktyle... Widzisz, wiele z cukrowni napędzanych jest maszynami parowymi. Wspaniały jest postęp i dzieła Ducha Człowieka Gwiazd. W tym roku ruszyła pierwsza parowa tkalnia! A tam - pokazał północno-wschodni kraniec miasta, ledwie widoczny przez bujną roślinność - nasza kolej!

Raj popatrzył we wskazanym kierunku z niekłamanym zainteresowaniem, porzucając myśli o problemach związanych z zakwaterowaniem. Koleje były ważne, jako jedyny sposób, by duże ilości towarów transportować tanio drogą lądową, choć oczywiście zapotrzebowanie na takie usługi było ograniczone. Większość ludności stanowili chłopci, którzy żyli z tego, co sami wytworzyli. Miasta żywiły się tym, co hodowano w bezpośredniej ich bliskości. Lecz kolej mogła być doskonałym wynalazkiem z wojskowego punktu widzenia, więc wielka szkoda, że było ich tak niewiele.

- Z północnych skrajów miasta do kopalń - mówił Muzzaf. - Nasz wicegubernator, ubóstwiony Barholm Clerett, nad którym Duch Człowieka pali z pewnością swoje światło, pożyczył nam pieniądze na połowę budowy. Nie mniej niż sześćdziesiąt kilometrów ukończono w tym roku!

Raj skinął głową, to mu imponowało. Była to w takim razie trzecia najdłuższa kolej w Rządzie Cywilnym, a zarazem jedyna na południe od Oxheadów. Muzzaf pochylił się nisko w siodle.

- Towarzystwo ci, dostojny messerze, było dla mnie wielkim zaszczytem - powiedział. - Ale...

Skęcili za róg i znaleźli się w odkrytym miejscu, które każde miasto utrzymywało przed murami, tutaj wykorzystywanym do hodowli nisko rosnących zbóż, pomidorów i fasoli. Komar było miastem dobrze bronionym, nawet mimo tego, że widać było budynki miejskie położone na zboczach wzgórza. Dwudziestometrowa fosa i strome wały ziemne przed potężną, kamienną ścianą. Twierdza miała kształt sześciokąta i miała jednolite, dość nowoczesne mury z wypuszczonymi w pole bastionami. Nie był to wysoki, marny zamek, który działa oblężnicze mogły zamienić w kupę gruzu w jedno popołudnie. Raj przejrzał dokładnie złożone we Wschodniej Rezydencji plany każdego miasta w Rządzie Cywilnym. Między dwoma bastionami otworzyła się brama i ukazała się w niej procesja. Starszyzna z legatem hrabstwa, oficerowie w mundurach galowych, chórki dzieci w białych szatach.

Wielki hierarcha, arcsysyup Kościoła, z akolitami ubranymi w uszyte ze złotej tkaniny tuniki, nieśli oprawiony w złoto, srebro i lapis lazuli rdzeń komputera...

- Cholera - mruknął Raj.

- URRRA! URRRA!

Linia ludzi i psów posuwała się przez wąskie, wijące się uliczki z prędkością lodowca. Na żołnierzy sypały się kaskady kwiatów, rzucanych przez wypełniający dachy i tłoczący się pod murami tłum.. I wepchnęli się, gdzie ich wcale nie proszono, pomyślał wściekle Raj. Proponowali żołnierzom butelki, lecz tym razem już nie z sokiem owocowym. Wrzask tłumu był ogłuszający, ale nie na tyle głośny, by zagłuszyć podoficera.

- Jak następny cwaniak weźmie flaszkę, to mu wydlubię gały i zerznę w oczodół na śmierć!

Na każdym rogu stali kapłani, chlapiący ich święconą wodą i dymiący kadzidłami. Krzyczeli, prosząc o błogosławieństwa dla gubernatora, dla wicegubernatora... i niech mnie zamoczą w gównie, jeśli ktoś nie błogosławi Tzetzasa, pomyślał Raj. Ktoś podbiegł, trzymając w ręku kawałek pieczonej wieprzowiny i próbując podać ją psu. Prawie stracił podczas tej czynności ramię. W takim tempie, to niedługo Umartwione Siostry rozłożą przed nimi nogi.

U jego lewego boku pojawił się da Cruz.

- Co oni sobie myślą, że to banda panów młodych w drodze na wesele?! - krzyknął Raj.

- Zaczekaj, ponie, aż wjedzie Drugi, to se pomyślą, że my to jakaś wycieczka ze szkoły dla dziewczynek! - odwrzasnął podoficer.

Zatrzymali się przy miejscu, które wyglądało jak ekskluzywny burdel. Przez okna wychylały się dziwki, ściskając piersi i pokazując je żołnierzom. Napis nad wejściem głosił: "Jedna wycieczka do rajów za darmo dla wszystkich żołnierzy 5. z Descott i 2. Żandarmerii".

Nawet mistrz sierżant się na to uśmiechnął.

- To po pierwsze... - przerwał na chwilę. - Ponie, trza nam pogadać.

- Odprawa towarzyszy po zajęciu kwater. Dwie godziny po zachodzie.

\* \* \*

- ... i każdy - mówił Raj ze stopni budynku trybunału (stał on przy jedynym w mieście placu na tyle dużym, by pomieścić cały batalion) - kto złamie warunki zakwaterowania, zostanie ukarany. A jeśli usłyszę jakąś skargę od męża, brata lub ojca, to winowajca będzie mógł zacząć szukać sobie

pracy jako strażnik haremu na południe stąd. - Słyszając to, żołnierze roześmiali się. Popatrzył w dół na morze roześmianych twarzy i poczuł, jak mu się skręca żołądek. Ilu z nich przeżyje dłużej niż miesiąc? pomyślał. Poczuł na ramionach ciężar odpowiedzialności, cięższy niż cały świat.

- W porządku, chłopcy - mówił dalej z wymuszonym uśmiechem. - Wszyscy nas tu kochają. Pamiętajcie tylko, dlaczego - gestem wskazał na południe. - Tamci nas nie kochają, nie będą nam rzucać kwiatów pod nogi. - Rozległ się pomruk, nie niezadowolenia, lecz raczej zrozumienia. Dobrze. - Bawcie się dobrze, ale pamiętajcie, że wyruszamy na południe w następny Dzień Gwiazdy. Wprowadźcie grzechy - pokazał na miejski Kościół, wznoszący się wysoko murami z kamienia i szkła po drugiej stronie placu - do kabin terminali i obmyjcie swoje brudne dusze. A potem zaróbcie na żołd. Niech was przeniknie Duch Człowieka Gwiazd. Naprzód Piąty! Descott na wieki!

- DESCOTT NAWIEKI!!

- Trębacz, odegraj "Rozejść się do kwater".

\* \* \*

Suzette, pani Whitehall, zatrzymała się na schodach trybunału. Plac był słabo oświetlony poświatą padającą z okien, które miała nad głową, i blaskiem miejskich latarni umieszczonych wysoko na wspornikach przytwierdzonych do murów okolicznych budynków. Ze świątyni dochodziły śpiewy Głównej Oprawy, grupy skazańców sprzątały plac, usuwając róże, psie gówno, skórki owoców i potłuczone butelki. Światła paliły się w całym mieście, a Suzette słyszała plusk wody w fontannach, dźwięczną muzykę gitar i śpiewy. W Komar nadal świętowano coś, co uważano za wybawienie.

Kapitan Stanson podjechał na swoim psie pod same schody, zdjął posrebrzany hełm i uklonił się. Miał we włosach hiacynty.

- Och, moja droga - powiedział, całując jej dłoń. - Wspaniały wieczór dla najwspanialszej z dam. Odkryłem czarujące miejsce i zarezerwowałem tam stolik dla dwojga.

- Jestem pewna, że będziecie się z Mertą dobrze bawić - odrzekła ironicznie unosząc brew i delikatnie cofając dłoń. Stanson stracił rezon.

- Ale, to znaczy, planowałem...

- Stolik dla dwojga, łóżko dla trojga? Przykro mi bardzo, mój drogi, ale to tylko twoje fantazje - mocniej szarpnęła dłoń, drugą wsuwając do torebki, do twardej rękojeści derringera. Zostawiła go tam, kiedy wyjmowała dłoń z torebki. - W Tańczącej Dziwce proponują pierwszy raz za darmo, a

tobie z pewnością daliby korzystny rabat.

- Ty kłamliwa suko! - zdziwienie walczyło w jego głosie z wściekłością. - Ty... obiecałaś, ty... ty kłamliwa dziwko!

- Cicho, biedny Helmcie. Spędziłeś całe życie na dworze i uwierzyłeś w obietnicę! A słowo, którego szukasz, to "kpiarz", a nie "dziwka" - Suzette patrzyła, jak pełna zdumienia ciekawość zastępuje gniew, w każdym razie na chwilę. To zaskakujące, pomyślała.

- Dlaczego? - zapytał.

- Cóż, widzisz, Helmt, już cię nie potrzebuję, to wszystko.

Szarpnął uzdę, zawracając psa, i wbił mu wściekle piętę w boki. Pies skoczył do przodu z gniewnym warknięciem, prawie wpadając na sprzątaczy. Suzette skrzywiła się i postukała palcem w usta.

- Może i błąd - mruknęła. - Ale od czasu do czasu napad szczerości może dać tyle radości...

\* \* \*

- Wszyscy już są - powiedział Gerrin, kiedy Suzette wśliznęła się przez drzwi i usiadła u szczytu stołu. Raj rozejrzał się wkoło. Grupa towarzyszy urosła do dziewięciu osób, nie licząc jego ani jego żony: Gerrin Staenbridge i Foley, rzecz jasna, i bracia Gruder. Jeszcze jeden porucznik z kompanii Kaltina Grudera, Mekkle Thiddo, który był kuzynem Raja i do tego jego bliskim sąsiadem w Descott. Dwóch szlachciców z plutonu Thiddo, Holdor Tennan i Fitzin Sherrek, młodsi synowie wasali, którzy byli klientami rodziny Whitehallów.

- Nie ma M'lewis - powiedział da Cruz. Kilku obecnych skrzywiło się. Descotczycy nie przywiązywali takiej wagi do pochodzenia, jak inni, i nikt nie miał zastrzeżeń do członkostwa da Cruza, który pochodził z szanowanej rodziny rolników; ale niechlujny żołnierz to inna para kaloszy, nawet szlachty z okręgu parafii Bufford nie traktowano zbyt dobrze.

- Pewnie poszedł kraść gdzieś w mieście - mruknął Kaltin.

- Mam nadzieję - dodał jego brat Evrard. Obaj byli wystarczająco czuli, by słuchać swoich podoficerów, ale dowódca plutonu był bliżej wszelkich plotek. - Jeśli się tylko upił... cóż, trzeźwy mógłby zaciągnąć do łóżka Umartwioną Siostrę; pijany nie odróżni maciory od swojej siostry i żadnej z nich by nie przepuścił.

- Wysłałem go z pewnym zadaniem - powiedział Raj, siadając przy stole z kości słoniowej. Za

nim szumiała na ścianie fontanna, kolorowa plama na białym marmurze ścian; jej plusk dawał gwarancję, że jeśli ktoś postanowi podsłuchiwać przez dziurkę od klucza, to niewiele się dowie. - A teraz, towarzysze, musimy rozwiązać pewien problem.

- Kurewska racja - dodał da Cruz. Utało się, że w czasie tych spotkań nie stosowano oficjalnej etykiety, inaczej, niż kiedy działali w polu. - Naprowadziło mnie to, że te miastowe tak nam się rzuciły na powitanie. Szczególnie messerowie pocili się ze szczęścia, jak nas zobaczyli, pospólstwo też. Nie mówiąc już o dziwkach. Przychodzi mi do głowy tylko to, że wszyscy są tu pewni, że szmaciane łby pojawią się u bram naprawdę szybko, jeśli ich nie zatrzymamy.

- Jestem dokładnie tego samego zdania – powiedział Raj. Słodki Duchu, przydałaby mi się kąpiel, masaż karku i dwadzieścia godzin snu...

Gerrin Staenbridge zmarszczył brwi.

- To miasto jest niezdobyte, jak każde podobnej wielkości - powiedział nieco pedantycznym głosem. Sztuka oblegania miast była jego hobby. - Upadło tylko... ile, dwa razy?

- Trzy razy, raz w czasie wojny domowej - poprawił go Foley.

- Dziękuję ci, Barton - powiedział Gerrin. – Kontynuując: na murach jest ponad pięćdziesiąt dział, ładowanych przez lufę, ale dobrych, i garnizon liczący trzy bataliony regularnej piechoty. - W pokoju rozległy się parsknięcia. Piechota Rządu Cywilnego zaciągana była spośród chłopów hrabstw centralnych i okolic Wschodniej Rezydencji, i nawet barbarzyńcy, którzy stanowili jedną trzecią armii, uważani byli za lepszych żołnierzy. - Wiem, wiem, ale są wyszkolonym wojskiem z karabinami ze zbrojowni. Jeśli będą musieli tylko siedzieć w bunkrach i strzelać przez szpary do szmacianych łbów, to chyba sobie poradzą.

Nie przysłali ich tu przynajmniej z karabinami skałkowymi, pomyślał Raj, postukując w blat stołu grafitowym patyczkiem. Nie było to niezwykle w wewnętrznych hrabstwach. Karabiny robione na eksport dla dzikusów były znacznie tańsze.

Rozległo się pukanie. Evrard rzucił się do drzwi i otworzył je z pistoletem w dłoni. Do środka wszedł Antin M'lewis. Przysunął sobie krzesło do stołu i usiadł, pokazując w uśmiechu zepsute zęby, nawet teraz wyglądając, jakby coś ukrywał. Zadziwiające. Kiedy próbuje kogoś oszukać, masło by mu się w ustach nie roztopiło. Kładzie ręce na kosztownościach dopiero, kiedy się odpręża.

Kaltin podjął dyskusję. - Nawet jeśli garnizon nie jest wiele wart, w mieście jest czterdzieści tysięcy ludzi. Widziałeś, jak się tu buduje: labirynt uliczek wijących się między pustymi, kamiennymi murami. To bogate miasto, mające własne źródło wody. Święte awatary Ducha,... - Raj z trudem powstrzymał się od skrzywienia. Technicznie rzecz biorąc, ten termin oznaczał również jego. Nie

jestem godzien! krzyknęło coś w jego wnętrzu. Stłumił ten krzyk, podobnie jak zmęczenie i ból tyłka; za długo siedział w siodle... - ... trzeba dwudziestu tysięcy ludzi oraz machin oblężniczych, żeby zdobyć to miejsce.

- M'lewis? - powiedział Raj. - Czego się dowiedziałeś?

- Że jest tu najlepsza impreza, jaką przegapiłem w życiu, messerowie – odrzekł M'lewis. - Nie dało się zapłacić za gorzałę i dymanko, nawet jak się chciało, przepraszam bardzo panią. Tak czy inaczej, dowiedziałem się tego, czegoście chcieli.

Raj skinął głową. - Zacząłem coś podejrzewać, kiedy zobaczyłem salutującego nam żebraka w jednym z zaułków - powiedział sucho. - To dziwniejsze niż dziewczyny z kwiatami, choć mniej widoczne.

- Postawiłem mu kielicha, ponie. Niech mu idzie na zdrowie. Szeregowiec z 23. Piechoty, są tutaj, z 81. Strzelców i z Piechotą hrabstwa Kelden.

- Zaraz - wtrącił się Kaltin. - To nie te jednostki miały tu być!

- Tak jest. Przyszli je miesiąc temu. Jeszcze im nie wypłacili żołdu, to sprzedają mundury, żebrzą, pracują w przedziałniach, co dla mnie na ten przykład jest jeszcze gorsze niż...

Kolejne pukanie do drzwi. Towarzysze wymienili spojrzenia, a Kaltin wraz z bratem stanęli w przejściu. Foley sięgnął na plecy po schowaną w skórzanej torbie dubeltówkę, otworzył ją, zajrzał w lufy i położył odbezpieczoną na kolanach pod stołem.

Raj zapalał właśnie papierosa, kiedy przez drzwi wszedł Muzzaf Kerpatik i padł przed nimi na kolana. Bracia Gruder zdziwili się na ten widok, ale nie tak bardzo, by zapomnieć o wepchnięciu luf rewolwerów pod żebra mężczyzny i przyprowadzeniu go do miejsca dowódcy. Po drodze zabrano mu broń i przeszukano dokładnie. Rewolwer, dwa derringery, długi sztylet w bucie, sztylet do pchnięcia w kapturze szaty... To naprawdę człowiek interesu, pomyślał Raj.

- Wybacz mi, panie - powiedział złamanym głosem miejscowy; teraz wyraźniej było słychać jego śpiewny południowy akcent. Spróbował dotknąć głową marmurowych płyt podłogi.

Raj wydmuchnął dym.

- Byłoby łatwiej, gdybym wiedział za co - powiedział.

- Zdradziłem cię, zdradziłem Ducha Człowieka Gwiazd, niech będę posłany do... cóż, niech mi lepiej wybaczą, zdradziłem Rząd Cywilny.

Kaltin Gruder odciągnął kurek rewolweru.

- Szpiegujesz dla szmacianych łbów? - zapytał metalicznym głosem.

- Nie, nie! Trybun zorganizował z... - widać było walkę, którą toczył ze sobą - ... z dostojnikami ze Wschodniej Rezydencji, myślę, że z kanclerzem...

- Tzetas!! - wykrzyknęli chórem towarzysze.

- Uważajcie na słowa... - zauważyła Suzette.

- ... zmianę garnizonu. Oni otrzymali dotacje ziemskie, ale, rozumiecie... dopóki nie przekaże się tytułów własności, to renty się zbiera, ale żołnierze nie dostają nic. Nic!

Raj skinął krótko głową. W skarbcu Rządu Centralnego nigdy nie było dość pieniędzy, by płacić piechocie, jednocześnie utrzymując ważniejsze jednostki kawalerii... nie wspominając o jednostkach zaciężnych spoza Rządu Cywilnego, które wymagały dużej gotówki w dźwięczącej monecie, bez żadnych weksli bankowych. Dochody rozplýwały się po drodze z hrabstw do stolicy, z powrotem już nie wracały. Zamiast tego każdy żołnierz piechoty miał przydzieloną farmę. Pracowali na niej najemnicy, więc żołnierz miał czas na ćwiczenia, choć wielu spędzało więcej czasu na pomaganiu w polu niż na ćwiczeniach. Kiedy jednostkę przenoszono, żołnierzom należało natychmiast przyznać odpowiednie gospodarstwa. Nawet, jeśli system działał bez zarzutu, morale oddziałów zawsze spadało, gdy regiment musiał zmienić miejsce stacjonowania.

Kaltin pokiwał głową z namysłem. - Wiesz, jeden z kapitanów piechoty miał na sobie mundur uszyty z azaniańskiej torofib - było to włókno, które produkował pseudoinsekt żyjący na sawannie za wybrzeżem Zanj, by wyścielać swoje norki. - Prawdziwej. Nie kupił tego za żołd oficera. Mnie samego nie byłoby na to stać... a na posiadłościach Gruderów hodowano dziesięć tysięcy angor.

- Ale... - wybuchnął Evrard. - To... to wstrętne!

Pozostali spojrzeli na niego z żalem: przyjechał z Descott dopiero rok temu. Gerrin wzruszył ramionami. - Robota Tzetas - podsumował. Muzzał skinął głową, a łzy zalewały mu twarz.

- Legat to sugerował, ale to przecież człowiek kanclerza. To było, zanim jeszcze Tewfik ruszył, kiedy nikt nie sądził, że wydarzy się coś poza kilkoma wypadami na wysunięte osiedla.

- Jaki był twój w tym udział?

- Ja... działałem jako agent, zbierałem czynsz. Pięć procent dla mnie. Z... trzech tysięcy srebrnych Fed-Kredów. Czwarta część dla oficerów, reszta dla legata, nie wiem, jak się tym podzielił z kanclerzem. - A potem dodał - Mój panie, nie wiedziałem... wydawało się, że wszyscy to robią, mówili, że Komar będzie bezpieczne. Duch Człowieka Gwiazd i Rząd Cywilny byli dla mnie dobrzy, mój panie, teraz widzę, że ty jesteś ich prawdziwym sługą. Pomagałem zepsutemu człowiekowi w



jego zepsuciu... pozwól mi służyć tobie w uczciwości!

- Merida - powiedział Raj cicho. Cholera. - Tyle na temat naszej bezpiecznej bazy. Ile prawdziwego wojska jest w mieście?

Spojrzał na Muzzafa. Człowiek mieszanej krwi, z pewnością zdecydowany udowodnić swą lojalność, wielu było takich jak on. Kto mógł go winić za to, że szedł drogą, którą prowadzili go legat i kanclerz? Zdolny człowiek, nieoceniony, jeśli wyrzuty sumienia były szczerze...

- Ach, jest osobista gwardia legata, najemnicy z hrabstwa Asaura - kilka parsknięć. Asaura było w górach na północny wschód od pociętego kanionami Descott i stanowiło część Rządu Cywilnego tylko dzięki jego grzeczności. Legat hrabstwa Descott wybierany był przez miejscową szlachtę, zarówno w praktyce, jak i w teorii. Legat hrabstwa Asaura wyznaczany był we Wschodniej Rezydencji i w niej zostawał, jeśli miał odrobinę zdrowego rozsądku. Nawet Descotczycy uważali Asauran za zacofanych, choć uchodzili oni za doskonałą piechotę.

- Cóż, dobrzy wojownicy, tyle że kiedy się upiją, a prawie wciąż są pijani, zabijają wszystkich w zasięgu wzroku i gwałcą ciała - powiedział Mekkle Thiddo. - Ilu ich jest?

- Około setki. Jest też miejska milicja, ale oni tylko obsługują działa. Jeden z kapitanów piechoty utrzymuje dwustu ludzi na własny rachunek, sądzę, że pozostali zmusili go do podporządkowania się systemowi zakwaterowania. Może jest ich i drugie tyle wśród służby messerów miasta, ale ci nie są zorganizowani.

- Nie ma ich nawet tylu, by obsadzić mury - powiedział Raj. Wszyscy popatrzyli na niego, w ich oczach widać było niewypowiedziane wątpliwości. I...

»Obserwuj.«

\* \* \*

... patrzył z własnego punktu widzenia, widział własne ręce na stole, tak jak wtedy, kiedy wzruszył ramionami.

- Cóż – powiedział / mógłby powiedzieć. - Możemy się tylko pomodlić. Tu rządzi legat. Musimy się tylko zatroszczyć, żebyśmy nie potrzebowali bezpiecznej bazy, niech się o nią martwi wróg...

POM-POM-POM - pociski z szybkostrzelnego działa cięły masę wrzeszczących ludzi i skomlaących psów, którzy zapchali zupełnie bramy Komar. Było ciemno, noc rozświetlały tylko księżycy i pożary, które zmieniały biel budynków Komar w szkarłat i czern. Rozpalone do białości żelazo siekło psy, woły i ludzi, i zmieniało ich w pokurczone i pokrwawione kształty leżące na ziemi.

Innych spychano poza krawędź mostu, prosto do fosy, której dno lśniło ostrymi szpikulcami. Raj przepychał się przez tłum, a krew z rany na głowie zakrywała jedną stronę jego twarzy szkarłatnym całunem.

- Z drogi! - krzyczał, płazując szablą tłum postaci w błękitnie Piątego, w bieli 2. Żandarmerii i w szarościach wieśniaków. Hałas zagłuszał jego słowa. Zagłuszał wszystko poza tryumfalnym rykiem Kolonistów, którzy spuszczaali się do fosy po linach i przystawiali drabiny do murów. Z blanków ktoś strzelił z armaty raz jeszcze, zostawiając w tłumie atakujących plac wyjących, krwawych strzępów żywych istot. Ale obrońców było zbyt niewiele.

- Ul-ul-ul! Allahu Akhbar! - Okrzyki jak żelazo na kamieniu, powtarzane po tysiáckroć, kiedy żołnierze islamu zalali mury powodzią ciał, falą, której grzywą były błyskające oczy, zęby i szable.

Skok. Ranek, który byłby jasny, gdyby nie zasnuwający obraz dym. Przed pałacem trybuna rosła góra ciał. Piechota Kolonii dorzucała coraz to nowe na coraz większy i większy stos. Jedno z nich należało do Bartona Foleya i miało szeroko otwarte oczy i ranę od ucha do ucha, która niemal sięgała kręgosłupa. Piechur trzymający go za ramiona zachichotał, pokazując na ciało.

- Hai, ten tutaj miał hallal, bracia! - powiedział, śmiejąc się. Rytualne poderżnięcie gardła, które Shari'ah, Droga Do Nawodnionego Miejsca, nakazywała przy zabijaniu zwierząt na mięso. - Czy ktoś się chce pożywić tym maluszkiem?

Siedzący w siodle oficer przechylił się i sieknął mężczyznę w plecy biczem o dziewięciu końcach. Żołnierz krzyknął z bólu.

- Cisza, ty bluźnierczy synu berberskiej świni i syfilitycznej dziwki! - wrzasnął. Ze znajdującej się po drugiej stronie placu świątyni rozległ się potężny huk. Wielki, srebrny rozbłysk gwiazdy został zrzucony z dachu i spadał teraz wśród gwizdów. Oficer podniósł wzrok z satysfakcją, a potem przeniósł spojrzenie na niedobitków Piątego, ustawionych pod ścianą pałacu. Dwóch z nich podtrzymywało na wpół omdlałego Raja, którego głowa zniknęła prawie zupełnie pod zawojami bandaży.

- Sami widzieliście, kapharskie psy - powiedział oficer, pokazując ręką płonące miasto - że nie ma siły w shirk, bałwochwalstwie. Nie ma Boga poza Bogiem. Który z was odrzuci ciemnych bożków i przyjmie prawdziwą wiarę? - Spojrzenia i cisza. - Wola Boża. Mężczyźni są silni. Będą pracować w kopalniach - mówił dalej, kiedy żołnierze zaczęli ustawiać więźniów w szereg. - Tamta - wskazał gestem Suzette - będzie ponętna, kiedy tylko nabierze ciała. Zakryjcie jej twarz przed wzrokiem mężczyzn i zaprowadźcie do moich kwater.

»Obserwuj.«

... patrzył z własnego punktu widzenia, widział własne dłonie na stole, tak jak wtedy, kiedy wzruszył ramionami.

- Cóż, trzeba będzie spróbować odzyskać zapasy dla piechoty - powiedział.

Rozmazanie. Zobaczył sapiącego urzędnika przystawiającego pieczęć na dokumencie.

- Trzeba było to zrobić w zeszłym tygodniu - powiedział Raj, wstając.

Cywil miał właśnie się odezwać, kiedy drzwi otworzyły się z trzaskiem i wpadł przez nie ordynans, stanął na baczność i zasalutował.

- Proszem o wybaczenie, ponie, ale oficer prosi, byś się stawił osobiście. Zbliża się kolumna szmacianych łbów.

\* \* \*

Dość, pomyślał Raj. Hologramy Centrum zniknęły.

- Musimy coś zrobić i to szybko - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Jak się nazywa ten oficer piechoty, który płaci ludziom z własnej kieszeni?

- Messer kapitan Jorg Menyez - powiedział Muzzaf, wycierając oczy wierzchem dłoni i wyciągając chusteczkę, by wydmuchać nos.

- Znam tę rodzinę - rzekł Raj. Mieli ziemię w hrabstwie Kelden, niedaleko cieśniny o tej samej nazwie, wąskiego ciekę wodnego dzielącego Śródświat od Morza Piersona. Dość zamożni, widywał ich wina sprzedawane we Wschodniej Rezydencji, mieli też... ach tak, kamieniołomy marmuru. - Co on robi w piechocie w bundu?... Zresztą, nieważne. Mekkles, bądź tak dobry, znajdź go i przyślij do moich kwater jutro o, hmm, 14:00, powinniśmy mieć dzięki temu dość czasu - oparł się pięściami o stół i wstał. - A oto, w jaki sposób przeprowadzimy niewielką reformę administracyjną. Przy pobudce, Gerrin...

\* \* \*

- To zupełnie wbrew regulaminowi!

Wiceasystent legata Komar był tubylcem, lecz ubierał się zgodnie z modą Wschodniej Rezydencji. Korytarz, którym przeszli Raj, Staenbridge i Foley, miał po obu stronach szeregi

otwartych drzwi, za którymi przy niskich stołach siedzieli w kucki urzędnicy i rozmawiali, czytając i wypisując listy. Kiedy Descotczycy przechodzili obok, zapadała nerwowa cisza, w której słychać było tylko dzwonięcie butów na kamińskich korytarzach. To biuro różniło się od poprzednich, jego ściany pokryto ręcznie malowanymi płytkami. Zewnętrzna ściana wykonana była z rzeźbionego kamienia, na którym wiły się sploty jaśminu, pokryte rosą z płynących powyżej krystalicznie czystych źródełek. Sekretarka skurczyła się na kanapie o nogach z brązu, stojącej w jednym z rogów pokoju. W czerwonej, obcisłej sukni wyglądała prawie tak samo ozdobnie jak winorośl. Biurko urzędnika miało wysokość krzesła, wykonano je zgodnie z panującą na północy modą, a porfirowa płyta stanowiła tło dla litografii gubernatora, wicegubernatora i kanclerza w dworskich szatach.

- Jeśli przeczytasz uważnie - powiedział Raj, wyrywając mężczyźnie pergamin z rąk - to odkryjesz, że upoważnia mnie to do nakładania kontrybucji i wykorzystywania władzy Rządu Cywilnego wszelkimi dostępnymi środkami. - Złotym, szkarłatnym i srebrnym atramentem, do tego sześć wielkich pieczęci, zaczynając od pieczęci wicegubernatora, poprzez kanclerza, aż do ministra wojny i mistrza żołnierzy rejonu Rezydencji. - Zobowiązuje również wszelkie władze cywilne do współpracy.

- Ale... ale dotyczy działań za granicą! - Rząd Cywilny nie uznawał innych krajów na Ziemi...

»Bellevue« wtrąciło Centrum.

... na Ziemi za suwerenne. Wszystkie inne terytoria były w stanie rebelii.

- Tak? - powiedział Raj, rozwijając dokument i czytając go szybko. - Nie zauważyłem. Nie wspomina się tu nic o granicach. Mówi się tylko o Komar i okolicach. Tutaj jest Komar. Będę więc wdzięczny, jeśli podpiszesz ten rozkaz natychmiastowego przekazania tytułu przyznanych ziem, jeśli łaska. Do tego zaległości płatnicze. Wypłacisz je ze skarbcza hrabstwa.

- Nie ma mowy - zaczął mówić urzędnik, ale zamilkł, kiedy Raj odwrócił się do niego plecami i wsparł but o stalowym czubku o drzwi, by je zatrzaskać.

Foley sięgnął przez ramię i wyjął dwururkę. Przełknął ślinę, widać było, że jest zdenerwowany, ale nawet człowiek tak nie obeznany z przemocą jak pulchny wiceasystent zorientował się, że nie zawaha się jej użyć. Lekkie drżenie luf czyniło widok jeszcze bardziej przerażającym.

Staenbridge stanął za cywilem i posadził go przemocą na krześle.

- Jesteś praworęczny, prawda, obywatelu? - zapytał grzecznie.

- Ttttak - wymamrotał wiceasystent.

- Dobrze, bo nie chciałbym, żebyś nie mógł się podpisać - ciągnął pogodnie Descotczyk, chwytając mężczyznę za lewy nadgarstek. Obyło się bez szarpaniny, choć urzędnik bardzo się starał. Staenbridge nie ociągając się położył jego dłoń na blacie stołu. Gwiżdżąc przez zęby wyciągnął prawą ręką pistolet, obrócił go tak, by złapać za lufę i rozmazanym łukiem opuścił na zaciśniętą pięść.

Dźwięk uderzenia rozległ się niczym trzask pękających gałęzi, połączony z rzucaniem ciasta na tortownicę. Wicegubernator krzyknął w chórze z sekretarką, a potem osunął się na krzesło omdlały. Chwył towarzysza, który nadal go trzymał, przykuwał jego nadgarstek do stołu równie pewnie jak by zrobiło to imadło, nie mógł więc osunąć się na podłogę. Jego twarz zrobiła się szaro-brązowa, a ślina pociekła z kącika ust i spotkała się ze łzą spływającą po policzku. Szarpnął się i zawył, kiedy Staenbridge wbił swój kciuk w masę popękanych kości dłoni.

Towarzysz pochylił się nisko i postukał mężczyznę w nos kolbą pistoletu.

- A teraz podpisz papiery, dobry człowieku - powiedział. - Czy mam kontynuować? - Kciuk raz jeszcze delikatnie potarł ranę.

\* \* \*

- Nie ma mowy - powiedział dyrektor zapasów miejskich, gapiąc się na braci Gruder. Ich potężne barki zasłaniały cały pokój. - Dwa tysiące spodni i tunik piechoty, buty, pasy, ładownice... nie ma mowy! Mam w magazynie ich karabiny, miałem je oddać, kiedy wyjaśni się sprawa ziemi i zaczną realizować swoje zobowiązania, ale to! - zamachał formularzem. - To jakieś żarty!

- Przyznanie ziemi jest właśnie w tej chwili załatwiane - powiedział cierpliwie Evrard. Ktoś, kto znał go dobrze, wiedziałby jak niebezpieczny się stawał gdy w jego głosie pojawiała się ta nuta. - A to jest Komar? Ma przedziałnie, farbiarnie, krawców, farbiarzy, tkaczy? Eksportuje ubrania i buty? Podpisz po prostu zezwolenie na zawieranie umów, o tu, na dole.

- Wynoście się z mojego... hej, człowieku, co ty robisz? - zapytał, patrząc poza potężne sylwetki braci Gruder.

Antin M'lewis wyszczerzył zęby, ukazując brązowe zęby i piwne oczy. - Kradnę - powiedział, owijając srebrny nóż do papieru w brudną chustkę do nosa i wpychając go do kieszeni kurtki. - Masz jeszcze trochę takich? - Wzdłuż ścian biura stały szafy pełne bibelotów. M'lewis wziął do ręki szklaną kulę z domkiem w środku i roześmiał się jak dziecko, kiedy po potrząśnięciu w środku zaczął padać śnieg. Schował kulę razem z nożem.

Dyrektor wybałuszył oczy, a jego twarz poczerwieniała, ale okrzyk zamarł mu w ustach, gdy Evrard wyjął z sykiem szablę. Jej czubek spoczął pod jego nosem, dotykając jego twarzy tak, że w wardze zrobił się dołek.

- Evrard - powiedział Kaltin. Dotknął figurki tańczącej dziewczyny. Miała zaledwie sześć cali wysokości, lecz aż tętniła życiem. Ustawiono ją na drewnianej podstawce o kolorze miodu. Mężczyzna obracał ją przez chwilę w dłoniach, zanim podsunął ją pod nos bratu. - Doskonały smak, nie sądzisz?

- Mmmm. Pachnie prawie tak przyjemnie jak prawdziwa dziewczyna - powiedział Evrard.

- Ale te tutaj - mówił dalej Kaltin, pokazując na figurki zwierząt z brązowego szkła - są zdecydowanie pospolite. - Podnosił je z półki i rzucał przez ramię, jeden trzask za drugim.

- Niech was zabiorą w Zewnętrzne Ciemności, połamią wam kości i spalą, a demony niech pożrą wam oczy! - syczał dyrektor. Na jego czole i górnej wardze pojawiły się kropelki potu. - Nie zastraszcycie mnie w ten sposób!

- Nie? Sprawiasz nam zawód - powiedział Evrard, wycierając czubek szabli w rękaw i chowając ją do pochwy. - M'lewis, co powinniśmy w takim razie zrobić?

- Nie wiem, ponie - powiedział żołnierz, marszcząc brwi. Nagle rozpromienił się. - Wyciepiemy go przez okno, ponie?

Rzucili się do przodu i podnieśli wijącego się i wrzeszczącego dyrektora.

- Raz... - okna były przeszkłone, a zewnętrzne okiennice zamknięto przed słońcem. - Dwa...

- Już!

Krzyk przerwał brzęk tłuczonego szkła i trzask pękającego drewna. Dyrektor wpadł z powrotem do pokoju. Miał na twarzy z tuzin powierzchownych ran, wypluł ząb i próbował podnieść się na czworaki. Descotczycy okrążyli biurko i złapali go za kostki i pasek. Potem użyli jego głowy i ramion jako tarana, by usunąć pozostałości okna i okiennic. Zakrwawionymi dłońmi chwycił się ram okiennych, nie przejmując się ostrymi odłamkami szkła, aż wreszcie, wypchnięty za okno zawisł głową w dół, podtrzymywany tylko rękami braci. Przestał się bronić, kiedy zorientował się, że oswobodzenie się oznacza tylko tyle, że poszybuje piętnaście stóp w dół, prosto na bruk. M'lewis ściągnął mu ze stopy but.

- Za cholerę nie pasuje - powiedział z żalem, podskakując na jednej nodze i przykładając do stopy podeszwę buta. But poleciał za okno. Za nim drugi, a za nimi niebiesko-czerwone skarpetki. M'lewis sięgnął za plecy, wyjął długi nóż i wsadził go sobie do ust, by móc podwinąć rękawy. -

Tum-te-tum - mrucał, sprawdzając, czy nóż jest ostry; zgolił sobie trochę włosów z przedramienia. - No a teraz, panowie, jak mawiał mój staruszek, jeśli chcesz, żeby facet poszedł ci na rękę, obedrzyj go ze skóry od stóp w górę. Albo w dół, jak z tym tutaj.

- Zabierzcie go ode mnie! - zakwiczał dyrektor, kopiając by uciec od ostrza noża, którym żołnierz naciął mu stopę. - Podpiszę!

- Wiedziałem, że podpiszesz - powiedział Kaltin.

\* \* \*

- Zgodnie z rozkazem - powiedział Mekkle Thiddo, kładąc dokumenty na stole przed Rajem. Towarzysze spotkali się w tym samym pokoju, w którym rozmawiali poprzednio. Przekopywali się przez stosy papierów leżących na stole, a Mekkle włożył do ust palec, z którego kostki zdarł sobie skórę; po chwili zastanowienia wsadził go do fontanny. - Trzymiesięczne racje dla całego garnizonu. Nie zabijałem, ale mój urzędas będzie jadł bardzo ostrożnie.

Raj skinął głową. A ludzie, od których zależy życie tych gryzpiórków, nie będą zebrać na ulicach, pomyślał z posępną satysfakcją. - Czy ten kapitan piechoty już tu jest? - zapytał. Jaki z niego Menyez, jeśli skończył dowodząc batalionem piechoty?

Kapitan Jorg Menyez był wysokim mężczyzną, o podobnej budowie jak kawalerzyści, naprzeciwko których stał: szerokie barki i wąskie biodra. Raj przypomniał sobie nagle, że jego babka ze strony matki pochodziła z okolic cieśnin Kelden. Poza tym, nie było między nimi wielkiego podobieństwa. Menyez miał około trzydziestu pięciu lat, blade oczy, prosty nos i brązowe oczy, był opalony, i łysiał trochę na czubku głowy. Jego blade oczy miały teraz czerwone obwódki i wydawały się nieco rozwodnione za okularami w drucianych oprawkach. Raz po raz wydmuchiwał w chusteczkę nos i odchrząkiwał, przeglądając dokumenty. Podnosząc głowę, zacisnął mocno usta.

- Dziękuję - powiedział. - W imieniu ludzi. Próbowałem, ale... - zadrżał i sięgnął szybko po chusteczkę. - Psiik! Co powie pułkownik Dyaz?

- Pułkownik... messer Dyaz wziął bezterminowy urlop z przyczyn zdrowotnych, messerze w roli pułkownika - powiedział Raj tym samym zimnym, metalicznym tonem.

Menyez siedział przez chwilę w milczeniu, jeśli nie liczyć rżenia.

- Cóż... - kolejna przerwa. - Musi być... przyjemnie, mieć taką władzę.

- Nie, wcale nie jest! - wykrzyknął Raj. - Wcale nie jest przyjemnie działać jak górski bandzior by zmusić ludzi do wykonania tego, co do nich kurwa należy! Nie jest przyjemne, że agenci Rządu

Cywilnego nie pracują tu bez pieprzonego pistoletu w nosie! Ale to i tak lepsze niż pozostawić to miasto bezbronne - kiwnął głową w stronę dokumentów, które Menyez miał w dłoniach. - Teraz masz chociaż odpowiednie narzędzia.

Menyez wyprostował się, zasalutował energicznie, a w jego głosie zabrzmiał szacunek i niechętna wdzięczność człowieka, który otrzymał to, co mu się od dawna należało. - Cóż, lepiej już pójdę i zacznę robić, co do mnie należy - i szybko wyszedł z pokoju.

- Właśnie coś zrozumiałem - powiedział nagle Gerrin Staenbridge. - Wiem, dlaczego jest w piechocie. - Wszyscy spojrzeli na niego. - Ten biedny, pechowy gnojek ma alergię na psy.

\* \* \*

Suzette ssała końcówkę pióra. Pozostali wyszli szybko, udając się do zadań związanych z wymarszem. Przeciągnęła się, była tu sama, tylko z dźwiękiem spadającej wody i unoszącymi się w powietrzu zapachami smaru do broni, skóry, psów i męskiego potu, które przynieśli ze sobą żołnierze. Zamyśliła się, potem zamoczyła stalówkę w kałamarzu swego przenośnego biurka w walizce i pisała dalej.

“... i jestem pewna, że twój mąż wykaże takie samo zainteresowanie, jak mój, tym, jak Tzetzas przygotował obronę Komar, miasta, w którym Clerettowie mają tyle inwestycji”.

Czy to nie brzmiało zbyt prostacko? Nie. Nieuczciwie, tak. Nikt nie spodziewał się, by do Komar zawitała w najbliższym czasie wojna. Gdyby było to wiadomo, legat nie pozwoliłby, żeby zdolności obronne jego własnego miasta zostały aż tak obniżone, choć zadziwiające było, do czego mogli się posunąć ludzie mający przed oczami krótkoterminowe zyski. Tzetzas zagrał i przegrał, to wszystko. Można było mieć szczęście lub pecha. Pecha, kiedy na przykład dziecięca prostytutka, bita w wieku dwunastu lat, zostaje kochanką, a potem żoną pnącego się w górę krewnego gubernatora, o nazwisku Barholm Clerett... Pochodząc z niższej klasy doskonale wiedziało się, co oznacza szturmowanie biurk urzędników. Annę z pewnością ucieszy opis działania Raja, o wiele bardziej niż opis działań ludzi, których pognebił, i tych którzy wydawali im rozkazy.

Jesteś zbyt słodka dla tego Upadłego Świata, mój aniele, pomyślała Suzette z westchnieniem. Lepiej nie pisać za wiele, niech Anna sama obmyśli taktykę. Pióro zaskrobało na papierze.

“Kochająca przyjaciółka”...

I jedyna przyjaciółka, obawiam się, pomyślała,



... "Suzette, pani Whitehall".

Podniosła dzwonek i zadzwoniła nim jeden raz. Drzwi otworzyły się i wszedł przez nie, kłaniając się w pas, niski, niepozorny człowiek w szatach pogranicznego pasterza.

- Proszę, Abdullah - powiedziała Suzette, podając mu zapieczętowaną wiadomość. - Dla pani Clerett i nikogo innego. Do jej własnych rąk, nie dla sługi.

- Twój rozkaz, moja pani - powiedział mężczyzna. Pokłonił się raz jeszcze, dotykając listem czoła, warg i serca. - Zajmie to tydzień, może dziesięć dni, jeśli Allah nie będzie łaskawy.

- I uważaj na to! - powiedziała ostro Suzette. - Mogą cię za to ukamienować.

Pełne usta wykrzywiły się.

- Nie martw się, moja pani Whitehall - powiedział łagodnie. - Te psy Sunni za granicą bywają jeszcze szybsze z kamieniami. Już wcześniej uchodziłem za pogranicznika. - Druze było już niewielu, a ich osobliwe pojmowanie islamu pozwalało im kłamać w czasie przesłuchań. - Dla ciebie, która ocaliłaś moją rodzinę od niewolnictwa, zawsze gotów jestem zaryzykować życie - uśmiechnął się. - A poza tym dobrze płacisz!

- Niech pokój będzie z tobą, Abdullahu. Idź.

- Idę, pani. I z tobą niech będzie pokój.

## Rozdział dziewiąty

Pierwsze pomarańczowe promienie słońca oświetliły równinę za plecami Raja, rzucając cienie na oazę El Djem i umocnioną osadę w jej centrum. Skarpa, ciągnąca się w prawo i w lewo, znikwała w mroku, rozjaśnianym tylko punktami błękitu i ochry w miejscach, gdzie kamienie zaczynały odbijać światło słońca. Stepy zostawili już za sobą, przed nimi była pustynia. Piasek przesypywał się ponad szczytem skarpy. Woda płynęła spod jej podnóża, gdzie piaskowiec wzgórz miał za podstawę granit i lustro wody było na tyle blisko powierzchni, że można było kopać tam studnie i stawiać pompy przy źródłach artezyjskich. Powietrze było nieruchome, miało w sobie jeszcze nocny chłód, a od pól niósł się ku nim zapach zieleni.

Raj podniósł lornetkę. Wokół El Djem zbudowano kopiec ziemi wysokości dwóch metrów i otoczono palisadą z dwukrotnie jeszcze wyższych pni palmowych, związanych nie wyprawionymi skórzanymi rzemieniami i umocnionych błotem. Na tle blednących gwiazd doskonale widać było minarety meczetu, a jeden z nich przecinał dokładnie krąg Maxiluny. Przecinała go również wieża heliografu wbudowana w ostrokół... a sukces tego wypadu zależał od tego, ile szkody zdąży wyrządzić każdy z obu batalionów, zanim uformują się znaczące siły Kolonistów.

Cicho jak duchy pojawiły się trzy postacie. M'lewis, Muzzaf i jeden z około pięćdziesięciu pograniczników, którzy przyłączyli się do Piątego. A żaden nie poszedł do Drugiego, pomyślał Raj z satysfakcją. Dzięki niech będą Duchowi Człowieka Gwiazd za to, że Stanson i jego motłoch byli o sto kilometrów na wschód, w Ksar Bougib; oba oddziały miały zbliżyć się ku sobie. Wystarczało mu, że będzie ponosił odpowiedzialność za własne błędy.

- Poszło nom jak po maśle, ponie - powiedział M'lewis. - Ładunek wybuchowy na miejscu.

Skinął z wdzięcznością do Muzzafa, który zorganizował i to, i wiele innych przydatnych Piątemu przedmiotów. I którego kupiecka znajomość tej strony granicy okazała się nieoceniona. Komar mu nie służyło, ale to jego wewnętrzne demony pognały go na tę wyprawę, zamiast skierować na zachód, do krewniaków w Kendrun, do których powinien jechać z całą rodziną i ruchomym majątkiem.

Żołnierz i Komarianin zniknęli równie szybko, jak się pojawili. Pogranicznik pozostał przy Raju jeszcze przez chwilę, śmiejąc się cicho, kiedy patrzył na oazę takim wzrokiem, jaki zobaczyć można u gospodyni stojącej w progu kurnika i wybierającej najdorodniejszą sztukę na rosół.

- Ci Fellahini to owce, panie - powiedział. - Nie tacy jak Beduini. Nie możemy wyruszyć dalej sami, a wielka szkoda - uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Słyszeliśmy kwik ich muezina. "Modlitwa jest lepsza niż sen". Niedługo zakwiczą inną piosenkę.

- Rząd Cywilny nie prowadził tutaj żadnych akcji zaczepnych od ponad dwudziestu lat - powiedział Muzzaf, wracając z dwoma psami. - A i tamte skończyły się porażką. - Miał jechać z ochotnikami. Ci świetnie ułożyli sobie stosunki z mężczyzną z Komar i podobnie jak on okazywali się bardzo przydatni. Choć ich motywacja miała i swoje minusy, dla nich była to walka honorowa.

- Zatem na pozycje - powiedział Raj. Dotknął swego amuletu, zamknął na chwilę oczy i poruszając lekko ustami, pomodlił się.

\* \* \*

... zza poległych wyłonili się następni Koloniści, oszołomieni, zachlapani krwią towarzyszy, którzy stali kilka kroków przed nimi. Raj ujrzał, jak ich twarze zamraza przerażenie, kiedy spostrzegli zbliżające się szable i psie kły Piątego. Około tuzina ocalałych miało na tyle opanowania, by próbować zamknąć bramy. Daremnie, bo większość żołnierzy oddzieliła się od 1. Kompanii i wdrapywała się z psich grzbietów na palisadę na całym jej obwodzie... ale i tak było to lepsze niż stanie i czekanie, aż ich wybiją.

Horace i trzy inne wierzchowce oparły się przednimi łapami na wzmacnianym żelazem drewnie, a Raj poczuł wstrząs, który poszedł w górę jego kręgosłupa, zamroził kark i ścisnął mu zęby. Po uderzeniu odrzwia zmieniły się w wielkie skrzydła motyla, które otworzyły się, objając się o budynki wewnątrz z siłą, która zatrzęsała ziemią pod ich stopami, i stojący za nimi ludzie mogli wjechać do środka.

- Ruszać się! - krzyknął Raj, korzystając ze sposobności, by popędzić Horace'a. Słowa zginęły w szczekaniu i warczeniu psów stłoczonych w wąskim przejściu, ale gest ręki trzymającej szablę został zrozumiany. Tutaj bronią miała być szybkość i siła uderzenia. Musieli stłumić wszelki opór, zanim miejscowi zdążą się przegrupować.

Do środka wlała się fala 1. Kompanii, żołnierzy jadących strzemię przy strzemienu i zwalnających w środku do kłusu. Strzelano gdzieś przed nimi, wśród labiryntu uliczek. Wszystko budowano tu z błota i cegieł, domy miały wąskie okna i wystające krokwie, niektóre wysokie były nawet na cztery piętra. Raj widział błękitne mundury żołnierzy Piątego kłębiących się na platformie strzeleckiej na palisadzie. Niektórzy przyklękali, by zdejmować snajperów z dachów, a inni schodzili po drabinach, prosto do El Djem. Szybkie spojrzenie za bramę pokazało, że rezerwa otaczała właśnie kilkuset robotników, którzy zdołali rozbiec się po oazie, próbując uciec na piechotę, a...

Skok Horace'a mógł wysadzić jeźdźca z siodła, gdyby nie refleks, który wprowadził w ruch mięśnie Raja, zanim jeszcze do jego świadomości dotarła informacja o tym, że pies się poruszył. Dwaj

mężczyźni stali na tyle blisko zawiasów bramy, że nie zostali zmiażdżeni, a teraz zignorowali obietnicę jaką stwarzała otwarta brama, by zaatakować Raja. Ten strzelił czterokrotnie, aż wreszcie mężczyzna z widłami upadł, trafiony w udo. To był zły wybór, bo ten drugi miał podcinak do gałęzi, pół metra stali ostrej jak gigantyczna brzytwa na kij długości człowieka. Był też młodszy i wyglądał na zdeterminowanego...

Pies cofnął gwałtownie głowę przed pierwszym cięciem mężczyzny. Kolonista odwrócił broń i pchnął nią Raja w twarz. Ten przechwycił atak klingą szabli i pozwolił, by ostrze się osunęło i zadzwoniło o koszowy jelec, który na chwilę je unieruchomił. Linia rękojeści podcinaka stanowiła pomoc przy celowaniu, kiedy Raj mierzył z pistoletu do Kolonisty. Obok ucha Raja przeleciał z suchym "whak" pocisk, a skóra na połowie jego twarzy ściągnęła się, jakby próbowała wessać się do środka. Nie ma na to czasu. Młody mężczyzna zamarł, jego twarz zbieleła, kiedy palec Descotczyka zacisnął się na spuście. "Snak". Kurek uderzył w uszkodzony nabój, ale zęby Horace'a już się zaciskały na drzewcu broni i rozdzierały je jak słomkę. Wieśniak miał dość czasu by krzyknąć, zanim kły zacisnęły się jeszcze raz, tym razem na jego twarzy. Dobrze wyszkolony pies puścił natychmiast ofiarę i zakręcił się w koło, a jego uszy wyprostowały się kiedy stanął nosem w kierunku, z którego dochodziły odgłosy strzałów. Mężczyzna na dachu nosił długą szatę i ha'aik, a uzbrojony był w lekki, powtarzalny karabin. Był od nich zaledwie dziesięć metrów i spokojnie klęczał i mierzył. Raj poczuł się, jakby był zatopiony w miodzie, poruszał się powoli, jak we śnie. Poczł na skórze gorąco, a ciało nie chciało uwierzyć w śmierć, choć umysł podpowiadał mu, że nie sposób uniknąć kuli w tak krótkim czasie. Cały wszechświat zniknął poza ogromnym okręgiem lufy. Lasso, które złapało ramiona snajpera, zaskoczyło Raja tak samo jak strzelca. Jego mózg przesłał mu obraz z zewnątrz. Żołnierz galopujący uliczką w stronę bramy przywiązał już koniec liny do łąku siodła. Dziesięć metrów przed kapitanem lina z wyprawionej skóry napięła się i Kolonista wystrzelił z dachu jak z katapulty. Wylądował na ulicy z głuchym łomotem, który jak cięcie noża uciął jego okrzyki wściekłości, i został pociągnięty po ziemi tak szybko, że kiedy żołnierz ściągnął lejce, potoczył się jeszcze do łap obu psów.

- Dobra robota, towarzyszu - powiedział Raj, ciesząc się, że oddycha. Wspaniały popis, nawet jeśli lasso było zwyczajnym narzędziem pracy w hrabstwie Descott.

- Przez jakiś czas byłem vakaro, panie - powiedział kapral Holdor Tennan. - Łapałem dzikie bydło... Starszy porucznik Staenbridge przesyła pozdrowienia. Zajął meczet.

Za bramą rozległy się krzyki i przeszedł przez nią Kaltin Gruder na czele kolumny żołnierzy z bagnetami na lufach karabinów. Raj podniósł rękę i zwrócił się do Tennana - Moje gratulacje, niech utrzyma pozycję i wystawi strzelców wyborowych na minaretach i dachach posiadłości Caida. Kaltin

- mówił dalej, odwracając się do mężczyzny stojącego przy jego siodle; żołnierze szli już dalej ulicą, uważnie badając okna i dachy. - Gotów?

Szybkie skinienie głowy. Nawet po tygodniowym marszu przez pustynię starszy z braci Gruder miał na sobie w czasie ataku czystą tunikę. Nawet się ogolił, co można by nazwać prawdziwą pobożnością.

- Wszyscy, którzy wyszli za palisadę, są zneutralizowani, Raj - powiedział. - Wsadziłem ich do zagród dla zwierząt i powiązałem, około dwustu dwudziestu. Bez ofiar.

- Dobrze. Ty i Thiddo naprzód – Raj objął gestem ulicę. - Zaczniście przeszukiwać dom po domu. Pierwszy i Piąty mają już siły blokujące na skrzyżowaniach i strzelców na palisadzie. Szybko i bezlitośnie. Zabić każdego, kto będzie sprawiał kłopoty. Oddzielcie mężczyzn, pospólstwo zaprowadźcie do zagród. Kobiety, dzieci i każdego, kto wygląda na ważnego, zabierzcie do centrum miasta, zamknijcie ich w meczecie. I kontroluj żołnierzy.

- To się nie uda zbyt długo, Raj – ostrzegł Kaltin.

Żołnierze wyglądali na zaniepokojonych, bez przerwy przebierali palcami po spustach karabinów, ale wielu z nich się uśmiechało. Z pierwotnej radości, że przeżyli początek akcji, i w oczekiwaniu na najrzadszą przyjemność żołnierza - plądrowanie ocalałego miasta. Dwóch rzuciło się na jęczącego snajpera i zaczęło szukać u niego broni. Kiedy wiązali mu ręce na plecach, zaczął krzyczeć, najwyraźniej urazili zwichnięte ramię, ale także pomogli mu w odzyskaniu przytomności. Jeden z żołnierzy z brutalną siłą wepchnął staw na miejsce.

- No i masz, Mohammed - powiedział, popychając więźnia ku bramie. - Coś przekazać żonce? Zobaczą się z nią wcześniej niż ty! - chrapliwy śmiech. - Milio, wsadź go do zagrody.

Kaltin pokręcił głową - Nie, naprawdę niezbyt długo.

- Zatem trzeba będzie uporać się ze wszystkim bardzo szybko, prawda?

\* \* \*

- ... co stanowi konkluzję dla tej fazy operacji, poza odnalezieniem Caida. Gdzie jest Caid? - zapytał zdenerwowany Raj, zapalając papierosa. Była to akcja, o jakiej żołnierze śnią w koszarach, bogate miasto zdobyte przy minimalnych stratach, a jednak złość ścisnęła mu zęby.

Dowódcy spotkali się w loggii posiadłości należącej kiedyś do Caida, starosty El Djem. Stała ona przy wąskim, trójkątnym placu, którego pozostałe boki zajmował meczet i wysokie ściany domów. Dom Caida różnił się od nich, miał zadaszoną werandę, z której można było przemawiać do

ludzi, odbywać zaimprovizowane rozprawy sądowe, a która teraz, w godzinie kiedy temperatura urosła do wypalającego mózgu maksimum, dostarczała bardzo pożądanego cienia. Panował tu dość nieformalny system rządów, nie było to duże miasto, miało zaledwie pięć tysięcy mieszkańców, czy coś koło tego. Dobrze by było mieć pod ręką głównego zarządcę, ale w zasadzie nie było to konieczne.

- Pewnie chowa się w piwnicy - powiedział Muzzaf. Komarianin wyglądał na równie zmęczonego jak wszyscy, ale od kiedy opuścili Białe Miasto wydawał się być spokojniejszy. - W każdym razie batalion poradził sobie dziś świetnie.

Raj skinął głową. Dziesięciu zabitych, co w przypadku działania pięcioma kompaniami było śmiechu warte... oczywiście nie dla tej dziesiątki, dla której taki układ miał kapitalne znaczenie.

- Podwójne przydziały łupów dla poległych? - zapytał. Wszyscy skinęli głowami. Łupy z miasta wziętego szturmem należały do żołnierzy, oprócz dziesięciu procent należnych Rządowi Cywilnemu. Oficerowie i podoficerowie dzielili między siebie połowę, korzystając ze skomplikowanego schematu, a resztę dzielono na równe części przysługujące zwykłym żołnierzom. Tak było w jednostkach rekrutowanych w Descott. Przyznawanie podwójnych udziałów poległym było bardziej zwyczajem niż tradycją. Otrzymują je krewni, wraz z urną z prochami, karabinem, szablą i psem zmarłego.

Po drugiej stronie placu na płaskim dachu pojawiło się kilku żołnierzy niosących wielki gliniany dzban. Roześmiali się głośno i rzucili go na ziemię, patrząc jak wokół rozlewa się morze oliwy. Pierwsza fala zgarniania łupów skończyła się, teraz przystąpiono do badania magazynów. W każdym razie to tam należało szukać prawdziwego bogactwa. Żołnierze zajmowali się "czyszczeniem", podczas którego wszystko, co znaleźli, należało do nich, mogli to zabrać lub zniszczyć. Czerpiąc dziwną przyjemność z niszczenia rzeczy, pomyślał Raj. Rozrzutność dla niej samej, wszelkie przyjemności bycia utracjuszem bez żadnych tego minusów. Zasłużyli na to albo zasłużą, zanim to się skończy. Były też inne zajęcia zwycięzców - grupki mężczyzn czekały na schodach meczetu, przepychając się brutalnie i chichocząc. Jeden z sierżantów zamieszał w hełmie losy, wyjął jeden i przeczytał: - Pierwsza kompania, drugi pluton, trzeci szwadron!

Jedna z grupek zaczęła się przepychać do przodu. Drzwi meczetu otworzyły się i wypchnięto zza nich pół tuzina młodych kobiet, mrużących w słońcu oczy i tulących się do siebie. Tłum wydał zgodny okrzyk aprobaty, a kobiety Kolonistów pochyliły się, jakby pod ciosami. Jedna z nich zemdląła, kiedy szwadron ruszył po schodach, by odebrać nagrodę, co wywołało u widzów falę ironicznych gwizdów. Pozostałe kobiety zaczęły krzyczeć i płakać, kiedy żołnierze pociągnęli je w kierunku swoich kwater. Wokół rozlegały się jowialne okrzyki.

- Powodzenia, wy bycze fiuty!

- Pokażcie im, dlaczego baby w Descott mają nogi jak podkowy!

- Hej, Sandor! Czy to znaczy, że sprzedasz owcę?

Ta ostatnia uwaga prawie stała się powodem bójki. Przyjaciele warchoła musieli go odciągnąć, a żołnierz Sandor rzucił się za swoją nagrodą, która uwolniła się i uciekała ku labiryntowi uliczek między rzędami wyjących ze śmiechu Descotczyków. Żaden z nich nie zwrócił uwagi na bluźniercze wrzaski biegnącego Sandora. Robiono zakłady i przekazywano pieniądze, kiedy złapał ją za włosy przy drugim okrążeniu placu. Trzymał ją mocno za długie, czarne pukle włosów i złapał ją pewnie w pasie zgiętym ramieniem, krzywiąc się na kpiące zapytania kolegów, którzy martwili się, czy starczy mu sił na cokolwiek poza złapaniem jej.

- No dobra, kutasy - powiedział sierżant na schodach, sięgając po kolejny los. - Następni... druga kompania, trzeci pluton, czwarty szwadron! Chodźcie i sobie weźcie!

- Nie, najpierw się bierze, a potem się dochodzi! - ktoś dorzucił. - Najpierw plądruj, potem pal.

Muzzaf grzebał cały czas w fałdach szaty, gdy towarzysze przyglądali się leniwie widowisku.

- Ach, tak - powiedział wreszcie. - Dokonałem wstępnych obliczeń... tysiąc pięćset srebrnych FedKredów na jeden udział.

Zapadła cisza.

- Słodkie awatary wszechwiedzącego Ducha - powiedział w końcu Gerrin. Odwrócił się i postukał Bartona delikatnie w ramię. - Akademia Wojenna w ciągu roku lub dwóch, mój chłopcze! Zrobimy z ciebie dwusemestralne cudo.

Da Cruz obliznął wargi, przypominając sobie, że za pięć lat idzie na emeryturę.

- Dziedzic Dorton powiedział, że wynajmie farmę Cazanegri człowiekowi, który ją przyzwoicie wyposaży. Nie opłaca mu się prowadzić jej przez zarządcę - powiedział zamyślony.

- Nie dzielcie skóry na niedźwiedziu - powiedział Raj, a wszyscy splunęli i przeżegnali się gestem rogu. Spojrzał na Muzzafa spod zmrużonych powiek. - Skąd wzięłeś tę liczbę?

Mężczyzna z Komar uśmiechnął się swym starym, kupieckim uśmiechem i wyjął kawałek papieru.

- Oto szacunkowe ceny towarów, które tu znalazłem. Tutaj się je sprzedają... a ja wiem, że Kościół w Kendrun da nam 93% ceny Wschodniej Rezydencji. Specie, dinary, są dla nich lepsze zastosowania niż oddawanie do mennicy do przebiccia, one mają własną wartość. Są w Sandoralu kupcy, którzy dadzą wam o 3% więcej niż zawartość kruszcu, by zapewnić płynność handlu

kolonialnego. Niewolników sprzedaloby się w Komar, ale... - przesunął palcem po nosie - ... twój pokorny sługa zna kilka kopalń i kamieniołomów, które będą zachwycone, mogą kupić bezpośrednio u źródła.

Czytał dalej swoją listę, a żołnierze patrzyli po sobie niespokojnie. Zarówno dla dzierżawców, jak dla ziemian, było to zupełne odwrócenie porządku świata, że umiejętności kupieckie działały na ich korzyść. Największe miasto hrabstwa Descott było mniejsze niż El Djem, a większość mieszkających tam kupców i przedsiębiorców była cudzoziemcami. A jednak Komarianin był jednym z pierwszych, którzy znaleźli się za murami El Djem...

- Twoja prowizja? - zapytał bez ogródek Evrard. Muzzafer opuścił wzrok i zaczął bawić się papierem.

- Nie - powiedział cicho. - Spłacam długi. - Cień poprzedniego uśmiechu spłynął na jego oblicze. - W służbie messera Whitehalla mogę to robić i prosperować, a także prowadzić ciekawsze życie niż kiedykolwiek.

- Cóż - powiedział łagodnie Raj i poklepał go po ramieniu. - Myślę, że powinieneś dostać pełną rację, co najmniej. Umieścimy cię na liście płac jako zwiadowcę.

Muzzafer przełknął ślinę i odwrócił się. Oznaczało to akceptację ważniejszą niż pieniądze. Nadal był zamożny z tym wszystkim, co zdołał uratować z Komar i wysłać na zachód do miasta Kendrun na wybrzeżu wraz ze swoją żoną. Tam zajmą się tym krewni.

Raj zaczął mówić dalej - Przypomnijcie ludziom, że jutro wyruszamy, z kaczem czy bez; na szczęście w muzułmańskim mieście nie znajdzie się za dużo alkoholu. Zostawimy tu jeden pluton, który zapewni nam łączność, i wyruszymy na wschód wzdłuż skarpy, kolumną, wysyłając jednostki po dwa szwadrony, które będą niszczyć okoliczne farmy. Mistrzu sierżancie, wyznaczcie szwadrony do niszczenia, niech zagnają więźniów do palenia sadów i niszczenia pomp, studni i kanałów irygacyjnych.

Da Cruz skinął głową. Nie można się było bronić tam, gdzie człowiek nie mógł żyć, a nie można było żyć z dala od źródła pożywienia, jeśli nie było żeglownego akwenu wodnego, którym można by je było dostarczać. Wyprawa osłabi północno-zachodnią granicę Kolonii na pokolenie lub dłużej. Nawet wtedy odtworzenie jej pochłonie olbrzymie środki.

- Ponie - powiedział da Cruz. - Zrąbię palmy daktylowe i poukładam pnie w sadach. Jutro albo pojutrze wszystko się spali jak złoto. Ciała i gruz powrzucamy do studni. Wysadzimy źródła...

- Zajmij się tym. Słudzy i kolumna transportowa powinni przybyć tu po południu. Kiedy wyładujecie amunicję, zakujcie więźniów - z kolumną transportową jechali handlarze niewolników,



k którzy zawsze ciągnęli się za wojną jak padlinożercy za carnosauroidem, i zawsze mieli ze sobą swój sprzęt. - Załadujcie łupami każdy wolny wóz i wszystkie, które znajdziecie tutaj, i natychmiast wyślijcie je na tyły. Będą krążyć stąd do Fort Blair, kiedy my będziemy w polu. W miarę jak będziemy się posuwać na wschód, łupy będziemy przysyłać tutaj, a potem partiami na północ. Semaforey Kolonii zaniósą wiadomości do doliny Drangosh już wkrótce, a ja chciałbym, żebyśmy byli jak najbardziej ruchliwi.

- Zrobione, ponie.

- Ach, i oddajcie zdobyczne psy i broń służącym - powiedział Raj. - W walce się nie przydadzą, ale będą mogli palić i grabić, a takie właśnie mamy teraz zadanie.

- Natychmiast, ponie.

- Zaczniemy się wycofywać, kiedy tylko spotkamy się z Drugim, niszcząc po drodze wszystko, co napotkamy. - Obniżenie terenu, na którym stało El Djem miało kształt spłaszczonego owalu, leżącego na osi wschód-zachód. Większość zabudowań postawiono na północnym jego skraju, gdzie było najwięcej źródeł artezyjskich. Na południu również było zgrupowanie budynków. Woda, która wybijała na środku owalu, była zbyt słona by rosły tam ziarna, lecz świetnie służyła plantacjom krzewów przyprawowych. - Kiedy zgromadzimy tu ostatni ładunek, lub wcześniej, to zależy, cofniemy się do fortu Blair, a potem do Komar, kończąc misję. Zrozumiano?

Gerrin opierał się o kolumnę.

- Dobrze, pod warunkiem, że wróg zechce współpracować.

- Marzę sobie, coby nie chciał - powiedział da Cruz. - Nowy pobór. Bardzo bym chciał popatrzeć, co z nich będzie, jak się zaczną kłopoty.

Niespodziewanie przemówił M'lewis, który siedząc w kucki, przycinał sobie paznokcie swoim długim nożem.

- Może i tak - powiedział. Wszyscy spojrzeli na niego, a on odpowiedział im chytrym uśmiechem. - Ci nowi myślą, że kapitan się w czepku urodził. Że zmienia kule w wodę. I dobrze, jak długo mamy szczęście, niech się cieszą. Ale pewnie podkulą ogony, jak zacnie się tu naprawdę podawać czerwone wino.

- Niewiele możemy z tym zrobić - powiedział Raj, odpychając od siebie wizję szeregu strzelców, z którego uciekają ludzie, pozostawiając swych towarzyszy... nie, pozostawiając obcych ludzi, na których nie nauczyli się polegać, oficerów, których nie znali dość dobrze by im zaufać. Raj wiedział, co go motywuje, wiedział, że będzie prowadził tę wyprawę niezależnie od konsekwencji, ale nie

byłby dobrym dowódcą gdyby nie wiedział, że większością żołnierzy rządzą inne imperatywy.

Gdzieś w budynku za nimi rozległ się trzask pękającego drewna. Ktoś krzyknął rozradowanym, skrzeczącym falsetem.

- Aur! Aur!

- Duchu Człowieka Gwiazd - mruknął Kaltin. - To znowu ci cholerni ochotnicy. Pieprzone łasice w kurniku.

Raj westchnął, przecierając twarz dłonią i odpinając hełm. Zimny pot zebrał się na korkowo-gąbczastej podszewce.

- Czasami dają posłuch rozsądnym argumentom.

- Czasami, ponie - powiedział M'lewis. - Po tym, jak chłopcy im powiedzieli, co sądzą o marnowaniu łupów. - Oficerowie skinęli głowami. Descotczycy bywali nieco szorstcy, byli w końcu żołnierzami, a nie uczennicami na wycieczce, ale w sercu byli to dobrzy chłopcy. - Mają dobre nosy do kryjówek, kiedy nieco ochłoną. Kilku kaypadros kręciło się z nimi i "czyściło".

Kolejne trzaski, rytmiczne uderzenia metalu o drewno. Kolejny chór okrzyków, tym razem wśród nich żeńskie głosy. Pojedynczy wystrzał i krótki świst żelaza. Krzyki, przeszywające skrzeki pograniczników i głębokie okrzyki żołnierzy z Descott.

- Cóż, to chyba mała kryjówka Caida - powiedział Evrard, zaglądnąwszy do środka przez nie zasłonięte okna, sięgające od podłogi do sufitu. - Ale cholera...

Raj odwrócił się. Ochotnicy poganiali kopniakami starszego mężczyznę, ubranego w drogie szaty. Brodę miał ufarbowaną na zielono, co było znakiem, że odbył pielgrzymkę do świętego miasta Sinar. Tam wylądowały pierwsze statki ze Starej Ziemi, a jeden z nich miał na pokładzie fragment Ka'bah, zabrany z ruin płonącej Mekki. Co chwila walili go w twarz otwartymi dłońmi i pluli na niego. Jeden wyrwał mu wiecheć włosów z brody. Caid wrzasnął i zaczął się modlić po arabsku.

- ... chyba niedużo z niego zostanie.

Ochotnicy również krzyczeli.

- To za księdza, którego zarżnęliście w naszym kościele!

- Krzycz, psie! Krzycz jak mój brat, kiedy Beduini palili go żywcem!

Raj uderzył dłonią w żłobioną kolumnę, o którą się opierał.

- No cóż, nie musieli się zgłaszać - powiedział. Ochotnicy byli nieocenieni w czasie takich wypadów i zasadzek, i z pewnością byli wojownikami... ale nie stanowili żadnego wojska, choć

każdy, który znalazł się tak daleko za granicami wrogiego terytorium, miał z pewnością silną motywację do działania.

Rozdzierany materiał i jeszcze więcej okrzyków bólu i strachu. Skrzeczący głos pogranicznika - To są twoje suki, psie? Hai, stary kundel, taki jak ty, nie potrzebuje suk!

Ponownie zajrzał do środka przez okno. Caid był teraz na czworakach, a jeden z ochotników siedział mu na plecach jak na psie i chłostał go należącym do samego Caida ceremonialnym biczem o dziewięciu końcówkach. Ostre kawałki stali na końcach biczów miały zarówno praktyczne zastosowanie jak i znaczenie symboliczne. Duchu Człowieka, cóż to za sposób na życie, pomyślał zmęczony Raj z niesmakiem.

- Ten pies nie reaguje na bat - zażartował jeździec.

- Nygus! - roześmiał się inny, z podartym rękawem i nożem w dłoni. - Takie psy się kastruje.

Dowódcy odwrócili wzrok, przecież nie było potrzeby patrzeć na coś, co ewidentnie wymknęło im się spod kontroli. Przegapili przez to pierwsze poruszenia za drzwiami. Nikt nie usłyszał też tupotu bosych stóp na kamiennej posadzce, bo agonalne wrzaski Caida zagłuszyły na chwilę wszystko wokół. Nie trwało to długo. Mężczyzna, któremu obcina się jądra, bardzo szybko traci przytomność z upływu krwi. Barton Foley był tak zaskoczony, że kiedy wpadła na niego biegnąca z opuszczoną głową dziewczyna, aż odskoczył z krzykiem. On wrzasnął, a dziewczyna odpowiedziała piskiem, rozglądając się dziko. Mężczyźni pochowali do kabur pistolety. Dłonie dziewczyny cały czas trzymały pas chorążego Foleya. Miała na sobie tylko podartą koszulkę, chyba że jako ubranie liczyć też grube, czarne włosy, które opadały aż do pasa. Wyglądała na około szesnaście lat i była ładna, nieco pulchna, o charakterystycznej urodzie Arabki.

Na kamieniach za nią zadudniły buty. Nie było to obuwie o miękkich podszewkach, jakie nosili ochotnicy. Pierwszy żołnierz, który wbiegł na werandę, miał w ręku bagnet i przewieszony przez plecy karabin. Miał na twarzy cztery głębokie szramy od podrapania, a sądząc z zaciętego spojrzenia, zdawał sobie doskonale sprawę, że niewiele dzieliło go od utraty oka.

- Suka - powiedział dziwnie obojętnym głosem, ciężko dysząc. - Suczy pomiot, już ją mieliśmy na ziemi, a ta mnie drapła. Teraz wezmę i potnę sukę na czworo.

Dziewczyna zlekceważyła wysiłki Foleya, który próbował ją odepchnąć. Kiedy żołnierz postąpił naprzód, schowała się za plecami Descotczyka, jeszcze mocniej ściskając jego pas i trzymając mężczyznę jak tarczę. Przeklinała prześladowcę po arabsku i pluła na niego przez ramię Foleya. Wściekły żołnierz ruszył do przodu i próbował sięgnąć za plecy młodzieńca wolną ręką.

Gerrin Staenbridge przesunął się nieco i zakrył dziewczynie usta. Ta próbowała go ugryźć, więc cofnął rękę i warknął dwa słowa po arabsku, po których stanęła bez ruchu, jeśli nie liczyć ciężkiego oddechu podnoszącego jej pierś. Żołnierz z bagnetem nawet tego nie zauważył.

- Zejdź mi z drogi, chłoptasiu - syknął.

Foley uwolnił się z uścisku dziewczyny, wyprostował, położył dłonie na biodrach i podniósł głowę, by spojrzeć na żołnierza.

- Co takiego, szeregowy? - zapytał powoli, głosem przypominającym głos kapitana Staenbridge'a podczas inspekcji.

Mężczyzna zamrugał i rozejrzał się wkoło. Z jego oczu zniknęło oszołomienie i po chwili wyprostował się. Szpic bagnetu skierował teraz ku ziemi, a lewa ręka automatycznie powędrowała do rozpiętych guzików kurtki.

- Ehm, proszę o wybaczenie, ponie - powiedział salutując niezręcznie. - Ta suka jest moja. Złapaliśmy ją. - Za żołnierzem pojawiło się jeszcze trzech: jeden kulał, drugi ssał kciuk, z którego ostre zęby wyrwały spory kawałek mięsa. - Odsuńcie się ponie, to się wszystkim zajmujemy.

Foley spojrzał raz jeszcze w przerażone oczy dziewczyny, a potem rzucił bezradne spojrzenie Staenbridge'owi. Starszy mężczyzna podszedł do niego i położył mu rękę na ramieniu.

- Nie sędzę, żołnierzu - powiedział spokojnie. - Jest ich jeszcze dużo w meczecie i stanowią mniejsze zagrożenie dla twoich oczu.

Palce żołnierza zacisnęły się na bagnecie, a on sam zaczął znowu drżeć z niecierpliwości i strachu przed oślepieniem, przemienionego w gniew.

- Ponie, tu jest czyszczenie, to nasze prawo - kiedy Descotczyk zaczynał mówić o swoich prawach, zaczynało się robić niebezpiecznie. - No i bardzo was ponie przepraszam, ale co wy z nią chcecie kurwa zrobić?

Staenbridge rozluźnił się, wyjął z kieszeni paczkę papierosów i podał jednego z uśmiechem żołnierzowi, nie tyle lekceważąc różnicę stopni, ile traktując sytuację jak rozmowę między dwoma towarzyszami broni. Żołnierz wziął niezręcznie papierosa, a potem musiał schować bagnet, by go zapalić.

- Widzicie, żołnierzu... Szeregowy Hyllo Henyarson, prawda? Parafia Mamorres? - Mężczyzna miał niebieskie oczy, bardzo rzadko spotykane, a w Descott prawie nieznanne. Skinął głową, a starszy porucznik mówił dalej. - Lubicie wino?

- Ci, ferrementi, seyor - odrzekł zaskoczony żołnierz. - Tak, oczywiście, ponie.

- Piwo?

- Trochę.

- Slyowtz? - entuzjastyczne skinienie; śliwkowa brandy była narodowym napojem Descott.

- Miód?

- Nao, zostawia mi na podniebieniu dziwny smak, ponie.

- Ale pijecie go od czasu do czasu?

- Cóż, oczywiście, ponie... - żołnierz umilkł z otwartymi ustami, marszcząc brwi z niezadowolenia i najwyraźniej szukając odpowiedzi, a oficer pokazał gestem dziewczynę z cichym "no cóż...". Kiedy szeregowiec się zastanawiał, Gerrin przyklęknął i wyjął ze swoich osobistych zapasów dwie butelki. Półlitrowe, z grubego, zielonego szkła z litograficznymi etykietami, na których widać było kwitnące śliwy, zamknięte korkiem i woskiem.

- Wiecie co, żołnierzu... Odkupię ją od was.

- Święte awatary Ducha - szepnął jeden z żołnierzy za plecami Hylio, oblizując wargi.

Holdor Tennan podniósł się z miejsca, które zajmował na balustradzie werandy, i przyjacielsko poklepał po ramionach dwóch pozostałych żołnierzy.

- Hej, bracia - powiedział. - Wiem przypadkiem, że sierżant Salton trzyma w meczecie najlepsze sztuki na koniec, a za kilka łyków tego napoju i przy delikatnej perswazji...

Hylio odwrócił się do przyjaciół, których oczy wpatrzone były w butelki. Slyowtz i kobiety były z pewnością atrakcyjniejsze niż rozmowa, którą odbył, i konflikt z dowódcą, który mógł prowadzić tylko do wzajemnej urazy. Mogli go poprzeć, dla zasady, ale butelka była gestem ratującym twarz Hylio, i to gestem bardzo hojnym, który oznaczał, że dowódcy leży na sercu sprawa honoru jego żołnierzy.

- Och, katastrofa i wyciek z rdzenia - powiedział. - Wszystkie są różowe w środku, nie? Uwaga na pazury, ponie.

- Ale... ale Gerrin... - powiedział Foley. - Co my z nią zrobimy?

Dziewczyna opierała się o kolumnę, jedną ręką trzymając koszulkę, a drugą zasłaniając krocze. Stenbridge uśmiechnął się do niego z czułością, ale najpierw przemówił do dziewczyny powolnym, ostrożnym arabskim, pokazując gestami miejsce, gdzie stali poprzednio żołnierze, a potem na meczet.

Przełknęła ślinę i skinęła głową, wodząc wzrokiem między nim a Foleyem, po czym przyjęła od starszego z nich płaszcz.

- Nie przestawaj się uczyć, kochany Bartonie - powiedział, obejmując czule chłopca. - W końcu kiedyś będziesz się musiał ożenić, by przekazywać dalej nazwisko, więc musisz wiedzieć co nieco o kobietach... Dobrze mi się układa z żoną, jeden tydzień raz na pół roku, kiedy wracam do hrabstwa. Pierwsza lekcja, nie krzywdź ich. Do miodu leci więcej much niż do octu, a nam się nie spieszy.

Skinął z zadowoleniem głową pozostałym towarzyszom. - Do zobaczenia później, panowie. Chodź, Fatima. - Uszy Foleya były czerwone aż po same czubki, kiedy para oddalała się w stronę kwater.

- Wiecie - powiedział Raj. - To był kawał dobrej, oficerskiej roboty.

Dyscyplina była bardzo ważna, ale ważne były także agresja i pewność siebie. To dlatego elita armii Rządu Cywilnego rekrutowała się z takich miejsc jak hrabstwo Descott, a nawet z barbaricum poza granicami. Ludzi nauczonych zabijać i tak dumnych, że woleli skoczyć w ogień niż przyznać się do strachu, trudno było kontrolować.

- Prawdę mówiąc, jestem nieco zaskoczony - powiedział Evrard.

- Nie znałeś Gerrina, kiedy stacjonowaliśmy na zachodniej granicy, Evrie - odrzekł na to Kaltin.

Da Cruz splunął zamyślony na dziedziniec.

- Messer Staenbridge zna się na rzeczy - powiedział. - Ale potrzebuje, żeby ktoś mu pokazał, w którą stronę ma iść. Inaczej wszystko mu się wymyka z rąk, a on się zaciętrzewia - otrzepał z kurzu rękawy munduru i zasalutował. - Ty wiesz, ponie, jak z nim postępować.

- Chyba się przejdę po posterunkach - powiedział Kaltin. - Zajmę ich czymś, żeby nie myśleli o kumplach, którzy piją i pieprzą, gdy oni smażą się na słońcu.

\* \* \*

Antin M'lewis patrzył, jak pozostali odchodzą, wszyscy oprócz kapitana. On został, stanął z założonymi rękami i patrzył na zajęte osiedle, jakby miał wizje. Nie wchodził mu w drogę, pouczył się męczyzna z parafii Bufford. Było w tym młodym dowódcy coś niepokojącego, ale wiedział, jak nagradzać dobrą służbę... i jak karać. To tak, jakby przyczepić swój wóz do wschodzącej gwiazdy. W końcu pomyślał, że nigdy nie będzie nudno, a może się to wszystko bardzo opłacić. Nie było oczywiście bezpiecznie, ale zostać w domu też nie było bezpiecznie. Przerzucać gnój i paść bydło, tylko po to, żeby skończyć z żelazem w brzuchu, było bardzo głupie - za wyśmianie kogoś w czasie

festynu, za przesuniętą miedzę, za zgubione bydło.

Sięgnął do sakiewki i wyjął z niej kostkę. Popatrzył zamyślony w stronę meczetu. Były tam kwatery podoficerów... a on był świeżo mianowanym kapralem. Kość pofrunęła w powietrze. M'lewis postanowił, że na kobiety może poczekać. Nie to, żeby tego nie lubił, ale nie był nadpobudliwy, a z jego doświadczenia wynikało, że baby się po wszystkim nie zrastały. Przez wiele lat nie mógł się nadziwić, jak łagodni, jak podatni, jak ufni byli mężczyźni zaraz po tym, jak sobie ulżyli. Prawdopodobnie będą mieli ochotę na przyjacielską partyjkę.

Złapał rzeźbioną kość za jeden z rogów takim ruchem, jakim pstrąg wyskakuje ponad powierzchnię wody. Jutro będą z powrotem w gorącym słońcu.

## Rozdział dziesiąty

Spalona rezydencja ciągle się tliła, zasnuwając obóz Piątego gryzącym dymem. Rozległ się trzask krokwi, załamujących się do wnętrza zbudowanej na zachodnim skraju posiadłości czteropiętrowej wieży, z której pozostał już tylko olbrzymi komin, wypływający w ciemniejące niebo kłęby dymu przetykanego czerwonymi iskierkami. Długie szeregi drzew przyprawowych płonęły, rozciągając wokół zapach cynamonu i goździków. Żołnierze i służba ścinała drzewa oliwne i pomarańczowe, karczowali krzewy przyprawowe, budowali z nich stosy i podpalali je.

- Szkoda, że spalili wszystko, zanim weszli tu nasi chłopcy - powiedziała Suzette. Jedli właśnie posiłek na zrabowanym stole pod rozpiętym naprędce namiotem. Kapitan Stanson usiadł po drugiej stronie stołu, zachowywał się z rezerwą, lecz grzecznie. - W ostatnich dwóch domach znaleźliśmy naprawdę ładne rzeczy.

Szambelan Suzette zbliżył się do nich, idąc prosto z kuchni. Miał na sobie wyszabrowaną srebrną szatę i oznakę urzędu. Dwaj służący szli obok niego z ostrożnością ludzi, którzy niosą przedmiot na tyle ciężki, by być niewygodnym - wielki, srebrny półmisek pieczonych sauroidów na ryżu i daktylach. Quasireptile były miejscowymi zwierzętami, żyjącymi na słonych bagnach. Żywiły się larwami i sitowiem. Mięso miały białe i słonawe, ale poza tym przypominające smakiem kurczaka.

- Nic dziwnego - powiedział Raj, odrywając sześciocalowe udko.

Dobiegały do nich uderzenia metalu o metal. Właśnie zakuwano w łańcuchy pracujących tu robotników. Każdy z nich pochylał się nad małym kowadełkiem, a handlarz niewolników wkładał bolec z miękkiego metalu w dziurę w obroży i rozgniatał go trzema wprawnymi uderzeniami młota. Większość z nich była już wcześniej niewolnikami, byli przecież na terenach przedsiębiorstwa, a nie zwykłej farmie. Ci ze strażników, którzy przeżyli, oraz rzemieślnicy, przykuwani byli do osobnego łańcucha. Około tuzina urodzonych w Rządzie Cywilnym więźniów cieszyło się z odzyskanej wolności, wykonując prace w obozie.

- Ponie - powiedział M'lewis salutując. - Szmaciane łby przybyły.

- Ależ proszę, wprowadź ich - powiedział Raj. Wokół płonęły ogniska obozowe i słychać było beczenie owiec prowadzonych na rzeź. Psy nie będą chciały wrócić do soi, pomyślał mimowolnie Raj.

»Nie okopałeś się« rozległ się głos Centrum. Nie przestał spokojnie gryźć udka, a przed jego oczami pojawił się obraz ludzi kopiących okopy i stanowiska strzeleckie.



Nie, pomyślał. To wypad na tereny wroga, a nie inwazja. Na patrolach jest teraz cała kompania, a ludzie śpią w butach przy osiodłanych psach. Dobrzy zwiadowcy i szybkie reagowanie to nasza najlepsza obrona, a nie uda nam się wykonać zadania, jeśli będziemy codziennie tracić trzy lub cztery godziny.

Zaskoczyło go, że nie usłyszał w głowie żadnej odpowiedzi. Zamiast tego przemówił Stanson.

- Codziennie sprowadzasz wszystkich ludzi na noc? - zapytał tonem nagany, kiwając głową w stronę zbliżającej się kolumny dwóch szwadronów, dla której tłem był czerwony zachód słońca i płonące budynki. Żołnierze byli obwieszani łupami, a za nimi szło stado pociągowych kóz. Słudzy na kolonialnych podjeżdżkach zamykali pochód, śmiejąc się i wymachując w powietrzu karabinami. - Codziennie wyruszają grupami od dziesięciu do dwudziestu - powiedział Raj. - Patrolują i palą, to dobry kompromis. Działa to dość dobrze, w każdym razie. Będziemy musieli z tym szybko skończyć, bo z Ksar Bourgib wysłano wiadomości.

Stanson skierował uwagę na własny talerz. Ksar Bourgib upadło po całym dniu ciężkich walk. Drugi miał duże straty, a miasto spłonęło, zanim zdążyli je splądrować. Najgorsze jednak było to, że heliograf zdążył nadać wiadomość na wschód, zanim został zniszczony. Dowódca Drugiego przybył na spotkanie na czele swej artylerii, plutonem idących pieszo rannych i długą, rozwlekłą kolumną zdobycznych wozów z łupami. Reszta jego żołnierzy została rozproszona, niektórzy po dwóch, i błąkała się gdzieś na drodze do El Djem.

- Effendi - była to delegacja Kolonistów, niosąca flagę rozejmu, prowadzona przez starca w zielonym turbanie i z brodą, pewnie jakiegoś imama. Najpierw ukłonili się wspaniale ubranemu szambelanowi, który tak długo pokazywał im obraźliwe gesty, aż zorientowali się, że dowódcą Rządu Cywilnego był mężczyzna w zwykłym mundurze i z trzydniowym zarostem. Rozległa się długa, chrapliwa przemowa po arabsku.

- Składają uprzejme pozdrowienia i proszą o łaskę dla więźniów - powiedział Muzzafer, odsuwając talerz i biorąc się za przeglądanie oprawionej mosiądzem księgi rozrachunkowej. Suzette podała służącemu klucz, a ten wyciągnął spod stołu ciężki kufer, otworzył potężny zamek i przesunął zasuwkę.

- Powiedz mu, że warunki są do przyjęcia - powiedział Raj. - Podobnie jak wszelkie słowne ozdobniki. - Każda uncja złota lub srebra oznacza narzędzia, żołd lub żywy inwentarz, pomyślał. Dobrze było palić pozostałe farmy, ale odbieranie miejscowym ziemianom pieniędzy też nie było złe.

Imam miał chłodne spojrzenie, w którym nie widać było strachu, pomimo faktu, że otaczali go uzbrojeni ludzie. Wyjęto małe sakiewki pełne monet, zważono je, porównano z nazwiskami w

tabelach. Chwiejący się więźniowie łkali z radości, padając w objęcia krewnych z delegacji.

Komarjanin mówił płynnie po arabsku. Raj przypomniał sobie, że jego matka była niewolnicą i konkubina z Kolonii.

- To przychylność Ducha, że islam zabrania lichwy - roześmiał się Muzzafer, wkładając monety do skrzyni i oddając ją Suzette.

Raj skinął głową. Kolonia była krajem tak samo ucywilizowanym jak Rząd Cywilny, być może nawet bogatszym, ale jej system bankowy był prymitywniejszy, a do tego znajdował się w dużej mierze w rękach żydów i chrześcijan. Tacy szlachcice, jak ci tutaj, trzymaliby większość pieniędzy w papierach - listach kredytowych i temu podobnych. Nie dziwiło też, dlaczego tak chętnie płacili, by pozbyć się napastników ze swoich terenów. Wiele z tych posiadłości ze słonych bagien zostało ograbionych zanim przybyli żołnierze, przez pracujących tam robotników, a jedyną rzeczą, jaką mogli odzyskać krewni, były pozostałości po pogrzebie.

- Nie dajemy pieniędzy z urazą, messer kapitanie - powiedział nagle imam poprawnym sponglijskim z akcentem z południowej granicy. Raj podniósł na niego wzrok. - Tak nakazuje Łaskawy Dobroczynca. - Lekki uśmiech. - A kto wie, może pewnego dnia sam będziesz potrzebował złota, by się wykupić. Niech pokój będzie z tobą, kaphar.

Delegacja przyprowadziła luzaki dla ludzi, których wykupiła. Wszyscy odjechali powoli, cały czas trzymając w górze flagę. Słońce zniknęło już za horyzontem, a poświata nie była jaśniejsza niż płomień trawiący resztki budynków. W niebo strzelały iskry, żar buchał prosto w gwiazdy. Raj spojrzał w oczy siedzącej po drugiej stronie stołu Suzette. Zmrużyła je w tajemniczym uśmiechu.

“Kraak”. Raj podniósł wzrok. Mógł to być rozżarzony kamień pękający w ruinach, kiedy powietrze zaczęło się ochładzać... Nie chciało mu się w to uwierzyć, podciągnął nerwowo pas z bronią. Kraak-kraak-kraak z północy, strzały padające za grupą niskich chat niewolników i linią drzew eukaliptusowych. Widać było czerwone ognie z luf karabinów. Rozległy się krzyki i wrzaski, szelest łańcuchów niewolników, a po chwili wielki obóz z bagażami Drugiego ogarnął chaos. Żołnierze Piątego rzucili się po karabiny, niektórzy już siedzieli w siodłach, niepewni, skąd przyszedł atak. Z taborów słychać już było strzały, pewnie bronili się ludzie Drugiego, a z pewnością służący. Nad ich głowami przemknęła ze świstem kula, a sądząc z odgłosu, musiał to być jedenastomilimetrowy pocisk ze zbrojowni, nielekki nabój Kolonistów.

- Duchu Człowieka, niech twoi ludzie przestaną kurwa strzelać, Stanson! - warknął Raj. - Trębacz, graj “Trzymać pozycje”! - Tylko tego im było trzeba, strzelania na ślepo w cholernych ciemnościach. Przeciwników nie mogło być wielu jeśli przeszli przez linię patroli, lecz

skoncentrowany ogień mógł wybić całe tuziny - a towarzysze, główna grupa dowódca, wyruszyli w większości w teren, więc nie uda się z pewnością zorganizować...

- Ul-ul-ull-ull! Allahuu Akbar!

Byli o wiele bliżej, już w granicach obozu, gwałtowny trzask powtarzalnych karabinków Kolonistów i trzaski metalu, coś łatwopalnego przewróciło się w ognisko, wybuchając białym płomieniem. Widział ich już, solidny klin pędzący prosto na ich stanowisko, strzelający i siekący wszystko, co stało mu na drodze.

- M'lewis... - zaczął spokojnym głosem, chociaż żołądek skręcał mu się z niepokoju: była tu Suzette. - Wezwij strażę, pędzą w naszą stronę...

Za późno. Już tu byli. Szambelan Suzette wybiegł przed namiot, by zobaczyć, co się dzieje. Okrążyło go sześciu jeźdźców na zgrabnych chartach angielskich, które warczały i tańczyły, podczas gdy ludzie składali się do cięcia. Mężczyzna krzychał ze strachu, machając rozpaczliwie kosturem, by przedłużyć życie o kilka sekund. Inni popędzili w kierunku grupy skupionej wokół Raja. "Pchnij!". Przewrócił ciężki stół ruchem biodra, zmieniając go w wysoką do piersi barykadę dla cywili. Stanson już wstał, a cokolwiek by o nim mówić, jego strzeleckiemu kunsztowi nic nie można było zarzucić. Miał przy pasie dwa rewolwery. Po chwili oba trzymał w rękach i strzelał z nich na zmianę, rozbłysk każdego wystrzału wykorzystywał jako wskazówkę, gdzie celować i po kolei zdejmował jeźdźców z siodła. Kątem oka Raj zobaczył M'lewisa, który chwycił strzelbę i uważnie celował. Strzał, i pies skowycząc poleciał na ziemię, przygniatając jeźdźca. Próbował przeładować i parsknął z wściekłości, gdy dźwignia zablokowała się w pół drogi na zgniecionym naboju z miękkiego mosiądzu. Raj wymierzył, ustawiając muszkę i szczyrbinkę w jednej linii z mężczyzną, który zamierzał się do cięcia w głowę M'lewisa. Odrzut był mocny jak zawsze, a mężczyzna przechylił się w siodle, podczas gdy jego szabla pofrunęła w ciemność migoczącym łukiem. Niski towarzysz odrzucił karabin i wyjął swój długi nóż. Przetoczył się pod szablą następnego napastnika i znalazł pod brzuchem psa. Zwierzę zawyło ogłuszająco, kiedy jego wnętrzności wylały się przez dwustopowe rozcięcie. Potem Raj miał już dość własnych kłopotów. Migoczące światło, wilgotne, białe zęby i stal chciały zabrać mu życie. Koloniści wystrzelali po drodze wszystkie pociski. Lufa pistoletu Raja znalazła się niemal w potężnym pysku charta, kiedy pociągał za spust. Wydrążony pocisk przebił głowę psa, strzaskał kręgosłup i ugrzązł w brzuchu jeźdźca. Kolejny strzał, pudło. Kolejny, i pies padł, ale żołnierz już wstawał i zbliżał się do niego na piechotę. Raj cofnął się między chroniące go liny namiotu, odciągając napastników od stołu, przy którym Suzette i Muzzał walczyli oparci o siebie plecami. Stanson leżał na ziemi, a jego kochanka, Merta, rzuciła się na jego ciało, by go zasłonić, okazując wielką odwagę i brak zdrowego rozsądku. Raj zakręcił się wokół

jednego z masztów i ciał w pysk charta. Czubek szabli dosięgnął celu, a pies wpadł do środka namiotu. Jeździec trzasnął głową o jedną z żerdzi i bezwładnie osunął się z siodła. Krok w tył ustawił Raja na bezpiecznej pozycji, ale zbliżał się do niego kolejny jeździec. Zaczekał, przeniósł ciężar ciała na pięty, zacisnął zęby i rzucił się do przodu, kiedy Arab popędził psa. Kolba pistoletu trafiła psa w czuły na ból nos, uderzając z całą siłą ramienia i ręki. Pies zaskomlał i rzucił mimowolnie głową w tył, a wtedy Raj znalazł się na chwilę poza zasięgiem jego zębów, przy strzemienu Kolonisty. Szabla napastnika opadła w dół w szybkim, zabójczym cięciu. Raj przyjął cios na własną klingę, a ostrza ześlizgiwały się, aż wreszcie szable walczących zablokowały się jelec w jelec. Byli teraz niemal twarzą w twarz, Descotczyk patrzył w oczy mężczyzny, który poświęcił życie, by wykonać zadanie. Raj wsadził lufę pistoletu w zieloną szarfę, która przecinała czerwoną szatę mężczyzny. Oczy Araba otworzyły się szeroko, kiedy jego trzewia strzaskała kula, lecz więcej w nich było wściekłości niż bólu. Potem wojownik osunął się z siodła. Raj znowu odskoczył, by uniknąć walki z psem, ale smukły, brązowy wierzchowiec zatrzymał się i zaczął trącać nosem swego pana, by po chwili usiąść obok niego i zawyc boleśnie.

Zbliżał się wysadzony z siodła Kolonista, wznosząc szablę, ze sztyletem w lewej ręce. Trzymał broń w sposób, który nie pozostawiał wątpliwości, że potrafi się nią posługiwać, a poruszał się szybko i zwinnie. Raj stanął w postawie szermierczej, z prawą stopą i ramieniem wysuniętymi do przodu. Naprzeciw siebie miał dwa ostrza.

Kula odrzuciła głowę Araba w przód i bok niczym cios młota kowalskiego. Jego rysy wybrzuszyły się, a prawa strona czaszki eksplodowała po trafieniu półuncyjowym pociskiem z miękkiego ołowiu, który wyrwał dziurę wylotową wielkości dwóch pięści nad lewą brwią. Fragmenty kości i coś o konsystencji ciepłej galaretki.

- Pppanie! Wszystko w porządku? - podbiegł do niego porucznik Mekkle Thiddo, prowadzący za sobą połowę swego plutonu.

Raj otworzył usta i wykonał pierwszy krok w kierunku przewróconego stołu, wycierając sobie z twarzy mózg i pozbywając się mdlącego smaku ugotowanego na miękko jajka z kącika ust.

»Obserwuj.«

Nie teraz, na litość Ducha! pomyślał rozpaczliwie.

»Właśnie przez litość Ducha, stosując twoje nazewnictwo. Obserwuj.«

Kolumna zwiadowców Kolonii czekała cierpliwie w wąwozie przy grupie pierzastych drzew tamaryndowych. Zalesione zbocze było wyższe i bardziej strome niż pozostałe, a odziani w czerwien żołnierze klęczeli przy nim, czekając. Kiedy Raj spojrział w górę, zobaczył gałęzie odcinające się cieniem na tle księżyców. Okolice nadal oświetlał słaby blask zachodzącego słońca, ale podnóże zbocza pogrążone już było w cieniu.

Dudnienie i szelest, doskonale przenoszone przez ściany z ubitej gliny, do których kulili się Koloniści, odgłosy biegnących psów. Jeden z nich zatrzymał się dokładnie nad nimi i Raj usłyszał szelest, kiedy jeździec rozgarnął gałęzie. Popłynęły słowa. Mówiono w sponglijskim z akcentem z Descott, ale umysł Raja odbierał rozmowę jako prowadzoną w obcym języku. Musiał się skoncentrować, by ją zrozumieć. Pierwszy głos brzmiał ciszej.

- Yah alla vi'este? Widziałeś coś?

- Danad, seyor. Nic, panie.

- Benyo. Waymos, allaya. Dobrze, idziemy, wszyscy.

Długa cisza, w której przesuwały się tylko podwójne cienie, rzucone przez księżycy. Wreszcie zbliżyła się do nich skradająca się wąwozem niska postać, mężczyzna w szatach o kolorze zaschniętej krwi, sięgających do kolan. Jeden z czekających wyszedł mu na spotkanie, a Raj ze zdumieniem rozpoznał go. Był to człowiek, którego pies wył nad jego ciałem.

Człowiek, którego zabił Raj.

- Pokój z tobą, żołnierzu - powiedział człowiek, dowódca. - Jakie wieści? - Arabski stał się równie zrozumiały jak jego ojczysty język.

- I z tobą pokój, panie - odrzekł zwiadowca. - Jesteśmy za wewnętrzną linią ich patroli, a ten wąwóz pozwoli nam dojść niepostrzeżenie aż do ich obozu. Jeżdżą po okolicy małymi grupkami, niektórzy z nich w szatach z granicznych wiosek na zachód od Komar. W ciemnościach może wezmą nas za swoich. Połowa ich obozu jest w chaosie, tam gdzie są ludzie w białych kurtkach. Posiadłość Youssefa Ben Khedda nadal płonie, a wokół niej obozują niebieskie kurtki.

- Ich dowódca?

- Siedzi przy posiłku z przyjaciółmi i ich dziwkami o odsłoniętych twarzach, panie. Rozmawiają z uczonym imamem Faysalem al'Azizem, który przyjechał, by wykupić jeńców. Pluton, który ochrania dowódcę, eskortuje imama i sądzę, że pojedzie dalej, by sprawdzić, czy ten uda się wyznaczoną trasą.

Dowódca Kolonistów uśmiechnął się i splunął.

- Ach, to dobrze. Zbierzcie się wokół mnie, wojownicy islamu - wszyscy podeszli, by lepiej słyszeć. - Bracia, nie ma Boga oprócz Boga i nic nie dzieje się bez woli Boga. Jeśli zabijemy dowódcę niewiernych, będzie to wspaniały czyn. To on dowodzi bandą najeźdźców i może bez niego będą oni łatwiejszym celem dla amira. Niebezpieczeństwo będzie wielkie. Kto pojedzie ze mną?

Żaden z mężczyzn nie wahał się dłużej niż sekundę. Oficer skinął głową, a na jego twarzy odmalowała się duma.

- Pamiętajcie, że ten, kto poległ walcząc z niewiernymi, otrzyma przebaczenie grzechów i wejdzie do raju. - Zza szarfy wyjął notatnik, zza materiału oplatającego hełm grafitowy patyczek, i zaczął szybko szkicować mapę i pisać.

- Masz - powiedział, podając plan zwiadowcom. - Do dowódcy przedniej kolumny i z poleceniem przekazania tego jak najszybciej amirowi. Czekać na nas w połowie drogi. Jeśli zabijemy przywódcę niewiernych, rzucę bombę świetlną - dotknął drewnianej skrzyneczki, którą miał przy pasku. - Złóżcie raport o naszej wygranej lub porażce, zgodnie z wolą Boga. - Zwiadowca otworzył usta, żeby zaprotestować. - Otrzymałeś rozkaz, Husni az-Zaim, masz tu spisana wiadomość.

... czas rozplątał się, a oddział wypadł z wąwozu prosto do obozu, szybkie, zwinne psy przeskakiwały nad linkami namiotów i znikwały w ciemności, zanim ktokolwiek zdążył zareagować. Karabiny pluły w kierunku punktów oporu, a szable świstały, kiedy nie było czasu, żeby przeładować. Raj zobaczył własny namiot, przewrócony stół. Wysokiego mężczyznę w błękitach, padającego z ramieniem niemal odrąbanym na wysokości barku...

\* \* \*

- Panie, czy wszystko w porządku?

- Lepiej, niż by było, gdyby ta kula poszła o dłoń w lewo! - warknął Raj, kiedy otoczenie odzyskało normalny wygląd. Raz jeszcze przetarł twarz rękawem, by zetrzeć resztki mózgu. - Bo wtedy byłbym martwy jak cholera, prawda?

Thiddo wymamrotał przeprosiny. Raj odegnał go od siebie ruchem ręki, po czym wytarł i schował do pochwy szablę, a także przeładował rewolwer. Pełne cierpienia zmieszanie podkreślało wadę wymowy Thiddo. To nie było sprawiedliwe, walka trwała jakieś czterdzieści sekund zanim przybyła odsiecz, wcale niezły czas. Odetchnął głęboko, uspokajając się dotykiem drewna i żelaza trzymanej w dłoniach broni.

- I niech ktoś uciszy tego cholernego psa! - krzyknął. Wierzchowiec zabitego ciągle wył. Thiddo wydał polecenie, a kilku z jego ludzi wykonało w lewo zwrot i strzeliło zwierzęciu w bok, niemal przykładając lufy do ciała. Dziewięćset funtów mięsa upadło, powodując niewielkie trzęsienie ziemi pod ich stopami. Pies zaskomlał, zadrzał, położył szpiczasty pysk na nogach swego pana i umarł. Zrobiło się ciszej. Z taborów nadal dobiegały strzały, okrzyki, wrzaski i wycie rannych psów i ludzi, ale można już było rozmawiać. - Panie. Raport - w głosie Thiddo słychać było napięcie, jakby zmuszał go do posłuszeństwa siłą woli. - Granice obozu pod kontrolą. Nie ma już sił nieprzyjaciela w obozie. Nawiązano kontakt z 1. Kompanią prowadzącą zwiad. Nie mają nic do przekazania. Moi ludzie przywracają porządek wśród sług obozowych, panie. Rozkazy, panie?

- Róbcie to na razie dalej - rzucił na głos. Dlaczego teraz? Dlaczego nie pokazałeś mi tego pięć minut wcześniej, niech cię szlag?

»Nie uznałeś za stosowne okopać się, pomimo mojego ostrzeżenia.«

Raj poczuł, że się trzęsie, a cały świat kurczy się do maleńkiego punktu wściekłości. Mogłem tu do cholery zginąć i tyle by było ze zjednoczenia Bellevue!

»Czekałem tysiąc lat« powiedział głos tym samym, chłodnym tonem. »Musisz się wiele nauczyć. Jeśli zginiesz w trakcie nauki, znajdzie się kto inny. Nie w tym cyklu, to w następnym.«

\* \* \*

Suzette podniosła derringera, który wcześniej rzuciła na ziemię i wyszła Rajowi na spotkanie. Szybko zaczęła biec i rzuciła mu się mocno w ramiona. Odwzajemnił uścisk, aż karabin, który ciągle trzymała w rękach, wbił mu się w plecy. Od miejsca, gdzie stali, nie było więcej niż dwa metry do tego, w którym zginął w projekcji Centrum. Przez chwilę patrzył tam ponad ramieniem żony, czując zawroty głowy, kiedy wspominał jak padał / mógłby upaść z ramieniem wiszącym na paseczku skóry...

- Cholera!

To był Stanson, który leżał twarzą do ziemi, a kapłan lekarz badał jego pośladek. Spodnie Stansona zostały rozcięte, pokazując ranę po kuli w mięśniu pośladka. Inny kapłan opatrywał płytką ranę po cięciu szabli na plecach Merty. Kapłan sapnął, fachowo poruszył pincetą i wyjął z rany kulę, która zamigotała w świetle latarni.

- Mam ją - ogłosił. - Hmm, bardzo mała, nawet jak na karabinki szmacianych łbów, jakiś niewielki kaliber... hmm, lepiej zobaczę, czy nie ma ich więcej - Dowódca Drugiego, leżący z

poszarzała twarzą i cały spocony, zacisnął zęby na mankiecie kurtki, kiedy pinceta wróciła do rany. Potrząsając głową, kapłan położył na ranie nasączony jodyną bandaż.

- Niegroźna rana, messer. Kilka tygodni i będziesz jak nowy.

- Cholera - mruknął znowu Stanson. Podniósł głowę i napotkał spojrzenie Raja. Zdobył się na niepewny uśmiech. - Nie przeżyję tego, Whitehall. W jednej minucie strzelam do nich, w następnej leżę postrzelony w dupę, na litość Ducha. Nie widziałem żadnego za sobą, to chyba jakiś rykoszet... - jego spojrzenie napotkało wzrok Suzette. - A jeden z nich chciał mnie ciąć. Chyba pierwsze cięcie chybiło, trafiając za to Mertę. A pani Whitehall zdjęła go z siodła, zanim zdążył ciąć ponownie. Mamy chyba u pani dług.

Suzette uśmiechnęła się, przywołując na twarz jeden z tych dworskich, olśniewających uśmiechów.

- Między przyjaciółmi nie ma długów, Helmt - powiedziała spokojnie. - Udało ci się zdjąć czterech lub pięciu, zanim cię trafili... a lepiej w tyłek niż w nerkę albo kręgosłup.

Stanson zadrżał.

- Duchu Człowieka, rzeczywiście, tylko pięćdziesiąt milimetrów różnicy.

Pojawił się stękający Muzzaf, ściskając brzuch rękami.

- Nie mam tchu - wysapał. - Kopnął mnie. - Ze sposobu, w jaki ścisnął żebra, można było podejrzewać, że jedno lub dwa były pęknięte, ale z taką kontuzją można się było poruszać. Jego głos nabrał siły. - Ci ludzie mieli mundury regularnej kawalerii - powiedział.

Raj skinął ponuro głową.

- I tu właśnie ochotnicy zarobią na żołąd - powiedział. - Muzzaf, znajdź Bani Crodora. - Uważali go za kogoś w rodzaju przywódcy. - I dajcie mi tu da Cruza. O świcie...

- Panie - warknął Crodor i pociągnął szybko z manierki. - Znaleźliśmy ich.

Trudno było nie zauważyć. Ochotnicy zbliżali się z trudem w otoczeniu jednego z patroli, przybyli dokładnie w chwili, kiedy wielka kolumna ruszyła naprzód. Były między nimi psy o pustych siodłach, niektórych w ogóle brakowało. W jednym z siodła tkwiła strzała o czarnych lotkach, sterczała niczym sztandar. Kilku pograniczników ścisnęło rany od broni palnej i białej. Ich psy z trudem wspinały się na maleńkie wzgórze, na którym czekali oficerowie Drugiego i Piątego.

Crodor mówił dalej.

- Dziesięć, może jedenaście kilometrów stąd, zbliżają się szybko. Mają zwiadowców spośród



Beduinów, może również sługi miejscowych ziemian, ale przedarliśmy się - ryzykując śmierć z rąk przeważających sił lub schwytanie, co byłoby znacznie gorsze - i zobaczyliśmy regularną kawalerię Osadnika, jadącą kolumnami po dwóch. Nie widzieliśmy artylerii ani taborów, panie.

Stanson przerwał mu.

- Ilu? - zapytał, wierząc się w siodle. Lekarze na jego żądanie wyłożyli ranę sterylną gazą i teraz mógł się już poruszać. Siedzenie w siodle było bardzo bolesne i najwyraźniej nie poprawiało mu humoru.

Crodor pogłaskał się po brodzie.

- Nie wiem, messer - odrzekł. - Nie mniej niż pięciuset. Ale z tyłu było wiele kurzu. Może i drugie pięćset. Może więcej.

»Wycofaj się szybko« usłyszał głos Centrum. »W zasadzie wypełniłeś zadanie. Zniszczcie pozostałe bagaże i wycofajcie się do Komar.«

- Hmm - powiedział na głos Raj. - Te śmieci - wskazał gestem tabory - tylko nas spowolnią. Nie jesteśmy tu, by walczyć z armią Kolonialną... jeśli je porzucimy...

- Co?! - spytał Stanson. Sądząc po wyrazie twarzy niektórych jego oficerów, mieli ochotę powiedzieć jeszcze więcej. Jeden czy dwóch położyło dłonie na rękojeściach pistoletów. - Tam są nasze łupy, człowieku! - Drugi wolał mieć wszystko na oku, zamiast kłopotać się odsyłaniem łupów na tyły. Trzy czwarte bogactw na wozach należało do nich.

Raj popatrzył na swych towarzyszy i dowódców. Na ich twarzach malowała się taka sama niechęć, jak na jego. Wycofać się to jedno, uciekać to co innego.

- Jakież rady, panowie?

Gerrin Staenbridge wskazał gestem na południe.

- Idą szybko. Nawet nie mając nic oprócz kawalerii, nie uda nam się od nich oderwać, chyba że nam pozwolą. - Koloniści byli lżejsi i jechali na mniejszych psach. - Ale nawet jeśli jest ich tyłu co nas, możemy im sprawić krwawą łaźnię, jeśli tylko będą musieli do nas przyjść - broń Kolonistów była bardziej szybkostrzelna, ale brakowało jej mocy i zasięgu karabinów Rządu Cywilnego.

- Dziękuję, starszy poruczniku - powiedział oficjalnie Raj. - O ile będziemy mogli uniknąć walki wręcz, nie uważam, by siły nieprzyjaciela o takiej liczebności były dla nas zagrożeniem. Możemy natomiast - jeśli się zgodzisz, kapitanie Stanson - wysłać co szybsze wozy do El Djem. Spaliliśmy budynki, ale palisada pozostała, jest tam też woda. Będziemy się cofać wolniej, nie odważą się wysłać znaczących sił w pogoń za łupami. W El Djem będziemy mogli albo stawić im czoło, jeśli

będą na tyle głupi, żeby atakować palisadę, albo powtórzmy ten schemat na większą skalę w drodze do Komar. Zgoda?

Stanson skinął głową, a jego podwładni odprężyli się. Niektórzy z nich nadal patrzyli pogardliwie na Raja, który proponował poddanie tyłów.

- Dlaczego nie przejdziemy do ofensywy? - zapytał jeden z nich.

Bo to by było głupie, pomyślał Raj. Mężczyzna miał stopień porucznika. Odpowiedział mu Evrard Gruder, jego odpowiednik w Piątym. - Bo to by było... daremne - powiedział. - Nie dogonimy ich, jeśli nie będą chcieli na to pozwolić, więc mogliby wyprowadzić nas na pustynię i tam zadręczyć na śmierć. Już się to tu zdarzało siłom Rządu Cywilnego.

- Jedna kompania jako eskorta? - zapytał mistrz sierżant da Cruz. Oficerowie zaakceptowali sposób działania, czas zacząć wprowadzać je w życie.

- Jak najbardziej. Thiddo?

Dowódca 3. Kompanii skinął głową. Jego oddział miał najwięcej rannych i spieszonych, którzy dzięki temu zadaniu będą trochę mniej obciążeni i odpoczną.

- W takim razie lepiej ruszajmy, panowie - powiedział Raj, patrząc na południe. Chmury kurzu unoszącego się spod stóp maszerujących żołnierzy unosiły się ponad białymi piaskami i wyraźnie odznaczały na tle błękitnego nieba.

\* \* \*

- Odległość? - zapytał Raj.

Barton Foley podniósł lornetkę. Byli już tylko pięć kilometrów od El Djem. Poza atakiem na okopany obóz ostatniej nocy, dochodziło tylko do pojedynczych starć.

- Pięć-dwa-zero-zero metrów, panie - odrzekł.

Raj chrząknął, rozglądając się w prawo i w lewo. Siły Rządu Cywilnego wycofywały się wyciągniętą kolumną. Dziewięć oddzielnych grup, między którymi jechały cztery działa. Teren był tu prawie płaski, leciutko tylko pofalowany, a podłoże stanowiła ciemna ziemia, usiana kamieniami wielkości pięści. Przynajmniej wydostaliśmy się już z tej przeklętej pustyni, pomyślał, oblizując spękane wargi. Nadal było jednak tak gorąco, że drzenie powietrza i miraż uniemożliwiały ocenę odległości, a niektóre z psów piszczały i kulały, stawiając łapy na ziemi. Wszystkie wierzchowce szły z wysuniętymi językami, ciężko dysząc. Niektórzy ludzie poświęcali swoje racje wody, żeby od

czasu do czasu przemywać karki zwierząt, albo kładli na nich swe tuniki, by ochronić psy przed słońcem. Przez resztę czasu jechali pochyleni w siodłach, tępo wpatrując się przed siebie, a na ich kurtkach wykwiwały plamy potu, obramowane skryształizowaną solą.

Jadący w głównej kolumnie byli przynajmniej szczęśliwi, że nie muszą jechać na skrzydłach, gdzie chmury kurzu raz po raz podpowiadały, że wybuchają coraz to nowe potyczki. Straże flankowe zmieniano co jakieś dwie godziny, a mimo to służba tam była szalenie uciążliwa.

- Masz rację - odrzekł Raj. - Sądzę, że znowu się zbliżają. - Podniósł do oczu lornetkę. Zobaczył brązowe psy i czerwone jellaby. Nieprzyjaciel szedł kolumną marszową, mniej się obawiając nagłego ataku. Na czele łopotała flaga Tewfika: pieczęć Salomona. Raj poczuł, jak jego wargi pękają i zaczynają krwawić, kiedy wykrzywił się na ten widok. O wiele za dużo scenariuszy Centrum miało swe źródło w umiejętnościach Tewfika. Czy ta krzepka postać pod sztandarem to on? Było za daleko, by widzieć wyraźnie twarze, szczególnie w taki upał. Było za daleko nawet na to, by zobaczyć, czy nosił opaskę. Mówiono, że Tewfik ma na niej wyszytą diamentami pieczęć Salomona. Jego ludzie wierzyli, że zawiera ona klątwę dla jego nieprzyjaciół.

Wydawało się, że kolumna rozdziela się, mnoży. Zamrugał, przetarł zaczerwienione od soli i kurzu oczy, i spojrzął raz jeszcze. Ustawiają się, pomyślał, i przeszył go dziwny dreszcz. Rozchodzili się na boki, nie zatrzymując się, zmieniali formację marszową na bojową i przygotowywali...

- Atak - mruknął. - Będą nacierać, zanim dojdziemy do El Djem.

- Foley - rzucił. - Wiadomość do starszego porucznika Dinnalsyna, dowódcy artylerii. Pozdrowienia, wierzę, że nieprzyjaciel zechce przypuścić szarżę. Tym razem kilka pocisków go nie zatrzyma. Niech rozstawi działa na linii, na której się teraz znajduje. - Byli na szczycie jednego z łagodnych wzniesień i mieli przed sobą dolinę, w której ustawiały się wojska Kolonii... - I niech otworzy ogień na trzy do pięciu tysięcy metrów. Radzę mu, żeby artylerzyści przygotowali trochę szrapneli do rażenia ogniem bezpośrednim.

- M'lewis - mówił dalej. - To samo ostrzeżenie dla kapitana Stansona, niech przekaże swoim podwładnym, że oddziałom nie wolno bez rozkazu opuszczać pozycji pod żadnym pozorem.

- Trębacz - ciągnął, a dwaj mężczyźni popędzili psy i ruszyli wykonać rozkazy. - Zagraj...

- "Uwaga na rozkazy".

Batalion nadal parł powoli naprzód, lecz nagle ich szeregi zafalowały jak trawa poruszana wiatrem - myśli Raja na chwilę wypełnił słodki zapach wyżynnych łąk Descott - kiedy ludzie prostowali się w siodłach, a psy podnosiły pyski i stawiały uszy.

- Przygotować się do zawrócenia, kompaniami...

Wierzchowiec Foleya zatrzymał się już przy armatach, a Raj ujrzał maleńką, szczupłą postać, jak ta salutuje i przekazuje wiadomość. Armaty zatrzymały się w miejscu. Artylerzyści zeskakiwali z kesonów i psów, które wypinano z zaprzęgu i odprowadzano na tyły, do miejsca gdzie były gotowe zabrać siedemdziesiątki piątki w razie zagrożenia, lecz gdzie nikomu nie przeszkadzały. Ustawiano pod ręką zdjęte skrzynki z amunicją. Lufy dział uniosły się, kiedy ustawiono je odpowiednio i zablokowano. Między bateriami ustawiono dalmierz w kształcie litery Y. Otwarto skrzynki z amunicją, otwarto zamki, a pociski zostały wprowadzone na miejsce.

- W tył zwrot!

Kolumny kompanii były szerokie na czterech ludzi. Teraz rozdzieliły się jak przecięta nożem trzcina, a dwuosobowe kolumny ruszyły w przeciwnych kierunkach, rozchodząc się na lewo i na prawo. Zamykający pochód nie zmieniali kierunku, dopóki nie przyszła ich kolej. W mniej niż minutę cały batalion zawrócił, idąc po własnych śladach. Raj popatrzył w prawo na 2. Żandarmerii i odkrył, że tamci wykonali manewr jeszcze sprawniej niż Piąty, o ile w ogóle było to możliwe. Żołnierzyki z defilady, pomyślał.

- Stój, z siodła!

Zatrzymali się i wyjęli strzelby z pokrowców, kolejna fala, tym razem jak trzciny na bagnach, kiedy ludzie zsiadali z psów.

- Przygotować się do odparcia kawalerii!

Psy położyły się brzuchami na ziemi, w każdej chwili gotowe skoczyć naprzód, a w tej chwili stając się jak najmniejszymi celami. Ludzie pospieszyli naprzód przepisowe dziesięć kroków, pierwszy szereg położył się, drugi uklęknął. Założyli na lufy bagnety, odciągnęli kurki i otworzyli zasobniki z magazynkami. Raj podniósł lornetkę, popędzając Horace'a w kierunku szeregu strzelców. Trzysta sześćdziesiąt metrów, ocenił, kiedy zatrzymali się na pierwszej linii. Cztery głębokie, lecz luźniej niż Rządu Cywilnego rozstawione zgrupowania. W sile batalionu, ocenił. Poruszenie, i w ich dłoniach pojawiły się szable, które Koloniści oparli sobie o ramiona.

Raj przejechał przed frontem swoich ludzi, przy nim jechał tylko chorąży i trębacz. Patrzył na twarze swoich ludzi. Napięcie, nawet zbytnia niecierpliwość, po nudzie i niewygodach trzydniowego wycofywania się. Odwrócił się i spojrzał na migoczące stałą szeregi żołnierzy nieprzyjaciela, i pomyślał o oficerze, który w cywilu miał kawałek ziemi, o żołnierzach obu stron, którzy opowiedzą w domu o chwale lub o wstydzie. Wstał w strzemionach i wyciągnął szablę - najlepiej krótko i miło, ludzie bowiem oczekiwali, że coś do nich powie. Podniósł głos, wiedząc, że końce szeregu i tak

usłyszą jego słowa powtórzone przez kolegów.

- Co, chłopaki! - krzyknął. - Przyjechaliśmy, spaliliśmy im zboże, ograbiliśmy miasta, zgwałciliśmy kobiety, a teraz chcą z nami walczyć! - zaczął czekać cztery uderzenia serca. - To do nich podobne, żeby wszystko zaczynać od dupy strony, nie?

Ryk śmiechu, ucięty szybko ruchem jego szabli.

- Sam diabeł Tewfik się do nas zbliża, Descotczycy. Jest zły i szalony. Myśli, że przybije nasze głowy i jaja do drzwi swojej szopy. - Kolejny krzyk, tym razem drwiący. - Pamiętajcie o treningu, który przeszliście, i czekajcie na rozkazy, a wyślemy ich do domu, płaczących do mamy. Pokażcie im, kim jesteście, z czego was zrobiono i skąd pochodzicie. Naprzód Piąty! Descott na wieki!

Wzniesli kolejny okrzyk "Raj!", kiedy odjechał na swoją pozycję na prawym skrzydle.

- Cóż, panowie - powiedział do zebranych tam oficerów i pokazał gestem szeregi nieprzyjaciół. - Nie sądzę, żeby czekali dużo dłużej... - Jeśli o to chodzi, to i tak czekali już za długo i dali siłom Rządu Cywilnego czas na przygotowanie obrony. - Rozpocznijcie ogień salwami, kiedy podjadą na 750 metrów, jeśli łaska. - Wyjął zza koszuli amulet i pocałował go. - Niech Duch będzie z wami.

- Niech ci pomaga Święta Federacja - odpowiedzieli. Wszyscy pochylili się naprzód i złączyli dłonie, tworząc z nich piramidę, a potem każdy oddalił się do swego oddziału.

Raj usiadł pod podziurawionym sztandarem 5. Gwardyjskiego z Descott i starał się rozpuścić lodowaty sopel przerażenia, który czuł pod mostkiem.

Coś tu nie gra, coś tu kurewsko nie gra. Gdzieś z przodu zagrały trąbki Kolonistów, a linia nieprzyjaciół zaczęła się zbliżać. Dwa tysiące łap uderzało w ziemię, roztrącając luźne kamienie, które toczyły się przed nimi jak lawina. To oczywisty ruch i jasne jest, że się nie powiedzie. Nie zgadzało się to wcale z reputacją, jaką miał Tewfik.

- Albo jest głupi, albo liczy, że to ja zrobię coś głupiego, albo wszyscy zostaniemy po królewsku zerżnięci w dupę - mruknął do siebie.

- Ponie? - odezwał się do niego chorąży. Był to pięćdziesięcioletni weteran, u którego kiepsko było ze słuchem po tylu latach wrzasków bitewnych.

- Nic - odrzekł.

Wróg znał dokładnie zasięg siedemdziesiątek piątek i postarał się, by szarża szła już pełną szybkością, kiedy znaleźli się pod ich ogniem. Wzniesli już szable. Szli pełnym galopem, a czubki ich hełmów, poruszające się wraz z psami, odbijały promienie słońca. Utrzymywali doskonały szyk, co w takim terenie nie było łatwe. To dobre wojsko, pomyślał. I zdyscyplinowane. W Rządzie

Cywilnym były jednostki (a on prawdopodobnie miał jeden taki batalion po swojej prawej), które odmówiłyby szarżowania prosto na bagnety i artylerię.

POOUMP. Wystrzeliło pierwsze z dział ustawionych za strzelcami. Rozległ się dźwięk dartego płótna, a potem niedaleko przed linią wroga wykwitła chmura eksplozji.

- Strzelajcie dla efektu, szybkim ogniem, każdy dziesięć strzałów!

POOUMP. POOUMP. POOUMP. Działa strzelały od prawej do lewej, dmuchając mu w kark rozgrzanym powietrzem. Kolejne wybuchy wzdłuż linii przeciwnika i choć wydawało się, że to pudła, ludzie i psy przewracali się na ziemię, koszeni przez najgorszy koszmar każdego żołnierza, spadające z góry pociski artyleryjskie, przeciwko którym nie można było nic zrobić, jak tylko czekać i mieć nadzieję, że nie trafią. Jeźdźcy zwierali szeregi, jak gęsty płyn, zlewając się w jednolitą masę tam, gdzie wybuchy wyrwały dziury, pozostawiając wijące się lub nieruchome, albo porozrywane na strzępy postaci. Byli już w połowie drogi, ale na Ducha, dobrze było mieć za plecami działa...

Raj otworzył szeroko oczy.

- Foley! - krzyknął. - Do Stansona, szybko, niech uważa na pozorowane zagrożenie! - Chłopak odjechał galopem. Raj rzucił w prawo - Trzymać pozycje niezależnie od okoliczności, przekaz dalej! - Lepiej, żeby uważali go za nerwową panienkę niż martwego głupca...

O wiele bliżej. Raz jeszcze podniósł lornetkę. Nie, żadnej przepaski na oku... wyjące twarze, rozpalone oczy, brody. Miał sucho w ustach, ale nie sięgał do manierki, którą miał przy siodle, pogłaskał tylko Horace'a po karku. Pies postawił uszy i zaczął węszyć, wciągając mocno powietrze, z przerwą między oddechami na oblizanie nosa. Ciężki zapach brudnej bawełny, jaki roztaczały strzelające działa, powoli do nich docierał, smród piekła. Barton Foley zatrzymał przy nim psa tak gwałtownie, że spod łap sypnął żwir.

- Panie... - przerwał. Miał na policzkach rumieńce. - Kapitan Stanson każe przekazać...

- Co powiedział? - Tysiąc pięćset metrów, działa strzelały dwa razy na minutę, jeszcze osiem pocisków...

- Panie, mówi, że powinieneś nauczyć swą babcie ssać jaja, i że ja... Obraził mnie, panie.

- On też tak zaczynał, chłopcze.

- Czy mogę...

- Do Gerrina, chorąży, i powodzenia.

Tysiąc sto metrów. Przeciągły huk po jego prawej, następnych kilka siodeł pustych, ale czy nie

wiedzieli, że podnoszą tylko kurz, który zasłoni im cel, przekłęci głupcy? Przed szeregami 2. Żandarmerii podnosiła się gęsta kurzawa, tak że już wkrótce będą musieli strzelać na pamięć i cholera wie, czy przy okazji nie trafią we własne stopy. Dzięki Duchowi za drobiazgi. Przynajmniej wiatr wiał z północnego zachodu i dym nie przenosił się przed szeregi Piątego. Dziewięćset metrów. Osiemset.

- Gotów! - powtarzano wzdłuż linii, a przedni szereg podniósł lufy. Wydawało mu się, że zobaczył jakby zawahanie w szeregach przeciwnika.

- Wybrać cele!

- Plutonami... salwą...pal!

BAM-BAM-BAM-BAM-BAM-BAM-BAM-BAM, powtórzone osiem razy, kiedy strzelały plutony z pierwszego rzędu. Ręce otwierające zamki, sięgające do ładownic. Tylny szereg jak jeden mąż podnosi broń.

- Ognia!

BAM-BAM-BAM-BAM-BAM-BAM-BAM-BAM. Przed nimi chaos, psy padają na wielkie stosy, zobaczył jak dwa zderzają się w powietrzu, próbując przeskoczyć tę barykadę z ciał, i padają, tysiącfuntowe ciała wiją się, oszalałe z bólu, jeźdźcy giną zmiażdżeni...

- Ognia!

BAM-BAM-BAM-BAM-BAM-BAM-BAM-BAM. Zwalniają, nikt na świecie nie wytrzymałby tego... grupki żołnierzy prą naprzód, gdyby nawet doszli, ostatni z nich zginą od bagnetów.

- Tewfik! - Raj usłyszał własny krzyk, prawie niesłyszalny wśród dudniącej kanonady. - Tewfik, ty durny psie, mordujesz ich, mordujesz dobrych żołnierzy, odwołaj ich, odwołaj!

I wtedy zawrócili, na dźwięk własnych trąbek wzywających do odwrotu. Ruszyli z powrotem pełną szybkością, pochylając się w siodłach, by utrudnić celowanie. Zostawili na polu jedną czwartą stanu. Jeszcze sto metrów, a ta liczba by się podwoiła, potroiła. Artyleria podniosła celowniki, by ich ostrzeliwać, i...

Trębacz odegrał "Szarża".

Raj jęknął, jakby ktoś uderzył go pięścią w brzuch. Trębacz Drugiego odgrywał prosty, czteronutowy sygnał raz za razem, a ludzie w białych mundurach usłuchali. Krzycząc radośnie rzucili się do psów, wyciągając szable. Niektórzy odrzucali karabiny.

- Trębacz, zagraj "Stać w miejscu"! - krzyknął. Młodzieniec spojrzał na niego zaskoczony. –

“Stać w miejscu”!! i to zaraz, żołnierzu! - krzyknął, zawracając Horace’a, by spojrzeć na własne szeregi. Cały Piąty wstał, wiwatując szaleńczo tak jak Drugi, wymachując w powietrzu strzelbami i wykrzykując zawołania myśliwskie hrabstwa. Wróg uciekał w popłochu, popędzając psy, jakby chciał galopem dojechać do równika i morza Zanj.

Raj ujrzał to, czego się tak obawiał, ludzi opuszczających szereg i biegnących do psów. Jeszcze kilku i ruszą wszyscy, nie do powstrzymania, popędzą po krew, by mścić się za pościg na pustyni. Wyciągnął pistolet i wbił pięty w boki Horace’a. Pies ruszył naprzód i w lewo, stanął przed szeregiem Piątego.

- Zastrzelę pierwszego, który opuści szereg! - krzyknął, choć zdawał sobie sprawę, że nie zdoła przekrzyczeć hałasu. Trębacz u jego boku grał jednak bez ustanku. Drugi był już dwieście metrów w dół stoku i szybko parł naprzód, i coraz słabiej było ich słyszeć. A do tego lufa pistoletu Raja niosła wiadomość sama w sobie. Udało mu się podjechać do pierwszego, który opuścił szereg. Chłopak niedawno zaczął się golić. Był z grupy, która dołączyła do nich już po drodze, Descotczyk, lecz z północnych skrajów hrabstwa. Przepelniony przekonaniem o własnej nieśmiertelności, właściwym szesnastolatkom, w czasie tej kampanii brał udział zaledwie w kilku potyczkach.

- Do tyłu! - krzyknął, wpychając pistolet w twarz chłopca. Za nim wzdłuż linii biegli podoficerowie i oficerowie, klnąc, wydając rozkazy, rozdając ciosy pięściami, obcasami i kolbami strzelb. Raj odciągnął kurek. - Zastrzelę cię, chłopcze.

Z oczu chłopca zniknęła żądza krwi, a szabla zadrżała i wypadła mu z dłoni.

- Wracaj do szeregu - rzucił Raj.

- Tak ponie - zachłysnął się młodzieniec.

- Zagraj “Uwaga rozkazy” - powiedział Raj. Trzeba było powtórzyć sygnał trzy razy, zapadła cisza. Pomagało to, że umilkła artyleria, która nie miała teraz do kogo strzelać, chyba że w plecy.

- Oficerowie do mnie! - krzyknął Raj. Już się zbliżali. Spojrzał przez ramię. Drugi przekroczył już najniższy punkt doliny i zaczynał wjeżdżać pod górę. Na czele szarzy zaczynały się już walki na szable, kiedy najszybsi żandarmi doganiali Kolonistów na zmęczonych lub rannych psach, lecz większość batalionu Tewfika pędziła przed siebie, oddalając się coraz bardziej. Zbliżała się chwila, kiedy znajdą się w zasięgu armat przeciwnika.

- No dobrze - powiedział. - Zmieńcie szyk, rozmieście kompanie na miejscach Drugiego, chcę między nimi zobaczyć piętnastometrowe przerwy - by dać ocalałym z tej szarzy miejsce, w które mogliby się schronić i przegrupować, o ile można się w ogóle było przegrupować po tej stronie Komar. Dzięki Duchowi, że Suzette jest bezpieczna w El Djem, pomyślał szybko. - Przesuńcie psy



tak, by były w zasięgu ręki tuż za linią strzelców - mówił dalej ponuro. Wszyscy patrzyli po sobie. To miała być ostatnia szansa ucieczki, jeśli linia pęknie. - Do roboty, panowie, do roboty.

Szereg podzielił się tam, gdzie między kompaniami powstawały przerwy. Ludzie przebiegali dalej z karabinami w jednej i uzdami psów w drugiej ręce. Podoficerowie czuwali nad zmianą pozycji, sprawdzali ustawienia celowników. Widział, jak ludzie wyciągają pociski, które utknęły w komorze zamka, albo rzucają na ziemię własne strzelby i podnoszą te, które porzucili ludzie z Drugiego. Jasność umysłu, pomyślał, kierując się do artylerzystów. Im dłużej się strzela, tym gorętsza jest lufa i tym łatwiej naboje gną się i zatykają. Wielu weteranów otworzyło zamki i stało z karabinami z odciągniętą dźwignią komory zamka.

- Zmiana pozycji, poruczniku Dinnalsyn - powiedział rzeczowo i pokazał nową linię. Przypominała układ czterech przecinków na kartce papieru. Palcem wskazał dwie środkowe kompanie. - Po dwa działa za każdą, jeśli łaska, tylko nie marnujcie czasu.

- Tak, panie! - Rzucił kilka rozkazów, a potem zwrócił się z powrotem do Raja. - Ach... co się dzieje?

- Albo robię z siebie pośmiewisko, albo zaraz dowiemy się, czym Tewfik zdobył swoją reputację - powiedział Raj. Pokazał końcem szabli przeciwległą krawędź doliny. Drugiemu udało się sformować pozrywany szyk z czterema szeregami, a teraz zwalniał nieco, zanim znalazł się na szczycie wzniesienia i ruszył w dolinę po drugiej stronie. - Jeśli mam rację, a modlę się do Ducha, bym nie miał, Tewfik pojawi się na tamtym wzgórzu za jakieś osiem minut, z psami, karabinami i swoimi kotkami. Strzelaj, jak tylko znajdą się w zasięgu ognia, i wal najszybciej, jak potrafisz, tylko tyle mogę ci poradzić.

- Trzymajcie szyk, chłopaki! - zakrzyczał, ruszając wzdłuż linii. - Pedałki w białych mundurkach będą wracać jeszcze szybciej, niż pojechały, a za nimi zobaczycie szmaciane łby. Trzymajcie szyk, to będziemy ich mogli odeprzeć. Jeśli zaczniecie uciekać, to jesteśmy ugotowani, to chyba jasne.

Jeden z żołnierzy krzyknął do niego - Jesteśmy gotowi na śmierć, ponie!

- To dla przegranych. My mamy zamiar wygrać - odrzekł Raj. Tym razem nie było wiwatów ani śmiechu, ludzie po prostu stali nieporuszeni jak głazy. Szczęścia, modlił się. Tylko odrobinę szczęścia, tylko tyle potrzebuję. Bez katastrof, bez niespodzianek. Pewnie Tewfika zdziwiło, że jego przynęty nie chwyciły całe siły Rządu Cywilnego. Niewiele dzieliło ich od tego, by tak się stało. Raj popatrzył na martwych Kolonistów na przedpolu ze świeżo nabytym szacunkiem. Dowódca spokojnie ich poświęcił, by przynęta wyglądała wiarygodnie, aż tyle było trzeba. Przypomniawszy sobie ścieżkę śmierci, którą jego ludzie wycięli w El Djem. Nie sądził, żeby Koloniści okazali się łaskawsi.

- Musimy po prostu wygrać, to wszystko - mruknął, wpatrując się w przeciwną krawędź. Może jednak się mylił...

Rozległ się huk salwy lekkich karabinków, cichszych niż karabinów ze zbrojowni, ale równie śmiertelnych na małe odległości. Oczyma wyobraźni zobaczył starcie, Drugi wyjeżdża zza krawędzi w pełnym galopie, a szeregi odzianych w czerwień Kolonistów wstają jak jeden mąż. Sypią się salwy, a przecież karabinki miały magazynki po siedem naboji, umieszczone pod lufą... Modlił się i kłął pod nosem, jednocześnie oceniając na słuch liczebność oddziałów przeciwnika. Dużo karabinków, o wiele więcej niż te osiemset strzelb Piątego i Drugiego, które strzelały przed chwilą. I dźwięk "pom-pom-pom", artyleria Kolonii. Lekkie, szybkostrzelne armatki wypluwające półkilogramowe, lekkie pociski z magazynków mieszczących ich aż pięć. Nie były tak dokładne jak siedemdziesiątki piątki, nie miały pocisków o takiej wadze, ale strzelały z prędkością karabinu... Znad krawędzi wąwozu unosił się obłok dymu, podobny do tego, który rozwiewał się po drugiej jego stronie.

- O cholera, o cholera - mruczał do siebie. Nie wierzyłem, że to się stanie, pomyślał. Nie wierzyłem. Minutę wcześniej bał się, że się myli, że kończy swą karierę z reputacją tchórza, człowieka, który usiadł i trząsł się, podczas gdy Drugi Stansona szarżował po chwałę. Teraz czuł w gardle wzbierające wymioty, a wiedział, że strach potrafi zasłonić oczy czarną kurtyną równie skutecznie jak wściekłość.

Co, żadnych rad? zapytał Centrum.

»Jesteś mieczem Ducha Człowieka« odpowiedział obojętny głos. Po plecach przeszedł Rajowi dreszcz, kiedy usłyszał to również od niego. »Nie ma miejsca na słabość.«

Pierwsi żołnierze Drugiego wyprysnęli zza krawędzi jak pestki arbuza ściśnięte palcami. Byli to właściciele najszybszych psów, którzy wcześniej znaleźli się w ostatnich szeregach. Było ich kilku, niektórzy ciągle trzymali w dłoniach szable, a żaden z nich się nawet nie obejrzał. Potem pojawiły się większe grupki i na koniec cała masa. Kilku ostatnich zatrzymało się, by strzelić za siebie z siodła, zanim pognali psy na złamanie karku. Ranni ludzie i zwierzęta zostawali na całej długości zbocza, po którym szedł pierwszy atak Kolonistów. Teraz dopiero widać było różnicę między prawdziwą a udawaną paniką.

Duchu Człowieka, pomyślał Raj z podziwem. Wiedzieli, że to tylko podstęp, by nas wywabić, a i tak pojechali prosto na lufy karabinów.

Posadził Horace'a na ziemi dotykiem dłoni, szablą lekko stuknął o strzemię. Uciekinierzy z Drugiego zbierali się w grupy, a instynkt kierował ich prosto w przerwy między kompaniami. Ci,

którym instynkt tego nie podpowiedział, znajdują się dokładnie na linii ognia, co jednak wpłynie na działania Piątego tylko o tyle, że zmarnuje się trochę amunicji. Uwaga Raja skupiła się wyłącznie na krawędzi zbocza, ale słyszał też głosy dochodzące jakby z dużej odległości. Na kilka chwil zrobiło się zadziwiająco cicho.

- ... pamiętajcie, leży pies, leży człowiek. Mierzyć nisko - powiedział da Cruz. - ... a jak nie będzie czasu, żeby podkreślić celowniki, to mierz o długość ciała niżej - powiedział M'lewis, zwracając się do młodego trębacza, który wyciągnął karabin i pozwolił, by trąbka zawisła na jego piersi.

- ... tak jest, chłopaki, trzymajcie tym twardym w moją stronę, a tym ostrym w tamtą. Ja się sam zatrzymam, oni nie - to Gerrin Staenbridge z chłodnym rozbawieniem w głosie.

- ... pierwszemu, co się do nich dupą odwróci, wsadzę bagnet w bebechy - a to jakiś bezimienny podoficer z ostrzeżeniem tak starym, jak sama wojna. Pierwszym zadaniem dowódcy jest zmuszenie ludzi, żeby spojrzeli śmierci w twarz. Duma, miłość, strach, każde uczucie było do tego dobre.

A armia Tewfika pojawiła się nad krawędzią. Armia była odpowiednim słowem. Rozciągali się na całą szerokość zbocza, cztery rzędy, w sumie dwa tysiące. Szli szybko, ześlizgiwali się po zboczu jak szkarłatno-zielono-metalowa lawina. Jak Tewfikowi udało się sprowadzić tu tylu ludzi w tak krótkim czasie? Gdyby ktoś zbudował kolej z Al-Kebir na pustynię, wiedzieliby o tym, bo jeśli czegoś Rządowi Cywilnemu nie brakowało, to szpiegów... Może jestem idiotą, ale przynajmniej mam ten komfort, że nie zginę z ręki idioty, pomyślał.

Na głos - Spokojnie, chłopcy, spokojnie. Nie myślcie, że ich jest więcej, myślcie, że macie większy wybór celów. - Nawet w takiej chwili wywołało to śmiech, choć kilku ludzi wydobyło z siebie na wpół histeryczny chichot. Podniósł lornetkę. - Gerrin.

- Panie?

- Tewfik przybył osobiście, jest pod głównym sztandarem, tym wielkim, z półksiężycem na czubku. Czułbym się trochę lepiej, gdyby mu się, jakby to powiedzieć, nie udało, rozumiesz? - Byłaby to wielka przysługa uczyniona Duchowi Człowieka i Rządowi Cywilnemu.

- Dobrze, panie - powiedział powoli Gerrin i przekazał polecenia swoim podwładnym. Ci przywołali strzelca wyborowego, bo nie było sensu, by cała Kompania koncentrowała ogień na jednym człowieku. Było też prawdopodobne, że to nie zadziała, a wtedy bitwa przegrana.

- Trzy-dwa-zero-zero - powiedział stojący przy dalmierzu artylerzysta.

Za kawalerią wyjechała zza wzgórza ciągnięta przez psy armata, jednofuntówka, pompom

Kolonistów. Potem jeszcze dwie, i kolejna. Woźnice siekli psy jak oszaleli.

- Przygotować się do niszczenia baterii! - rozkazał dowódca artylerii. Raj zacisnął zęby. Było to konieczne, nie mogli sobie teraz pozwolić, by ich szeregi zasypywały te śmiertelne małe pociski... ale oznaczało to, że karabiny będą musiały wykonać większość pracy z kawalerią.

Ziemia zatrzęsała się, a wycie Kolonistów było jak igły wbijane w bębniaki uszu. Za nim huknęła siedemdziesiątka piątka, a świeży dym prochowy dał mu odczuć, jak bardzo miał zdarte gardło. Zaczęły strzelać pozostałe działa. Nie było sensu mierzyć do pompomów, dopóki się nie zatrzymały, lecz kawaleria była celem zbyt dużym, by chybić. W szeregach zaczęły powstawać dziury, ale Koloniści zwierali je z niespotykaną odwagą. Tysiąc pięćset metrów. Ludzie w białych kurtkach przelewali się przez luki w szeregach Piątego. Kilku było tak przerażonych tym, co ich goniło, że próbowali przegalopować przez oddziały Descotczyków. Rozległy się strzały, a bagnety wystrzeliły w przód jak wielkie igły, czego prawie nikt nawet nie zauważył, nawet ci najbardziej zainteresowani.

Dziewięćset. Osiemset.

- Ognia!

BAM-BAM-BAM-BAM-BAM-BAM-BAM-BAM. Ciała padały na całej szerokości natarcia, a lśnienie szabel zostało litościwie przesłonięte dymem wystrzałów.

- Ognia!

BAM-BAM-BAM-BAM-BAM-BAM-BAM-BAM. Dziury w szeregach Kolonistów, stosy ciał padające na trupy pozostałe po poprzednim natarciu. BAM-BAM-BAM-BAM-BAM-BAM-BAM-BAM. Pompomy zwalniały, a zaprzęgi odwracały się, by smukłe, dwumetrowe lufy zostały skierowane w stronę szeregów Piątego. Działa natychmiast przestały ostrzeliwać kawalerię, a brudnobiałe wybuchy zaczęły wykwiatać w powietrzu wokół dział Kolonistów. Nie stało się nic dramatycznego, ale jeden z zaprzęgów zmienił się w wyjący chaos, kiedy psy posiekane odłamkami rzuciły się na obsługę pompoma. Usłyszeli nad głowami pierwsze "krak" lekkiego pocisku, mierzącego w działa.

BAM-BAM-BAM-BAM-BAM-BAM-BAM-BAM. Następni ludzie padają, a niektórzy z Kolonistów wahają się, zwalniają, kilku z ostatnich rzędów spina wodze, prawdopodobnie bezwiednie.

BAM-BAM-BAM-BAM-BAM-BAM-BAM-BAM. Trzysta metrów, prawie żaden z pocisków nie chybia. Niektórzy ludzie Tewfika otrzymują pół tuzina postrzałów, zanim spadną na ziemię. Wtem pędzi do przodu wielki, czarno-zielony sztandar, to sam amir chce poderwać ludzi mocą swej woli.

BAM-BAM-BAM-BAM-BAM-BAM-BAM-BAM.

- Na Ducha, uda się nam! - wykrzyknął w uniesieniu Raj. Oni zwalniali, połowa żołnierzy skupionych wokół Tewfika nie żyła. Sztandar upadł, a sam dowódca podniósł go z ziemi i zaczął nim wymachiwać niczym ognistą wstęgą.

Ktoś dotknął ramienia Raja.

- Ponie! - wrzasnął mu do ucha chorąży, wskazując za siebie.

Zbocze za Piątym zasłane było niedobitkami Drugiego, niektórzy nawet wyglądali, jakby się przegrupowywali... ale inna zdezorganizowana, odziana w błękit masa zbliżała się do nich traktem od strony El Djem, a Raj miał już na tyle doświadczenia, by rozpoznać paniczną ucieczkę.

- O cholera - powiedział znużonym głosem. Suzette, Suzette... Tewfik ich ubiegł. Na jego mapach były źródła wody tam, gdzie mapy Rządu Cywilnego pokazywały tylko nieprzebytą pustynię. A El Djem było w zasadzie bezbronne, obsadzono je rannymi i cywilami. Grupę wyprzedzał niewielki oddziałek ubranych na niebiesko żołnierzy, wśród których jechała też różniąca się od nich postać. Drobniejsza, na lekkim, brązowo-czarnym psie o klapniętych uszach.

BAM-BAM-BAM-BAM-BAM-BAM-BAM-BAM. Paru Kolonistów z tylnych szeregów zawróciło psy i zaczęło się wycofywać, właściwie uciekać. Pocisk z pompoma uderzył tuż przed linią żołnierzy 1. Kompanii. Kilku z nich upadło, w milczeniu lub krzycząc. Ich koledzy nie zwrócili na tamtych uwagi, a pocisk siedemdziesiątki piątki trafił w skrzynki z amunicją pompoma sekundę później. Eksplozję było słychać nawet przez harmider bitwy.

A Suzette zbliżała się do niego po zboczach, jadąc na swym smukłym psie, Harbim.

- Gdzie jest Thiddo i 3. Kompania? - krzyknął Raj, skrywając ulgę. Do diabła, przecież on sam zginie w ciągu następnych stu sekund czy coś koło tego.

- Thiddo nie żyje, a to już wszyscy - odkrzyknęła Suzette, rozglądając się dzikim wzrokiem i ściskając kurczowo swój karabinek. Przyproceedziła ze sobą niecały pluton, a większość żołnierzy nie wyglądała, jakby mogła usiedzieć w siodle, a co dopiero walczyć. Jeden z nich miał odcięty płat policzka i odsłonięte w potwornym uśmiechu zęby. - Ludzie Tewfika czekali na nas, ci tutaj wycięli sobie drogę z powrotem, pogoń jest jakąś godzinę za nami!

BAM-BAM-BAM-BAM-BAM-BAM-BAM-BAM. Ostatnia pełna salwa i szarża Kolonistów została niemal zupełnie zatrzymana. Prawie, a pierwsi z uciekinierów wpadli na tyły Piątego, niszcząc bezpieczną oazę, do której tak się spieszyli. Linia strzelców pękła, jak słoik upuszczony na beton.

- Odegraj "Odwrót i przegrupowanie"! - rozkazał Raj, ciągnąc za sobą jedną ręką Suzette. Kawaleria Tewfika wlewała się przez rozerwane szeregi, ale przemieszczanie utrudniała im masa uciekinierów z El Djem, tak jak by się stało z biegaczem, który nagle znalazł się w wodzie po kolana. Ci, którzy dotarli tak daleko, siedzieli mocno w siodłach. Ich psy przyłączyły się do szaleństwa swych panów, a ofiary padały pod szablami.

Sekundy przesądzą o tym, czy w ogóle ktoś przeżyje.

- Zbiórka wokół armat - krzyczał Raj. - Uformować kwadrat! - Zobaczył, jak jeden z żołnierzy rzuca się do ucieczki, mężczyzna z niedawnego poboru. Zdążył zrobić zaledwie dwa kroki, zanim żołnierz stojący za nim wbił mu bagnet w plecy... i sam zginął sekundę później od cięcia szabli Kolonisty. Z jego ust poleciała czerwona fontanna krwi.

Żołnierze zbili się w gromadę, odwrócili, przyklękli i wypalili nierówną salwą.

- Zbiórka! Przegrupowanie przy działach! - Raj usłyszał, że podejmują okrzyk. Pojawiło się więcej żołnierzy z dwóch środkowych kompanii, ludzi, którzy ujrzeli jedyną szansę na przeżycie. Zbocze wokół nich usiane było pojedynczymi żołnierzami i małymi grupkami z dwóch zewnętrznych kompanii, walczącymi o życie i tańczącymi wkoło jak rtęć na szkle. Cała krawędź doliny była teraz spletaną masą walczących psów i ludzi, ściśniętą naporem z obu stron. Wokół czterech siedemdziesiątek piątek zaczął się tworzyć nierówny krąg ludzi, wraz z nimi sztandar Piątego. Inni pozostali na zewnątrz kręgu, wraz ze stadem psów, które nie chciały pójść za swymi panami.

- Ładuj, ładuj kartaczem! - wrzeszczał porucznik artylerii. - Z drogi! Z drogi! - Obsługa przekreśliła działą, aż jego lufa przepchnęła się przez rzadki szereg żołnierzy Piątego i wymierzyła w masę Kolonistów... w większości Kolonistów. - Ognia!

PAMM. Inny dźwięk. Kartacz był to wielki pocisk armatni, w którym nie było ładunku wybuchowego, lecz setki ołowianych kulek. Zaszumiały w powietrzu jak stado olbrzymich os, a w grupie ludzi powstała wyrwa, jakby wycięta nożem. Kolejne PAMM z drugiej strony kręgu. Formacja rosła jak kryształ w nasyconym roztworze. Pojedynczy ludzie byli jak małe kryształki, podoficerowie, oficerowie, po prostu wszyscy, którzy nie chcieli dostać szablą w plecy. Gerrin Staenbridge przybył na plecach. Na plecach Bartona Foleya, choć ten był od porucznika lżejszy o połowę, i choć rana w boku porucznika przekonałaby każdego, że niesie tylko trupa.

- Wy tam - krzyknął chorąży. - Przyprowadźcie messerowi psa! - Żołnierze posłuchali. Foley zatrzymał się tylko na chwilę, by włożyć pod tunikę Staenbridge'a kawałek szmaty, który miał służyć jako opatrunek, i ścisnąć go pasem. - Za mną! - krzyknął, wyjmując z pokrowca na plecach dubeltówkę. - Tam ludzie potrzebują pomocy - pokazał na małą grupkę żołnierzy Piątego, otoczoną

przez Kolonistów. Żołnierze popatrzyli na siebie, na młodzieńca, chwycili mocniej karabiny i zaszarżowali.

- Krok w tył, salwa! – wołał Raj. Musimy utrzymać działa, bo nas posiekają pompomami. Im dłużej się utrzymamy, tym więcej zdoła uciec. Utrzymać tyle psów, ile się da. - Krok w tył i salwa. Równo, równo i mierzyć do cholery! - trzaski karabinów były nierówne, ale tym razem wystrzałów było więcej. Szable uderzyły na skraju kręgu o bagnety. Artylerzyści znowu przesunęli swą nieporęczną broń trochę do przodu. Odrzut armat był niemal tak samo niebezpieczny jak wrogowie poza granicami kręgu, ale po każdym strzale pozostawiały przed sobą tylko poszarpane mięso. Mięso, które skomlało i wyło.

- Krok w tył, salwa!

Komendę podjęły inne głosy i formacja zaczęła przypominać czworokąt. Oficerowie zaczęli biegać między szeregami, ustawiając ludzi. Suzette i dwóch lżej rannych żołnierzy wciągało innych, zbyt poranionych by walczyć, na grzbiety psów. Przepychali się z nimi do pierwszych linii, by stamtąd posłać psy ku bezpiecznej równinie. Pół tuzina odzianych w czerwone jellaby mężczyzn padło w tym samym momencie. Foley prowadził swą stale powiększającą się grupę z powrotem do kręgu po tym, jak wszyscy oddali salwę prosto w plecy Arabów oddzielających ich od okrążonych towarzyszy. Raj widział, jak oficerowie Kolonistów wzywają swych żołnierzy do powrotu, dosłownie zapędzają ich na tyły biczami o dziewięciu końcach. Arabowie zbili się w gromady i odjechali do sztandarów swych jednostek, na bezpieczny grunt, gdzie nie sięgały kartacze. Zapadła cisza. Wszyscy, którzy mogli chodzić lub czołgać się, dołączyli do małej grupy skupionej wokół sztandaru.

- Ruszać się! - krzyknął Raj. Jego głos był ochrypy i skrzeczący. - Wstrzymać ogień! - Tewfik nie marnował czasu. Młody Kolonista z białą flagą zbliżał się do nich na śnieżnobiałym owczarku. W każdym razie pies kiedyś był biały, teraz cały popraskany był krwią, a szabla, którą poseł trzymał w dłoni, była czerwona aż do jelca.

- Nic nie możecie zrobić - powiedział doskonałym, dworskim sponglijskim. - Mój pan, amir, dowódca sił Południa, ghazi Wiary, proponuje warunki kapitulacji mężnym żołnierzom. Jesteście w mniejszości, otoczeni, nie macie wody, zapasów, nie macie dokąd iść...

Raj czekał chwilę, aż jego ludzie odpowiedzą. I zrobili to, nie czekając.

- Pierdol się, szmaciany łbie! - wysuwające się bagnety. - Chodź i se siednij na tym, alfonsie! Naprzód Piąty! Descott na wieki! Duch Człowieka! Duch Człowieka! - A w tle głuche warczenie pozbawionych jeźdźców psów w środku kręgu.

- Ruszać się! - powiedział znowu Raj. Zaryzykował szybki łyk wody z manierki. Siły Kolonistów nie rozproszyły się, ale ich dwóch pozostałych pompomów nie można było trafić. W zasięgu wzroku było już znacznie mniej uciekinierów Rządu Cywilnego. Ze stanowiska dowódczego Tewfika, umieszczonego tuż poza zasięgiem strzelb, ciągle wydawano rozkazy, a grupa około czterystu żołnierzy uformowała kolumnę i ruszyła kłusem na północ, robiąc miejsce towarzyszom.

Raj poczuł, jak jego usta rozciągają się w uśmiechu.

- Powiedz Tewfikowi, że jeśli sądzi, że nas pokona, niech śmiało próbuje - powiedział. - Ilu ludzi dzisiaj stracił? Dwa razy więcej niż my? Trzy razy więcej? Jak będzie teraz utrzymywał wypaloną granicę? A w każdej minucie, w której nas obserwuje, coraz więcej naszych żołnierzy ucieka. Niech tu przyjdzie. Niech się nie wstydi, zajmiemy się jego drugim okiem.

Poseł uklonił się i odjechał. Owczarek wydawał się frunąć nad pobojowiskiem jak śnieżna zjawia.

- Kocham cię - powiedziała cicho Suzette, podjeżdżając do niego.

- Ja też cię kocham - odrzekł. - Chciałbym tylko, żebyśmy mieli na to więcej czasu. - Patrzył na północ, w stronę Komar, oddalonego o tydzień drogi, a równie niedostępnego jak Terra, stracona i święta.

- Chodźmy, psi bracia - powiedział. - Co drugi człowiek na siodło. Bądźcie cały czas gotowi. Naprzód, marsz!

\* \* \*

- Wynocha! Bezużyteczne dziwki, debile, wynocha, wynocha! - warknęła Anna, pani Clerett. Ubrana była w bladokremową suknię z czarnymi dodatkami, koloru poranka, i rzuciła się w stronę swej przyjaciółki z wyciągniętymi ramionami. - Nie, zaraz, ty, przynieś coś zimnego, przygotuj kąpiel i przynieś ubranie dla pani Whitehall. No, nie stój tam i nie gap się, ruszaj! - Niewolnice zniknęły błyskawicznie.

- Och, Anno - wymamrotała Suzette, osuwając się naprzód. Jej karabin zadudnił o podłogę i o dywan z Hammamet, a ona sama oparła się o ramię Anny i pozwoliła, by w jej słabości wspomógł ją mocny, matczyzny uścisk. Ale interesy nie mogły czekać dłużej niż kilka chwil.

- Jestem brudna, mam wszy, twoja suknia - powiedziała, kiedy Anna prowadziła ją do jej krzesła. Ogarnął ją szczyry wstyd za stan, w jakim się znajdowała. Pokój nie był duży, ale zadaszono go bladożółtym szkłem, a na ścianach powieszono jedwabie i torofib wymalowane delikatnymi wzorami



trzciny i lotosów, a także sauroidami o łuskach z drogich kamieni. Do pomieszczenia wpadało przez kratki w podłodze chłodne powietrze, pompowane przez parowe wiatraki wiele piętér niżej. Nikt nie mógł powiedzieć, że Anna wykorzystywała swą nową pozycję z nowobogacką manierą. Uparła się poznać arystokratyczną wersję dobrego smaku z taką samą odważną determinacją, z jaką traktowała każde zadanie, jakie sobie postawiła. Większość z niego poznała dzięki swej przyjaciółce Suzette, missie Wenqui, którą wtedy była...

- Masz, kochanie - powiedziała Anna z tryumfem w głosie, podając jej ponad stołem srebrną ramkę. - Masz czas, by to przeczytać, potem jakaś przekąska, kąpiel i mój masażysta, a potem się wystroisz.

Suzette zamrugła zaropiałymi, czerwonymi oczami i popatrzyła na ramkę. Był tam list, który wysłała z Komar, lecz uzupełniony pisaniem jaskrawoczerwonym atramentem, kwadratowym, męskim pismem. Pod koniec listu ktoś przycisnął pióro tak mocno, że przebił papier.

- Mój mąż bardzo się zainteresował - powiedziała Anna. - A kanclerz Tzetzas był... przerażony tym, co jego podwładni zrobili w jego imieniu. - Leniwy, koci uśmiech. - Tak przerażony, że zapisał każdy cal ziemi i kawałek prywatnej własności w hrabstwie Komar wicegubernatorowi. - Dotknęła czubkami palców inkrustacji na blacie stołu. - Jest zbyt użyteczny... Barholm sądzi, że jest zbyt użyteczny... by się go teraz pozbyć. No i, Suzie... - długie palce kobiety zacisnęły się na palcach Suzette - twój mąż wyszedł na tym wszystkim lepiej niż ktokolwiek inny. Lepiej niż ten głupiec Stanson, który nie zrobił nic poza pozwoleniem, by odstrzelili mu połowę tyłka. A to czyni go głupcem podwójnie.

- Mało brakowało - wymamrotała Suzette, z oczyma zamglonymi zmęczeniem.

- Co takiego? - Anna podniosła nagle głowę.

- Powiedziałam, że nie będzie go brakowało - powiedziała wyraźniej. Nagle zamrugła, widząc żałobne szaty Anny. - Ktoś umarł? - zapytała.

- Ktoś umrze, moja droga. Ktoś umrze.

\* \* \*

Raj poczuł, że pochyła się coraz bardziej w przód i wyprostował się szybko. Siedząc tu, w Komnacie Gwiazdy, przyciągnął kilka spojrzeń, mniej jednak niż się spodziewał. Dysputy teologiczne były dumą i sportem tego miasta, i nigdzie ich w nim nie brakowało. Wielka, okrągła komnata była wypełniona po brzegi hierarchami, sysupami, analitykami, grammerami, wszelkiego

rodzaju dygnitarzami Kościoła, którzy ściągali tu z każdego zakątka ziem Rządu Cywilnego. Byli nawet reprezentanci sysupryków Centralnych i Zachodnich Terytoriów, ubrani w staromodne ornaty, mówiący z akcentem spajol. Wielu z nich czuło się tu najwyraźniej niezręcznie, ponieważ Duch Człowieka tej Ziemi był państwowym kultem na terenach rządzonych przez Rządy Wojskowe, a ortodoksi z tamtych stron nie byli przyzwyczajeni do tak otwartego działania.

Barholm usiadł na tronie, który został bezgłośnie wyniesiony na wysokość człowieka przez hydrauliczne wysięgniki. Miał na sobie pełen ornat najwyższego papieża, co było prerogatywą należną tylko gubernatorowi, i opierał podbródek na pięści. Światło, wpadające przez wybity w dachu świetlik o kształcie gwiazdy, migotało na klejnotach, nadawało metaliczny odcień szacie i odbijało się od złota i kości słoniowej tronu.

- I powiedziane jest jasno w Książeczce kanonicznej - brzęczała mówczyni stojąca na podium na środku sali - że to, co większe, zawiera to, co mniejsze, czego metafizyczne implikacje są następujące: po pierwsze, że wszelkie podprogramy są konieczne, lecz nie wystarczające do działania kodu, a po drugie, że podprogram operacyjny może być uważany za wirtualny byt sam w sobie, choć nie oznacza to, że przez lub dla siebie. Tak więc, jeśli (przywołuję tu doktrynę ortodoksyjną) Duch Człowieka Gwiazd włada wszystkimi gwiazdami, a ponieważ Gwiazda tej Ziemi bez wątpienia gwiazdą jest, i ponieważ ta Ziemia bez wątpienia porusza się po orbicie wokół Gwiazdy, i tym samym znajduje się pod niebiańskim wpływem i pod rządami tej Gwiazdy, Duch Człowieka tej Ziemi... - na sali rozległy się westchnienia na dźwięk imienia heretyckiego bóstwa wyznawanego przez barbaricum i na straconych terytoriach - ... jest w rzeczywistości niczym więcej jak tylko obliczem Ducha Człowieka Gwiazd!

- Herezja! - rozległy się wściekłe okrzyki na całej sali. Mówczyni była regionalną sysupką z Ayzof, miasta leżącego na południowo-wschodnim brzegu Morza Piersona. Miała na sobie szaty kanoniczne, srebrną kurtkę i wierzchnią szatę, a także nakrycie głowy z obramowanych drutami szkiełek z Gwiazdą na szczycie. - Herezja! - Grupa przeorysz Umartwionych Sióstr próbowała podjąć w jednym z rzędów pieśń: Wykopcie jej kości! Wykopcie jej kości!

- Cisza! - krzyknął Barholm. - To spotkanie rządzących Kościołem Świętej Federacji, a nie zamieszki uliczne! - Strażnicy klasztorni pobiegli truchtem za ostatnim rzędem krzeseł i wepchnęli ubrane na biało przeorysze z powrotem na ich miejsca. Minęła minuta, zanim ucichł gwar rozmów. Pomocnicy Barholma pogrążeni byli w burzliwej, choć prowadzonej szeptem dyskusji na temat użycia archaicznej liczby mnogiej dla słowa Gwiazda w Książeczce kanonicznej.

- ... a zatem - regionalna sysupka mówiła dalej uparcie, pomagając sobie notatkami rozłożonymi na mównicy - wyznawcy Ducha tej Ziemi nie są, choć sami nie zdają sobie z tego sprawy, ani

heretykami, ani poganami takimi jak chrześcijanie, żydzi czy muzułmanie, lecz raczej dziećmi Kościoła Świętej Federacji po schizmie, która oddzieliła ich od władzy eklezjastycznej, a zatem możliwe jest ponowne ich z Kościołem połączenie - dotknęła swojego amuletu, bardzo wiekowej jednostki komunikacyjnej, której pęknięcia wypełniono szlachetnymi metalami. - Koniec pliku.

- Koniec pliku - wyszeptali zebrani duchowni.

- Krzesło loguje dostojnego sysupa, reprezentanta kapłanów parafii rezydencji - zaintonował Barholm. Mężczyzna, który wszedł na podium był chudy i patykowaty, a swojemu wyuczonemu z ksiązek sponglijskiemu nadawał nosowy, zachodni akcent. Był reprezentantem kapłana starej Rezydencji, który w kościelnej hierarchii ustępował tylko gubernatorowi, lecz znajdował się pod polityczną kontrolą barbarzyńskich wyznawców Ducha Ziemi z Brygady.

- Usłyyyszcieeee - powiedział przeciągle. - Teen tutaj spóór jeest cieekawy, ale trudnoo mi rzec, by wiecee znaaczył. Niezaleeżnie od teego, czy uznaamy Brygaadę za heretyków, czyy nie, oni z pewnością uznaają naas za hereetyków i w żadeen sposób niee przystąpią do Koościoła Świętej Feederacji. Chyyba, że ich chceecie poodbić. - Barholm wyprostował się, ale zaraz odprężył. - Kooniec pliku.

- Koniec pliku - wyszeptał tłum, zawiedziony, że wystąpienie było tak krótkie.

Raj przypomniał sobie starożytną kronikę, którą kiedyś czytał, jeszcze z poprzedniego synodu. Sysup z prowincji powiedział: "We Wschodniej Rezydencji, jeśli poprosisz piekarza o chleb, odpowie ci, że Duch pochodzi z Gwiazd. Jeśli zapytasz kąpielową, czy woda jest gorąca, odpowie ci, że Duch pochodzi od Człowieka Gwiazd".

»Czy to, że jesteś połączony ze mną, reprezentantem federacji, nie czyni cię awatarem ducha?«

Raj chwycił kurczowo swój amulet, wyobrażając sobie, jak wstaje i przemawia do zgromadzonych hierarchów. Zadrzał, czując przerażenie niemal równe temu, jakie ogarnęło go, gdy Tewfik szarżował w Dolinę Śmierci. Już i tak źle jest być mieczem Ducha i wykonywać te wszystkie zadania, które mi wyznacza...

Przez tłum przecisnął się paż, który podał wicegubernatorowi wiadomość. Barholm uniósł dłoń, domagając się milczenia.

- Przepraszam, użytkownicy Ducha Człowieka Gwiazd - powiedział stanowczo. - Wzywają mnie ważne, świeckie sprawy. Sysup patriarcha Wschodniej Rezydencji będzie przewodniczył zebraniu.

- Kapitan Whitehall! - powiedział głośno.

- Wasza Dostojność! - odpowiedział Raj rzeczowo, choć brud i zarost sprawiały, że czuł się tu

równie nie na miejscu jak striptizerka w celi Umartwionej. A wysuszona krew, którą był popryskany, miała już dość czasu i ciepła, by stać się bardzo zauważalną.

- Czy masz ze sobą swoich ludzi?

- Ach... to znaczy, tak, Wasza Dostojność. - W przedsionku, w którym odmówili wykonania wszelkich rozkazów wycofania się i stali z nabitą bronią. Po co? o tym Raj wolał nie myśleć. Tak naprawdę, to powinni chcieć, żeby Barholm kazał z nim skończyć.

- Masz - krzesło wicegubernatora obniżyło się bezgłośnie. Wziął jakąś kartkę z notatkami siedzącego za nim arcysysupa, napisał coś na niej i podał Rajowi. Po prostu "Przepuścić kapitana Whitehalla i eskortować go do dowolnej części pałacu. Barholm Clerett, wicegubernator".

- I weź to - zdjął pierścień z palca. Raj poczuł ukłucie zachwytu, kiedy przedmiot znalazł się w jego dłoni. Diament miał rozmiar jego kciuka, a wycięto go w jakiś sposób na kształt Rozbłysku Gwiazdy i płonął w nim stale biały ogień. Sygnet wicegubernatora, mniejszy bliźniak klejnotu, który gubernator miał na diademie, relikw z czasów sprzed Upadku i święty jak komputer. - Sądzę, że z tym nikt nie odmówi ci przejścia.

Raj uklonił się sztywno i przyklęknął na jedno kolano, a Barholm mówił dalej.

- Stawisz się w prywatnych komnatach gubernatora z meldunkiem, kapitanie Whitehall.

- W twoich komnatach, Wasza Dostojność?

- Nie. W komnatach mojego wuja - Raj napotkał spojrzenie Barholma, równie bezbarwne jak jego głos. - Właśnie ma oficjalnie mianować mnie swoim następcą.

\* \* \*

- Ależ nie możesz tam wejść - powiedział szambelan załamując ręce.

- Rozkazy wicegubernatora - powiedział Raj. Cała sprawa miała nastrój historii z duchami. Przypomniała mu się nie kończąca się jazda wzdłuż północnego skraju Oxheadów. Po kilku dniach wspomnienia, sen i jawa rozmyły się, aż wreszcie nie był pewien, gdzie i kiedy był ani czy to, co widział, było prawdziwe, wyśnione, czy może było tylko jedną z holograficznych projekcji, które zsyłało mu Centrum.

- Gubernator Yernier jest chory - mówił dalej mężczyzna, jakby Raj w ogóle się nie odezwał. Zignorował również sygnet, choć żołnierze z osobistej Yerniera przepuścili na jego widok strachy na wróble, które były towarzyszami Raja. A oni pochodzili przecież w większości z posiadłości

Clerettów z Descott. Posiadłości Barholma, oczywiście, kiedy tylko umrze bezdzietny Yernier... Szambelan nosił stalowy kołnierz, a jego funkcja pokazywała, jak bardzo ufał mu jego pan. Podobnie jak klejnoty na jego dłoniach i pasie.

- Nie przestają mu się naprzykrzać - głos niewolnika majordomusa podniósł się o oktawę. - Nikomu na nim nie zależy, nikomu z nich, nie wpuszczę do środka nikogo więcej, nawet gdybym miał zginąć, by zatrzymać was na zewnątrz!

Kaltin Gruder i Foley przeszli obok Raja i stanęli twarzą w twarz ze sługą. Z twarzy Kaltina widać było tylko oczy i usta, bo bandaże zamieniły jego głowę w białą kulę. Oczy miał martwe, jak zawsze od dnia, w którym pocisk z pompoma eksplodował na piersi jego brata na chwilę przed tym, jak Koloniści przerwali pościg. Bandaże poplamione były krwią z ran ukrytych pod nimi, a zapach środków dezynfekcyjnych mówił, że ta twarz nie będzie już przystojna, kiedy bandaże zostaną zdjęte. Twarz Foley'a nadal miała w sobie tę młodzieńczą niemal piękność, ale w jego oczach nie było już młodości, nie miały one więcej uczucia niż lufy śrutówki, którą przyłożył do gardła szambelana.

- Cóż, śmierć to alternatywa dla otwarcia tych drzwi - powiedział Foley z wyraźną obojętnością.  
- Wybieraj.

\* \* \*

Śmierć, pomyślał bez emocji. Potrafił sobie przypomnieć czasy, kiedy widok starca walczącego o oddech w wielkim łożu z baldachimem mógł być poruszający. Teraz był to już tylko techniczny osąd, wsłuchiwanie się w szelest oddechu, wpatrywanie się w błękitny odcień palców i ust. Kapłani-lekarze naradzali się, zbliżywszy do siebie. Przez gumową rurkę i igłę wprowadzano coś choremu do żyły, kocioł pełen odrażająco wyglądającej papki warzywnej podgrzewał się na przenośnym piecyku, napełniając pokój dziwnym, piźmowo-ziołowym aromatem. Lampy świeciły słabo, a popołudniowe słońce malowało błękitny jedwab pokoju czerwienią. Oczy mozaikowych postaci na górnej części ścian i suficie zdawały się śledzić każdy ruch spojrzeniem pełnym wyrzutu.

Barholm podszedł do stojącego na podwyższeniu łóżka z tabliczką do pisania w dłoni.

- Wuju - powiedział stanowczo. - Wuju. - Dotknął ramienia starca, a członkowie świty starego gubernatora rozeszli się po pokoju, szepcząc z oburzeniem.

Yernier krzyknął z bólu, a może z żalu, że kiedy otworzył oczy - ujrzał swego siostrzeńca, a nie osobę, do której ciągle mruczał. Jeden z lekarzy podniósł głowę i ruszył w stronę wicegubernatora z zaciętą miną. Drogę zastąpił mu M'lewis, który chwycił go za rękę i to w tak skomplikowany sposób, że kciuk lekarza został przyciśnięty do wierzchu nadgarstka, tuż pod kostkami palców.

- Ach, wielebny - powiedział cicho, prowadząc oburzonego kleryka równie łatwo, jak prowadziłby dziecko. - Chodzi o moje zęby. Czasem jak mnie tam zaboli... a to od kiedy ten główniany szmaciany łeb, błagam waszą wielebność o wybaczenie, mi je wybił. A jeśli wasza wielebność zechciałby...

- Rica tu była! - głos Yerniera był piskliwy i sapiący. Między słowami musiał brać wielkie hausty powietrza. Rica, pani Clerett, nie żyła już od prawie dwudziestu lat. - Dlaczego kazałeś jej odejść, Barhie? - Łzy popłynęły po wydatnych kościach policzkowych Descotczyka. - Zawsze naciskasz! Dlaczego nie zostawisz starca w spokoju?

Towarzysze i niedobitki z Piątego, którzy towarzyszyli Rajowi, stali w kręgu wokół łóżka na baczność. Żaden z nich nie miał w ręku broni, ale też żaden ze stojących pod ścianami ludzi nie zdradzał chęci przedzierania się przez ich szereg. Otworzyły się drzwi. Raj podniósł wzrok i zobaczył, że wchodzi przez nie Suzette. Mrugnął, nie do końca rozpoznając zakurzoną postać, którą widział rano. Miała na sobie dworską suknię. Obcisły, wysadzany drogimi kamieniami gorset, beret z piórami nad uszami, falbaniasta, koronkowa spódnica, rozcięta z przodu i spięta z tyłu, która pokazywała haftowane pończochy i pantofelki. Suzette podeszła szybko do stojącej przy łóżku Anny. Opadająca aż na ramiona złota peruka przykrywała jej przyszczyżone krótko czarne loki. Rzuciła Rajowi uśmiech, po czym stanęła obok swojej przyjaciółki, patrząc na schorowaną postać Jego Wysokości, wiceregenta Ducha Człowieka Gwiazd, najwyższego autokraty, prawowitego gubernatora, ukochanego przez Radę Legislatywną, z dynastii Clerettów. Na jej twarzy malowało się prawdziwe współczucie, kiedy patrzyła, jak palce chorego bezsilnie zaciskają się na bezcennych syntetykach pościeli. Anna, od kiedy weszła tu ze swoim mężem, uśmiechała się ciągle w ten sam sposób. Lekko rozchylone usta, a w oczach spojrzenie odpowiedniejsze raczej dla zwierzęcia siedzącego na drzewie i patrzącego na umierającą owcę.

- Wuju! - powiedział ponownie Barholm. - Musisz podpisać, teraz, to jest twój obowiązek wobec państwa.

Da Cruz podszedł do Raja i przemówił sotto voce - Wcołe mi się to nie widzi, ponie. Gubernator Yernier był w swoim czasie wielkim człowiekiem, i trzeba by zwołać radę, znam to prawo. A choćby był wieśniakiem, tak się tego nie robi, nie na łożu śmierci.

»Obserwuj. Przypuszczalna sekwencja, gdyby nie wyznaczono Barholma.«

Barholm stał w Komnacie Rady i krzyczał z czerwoną twarzą. Jej członkowie patrzyli po sobie, machali plikami dokumentów i zaciskali pięści. Dziwnie było widzieć tych, w większości starszych i oficjalnie ubranych, mężczyzn kłócących się jak pijacy w portowej tawernie. Wszystkich, oprócz kanclerza Tzetasa, który trzymał czytnik kodów jako oznakę urzędu i uśmiechał się, rozparty na krześle przewodniczącego. Kanclerz przewodniczył, dopóki trwał impas. A...

... miasto płonęło. Raj rozpoznał je na podstawie rysunków, które kiedyś widział. To było Cardahon, stolica hrabstwa w centralnych dystryktach. Otoczone było staromodnymi murami kurtynowymi, gdyż znajdowało się pięćset kilometrów od zachodniej granicy. Wokół niego rozlewały się jasnożółte pola zboża i zielone pastwiska, oprócz miejsc, w których zostały wypalone przez wrogą armię. Z wałów, które wzniesiono, ryczały armaty oblężnicze, wielkie, ładowane przez lufę działa w kształcie butelki, aż wreszcie nagle runął cały fragment muru, zawalił się w tumanie kurzu wprost do fosy, tworząc idealny pomost prowadzący do środka twierdzy. Kolumny żołnierzy Kolonii wylały się z okopów i rozwinęły w natarciu, i utrzymując szyk zbliżały się do muru pod słabym ogniem oszołomionej załogi.

Wspinali się po zboczu, sięgając po sławę dla swego Boga i dla Jamala, Osadnika.

»Obserwuj.«

\* \* \*

Barholm stał w komnacie Rady ze skrzyżowanymi ramionami i obojętną twarzą, a magnaci i szlachta Rządu Cywilnego krzyczeli i kłócili się. Kanclerz Tzetasa rozparł się na krześle przewodniczącego, a na jego twarzy widać było niepokój za każdym razem, kiedy spoglądał na wicegubernatora.

- Messerowie! - krzyknął Barholm. - Messerowie, sprzeczałyśmy się już dość długo, podczas gdy wrogowie Ducha niepokoją nasze granice, a w kraju mnożą się wywrotowcy. Duch wzywa...

- Zamknij się, Barholmie Clerett! - krzyknął jeden z lordów. - Nie jesteś jeszcze gubernatorem i nigdy nim nie będziesz, o ile ja będę miał coś do powiedzenia na ten temat!

Barholm uśmiechnął się, wziął do ręki dzwonek i zadzwonił nim.

- Obawiam się, że nie będziesz miał, messerze Wagger - powiedział ze skrywaną radością w głosie.

Główne drzwi otworzyły się i wszedł przez nie Raj na czele kolumny żołnierzy Piątego. Przeszli spokojnie na środek długiej, owalnej komnaty, a podkute żelazem buty rytmicznie uderzały o marmurową posadzkę. Ostra komenda, i zostały utworzone dwa rzędy. Podniesiono karabiny. Lufy i bagnety uciszyły wszelkie protesty.

- Wynocha! - krzyknął Barholm. - Siedzieliście tu zbyt długo i nie zrobiliście nic pożytecznego. W imię Ducha, idźcie! - A...

... Raj prowadził odprawę w oświetlonym światłem latarni namiocie. Z początku sam siebie nie rozpoznał. Pomarszczona twarz, szpakowate włosy i insygnia wysokiej szarży. Oficerowie zebrani wokół niego byli obcy, a więcej niż połowę z nich stanowili najemnicy z Brygady lub szwadronu. Co było niemożliwe, cudzoziemców nigdy nie awansowano do rang, które mieli niektórzy z tych ludzi... Stary Raj postukał palcem w mapę.

- Cóż, panowie - powiedział. W jego głosie słychać było wyczerpanie. - Ostatnie zagrożenie wewnętrzne dla Rządu Cywilnego zostało zażegnane. Nasza następna kampania będzie demonstracją graniczną, by pokazać, że partyzanci w hrabstwie Descott cieszą się naszym poparciem, nawet jeśli nie możemy walczyć z nimi ramię w ramię.

Punkt widzenia przeniósł się nad mapę. Raj poczuł, jak jego żołądek ściska się, a krocze boleśnie się kurczy. Z Rządu Cywilnego nie pozostało nic, poza paskiem ziemi w dolnym biegu Hemmar i wokół stolicy...

\* \* \*

- Ja sobie myślę, że coś z tym nie tak, ponie - skończył da Cruz. - Ponie? Co z tobą?

Raj otarł pot z czoła.

- Zmęczony i posiniaczony, to wszystko - powiedział cicho. Istniała sztuka mówienia głosem, który nie niesie daleko, równie przydatna jak umiejętność krzyczenia ponad hałasem bitwy. - Mnie też się to nie podoba, mistrzu sierżancie. Ale uwierzcie mi, tak będzie lepiej - mówił dalej.

Da Cruz skinął powoli głową, słysząc pewność w głosie młodzieńca.

- Jestem twoim człowiekiem, ponie - powiedział. - Jeśli mówisz, że to w porządku, to w porządku.

Poznaczona plamami wątrobowymi dłoń Yerniera poruszyła się i starzec złożył chwiejny podpis



czerwonym atramentem pod oficjalnym dokumentem. Raj zauważył, że Barholm z trudem się powstrzymuje, przykładając do wosku pierścień z pieczęcią gubernatora.

- Dokonano! - powiedział Barholm, odwracając się na chwilę. - Wzywam was wszystkich na świadków... - potoczył spojrzeniem po twarzach ludzi stojących pod ścianami, z których wielu było wpływowymi osobistościami, radnymi i ministrami - ... że dokonano tego zgodnie z prawem. Jego Wysokość abdykował, a ja... - jego oczy rozblęły - jestem gubernatorem.

U jego boku stanęła Anna i pochyliła się nad drżącym ciałem Yerniera. Ten szarpnął się i krzyknął, kiedy zdierała mu pierścień ze spuchniętego palca.

\* \* \*

Kiedy Barholm skończył przemowę, na niebie pojawiły się już gwiazdy. Większość ludzi wyszła, a Raj i jego towarzysze zostali sami z kapłanami-lekarzami i umierającym Yernierem. Raj mógłby śledzić zawilości mowy Barholma, gdyby tylko miał ochotę. Wszystkie te frazesy i tak docierały do niego przez wysokie okna: dobrobyt... Wola Ducha... podbić barbarzyńców... Wiwaty. Pewnie służy pałacowi, pomyślał Raj. Okrzyki przemieniły się w potężny ryk, który wstrząsnął budynkiem nawet bardziej niż syreny, które miały przywołać ludzi. Wiedzieli, że Yernier był chory. Chcieli w tych czasach silnych dłoni, trzymających uzdę.

Barholm wszedł do pokoju z balkonu, energiczny i spokojny, jeśli nie liczyć błysku w oczach i ciągłego zacierania rąk.

- Po wszystkim - powiedział. - Teraz do roboty, a potem muszę iść na ten przeklęty bankiet dla ambasadorów Brygady. Jeszcze nie zaczęliśmy formalnej żałoby, a potem trzeba będzie ustalić datę koronacji, musi nadejść jakiś spokojniejszy miesiąc, ceremonie nigdy nie mają końca. A teraz - powiedział, zwracając się do Raja, i żołnierz poczuł nagły przypływ energii, jakby uczucie tryumfu, którym przepelniony był jego pan, spłynęło również na niego - jest jeszcze sprawa twojego następnego przydziału.

Twarz Raja skrzywiła się w czymś na podobieństwo uśmiechu.

- Jeśli tylko sądzisz, że Rząd Cywilny będzie mnie do czegoś potrzebował, Wasza Wysokość - powiedział.

- "Panie" wystarczy, kiedy rozmawiamy prywatnie - powiedział Barholm. Uśmiechnął się i klepnął wyższego od siebie mężczyznę w ramię. - Czytałem twój raport, człowieku! - mówił dalej. - A oprócz tego wysłuchałem opowieści innych uczestników zdarzeń. Oczywiście, że będziesz miał

zajęcie. Jesteś najlepszym dowódcą polowym, jakiemu ufam.

Szczęka Raja opadła.

- Ja? - prawie zaskrzeczał. Nawet mimo tego znalazł czas, by się zdziwić. Raport miał około pięćdziesięciu stron drobnym maczkiem, zawierał rozkazy operacyjne i liczby. Barholm dostał go zaledwie dwanaście godzin temu. Przewodniczył dużemu synodowi, wymusił abdykację... to znaczy, nakłonił do niej... Duch jeden wie, co jeszcze... Kiedy znalazł na to czas?!

- W zasadzie to znowu wysyłam cię na granicę - mówił dalej Barholm. Do pokoju weszła jeszcze jedna osoba. Mister ceremonii.

- Wasza Wysokość - powiedział mężczyzna, klękając na ziemi i dotykając czołem podłogi.

- Pomińmy to - powiedział Barholm; tym samym pozwolił mężczyźnie wstać i pouczył go, by nie padał na ziemię przy nieformalnych spotkaniach, czego nie wymagano od wysoko postawionych urzędników.

- Wasza Wysokość, pozwól mi być pierwszym, który pogratuluje ci błogosławieństwa Ducha, którym obdarzył i nas, i Waszą Wysokość, a dzięki któremu będziemy mieli odpowiedniego przywódcę.

- Tak, tak - powiedział na to Barholm, niecierpliwie machając ręką. Za nim słyhać było rżący oddech.

- Wasza Wysokość, przyszło mi do głowy... proszę, wybacz swemu słudze domniemanie... że ceremonie koronacyjne powinny mieć niezrównany splendor, gdyby miały odbywać się przed tak wielką liczbą dostojnych użytkowników Kościoła, jaka jest obecna na synodzie - i delikatnie - by nie wspomnieć o implikacjach, biorąc pod uwagę obecność sysupa-reprezentanta kapłana parafii.

- Dobry człowieku! Doskonale! Rozpisz odpowiednią ceremonię, która podkreśli zwierzchność gubernatora nad całym Kościołem, i przyślij na moje biurko jutro rano. - Barholm odwrócił się znowu do Raja i podjął wątek rozmowy, ani na chwilę się nie gubiąc.

- My... ja mam zamiar złuzować Heartwella w Sandoralu. Twojej następnej kwaterze... Brygadierze Whitehall, przestań udawać rybę...

Raj zamknął szybko usta. - Ale, panie... Wasza Wysokość, ja przegrałem!

- Heartwell nawet nie próbował. Poszedł dziesięć kilometrów wzdłuż rzeki, zobaczył stracha na wróble... bo dziesięć dni drogi w każdą stronę nie było żadnego szmacianego łba... i zatrzymał się dopiero za zamkniętymi bramami Sandoralu, a o ile wiem również za zamkniętymi drzwiami szafy, w której się schował - w głosie Barholma aż wibrowała pogarda i oskarżenie. - Ty zająłeś El Djem,

przysłałeś stamtąd imponujące łupy, a potem zostałeś pokonany przez silniejszą armię, liczniejszą w stosunku cztery do jednego według ciebie i dziesięć do jednego według innych...

Pokonał mnie lepszy generał, pomyślał chłodno Raj. No cóż, będę się musiał poprawić.

- ... prowadzoną przez samego Tewfika... - ciągnął Barholm. Minister finansów chrząknął znacząco. Gubernator podniósł rękę w kierunku Raja.

- Tak, wiem! Dokkermen, czy musimy znowu to przerabiać? Obaj wiemy, że jesteś głupi, dlaczego tak się uparłeś, żeby to udowodnić?! Niech jeden z twoich podwładnych wyjaśni ci znaczenie słów "ograniczone pasywa"... Tymczasem zabierz to ode mnie. Pożyczki na budowę kolei będą wielokrotnie większe. - Próbował się do nich przepchnąć minister wojny. - Tak, za chwilę się tym zajmę! - Odwrócił się do Raja - ... i udało ci się przynajmniej wyprowadzić stamtąd twoich ludzi. Przypadkiem Tewfik nie będzie najeżdżał Halvardi przyszłej wiosny. Miałeś co do tego rację, twoje demonstracyjne ataki doskonale spełniły swoje zadanie - rozciągnął usta w uśmiechu. - Jest tylko jeden minus.

- Wasza... panie?

- Agenci ministra barbarzyńców donoszą... - do ministra wojny - Powiedziałem, czekaj! Gdzie... ach tak. Jamal, sam Osadnik, najeździe zamiast tego na nas, całymi Kolonialnymi siłami polowymi. Armia Północy i weterani Tewfika spod Hammamet. - Skinął głową, widząc wyraz twarzy Raja. - Tak, doliną Drangosh, to jedyna odpowiednia trasa... Oczywiście dowodzić będzie Tewfik. - Poklepał Raja po ramieniu. - Nie martw się, masz osiem miesięcy, a ja dam ci wolną rękę.

»Obserwuj.«

\* \* \*

Ach, bardzo chciałem ujrzeć twarz tak męznego przeciwnika - powiedział jednooki mężczyzna. Jego jedyne oko było brązowe, a twarz tak charakterystyczna, że zapominało się o opasce z pieczęcią Salomona. - Zabierzcie go zatem. Zobaczymy, czy umrze równie dzielnie, jak walczył.

Ubrani w szkarłat strażnicy zabrali Raja, znowu podrażniając otarcia od łańcuchów.

## Rozdział dwunasty

- Niech mnie zerzną - powiedział żołnierz na platformie obserwacyjnej wieży heliografu, zdejmując hełm i przecierając twarz rękawem.

- Nigdy, póki są jeszcze na świecie kozy, Saynchez - odrzekł na to stojący niżej kapral. - Oczy otwarte, chcę wiedzieć, kiedy wróci El-Tee.

Ciebie też niech zerzną, Hallersenie M'kintoku, pomyślał szeregowy Billi Saynchez, wkładając na głowę nieskończony ciężar gorącego żelaza i skórzanej osłony karku i przeszedł dwa kroki, które dzieliły go od przeciwległego krańca platformy. Te belki wlażyły ci w dupę i zerznęły w mózg. Była wczesna wiosna, a dni były gorące jak w domu w środku lata... a jeśli były tu kępki nędznej trawy, to już teraz wyschły na wiór, zatopione w skorupach, które pokryły słone bagna.

Co za cholerne miejsce, pomyślał. Na zachód nic tylko pustynia, a im dalej się w nią zapuszczać, tym bardziej wyludniona i płaska. Na wschodzie strome urwiska nad Drangosh, za którymi rosły w wąskiej dolinie zalewowej gęste zagajniki krzewów carob i nogokasów. Za rzeką był wyższy, wschodni brzeg, kraj szmacianych łbów, wrogów, którzy uwielbiali zakradać się tu nocą i wracać do domu z odciętymi jajami jakiegoś chłopca z Descott... Woda wyglądała kusząco przez pierwszy tydzień, potem stała się drwiącym, dokuczającym przypomnieniem chłodu. Tylko wieża i schronienia dla psów, teraz w większości puste, bo 3. Kompania wyruszyła na patrol. Od czasu do czasu rzeczne barki, czasem jakiś parowiec ciągnący w stronę Sandoralu.

- Wstąp do wspaniałego 7. Zwiadowczego z Descott i jedź w podróż po przygody, łupy i dziewczyny - mruknął cicho do siebie, opierając strzelbę o ścianę platformy zbudowaną z drewna i błota.

Jedyną dziewczyną, jaką widział w tym czasie, była córka starego M'ayleza, która lubiła mundury. A on był tak pijany podczas werbunku, że pamiętał tylko, jak obudził się w jej łóżku, a jej ojciec tłukł ich psim batem. Musiał uciekać z gołym tyłkiem pół mili przez śniegi, zanim go zgubił. Pozostali rekruci opowiedzieli tę historię w całym batalionie i ciągle się z niego śmiano. Potem zimowy marsz przez centralne plateau Oxheadów. Sandoral nie byłby taki zły, chłopakowi ze wsi by wystarczył, gdyby nie piętnaście tysięcy innych żołnierzy, którzy próbowali dostać się do tych samych barów i burdeli, w których ceny były tak wyśrubowane, że mógł sobie pozwolić tylko na dziwki tak brzydkie, że nosiły worki na głowie, a do tego miały syfilis.

I ćwiczenia polowe sześć razy w tygodniu. A ci gnoje z Piątego szastają srebrem i opowiadają, jak to każdy z nich miał w zeszłym roku tuzin dziewczyn z haremu. A potem nieźle skopali ich po

dupie, nie?

- Znowu mówisz do siebie, Śnieżynko? - Tym razem nie kapral, lecz jeden z pozostałych sześciu sennych żołnierzy, stojących w cieniu pod platformą. - Odezwij się, powiedz mi, dlaczego nie jesteś ładną kurwą?

Otworzył wiklinowy właz.

- Jak twoja matka? - syknął. Kapral podniósł się z ziemi.

- Następną dupa wołowa, która otworzy ryja, poi psy przez tydzień! - krzyknął. - W takim miejscu wasze ryje mogą nas wykończyć. - Służba na wysuniętym stanowisku równała się uczestniczeniu w większej ilości potyczek, niż by wypadało z rachunku prawdopodobieństwa. - A ty, Saynchez, masz wypatrywać, więc wypatruj!

Piwo, pomyślał Saynchez, opierając się z rezygnacją o parapet. Mógłby być teraz w Moggorsford i żłopać w tawernie piwo. A ta barmanka by tak kołysała biodrami... Mógłby też odsłużyć jeszcze rok jako vacaro u pana Hobbeza, siedzieć na psie w cieniu sosen, z karabinem na kolanach, patrzeć jak bawoły i owce wygryzają sobie drogę przez trawy poruszane wiatrem... Poprawił pas z szablą, na próżno szukając miejsca, w którym nie dotykałby otarć na biodrach. Czuł, jak sztywna od potu kurtka ociera skórę pod pachami i na karku...

Coś cienkiego i twardego znalazło się na jego szyi. Wyrzucił ramiona w tył w stronę człowieka, który musiał tam stać, ale poczuł kolano wbijające się w plecy i cały świat zatonął w czerni.

\* \* \*

Raj otarł sobie twarz chustą w czerwono-czarną kratę. W El Djem znaleźli magazyn, w którym było ich pełno, i stały się one powodem do dumy dla weteranów z Piątego. Spojrzał na żołnierza ze szwadronu, stojącego na baczność po jego prawej, pod tymczasową wieżą heliografu, tego z siniakiem wokół szyi.

- Spocznij - powiedział. Mężczyźni rozluźnili się, poza kapralem, który stał wyprężony z obojętną twarzą, z pewnością maskującą myśli o tym, by jego funkcje życiowe natychmiast ustały (myślał o tym, od kiedy żołnierze z Piątego wsadzili karabiny przez szczeliny wieży i krzyknęli wesoło: "Bang, nie żyjecie dziewczyny!"). - Powiedziałem spocznij, kapralu M'kintok! Nie będzie wpisu do akt, żadnej karnej musztry. A wy, chorąży M'lewis, może byliście odrobinę zbyt brutalni dla Sayncheza? Możecie kasłać, żołnierzu...

- Bardzo przepraszam, messer brygadierze, ale on nie miał nawet karabinu na ramieniu. Bardzo

ciężko założyć drucik na kark, jak ktoś nosi przy nim karabin. - Uśmiech, który błysnął złotymi zębami. - Szmaciane łby nie przestałyby cisnąć wtedy, kiedy ja, ponie. To prawda.

- No dobra, chłopaki, to była tylko lekcja... Jesteście Descotczykami, a nie chłopami, więc powinniście potrafić myśleć. Jak sądzicie, dlaczego was tu wysłałem, postawiłem te wieże i każę wam spędzać dni na pustyni? To znaczy poza moją reputacją brygadiera Mosiężnej Dupy?

Długa chwila ciszy. Przemówił kapral.

- Uważać na szmaciany łby? - wahanie, a potem - ... i żebyśmy nie ciupciali za dużo w mieście, ponie?

- Masz rację co do obu rzeczy, żołnierzu. Nie jesteśmy tu dla widoków. Ani dla piwa. - Żołnierze szwadronu roześmiali się z ulgą. Jakość miejscowego piwa była pretekstem żartów każdego żołnierza na północ od Oxheadów. - Jesteśmy tu, bo zbliża się cholernie wielka armia brudasów, będzie tu bardzo niedługo. W domu pracujecie w kamieniołomie, kapralu?

- Tak, ponie.

Miał takie bary, że nie było trudno zgadnąć.

- Widziałeś kiedyś człowieka, który zginął bo nie patrzył gdzie idzie?

- Zdarzało się, ponie. Lina zawsze pęknie jak człowiek odwróci głowę.

- Tak samo jest tutaj, chłopaki. Pot oszczędza krew. Nawyki ratują życie albo zabijają, więc kiedy zacznie wam się nudzić, przypomnijcie sobie dzisiejszy dzień. - Z jego twarzy zniknął uśmiech, a żołnierze wyprostowali się. - Jeśli będziemy musieli wysiadać - popularny eufemizm na umieranie - by wypełnić misję, którą wyznaczył nam gubernator, zrobimy to. Ale nie pozwolę, żeby któremuś z was odstrzelili dupę bez potrzeby, nawet gdybyście mieli zaharować się na śmierć!

Raj dotknął stopą nogi Horace'a, a pies położył się. Wsiadł na siodło i włożył nogi w strzemiona dokładnie w chwili, gdy pies się podnosił.

- Rozejść się do zajęć - powiedział i żołnierze z Piątego zaczęli wsiadać na psy. - Aha, w przyszłym tygodniu wasza kompania zostanie zluzowana. Pojawi się tu wydzielona Kompania Dragonów z Novy Haifa i trzeba im będzie pokazać okolicę.

\* \* \*

Jorg Menyez kichnął.

- Przepraszam - powiedział Raj i przejechał tak, by stanąć wraz z psem pod wiatr do oficera z

hrabstwa Kelden. Menyez siedział na długonogim, wierzchowym byku, którego używał któryś z nomadów z terenów na północ od Morza Piersona. W nosie zwierzęcia umieszczono żelazne kółko, a opadające rogi okuto żelaznymi końcówkami. Byk wpatrywał się w psa.

- Muuuuuu! - ryknął ostrzegawczo.

- Werf! - głowa Horace'a powędrowała w kierunku kostek byka, ale Raj w porę uwolnił ze strzemięcia jedną nogę i stuknął psa w bok szczęki.

- Wcale nieźle - powiedział Raj, kiedy skończyli już obchód fortyfikacji, nad którymi pracowali przez cały ranek ludzie Menyeza.

Dwa bataliony okopywały się, a dwa maszerowały pociętą wąwozami równiną na zachód, pozorując atak. Okopy wykopano wzdłuż podnóża niskiego wzgórza, a przed nimi ustawiono worki wypełnione piaskiem. Dobry pomysł, pomyślał Raj, cholernie dobry pomysł. Menyez pomyślał o tym jesienią, kiedy błoto nie pozwalało ludziom kopać. Wykupił cały zapas materiału w Sandoralu i zlecił szycie worków ciurom obozowym i wieśniaczkom w promieniu pięćdziesięciu kilometrów. Można było użyć ich ponownie, bo koniec zawiązywano po prostu sznurkiem, a piechota mogła je nosić całymi setkami, kiedy tylko zostały opróżnione. Nieco wyżej na zboczu wykopano półkoliste, głębokie do piersi stanowiska dla dział, z których można było strzelać, a przeładowywać, kiedy działo ukryte było przed przeciwnikiem.

- Dobrze, chodźmy dalej - powiedział Raj. Jechali przez pole ostrzału, obok rzędów słomianych postaci na kijach, powiązanych tak, by z grubsza przypominały ludzi, i z patykami zamiast karabinów. Na brzuchu każdego wisiał dzbanek pełen wody. Kiedy dwaj oficerowie przejeżdżali przez mostek łączący brzegi okopu, jakiś żołnierz krzyknął - Salut dla króla szabel!

- Cisza w szeregach! - krzyknął jakiś oficer lub podoficer. Menyez zasalutował.

Mężczyźni weszli na niską platformą obserwacyjną, ustawioną za okopami. Raj i Menyez zajęli na niej miejsce obok osobistej straży dowódcy piechoty i jego sztandaru oraz szwadronu z Piątego skupionych wokół flagi Raja.

- Zaczynajmy! - krzyknął Menyez.

Zagrały trąbki i bębny, a rozkazy zostały przekazane wzdłuż okopów. Żołnierze weszli na platformy strzeleckie. Głowy mieli ciągle pod linią worków z piaskiem, ale mogli wystawić strzelby przez umieszczone tam w regularnych odstępach szczeliny. Raj obejrzał się przez ramię, zobaczył lufy siedemdziesiątek piątek.

POUMP. POUMP. POUMP. Pociski przeleciały mu nad głową, a ich dziesięciokilogramowe

ładunki wybuchowe wyrzuciły w powietrze charakterystyczne chmury o kształcie drzew jakieś trzy tysiące metrów dalej. POUMP. POUMP. POUMP. Dysponując przygotowanymi wcześniej pozycjami, można było wybudować właśnie takie pochyłe stanowiska dla dział. Siła wystrzału odrzucała je w tył, w górę zbocza, grawitacja zatrzymywała po chwili i staczała w dół, gotowe do przeładowania i przepchnięcia jeszcze jeden czy dwa metry do przodu. Oszczędzało to mnóstwo czasu. POUMP. POUMP. POUMP. Rozkazy i falowanie luf karabinów, kiedy żołnierze ustawiali celowniki na maksymalną odległość.

- Przygotować się do salwy - powiedział Menyez. Rozkaz powtórzono jak echo, przekazywali go sierżanci plutonów. POUMP. POUMP. POUMP. Ta seria trafiła najdalej ustawiony rząd postaci ze słomy. Kawałki drewnianych patyków poleciały w powietrze.

- Ognia!

Ogłuszający huk salwy przebiegł wzdłuż linii, a rzędy celów zaczęły znikać. Kije grube jak udo upadały przecięte, a rozbite dzbanki z wodą wyrzucały w powietrze fontanny przezroczystego płynu, który migotał w słońcu.

- Mierzyć nisko, mierzyć nisko! - rozległy się krzyki wzdłuż linii strzelców, bo niektóre strzały wyrzuciły w powietrze fontanny kurzu daleko poza celem. Nie było ich zbyt wiele, w każdym razie o wiele mniej niż sześć miesięcy temu. Raj słuchał uważnie. Salwy następowały po sobie szybko i regularnie, nie było między nimi wiele mówiącej chwili zawahania. Z luf unosił się gęsty, szary dym. Oficerowie z lornetkami stali za każdym odcinkiem okopu, gotowi w każdej chwili ocenić rezultaty ostrzału. Werbliści, pomocnicy i noszowi biegali z chochlami i wiadrami wody, nie dla ludzi, lecz by polewać lufy i tylce. Woda syczała w zetknięciu z gorącym metalem. Takie postępowanie wymagało później więcej czynności konserwacyjnych, ale zmniejszało szansę na zablokowanie zamka i na samoczynny zapłon, kiedy pociski eksplodowały w zetknięciu z gorącym wnętrzem lufy prosto w twarz strzelca.

- Przerwać ogień! - Przeciął sygnal trąbki. - Bataliony przejdą przed dowódcami, od lewej!

- Wyglądają dobrze - powiedział Raj do Menyeza. - Nie męczą się tak szybko, zaczynają trafiać w to, do czego strzelają, i zachowywać się, jakby uwierzyli, że też są żołnierzami.

- Pomaga im wiedza, że przełożeni nie chcą ich wykiwać za ich plecami - odrzekł Menyez, a w jego głosie zimna złość mieszała się z satysfakcją. Połowa dowódców batalionu piechoty została przeniesiona lub zwolniona ze służby, od kiedy batalion przybył tu i przyłączył się do armii Górnego Drangosh, w tym trzecia część starszych poruczników kompanii. Za wszystko, od wieku, przez brak umiejętności i uporczywą nieobecność (kilku z nich nie widziało swoich oddziałów od wielu lat), aż



do sprzedaży zapasów amunicji. - Powtarzasz ludziom, że są głównem - mówił dalej brązowowłosy mężczyzna - że nie nadają się do niczego poza jedzeniem błota spod łap każdego jadącego na psie, a oni w końcu zaczynają w to wierzyć i zaczynają się tak zachowywać. - Jego blade oczy patrzyły, jak tysiąc żołnierzy z dwóch batalionów zbiera się w szeregi po czterech. - Nie są jeszcze tacy, jakimi chciałbym ich widzieć, poza Ausarianami. I moją piechotą z hrabstwa Kelden.

- Tewfik będzie nas przewyższał liczbą, i jeśli będzie to możliwe, postaram się, żeby do nas przyszedł - odrzekł Raj. Lepiej, żeby tak było. Jeśli nie uda mi się skłonić przeciwnika do podjęcia ofensywy taktycznej, niech mnie lepiej obrzezają. - Myślę, że wytrzymają, w każdym razie w okopach.

Wzdłuż szeregów zadudniła wojskowa muzyka, gdy na werblach i piszczałkach zagrały stojące przy każdym sztandarze batalionu orkiestry. Grajkowie mieli przewieszane przez ramię karabiny, a Raj zatroszczył się o to, by każdy pododdział miał własną orkiestrę. Oficerowie kupili instrumenty z własnej kieszeni. Raj zasugerował to przez Menyeza i wsparł nakazem urzędowym podpisanym przez Barholma. Niektóre pododdziały piechoty nie miały nawet sztandarów. Skłonił ludzi, by sami się na nie złożyli, a potem arcysysup południowo-wschodniej diecezji pobłogosławił je podczas najbardziej wyszukanej ceremonii, jaką potrafił wraz z Rajem wymyślić. Takie rzeczy były niemal równie ważne jak odpowiedni żołd, mocne buty i pilnowanie, żeby wlokący się za armią handlarze oszukiwali w granicach zdrowego rozsądku...

- Do przemarszu!

Huk maszerujących stóp i cały szereg poruszył się jak olbrzymia stonoga o niebieskim ciele i czerwonych nogach. Promienie słońca odbijały się od drzewców sztandarów, bagnetów i wypolerowanych guzików.

- Na prawo... patrz! - Obaj z Menyezem zasalutowali. Za ich plecami sztandar Piątego pochylił się w odpowiedzi na falowanie mijających ich sztandarów piechoty. Ramiona żołnierzy podrywały się na chwilę, a karabiny pozostawały nieporuszone na ramionach. Oficerowie i podoficerowie podnosili w salucie szable. Bardzo przydatne umiejętności...

- Wieśniaki - mruknął jeden z kawalerzystów.

... nie tylko dlatego, że przypominały ludziom, że są kimś więcej niż chłopami, którzy mieli pecha i wpadli w oko werbownikom, a nie mieli pieniędzy, żeby się wykupić łapówką. Jego Descotczycy i pozostałe jednostki kawaleryjskie były tutaj, bo chciały tu być albo chciały tego ich rodziny... a w najgorszym przypadku dlatego, że ścigał ich jakiś ojciec z przymusowym małżeństwem w oczach i pistoletami w dłoniach. Nie potrzeba było tyle wysiłku, by myśleli o sobie jako o żołnierzach, a nie

ofiarach.

Oczywiście można było dyskutować, który z tych punktów widzenia jest słuszniejszy.

Kolumna doszła już do końca linii okopów, zawróciła i pomaszerowała z powrotem. Tym razem, kiedy jej środek znalazł się naprzeciw podwyższenia, zaczęto wydawać rozkazy.

- Stój! W prawo... zwrot! - Zatrzymali się i odwrócili, stali teraz twarzami do Raja i Menyeza. - Do nogi... broń! - Kolby karabinów uderzyły w ziemię i znalazły się w mocnym uścisku między ramieniem a bokiem. Czubki bagnetów sięgały im do ramion. – Spocznij! - Żołnierze odsunęli prawe stopy od lewych na szerokość barków i ustawili karabiny przed sobą, trzymając lufy złączonymi dłońmi. Taką pozycję łatwo było utrzymać, szczególnie że w takim słońcu wielu ludzi z pewnością by mdlało, gdyby musieli stać cały czas na baczność. Wielu ze stojących przed nim żołnierzy pochodziło z północno-zachodnich prowincji, na przykład bladokóry oficer przed nim.

Mistrz sierżant Menyeza, mający płuca jak miechy, zawołał - Wszystkie jednostki, uwaga na rozkazy! Czekać na przemowę dostojnego messera brygadiera Raja Whitehalla, dowódcy armii Górnego Drangosh!

Raj pochylił się naprzód, opierając dłonie na łęku siodła.

- No dobrze, towarzysze broni - powiedział, podnosząc głos. Wokół panowała zupełna cisza, poza łopotem sztandarów na wietrze i odległym sykiem stada dactosauroidów, lecącego nad rzekę. - Dzisiaj pokazaliście, że potraficie maszerować, okopywać się i strzelać. To dobre przygotowanie do waszej prawdziwej pracy, którą jest zabijanie nieprzyjaciół. - Niemal niewyczuwalny, pełen niepokoju szelest. - Tych nieprzyjaciół będzie dużo więcej - Sandoral handlował przez rzekę z Kolonią, a dochodzące stamtąd plotki wyolbrzymiały armię idącą z Al-Kebir ponad wszelkie realne szacunki. - Zanim oni zabiją was. - Nie było nic złego w delikatnym przypomnieniu im, że w przypadku porażki kawaleria miała jakąś szansę ucieczki, piechota takich szans nie miała. - Pamiętajcie o jednym: ludzie nie są bardziej kuloodporni niż te strachy na wróble, które rozpieprzyliście na strzepy. Traficie człowieka, a on przewraca się i umiera. Messer czy rolnik, szmaciany łeb czy wierzący, kuli nie robi to różnicy. A jeśli to pies - Raj poklepał Horace'a po karku - to macie przed sobą po prostu większy cel. Niech Duch Człowieka Gwiazd prowadzi wasze ręce dla odbudowy Świętej Federacji!

- Koniec pliku - mruknęli chórem żołnierze.

- Kontynuujcie!

Menyez skinął głową.

- Kontynuujcie, Top - powiedział do starszego podoficera.

- Uwaga na rozkazy! 17. Piechoty z hrabstwa Kelden 5. Kompania 2. Pluton uznany zostaje za najlepszy pododdział dzisiejszych ćwiczeń i otrzyma 24-godzinną przepustkę do Sandoralu od jutra od godziny 12:00! 21. Strzelecki z hrabstwa Olgez 1. Kompania 1. Pluton spisywał się dzisiaj najgorzej i będzie wykonywał przez następny tydzień podwójną ilość zajęć obozowych. Rozejść się!

- Ach, Raj - Menyez odkaszlnął. Zabrzmiało to, jakby był zawstydzony. - Twoja pani była tak miła i zaprosiła Aylice i mnie na przedstawienie. Czy pojedziemy jednym powozem?

Semul Falhasker wystawiał wznowienie "Zapowiedzi Upadku" Minalora, klasycznej pantomimy. Nie oszczędzano na wydatkach. Pełna orkiestra i aktorzy ze Wschodniej Rezydencji, sztuczne ognie i iluminacja nad Drangosh. Wystarczyło dla najbogatszych kupców z Sandoralu.

- Nie, dziękuję - powiedział Raj, odwracając głowę. - Będę... zajęty. Wpadnę na bankiet i posłuchać recenzji. - Na oświetlonych pochodniami barkach, zacumowanych na rzece. Tę uroczystość organizował Wenner Reed. Kapitan Wenner Reed, jeśli łaska. Zaprzysięgły rywal Falhaskera, drugi najbogatszy kupiec w mieście i dowódca miejscowej milicji. Było więc wojskową uprzejmością przyjąć zaproszenie... - Ale ty sam baw się dobrze.

Wyprostował się.

- Nie ma odpoczynku dla zmęczonych. Muszę wpaść do Skinnerów, zanim zapomną po co tu są, i postanowią spalić miasto.

Menyez skinął głową, a w jego oczach na moment mignęło współczucie.

- Nie zazdroszczę ci Skinnerów - mówił dalej, zmieniając temat ze wzruszeniem ramion. Nikt nie lubił barbarzyńskich najemników z północnego wschodu. W porównaniu z nimi zachodnie plemiona Rządów Wojskowych, Brygada i Eskadra, a nawet Lojalni, byli przykładami wysublimowanej cywilizacji.

- Cóż - powiedział Raj. - Mają jedną pozytywną cechę.

- Dobrze strzelają?

- Nie - odpowiedział. - To, że są tu jedynymi ludźmi, może poza Tewfikiem, którzy naprawdę czekają na starcie.

\* \* \*

- Ponie - powiedzieli M'lewis i da Cruz prawie w tym samym momencie. Spojrzeli na siebie i

pierwszy przemówił mistrz sierżant. Do jego obowiązków należało informować dowódcę o domniemanych zagrożeniach.

- Skinner, jakieś tysiąc przed nami siedzi w rowie - powiedział. - Nie lezie w oczy, ale za to mierzy do nas z flint.

Raj spojrział we wskazanym kierunku, kręcąc głową, jakby się przeciągał. Czy to było odbicie słońca na metalu? Trudno powiedzieć, a szli pod wiatr, więc psy ich nie ostrzegą. - Po prawej i za nami, na drzewie, ponie - powiedział M'lewis. Da Cruz był tak zaskoczony, że odwrócił głowę i zaklął.

- Patrzeć przed siebie - powiedział Raj. Lepiej było jechać naprzód i pozwolić barbarzyńcom myśleć, że strażę zostały zauważone, lecz zignorowane.

Z pewnością obserwowało ich więcej Skinnerów, mierzących ze swych dwumetrowych rusznic na sauroidy. Nie żeby ktoś wyznaczył ich do tej funkcji, lecz dlatego, że akurat ci wojownicy mieli na to ochotę. W obozie przed nimi połowa była Skinnerami. Obrazą dla opiekuńczych awatarów armii byłoby nazwać ich batalionem wojska... choć i tak byli lepiej zorganizowani niż druga połowa bandy. Raj trzymał obie grupy odpowiednio na północ i południe od miasta. Pochodzili z różnych plemion i mieli zwyczaj strzelać do siebie zawsze, kiedy znaleźli się w zasięgu wzroku. Wodzowie zapewnili Raja, że to się skończy, kiedy tylko prawdziwy wróg znajdzie się w zasięgu wzroku.

Skinnerom przydzielono ewakuowaną wioskę na skraju pól. Do tej pory była już prawie zupełnie zniszczona, chaty spłonęły, sady wycięto na opał, a do drzew strzelano jak do tarczy. Niektóre zniszczono w akcie bezmyślnego wandalizmu. Niektórzy rozpięli wykonane ze skóry sauroida dachy chroniące ich od słońca; tam, skąd pochodzili, na północnych równinach, byli w większości myśliwymi. Wielu z nich jednak spało tam, gdzie podpowiedział im impuls. Panował tu taki smród, że żołnierze zaczęli oddychać przez szeroko otwarte usta. Raj też miał na to ochotę, lecz powstrzymała go jego godność.

W obozie, w kleistych kałużach, leżały obsiadane przez muchy gnijące trupy owiec, niektóre z wijącymi się w środku robakami. Muchy zbierały się na ustach i oczach mężczyzn śpiących na swoich siodłach. Ziemię pokrywały wszędzie psie i ludzkie odchody. Na ich oczach jeden ze Skinnerów rozpiął sobie spodnie i przykucnął. Inny wytoczył się z pozbawionej dachu chaty z dzbankiem w dłoni, zachwiał się, zatoczył, zwymiotował, i legł z twarzą we własnych rzygach, mamrocząc coś i mrużąc. Psy każdego możliwego koloru podnosiły na ich widok głowy o wielkich uszach, drapały się tam, gdzie pogryzły je pchły, albo po prostu spały.

Raj podejrzewał, że jego własna popularność wśród Skinnerów wynika z tego, że dosiadał

Horace'a. Niewielu ludzi miało ogary, których podstawową cechą było to, że robiły tylko to, na co miały ochotę, nie bacząc na konsekwencje... co, jeśli się nad tym zastanowić, opisywało również Skinnerów.

- Duchu, to miejsce wygląda jak zaproszenie do ataku - powiedział jeden z jadących z Rajem żołnierzy.

- Oni też tak uważają - odrzekł da Cruz z ponurym zdumieniem. Był już tu wcześniej z Rajem.

Zbliżyli się do stosunkowo mało uszkodzonej chaty. W każdym razie nie spalono jej, a na dachu pozostało jeszcze trochę dachówek. Było tam również około pięćdziesięciu głów, po spiczastych hełmach można było rozpoznać Kolonistów. Ustawiono je na okapie wokół dachu domu lub powieszono na gałęziach martwego drzewa pomarańczowego. Niektóre spadły, więc odkopnięto je na boki. Żołnierz popatrzył na nie przez chwilę, po czym skierował wzrok przed siebie i z trudem przełknął ślinę.

Przy drzwiach leżał na grzbiecie pies. Donośnie chrapał i od czasu do czasu poruszał łapą, jakby polował we śnie. Na progu klęczał wódz Skinnerów, a przed nim wypinała się kobieta z sukienką zadartą na głowę. Skinner puścił jedną ręką jej biodra i pomachał Rajowi, wchodzącemu do środka ze swymi ludźmi, ani na chwilę nie zmieniając rytmu w jakim się poruszał. Długie magazynki przytwierdzone do przewieszzonego przez ramię pasa pobrzękiwały przy każdym pchnięciu. Miał na sobie również legginsy z frędzlami i mokasyny z paciorkami, charakterystyczne dla jego ludu. Przepaskę biodrową tymczasem odrzucił. Do kamizelki miał przyszyte dwucalowe kły sauroida, które spinały również skalp, który teraz spadł mu z ciemienia na podłogę. Reszta jego głowy była łyśa jak kolano i miała ten sam brązowy odcień, co reszta ciała.

- Ach, mój 'jaciel, amitul - krzyknął straszliwą mieszanką sponglijskiego i kanjuk. Kobieta zaskrzeczała, kiedy skończył z głębokim sapnięciem i wyszedł z niej. - Ty szońiesz, który mai cumme nus, zły jak my! Chce cushez cetfil, co? bardzo dobra. - W każdym razie postawna, tak właśnie oceniano się powab kobiety wśród nomadów północy.

- Nie w tej chwili, dziękuję - odpowiedział grzecznie Raj.

- Eh, dobrze, ty ze mną napijesz - klepnął kobietę w odkrytą pupę i wstał, energicznie drapiąc się w krocze. - Idź po coś do picia, babo.

Wstała i zniknęła w głębi chaty, by po chwili powrócić z glinianym dzbankiem. Skinner napił się z niego hałaśliwie, a płyn spływał mu po piersiach, po czym podał naczynie Rajowi. Zaciskając zęby i świadom wpatrzonych w siebie oczu, wziął z naczynia potężny łyk, po czym wypuł wszystko na podłogę.

- Psie szczyny - powiedział grzecznie i napił się ponownie. Dzięki Duchowi, że zapobiegawczo napchał żołądek chlebem nasączonym oliwą. Alkohol był w zasadzie arakiem, rodzajem ginu destylowanego z daktyli. Dodawano do niego wszystko, co sprzedawali kupcy na stepach: pieprz, chilli, gałązki cynamonu i terpentynę.

- Chce jeść? - zapytał wódz, wyciągając z torby kawałek suszonego mięsa.

- Nie - odrzekł Raj. Wśród Skinnerów nie było etykiety, potrafili obżerać się, a potem całymi dniami nic nie jeść, pozostawali obojętni na głód, tak samo jak na jakiegokolwiek inne fizyczne niewygody.

- No - powiedział barbarzyńca, załatwiwszy formalności. - Czego chcesz, szołnieszu? Mezgars, moi ludzie, oni nie zabijają już rolników?

Nie, od kiedy zaczęliśmy dowozić wam alkohol wozami, pomyślał Raj. Było to jednak tylko połowiczne rozwiązanie - chciał ich mieć tu żywych, kiedy Tewfik znajdzie się na miejscu. Jeśli o to chodzi, to Raj wolałby, żeby minister do spraw barbarzyńców okazał się mniej wydajny w przesunięciu Skinnerów przez ziemie Rządu Cywilnego i na pogranicze. Byłoby wygodniej, gdyby przybyli nieco później. Większość żołnierzy skorzystałaby podczas treningów, ale jeśli trzymało się Skinnerów w jednym miejscu, jedyne, co potrafili robić, to gnić. Z drugiej strony nie było wiadomo, kiedy dokładnie Koloniści wykonają swój ruch, skoro zaczęła się już odpowiednia pora roku.

- Dzisiaj w nocy mają być fajerwerki - powiedział. Wódz zmarszczył brwi, podrapał się jeszcze raz, zawiązując przepaskę biodrową. Raj wyjaśnił - Wielkie święto: mięso, napoje, muzyka, kobiety. - Burdele w dokach Sandoralu zgodziły się wspomagać ochotników, same najpierw szczerze opłacone ze skarbca armii. Skinnerom rzadko zdarzało się krzywdzić kobiety, które współpracowały. Uważali to za czyn poniżej godności wojownika. - Światła, światła na niebie.

W oczach barbarzyńcy zapaliło się światełko zrozumienia.

- Aha, taniec szamanów! - przeżegnał się ochoczo. - Zabijać bydło dla Jezuchrysta nawhetigo. Fais thibodo! Robimy wspaniałą lek w nocy przed walką, bierzemy dużo głów, dobra bitwa!

Wbiegł do chaty i wrócił z rusznicą i podpórką do niej. Broń była wyższa od niego, wspaniale zadbana i lśniąca czystością. Otworzył zamek z cichym "snik" naoliwionego metalu i wsunął do środka pocisk wyjęty zza pasa. Oparł lufę na podpórcę i strzelił przed siebie, nie celując. Brązowy kocioł podskoczył, a brzęk metalu rozszedł się po całym obozie. Kilka sekund później zebrała się wokół nich ponad setka wojowników, wszyscy z długimi strzelbami w rękach, wielu siedziało w siodle.

- Uczta! - krzyknął wódz, potrząsając bronią w powietrzu. - Nusfais 'z thibodo, potem do walki!

No dobrze, jak mam im teraz powiedzieć, że muszą wsiąść na barkę? zastanawiał się Raj. Ach, powiem im, że to część naszej bitewnej magii. - Niech mnie szlag, gdybym poradził sobie z tym wszystkim, gdybyś nie zajmował się robotą papierkową, Gerrin - powiedział Raj, kładąc na stole spis potrzebnego wyposażenia. Trzydzieści przeklętych przez demony batalionów! pomyślał. Wszystkie w pełnym stanie, czyli piętnaście tysięcy ludzi, od werblistów do oficerów mających dwa razy dłuższe doświadczenie niż on, każdy przekonany, że poradziłby sobie lepiej na jego miejscu. Może mają rację. Była już prawie pora, żeby kierować się w stronę rzeki na uroczystość, ale... bardziej mi się podoba tutaj, w kwaterze Gerrina.

- No co, może kiedykolwiek nadawałem się do czegoś oprócz tego? - spytał mężczyzna. - Będę gotowy, zanim przybędzie tu Tewfik, choćbym miał umrzeć.

Za oknem przetoczył się grom. Nie z nieba, bo przecież teraz zimowe deszcze ustąpiły już jasnemu niebu wczesnej wiosny - to odgłosy strzałów ze strzelnic za Sandoralem. Nadal miło było rozpaść w piecu wieczorem ogień, choć w południe można już było dowiedzieć się, jak będzie wyglądała w dolinie Drangosh pełnia lata. Na razie pustyne powietrze szybko traciło ciepło, kiedy zaszło słońce. Zapach dymu węglowego mieszał się przyjemnie z aromatem kawy i parujących, wilgotnych butów, dla których tłem był słodki zapach olejku do masażu i tytoniu. Z kotłów nadal można było poczuć zapach gulaszu.

- Zabijesz się, nie będzie dobra walka - powiedziała ostro Fatima, silnie akcentowanym, lecz zrozumiałym sponglijskim, nacierając blizny na boku Gerrina pachnącym olejkiem. - Leż spokojnie! - I znowu wróciła do kuchni.

- Bezczelna pokojówka - powiedział Barton ze stojącego w rogu pokoju krzesła, nie podnosząc nawet wzroku znad notatek.

- Twoja wina, ty mnie rozpieścił - zawołała, wracając z misą pełną gorących ręczników. Położyła je na żebrach Gerrina.

- I to ty nauczyłeś mnie czytać, zawsze psuć kobiety - ciągnęła drwiącym tonem. Pod skórą Gerrina odbudowały się już nieco mięśnie, ale kości ciągle były bardziej widoczne niż dziewięć miesięcy wcześniej, gdy 5. z Descott maszerował na El Djem. Gdzieś na górze zaczęło płakać dziecko. - Pan wzywa - powiedziała, rozpinając po drodze bluzkę.

- Adoptujesz je? - zapytał Raj.

Gerrin skinął głową i wyciągnął rękę, by wziąć ze stołu jakiś dokument. - Jellica i ja nie

będziemy już mieć dzieci, nie po sześciu latach regularnych prób - powiedział uprzejmie. - Nie ma znaczenia, kto jest jego ojcem. - Popatrzył czule na Foleya, który zmarszczył tylko nos. - A ja sam wolałbym, prawdę mówiąc, przestać już próbować. Robiłem to tylko dlatego, że nie mogłem ścierpieć myśli, że moi szwagrowie przejmą posiadłość. Mam kochane siostry, lecz zupełnie pozbawione gustu do mężczyzn - Foley rzucił na wpeł zjedzoną figą, nawet nie patrząc, i trafił starszego mężczyznę w czoło. - Jak ma się piechota?

- Lepiej niż się spodziewałem - powiedział Raj. - Teraz ćwiczy Brygada Keldena. Jorg ma do tego prawdziwy dar - przyłączenie Menyeza do armii było naprawdę szczęśliwym posunięciem.

- Bardzo miły facet, jeśli tylko nie wspomina się przy nim o psach - mówił dalej Foley. Nagle otworzyły się drzwi. - A skoro mowa o psach - powiedział. - Jak się nazywa ludzi, którzy zostawiają ślady od błota?

- To żołnierze - powiedział Kaltin Gruder, lecz zatrzymał się, by skorzystać ze skrobaczki do butów. - Ziemia zaczyna się porządnie wiązać. Co to? - zapytał, spoglądając ponad ramieniem Gerrina na dokumenty, które ten trzymał w dłoni. - Fajne pieczęcie. - Odwrócił się i krzyknął w kierunku schodów - Czy można tutaj dostać coś do picia?!

Fatima zeszła do połowy długości schodów i usiadła na stopniu, kołysząc przy piersi dziecko.

- Ten człowiek pierwszy dostaje pić, messer Gruder - powiedziała. - Grzane wino.

- To tylko kolejne pismo od naszego szanownego kanclerza, w którym skamle o pieniądze wydawane na piechotę - powiedział Gerrin i fachowo rzucił pismo w ogień. Ciężki, lniący papier zwinął się i zbrązowił na węglach, zanim wybuchnął wysokim płomieniem.

- A czego się spodziewałeś? - zapytał Gruder, biorąc sobie z półki kubek i napełniając go grzanym winem z dzbana. - Armie polowe zawsze pobierają żołd w gotówce. Nie ma dość państwowej ziemi w promieniu stu kilometrów od Sandoralu, żeby przyznać farmy dziesięciu tysiącom ludzi. - Zaledwie trzecia część piechoty w niedawno utworzonej armii Górnego Drangosh stanowiła część miejscowego garnizonu. - A przecież pobiera się rentę z ziemi ludzi, którzy teraz stacjonują tutaj.

Raj roześmiał się głośno. Szczypcami wyjął z paleniska węgielek i podpalił nim papierosa. Czerwony blask podkreślił nowe bruzdy na jego twarzy.

- Wolałby, żeby siedzieli w swoich kwaterach całą zimę, martwiąc się bardziej o jęczmień niż służbę, a potem przyszli tutaj forsownym marszem tuż przed rozpoczęciem sezonu wojennego i byli dobrymi żołnierzami, nieszczęśliwi, umęczeni, i bez dyscypliny. Tak by było taniej.



- O Duchu, czy ten człowiek chce, żeby Tewfik stanął u jego drzwi? - zapytał Kaltin, biorąc sobie krzesło i rozsiadając się na nim z westchnieniem, kładąc ręce wygodnie na oparciu.

- Nie, on jest po prostu urzędasem ze Wschodniej Rezydencji, który nigdy nie był dalej niż dwa dni drogi od miasta - odrzekł Raj, opierając się ramieniem o stół. - Ale nie można go nie doceniać. Nie jest głupi ani leniwy... zauważyliście, jak stawał się przez całą zimę coraz mniej uprzejmy? Starał się wrócić do łask na dworze, jak sądzę.

- Chciałbym mieć go tutaj na granicy... Duchu Człowieka, co ja mówię, trzymajcie Tzetzasa jak najdalej ode mnie, o święte awatary! - Siorbnął ze swojego kubka. Blizny od szrapnela, który zabił jego brata, już były w większości zaleczone i teraz były widoczne tylko jako wąskie, białe linie na policzku i szczęce, wyginając też dolną wargę w niewielkie V. - Ahhh, ale to dobre, Fatima. Co do tego dodajesz?

- Cukier, trochę cynamonu, połówkę limony i szczyptę, jak wy to mówicie, nougar. Chcesz, żebym pokazała twoim dziewczynom? - Pozostałe blizny również zaczęły się goić, ale można było zauważyć, że Kaltin unika wysoko urodzonych kobiet, które kiedyś dostarczały mu jego głównej rozrywki.

Arabka przystawiła dziecko do drugiej piersi. Raj wpatrywał się w kominek, a Kaltin przybrał tęskny wyraz twarzy.

- Powiedz mi coś, Fatima - powiedział. - Skąd wiedziałaś, że jesteś w ciąży, kiedy Tewfik wykopał nas z El Djem? - Pokazała się na wpół martwa, kiedy już zbliżali się do granicy, wraz z kolejną falą uciekinierów, która dogoniła ich podczas tej koszmarnej ucieczki.

- Nie wiedzieć wtedy - powiedziała, głaszcząc ssącego chłopczyka po główce.

Kaltin zamrugał, patrząc na nią.

- To dlaczego za nami poszłaś? - zapytał, zupełnie zbity z tropu.

- Och, wiele powodów - powiedziała. - Ja piąta córka konkubiny bez synów, matka umarła przy moim urodzeniu. Ja sługa, mało warta jako niewolnik. Zawsze pyskuję i mnie bili. Bez posagu, więc muszę poślubić biedny mężczyzna albo być małą, małą... - popatrzyła w stronę Foleya.

- Mało znacząca - podpowiedział.

- Mało znacząca konkubina, jak matka. - Przez chwilę w jej oczach płonął dawny gniew na zniewagi i okrucieństwa wyrządzane w haremie. - Potem El Djem upadło, ja nie miałam dom i nie byłam dziewica. Żaden muzułmanin mnie nie chce. Musiałabym zostać dziwką na ulicy, gdybym została w Kolonii. Lepiej tutaj, wiem, że ci dwaj dobrzy panowie nie są okrutni ludzie; ryzykuję

życiem, ale to lepiej niż żyć tak ciężko - uśmiechnęła się. - I umiem pisać. Ja wolna kobieta, a mój syn będzie spadkobiercą shayik. Lepiej tu być kobietą, nie siedzę w domu cały czas, ja... - przeszła na arabski.

- Szaleję z nudów - przetłumaczył Gerrin.

- Tak. Poza tym - powiedziała, uśmiechając się jeszcze szerzej - ja konkubina dla tych dwóch, jak wy mówicie, lekka praca.

Foley zamierzył się drugą figą.

- Dziecko! - powiedziała ostro Fatima.

- Nie w porządku - powiedział Foley, kiedy Kaltin i Raj wybuchli śmiechem. - Poza tym, nie zauważyłem, żebyś narzekała, póki Gerrin nie wyzdrowiał.

- W porządku jest dla mężczyzn - pociągnęła nosem i rzuciła okiem na Kaltina, którego trzy konkubiny były jej przyjaciółkami. Wszystkie kwatery oficerów znajdowały się na zewnętrznych ulicach w pobliżu murów miejskich. - Mężczyźni wszyscy jak dzieci, więcej tutaj... - pokazała palcem oczy - ... niż tutaj - poklepała się po brzuchu. - Każdy chce dwie, trzy, więcej kobiet, chodzi jak kogut i wtedy, nie wiedzieć czemu... - następny wybuch gardłowych dźwięków.

Gerrin roześmiał się głośno.

- Kobiety zawsze kupują ogórki, ale żaden ogórek nie trafia do sałatki - przetłumaczył.

Raj rzucił niedopałek papierosa do paleniska i wstał, biorąc ze stołu pas z szablą. - Nie ma odpoczynku dla niegodziwców - powiedział. - Przepraszam, że odciągam cię od ciepła domowego ogniska, Barton.

- Aluzja, aluzja - odrzekł młodzieniec, również wstając. Większość młodzieńczych fałdek zniknęła z jego twarzy, a twarde i płaskie policzki zaczynały pasować do jego oczu. Obaj mężczyźni przerzucili przez ramię wojskowe płaszcze. Foley zatrzymał się, by pogłodzić przyjaciela po włosach. - Bądź ostrożny - powiedział. - Spędziłeś w siodle więcej czasu niż ci było wolno. Mamy mało czasu, a ty prawie umarłeś, pamiętasz?

Raj popatrzył spod zmrużonych powiek, jak Foley zatrzymuje się, by pocałować niemowlę.

\* \* \*

- Biedny sukinsyn - mruknął Kaltin, stawiając sobie krzesło obok Gerrina i podając mu kubek grzanego wina. Fatima zabrała dziecko na górę, by je przewinąć, a po chwili usłyszeli słowa

arabskiej kołysanki.

- Nasz szacowny dowódca? - zapytał Gerrin, unosząc brwi i przystawiając kubek do ust. - Duchu, może i kobiety nie są niezbędne, ale czynią życie o wiele wygodniejszym.. tak, chociaż raz, mój drogi towarzyszu, chyba się zgadzamy. Tego człowieka coś prowadzi - może któregoś dnia napiszą o nim książkę, ale ja zadowolę się miejscem w przypisach.

Kaltin popatrzył na niego zaskoczony.

- Chodziło mi o tę sukę, z którą się ożenił - powiedział ściszym głosem.

Gerrin napił się jeszcze.

- Nie nazywałbym jej tak, nie w znaczeniu pejoratywnym - powiedział z namysłem. Lampa zgasła, a światło dostarczane przez rozżarzone węgle igrało na grubo ciosanych twarzach Descotczyków. Było między nimi podobieństwo jak między odległymi kuzynami. - Skomplikowana osoba. Niełatwo ją poznać.

- Łatwo tylko zauważyć, co mu robi - powiedział gorzko Kaltin. - Jeden z tysiąca, żołnierze chcą za niego umierać, a ona... najpierw węszy za tym dupkiem Stansonem, a teraz jeszcze i cholerni kupcy, jakby nie było już nikogo innego.

- To chyba oni bardziej węszą wokół niej - powiedział łagodnie Gerrin. - Biegają z wywieszonymi jęzorami, kiedy tylko nie warczą na siebie nawzajem.

- Przyjęcia, przejażdżki łodzią, polowania, opery... - Kaltin przewrócił oczami. - Zawsze idzie z kimś pod ramię, zawsze aż do późna. Kto, na mroczną przepaść, o tym nie wie? Ludzie, którzy powinni go szanować, śmieją się z niego za jego plecami.

- Ale nie żołnierze - odrzekł Gerrin. - Chyba, że policzysz Wennera Reeda.

- Ta jego milicja to żarty. I nie próbuj zmieniać tematu.

- Nie próbuję. Może zauważyłeś, że są mniej śmieszni, od kiedy on przestał się wtrącać w ćwiczenia, które z nimi prowadzimy. A mały dactosauroid syknął mi w ucho, że to robota Suzette.

Gruder popatrzył na niego z przerażeniem.

- Mówisz mi, że Raj jest alfonsem dla... dla...

- Och zamknij się, Kaltin - powiedział znużonym głosem Gerrin. - Oczywiście, że nie. Ile ty masz w ogóle lat?

- Dwadzieścia trzy, jestem o rok młodszy od ciebie, siwobrody.

- Są lata i jest doświadczenie. Mając szesnaście lat, Barton przeżył więcej niż ty w jego wieku, jak sądzę. Fatima jest całe lata naprzód, a nie ma jeszcze siedemnastu... Tak czy inaczej Suzette nie wyrzekła się go, nie dała powodów do podejrzeń o zdradę, wreszcie nie wywołała otwarcie skandalu. Może wystąpić do Kościoła z podaniem o rozwód lub wyzwąć każdego, kto wtargnie na jego teren.

- Ale on ją kocha, na litość Ducha! Ten człowiek cierpi, sam to widzisz, męczy się ponad swoje siły!

- Raj urodził się, by być bohaterem, a to niesie ze sobą cierpienie - powiedział bezlitośnie Gerrin. - Jeśli nie w taki sposób, to w inny. Jego sumienie o to zadba, jeśli nie coś innego, w każdym razie tak długo, jak długo jest żołnierzem. I to jeszcze służącym Barholmowi... A jeśli chodzi o miłość i Suzette, to, podobnie jak większość kobiet, jest praktyczniejsza niż ty, mój chłopcze, za cokolwiek by się wzięła. Nie myl tych, przed którymi rozkłada nogi, z tym, przed którym otwiera serce.

Z góry zajrzała do nich Fatima.

- Zabierzcie mnie na sztuczne ognie - poprosiła. - To otworzę, co będziecie chcieli.

Gerrin parsknął.

- Nie zabierzesz dzieciaka do tego ZOO w dokach, moja droga.

Westchnęła i jakby na chwilę odmłodziła.

- Prawda - powiedziała żałobnym tonem.

- Obejrzymy je z dachu - ustąpił Gerrin. - Możesz zabrać tam kołyskę.

- Jeśli zrobisz jeszcze jeden dzbanek tego grzanego wina, to pójde po Damaris, Aynett i Zuafir, obejrzymy pokaz razem - zaproponował Kaltin.

- Przyniosę koce.

\* \* \*

- Ahhhhhh - westchnął zgromadzony wokół Raja tłum, kiedy nad dachami domów eksplodowała srebrna kula. Jęki zachwyty słyhać było na całej rzece, na łodziach spacerowych, barkach i tratwach. Woda odbijała światła fajerwerków i rozbiła je na tysiące lśniących diamentów.

Z tego miejsca Sandoral wyglądał jak sen, jak wizja miasta sprzed Upadku. Raj wiedział, jak jest

naprawdę, że miasto w większości składa się z brudnych zaułków i nędznych, ceglanych chałup, jak każde inne... ale z barek ustawionych razem poza głównym nurtem rzeki widać było pałac legata oświetlony jego łukowymi lampami, białe, marmurowe kopuły i lśniące krużganki. Zbudowano je sto lat temu, kiedy odbudowywano Sandoral po zniszczeniu go przez Kolonistów... W innych częściach miasta lampy i pochodnie były jedynymi punktami światła w oknach i na płaskich dachach, gdzie ludzie zebrali się, by zobaczyć jak się bawią panowie.

Raj wziął sobie z tacy jeszcze jeden kieliszek, ale prawie go wypuścił. Spod chusty służącego patrzył na niego spokojnie Muzzaf. Odwrócili się do siebie plecami, a Raj mruknął - I co?

- Messer Falhasker ma na służbie wielu ludzi pochodzących z Kolonii - powiedział Komarianin.  
- Nie było problemów, gdy podałem się za przechrzcę na wiarę Gwiazdy... udawanie muzułmanina było zbyt ryzykowne. Rzeczywiście, prowadził rozległe interesy w Kolonii i nadal to robi.

W zasadzie było to nielegalne, ale Sandoral żył z handlu na duże odległości. Ze słuzami na wodospadach Giaour można było pływać rzeką Drangosh aż do Zatoki Kolonialnej. Poza rozpoczęciem walk lub stawianiem ludzi pod ścianą, nie było sposobu, by ten proceder ukrócić. Działo to właściwie na korzyść Rządu Cywilnego, w każdym razie w tym momencie. Piętnaście tysięcy gąb, nie licząc służących i pomocników, stanowiło duże obciążenie dla miasta, które w czasie pokoju liczyło zaledwie sześciokrotnie więcej mieszkańców. Większość armii Górnego Drangosh karmiono zapasami pól kolonialnych, a nawet ubierano w mundury uszyte z wełnianej tkaniny, tkanej w Hammamet, Dasrze i samym Al-Kebir. Nie było więc żadnego pretekstu, by stawiać ludzi pod ścianą. Raj miał tutaj walczyć, a nie wymuszać przestrzeganie przepisów granicznych, które układali ludzie ze Wschodniej Rezydencji. Nie było pretekstu. Jeszcze nie było.

- Poza tym nic. Udało mi się zajrzeć do jego ksiąg, i chociaż dochody z wypraw w głąb Kolonii są zadziwiająco wysokie, można to przypisać dobremu zarządzaniu, a nie nagrodom za szpiegostwo.

Nie można było zastrzelić człowieka tylko dlatego, że jego najgorszy rywal i miejscy plotkarze "wiedzieli", że przekazuje wrogowi informacje. Albo dlatego, że pożądał twojej żony. Przez Sandoral przechodziło tyle poufnych informacji, że stawały się one dosłownie bezużyteczne, połowa szpiegów nie wiedziała, dla kogo właściwie pracuje. Raj otrzymał potwierdzone raporty z pół tuzina różnych źródeł, że Tewfik już wyruszył przeciwko nomadom z Sogdii... że leży chory na malarię... że spiskuje, by odebrać Osadnikowi tron... że jest o tydzień drogi od granicy... Było bardzo prawdopodobne, że jeden z raportów był prawdziwy, ale skąd można było wiedzieć, który! Na tym właśnie polegała dezinformacja, zamulała wodę tak długo, aż wreszcie nie można w niej było dostrzec prawdy, choćby lała się szerokim strumieniem.

- Ale dowiedziałem się czegoś o domostwie messera Reeda. Jest tam nowy sługa, każe się

nazywać Abdullah ibn'Azziz - kolonialny odpowiednik Sayncheza, równie popularny - który pozostaje podejrzanie beczynny. Wygląda na to, że całkiem niedawno przybył tu z zachodu. Spróbuję dowiedzieć się więcej.

Pokaz sztucznych ogni zakończył się rozbłyskiem czerwonych, zielonych i srebrnych gwiazd, bardzo przypominających flagę Świętej Federacji. Raj usłyszał głos Suzette dobiegający gdzieś z góry, być może z mostka.

- Och, Wenner, to jest cudowne!

- Ależ moja droga, po dworze gubernatora we Wschodniej Rezydencji pewnie uważasz to za nudne i prowincjonalne, podobnie jak wszystkie nasze rozrywki... jakbyśmy byli wielkimi żabami w małym stawie. Czy widzisz, jak sprawiasz, że kobiety czują się niemodne i nie na czasie?

- Nie - powiedziała poważnie. - To nie prawda. To właśnie Sandoral i ludzie, których tu spotkałam, sprawiają że stolica i dwór wydają się... sztuczne i nierealne... Granica ma taką... żywotność...

Raj upuścił kryształowy kielich z Gederosii i z wawym krokiem ruszył do miejsca, gdzie Barton Foley został osaczony przez trzy miejscowe piękności; wydawało się, że czerpie wielką przyjemność z zabawiania się ich komentarzami, z których wiele było bardzo w stylu Gerrina.

- Wychodzę, Barton - powiedział.

Uprzejmy uśmiech zniknął z twarzy Foleya jak starty gąbką.

- Dokąd, panie? - zapytał.

- Najpierw tam - odrzekł Raj, pokazując w dół rzeki. Z barki Skinnerów dobiegały wrzaski i ryki, a wystrzeliwane w niebo salwy z potężnych, piętnastomilimetrowych karabinów tworzyły ich własny pokaz sztucznych ogni. W ciemnościach rozbłyski wystrzałów były dłuższe niż same karabiny. - Mam zamiar potężnie się upić. A jutro, ty i ja, i 5/1/1 - pluton Foleya, pierwszy w 1. Kompanii 5. z Descott - wyruszamy szukać Tewfika. Starczy już siedzenia na tyłku i wężania, co wiatr przyniesie.

## Rozdział trzynasty

- Nie powinieneś tego robić, ponie. Tu jest twoje miejsce - poznaczona bliznami twarz da Cruza wykrzywiona była dodatkowo grymasem dezaprobaty. - Żebyś chociaż mnie wziął ze sobą, ponie.

- Wyruszę, sierżancie - powiedział Raj, uderzając rękawicami w dłoń. - A kapitan Staenbridge będzie cię potrzebował, jeśli stanie się coś nieprzewidzianego.

Na przykład jeśli Koloniści posiekają nas na mięso dla psów, pomyślał. Poczł w żołądku chłód. Mają rację; powinienem dowodzić trzydziestoma batalionami, a nie prowadzić czterdziestu ludzi na straceńczą misję zwiadowczą. Toczył wewnętrzny spór. Prawdopodobnie na ludzi gorzej podziała fakt, że ich dowódca się waha, niż to, że podejmie głupią decyzję, przecież Duch świadkiem, że każdemu zdarzało się coś od czasu do czasu spieprzyć... W Sandoralu wszystko toczyło się pomyślnie... a Duch wiedział, że było to jedyne miejsce na Ziemi... na Bellevue, w którym nie chciał przebywać.

Wzdłuż ciągnącego się na północ łańcucha heliografów zaczęło błyskać światło, to poruszana dźwignią kłapa odsłaniała i zasłaniała umieszczoną przed lustrem lampę karbidową. Światło było doskonale widoczne na tle bladych gwiazd o północy. Wysoko nad głową z Maxiluny został już tylko wąziutki rogalik ze srebra zabarwionego na pomarańczowo, a mniejsza, jaśniejsza Miniluna weszła dopiero godzinę temu. Było zimno i Raj ucieszył się, że ma na sobie kurtkę mundurową i tysiãfuntowe ciało Horace'a za plecami. Wieża mrugnęła raz na północ, informując o przyjęciu wiadomości, i zaczęła przekazywać ją na południe. Informacja była bardzo długa. Zupełnie bezsensowna, miała za zadanie tylko oszukać. Jeśli na wszystkich wieżach zaczyna się poruszenie i palą się światła, jedno konkretne uniknie obserwatorom z drugiego brzegu. A przecież przyzwyczajają się do nocnych patroli, które...

- On ma rację - powiedział Barton Foley, przechadzając się wzdłuż szeregu ludzi i psów. - Barka na miejscu, brygadierze, na którym nie powinna tu być. Szlak rzeczny wolny.

- Tylko nie to - mruknął Raj i odwrócił się do porucznika 7. Zwiadowczego z Descott, który dowodził stacją. - Wiadomości przez kurierów, wyłącznie słowne, poruczniku. Począwszy od jutrzejszej nocy bądźcie gotowi na każdą wiadomość, jaką przyślemy z tamtego brzegu rzeki. W przeciwnym razie utrzymujcie zwykły porządek dnia. Zrozumiano?

- Panie - powiedział poważnie porucznik.

- Chwileczkę, Raj - rzekł Gerrin. - Naprawdę uważam, że powinieneś jeszcze to przemyśleć...

Jeśli sądzisz, że starszy oficer jest konieczny, z radością pojedę.

- Nie - rzekł z wymuszoną swobodą. - Musisz przecież pamiętać o swoim synku, prawda, kapitanie Staenbridge?

Zobaczył, jak mężczyzna zamyka usta.

- Na Ducha, masz rację... te twoje cholerne nawyki, Raj...

- Ech... przepraszam, brygadierze - powiedział porucznik. - Mam do pana dość dziwną prośbę. Szwadron moich ludzi z kapralem M'kintok zgłosił się na ochotnika, by z panem jechać.

Raj parsknął cicho.

- Kto następny? Tzetas? Dziękuję waszemu szwadronowi, poruczniku Meagertin, ale przekaż im, że zrujniają reputację hrabstwa. A teraz, jeśli nikt już nie chce marnować cennego czasu...

Saluty, uściski, potrząsanie dłoni. Głos wewnątrz czaszki »Ryzyko jest zupełnie niepotrzebne.«

Zamknij się.

»Obserwuj.«

Powiedziałem, zamknij się! Jesteś głosem Boga, ale ja jestem człowiekiem, na Ducha, i to właśnie mam zamiar zrobić!

Chwila ciszy, która w widzianym świecie nie zostałaby nawet zauważona.

»Efekty stochastyczne mogą zakłócić nawet najdokładniejsze obliczenia« powiedział głos Centrum. Po raz pierwszy słyszał, żeby Centrum wpadało w religijny żargon. Jego świadomość wróciła do świata ludzi.

- ... to już ruszajmy.

\* \* \*

Raj trzymał Horace'a za uzdę, kiedy wszyscy wprowadzali psy na barkę. Był to zwyczajny statek towarowy, wykonany z brązowawoszarego miejscowego drzewa pigaro, twardego, nieprzepuszczalnego i pełnego małych pęcherzyków powietrza. Płytkie ładownie były zadaszone łukami z gałęzi wierzby, pokrytymi ciemnym płótnem, którym zawsze zabezpieczano towary czułe na deszcz lub słońce. Było dość miejsca dla psów, jeśli tylko weszły tam przykucnięte i położyły się w równych rzędach. Trzydziestu dwóch ludzi i tyle samo psów plutonu Foleya, dwóch ludzi i cztery psy załogi przenośnego heliografu, M'lewis, Holdor Tennan i on sam. Barka zanurzyła się głębiej w



przybrzeżnym mule, kiedy znalazło się na niej pięćdziesiąt tysięcy funtów psów, ludzi i ekwipunku. Sternik na rufie wyglądał na zmartwionego.

- No chodź, chłopcze - powiedział Raj, wstępując na trap. Ostatni na pokładzie, pierwszy po tamtej stronie.

Horace zatrzymał się i próbował położyć, piszcząc protestacyjnie.

- Nie mamy na to czasu, ty sukinsynu! - syknął Raj, boleśnie świadom patrzących na niego oczu, ludzi z załogi heliografu i tych, którzy weszli już na barkę. Pociągnął, lecz bez efektu. Kopnął psa w żebra bokiem buta, ale osiągnął tylko głuchy, strasznie głośny dźwięk. Baty na psy nie miały w przypadku Horace'a zastosowania. Był tylko jeden sposób.

- Jak sobie chcesz - powiedział i wstąpił na trap. Pies patrzył na niego, zaskomlał kiedy Raj zniknął w ładowni barki. Potem podniósł zębami uzdę i powłókł się za nim, przy każdym kroku ostrożnie stawiając łapy.

\* \* \*

- Uff - mruknął Foley, kiedy ostatni z żołnierzy wysiadł na wschodnim brzegu. Kiedy płynęli w dół rzeki i na wschodni jej brzeg, mijając miejsce gdzie granica rządu cywilnego skręcała na zachód, na barce zrobiło się naprawdę ciasno. Byli teraz w Kolonii, z dala od jakiegokolwiek pomocy.

- Avocati - szepnął w odpowiedzi Raj. Popularne pożywienie psów na terenach rzecznych, ohydna, sflaczała, żyjąca na dnie i żywiąca się padliną ryba bez kręgosłupa. Główną jej wadą było to, że po jej zjedzeniu psy śmierdziały jeszcze bardziej.

Rozejrzał się po brzegu. Teren zalewowy porośnięty był tą samą mieszanką carobów i miejscowych kolczastych krzewów co przeciwny brzeg, ale pokryte zaschniętym mułem urwisko było tu znacznie wyższe, miało dwadzieścia metrów, a zimowe powodzie dodatkowo je pokarbowały. Powietrze pachniało rzeką, psami i mokrym mułem. Raj wziął głęboki wdech i wypuścił powietrze, szczerząc zęby do stromego zbocza wzgórza. Czuję się znowu młody, zdał sobie sprawę. Było to dziwne, bo przecież nie skończył jeszcze dwudziestu sześciu lat. Nawet mając kilkanaście lat nie podzielał entuzjazmu rówieśników do podejmowania niepotrzebnego ryzyka przy ujeżdżaniu dzikich psów lub prowadzaniu się z dziewczynami, których męscy krewni uchodzili za niebezpiecznych. Nazywali go z tego powodu ważniakiem, jak również za to, że czasami zdarzało mu się odmawiać udziału w polowaniu lub wyścigach, by zamiast tego poczytać książkę.

To dlatego, że to zrozumiałe zadanie, pomyślał. Nie było tu wielkiej, bezosobowej armii, przy

której musiał pozostawiać codziennie tuzin ważnych zadań do wykonania ludziom, u boku których nigdy nie walczył. Nie było tu nie-całkiem-wszechwiedzącego komputera anioła, który podawałby mu nie podlegające dyskusji powody na robienie rzeczy, którymi pogardzał. Nie było tu miasta, wylęgarni szpiegów... tylko kawaleryjski patrol na wrogie terytorium, wejść, zdobyć informacje i wyjść. Sukces albo śmierć.

Foley zbliżył się do niego wzdłuż szeregu klęczących ludzi i leżących psów. Na jego na wpół młodzieńczej twarzy malowało się skupienie kogoś, kto koncentruje się na jakimś skomplikowanym zadaniu. Naucz się coś robić dobrze, to zaraz każą ci się brać za coś trudniejszego, pomyślał drwiąco Raj.

- M'lewis znalazł drogę na górę - powiedział. - Nie powinniśmy się za bardzo pokaleczyć. - Miejscowa roślinność była jak sprężyste, metalowe druty, którym zdarzało się ugryźć. Na całej długości gałązek były ząbki przypominające piłę, ale oni musieli unikać hałasu i opóźnień, o ile to tylko było możliwe.

- No to ruszajmy - powiedział Raj.

\* \* \*

- Awatary Ducha - zaklął Raj, kiedy tylko wystawił ostrożnie głowę znad krawędzi. Był ranek drugiego dnia, a oddział znajdował się na południe od punktu, w którym wylądowali. Już miał odwołać całą wyprawę, bo tereny uprawne wzdłuż rzeki zdarzały się coraz częściej i sięgały coraz dalej w głąb lądu. Jeszcze pięćdziesiąt kilometrów i strome zbocza zmieniają się w szerokie, aluwialne równiny, gęsto zaludnione i ciągnące się aż do Pędzącej Rzeki i wyżyn Gederosii.

- Widzi mi się, że większej armii brudasów to już bym kurwa nie chciał oglądać - powiedział leżący obok niego M'lewis.

Usta Raja zbielewały... no cóż, to było oszałamiające. Gaje daktylowe charakterystyczne dla doliny rzecznej znikwały tu w morzu namiotów, ustawionych w przepisowych rzędach w kilometrowych szeregach, uwiązanych do palików psów, parków artyleryjskich, w których stały wszelkie rodzaje dział, od zwykłych pompomów aż do ciężkich, ładowanych przez lufę haubic. Ze statków rzecznych wyladowywano i stawiano w piramidy zapasy: worki, skrzynki i paczki. Ulicami miasta namiotów maszerowali żołnierze, a kolce na ich hełmach lśniły w słońcu. Po całej równinie jeździły oddziały kawalerii. W samym środku obozu stał olbrzymi, biało-szkarłatny namiot, który z daleka wyglądał jak miniaturowy wierzchołek góry. W nieruchomym, porannym powietrzu wisiały nad nim sztandary, poruszane tylko rzadkimi podmuchami wiatru. Odgłosy dochodzące z obozu przypominały szum

oceanu, przyprawiony dudnieniem bębnow i jazgotem piszczałek. Muezzin wzywał żołnierzy na poranną modlitwę. Płomienie ognisk strzelały w górę, niosąc ze sobą zapach przypraw dodawanych do potraw Kolonistów.

- Musi tam być ze sto tysięcy luda - szepnął ponownie M'lewis.

Raj uśmiechnął się. Chorąży miał tak sprawne ręce, że ze świecą szukać lepszych, wspaniale jeździł wierzchem i miał instynktowne wyczucie rzeźby terenu, ale ta skala przekraczała wszystko, czego w życiu doświadczył.

- Barton? - zapytał Raj.

Mody porucznik przyglądał się obozowi przez lornetkę. Mimo opalenizny twarz mu zbladła, ale głos miał spokojny.

- Sądzę... około dwudziestu tysięcy, może trochę więcej - powiedział, zapisując coś i szkicując w notatniku, który położył przed sobą.

- O wiele lepiej - powiedział Raj. Wziął rysunek i położył go przed M'lewisem. - Patrz, w każdym namiocie jest jeden szwadron Kolonistów - sześciu ludzi, mniejszy niż nasze. Tyle samo ludzi przy każdym dziale. Sztandary mają swoją hierarchię, jak w naszej regularnej armii. Weź małą próbkę, policz, z ilu ludzi się składa, i już możesz wiarygodnie ocenić ogólną liczbę, tak samo jak podczas liczenia owiec w stadzie - przerwa. - Sądzę, że liczysz zbyt wielu służących, Barton. Most budują głównie siłami zebranych tu wieśniaków.

- Most, panie? - zapytał Barton.

- Tak. Spójrz tam.

Na dole, tuż przy rzece, żołnierze Kolonii zbudowali potężną rampę z ziemi i drewna, schodzącą w nurt Drangosh. U jej czoła leżały zwinięte dwie potężne lniane liny, grube jak klatka piersiowa mężczyzny. Końcówki lin zostały przymocowane do drewna i kamieni. Kawałek w górę rzeki robotnicy pracowali przy zakotwiczaniu innych lin, cienkich tylko przez porównanie. Po drugiej stronie rzeki budowano podobną rampę. Foley przenosił wzrok z jednej na drugą.

- Mali mężczyźni w przepaskach biodrowych i więksi w pantalonach, pracują bez koszul - powiedział.

- Inżynierowie wojskowi, żołnierze i przymusowi robotnicy - powiedział Raj. - Czytałem o czymś podobnym w jednej ze starszych kronik. Przerzucasz liny z jednej strony rzeki na drugą, potem przesuwasz wzdłuż nich barki, specjalnie wykonane pontony, nawet tratwy... i zabezpieczasz je wszystkie. Potem chrust i jakieś deski, na to warstwa ziemi i już masz porządny most. Nie będzie stał

wiecznie, prawdopodobnie nie przetrwa pierwszej wiosennej powodzi, ale można przeprowadzać po nim armię przez kilka miesięcy. To o wiele lepsze niż łodzie, szybsze, bezpieczniejsze... Spisuj sztandary, Barton. Pełne szkice, żebyśmy wiedzieli, kto to jest.

Nad wielkim namiotem powiewała zielona flaga z półksiężycem i gwiazdą. Sztandar Osadnika, nie tylko flaga narodowa, Jamal tu był. Nie było jednak czarno-szkarłatnej pieczęci Salomona Tewfika. Zgrupowanie żółwich kształtów w pobliżu miejsca rozładunku łodzi z zaopatrzeniem - samochody pancerne.

- Bardzo mi ulżyło, ponie, ale dwadzieścia tysiączków szmacianych łbów to i tak dla mnie za dużo.

Foley skinął głową. - Prowadzą też imponujące prace inżynieryjne - dodał, podając zmodyfikowane notatki Rajowi. - Biorąc wszystko pod uwagę, wolałbym być w Sandoralu.

- Sprawdzimy, co się da w tej sprawie zrobić - powiedział Raj, przetaczając się na plecy i sięgając po zegarek. - Hmm. Pierwsza sprawa to wysłać wiadomość do armii. Postawią ten most za dzień czy dwa, a zachodnim brzegiem to wcale nie taka długa droga... M'lewis - mówił dalej. Odwrócił kartkę z notatkami i napisał wiadomość. - Zanieś to do heliografu. - Ustawili go na przeciwnym zboczu jakieś trzy kilometry stąd, w najdalszym punkcie, z którego sygnał dotarłby do wysuniętego najbardziej na południe stanowiska na zachodnim brzegu. - Powiedz im, żeby nie kłopotali się kodowaniem tego, niech to po prostu wysyłają, dopóki nie otrzymają potwierdzenia odbioru. I pospiesz się.

M'lewis skinął bez słowa głową i ruszył do podnóża wzgórza, ześlizgując się po dość stromym zboczu. Raj i jego młodszy przyjaciel podążyli za nim nieco wolniej, pochylając jednak ciągle głowy, by nie dostrzegł ich nikt z obozu, a potem pobiegli truchtem, nie prostując się, z szablami w lewych dłoniach.

- Powrót powinien zabrać nam mniej czasu, skoro znamy już ukształtowanie terenu - powiedział Raj. - Dodałem do wiadomości instrukcję, by przygotowali prom, więc...

Zatrzymał się. Foley go nie słuchał. Obracał głowę powoli jak strzelec szukający celu, a Raj nauczył się szanować wzrok młodzieńca. Porucznik znowu podniósł do oczu lornetkę, kciukiem poprawiając ostrość.

- Cholera.

Raj poszedł za jego przykładem, mrużąc oczy przed słońcem. Chmura kurzu i linia maleńkich figurek na psach jadących równiną, znajdującą się za wzgórzami piętrzącymi się wokół brzegu rzeki. Kierowali się dokładnie w kierunku wzgórza, na którym stał heliograf. Nie zobaczyli co prawda

urządzenia Rządu Cywilnego, sądząc z tempa w jakim jechali, ale był to najlepszy punkt obserwacyjny w okolicy i naturalne było, że chcieli wystawić tam obserwatorów. Nie było sensu jechać za M'lewisem. Niski żołnierz z parafii Bufford jechał szybciej i sprawniej niż większość żołnierzy plutonu Foleya, choć ci również byli dobrymi jeźdźcami. Poza tym, tam gdzie jeden człowiek mógł przejechać niezauważony, trzydziestu by się to nie udało.

- Tędy prowadzi skrót - powiedział Foley spokojnie, pokazując gestem drogę. Jeśli drużyna heliografu i patrol Kolonistów były podstawami trójkąta, a pluton punktem, ramię Foleya przedzielało trójkąt na połowę. - Sądzę, że uda nam się znaleźć między nimi a heliografem.

Zasadzka, ale było mało prawdopodobne, by strzelanina przeszła nie zauważona tak blisko głównego obozu. Da im to jednak czas, pod warunkiem, że nikt nie ocaleje. Koloniści będą musieli znaleźć swoich ludzi w labiryncie wąwozów, a pościg musiałby długo trwać.

- No to do roboty - powiedział Raj.

\* \* \*

Wieża heliografu była najwyższym punktem w Sandoralu. Była smukłą kolumną z betonu, wyrastającą z kompleksu budynków rządowych w centrum, pałacu legata. Nie było w niej nic, oprócz pozbawionej okien spiralnej klatki schodowej i dwóch pięter na samej górze. Na zewnątrz wieżę pokryto marmurem, przecież w końcu była częścią pałacu. Wnętrze urządzone z surową prostotą, w niższym pokoju były leżanki, stół i kubeł pełniący rolę toalety, a na wyższym sprzęt sygnalizacyjny. Ten z kolei pozostawał w rażącym kontraście do szarości wnętrza. Był tam potężny, umieszczony na trójnogu teleskop i skomplikowane dźwignie z mosiądzu i żelaza, które sterowały lustrami, klamrami i wielką latarnią na dachu, przypominającą latarnię morską. W tej chwili znajdował się tam również mniejszy teleskop, skierowany na łańcuch tymczasowych wież, umieszczonych wzdłuż granicy.

Najwyższy punkt i najnudniejszy, pomyślał obserwator niechętnie. Nauczenie się kodu i obsługi sprzętu było jak nauka czytania, stanowiło doskonałą drogę do awansu... i utknięcia tu na górze, pomyślał. Kątem oka popatrzył na kobietę, która w milczeniu paliła w rogu papierosa. Wyglądała spokojnie i arystokratycznie w swoim stroju do jazdy konnej z białego lnu. Z żoną dowódcy na głowie nie będą mogli się zdrzemnąć ani rozegrać zwyczajowej partyjki kości, z których czerpał dużą część swych pieniędzy na wino i dziewczynki. Milutka, pomyślał bezwiednie, jeśli się lubi kościste.

Uśmiechnęła się i przemówiła ostrym akcentem klasy messerów ze Wschodniej Rezydencji. - Nie przeprowadzam tutaj inspekcji, chłopcy. Róbcie to, co zwykle, i nie zwracajcie na mnie uwagi.

Z otworu klatki schodowej wychyliła się głowa.

- Kapralu Stainez? Mam tam na dole szmacianego łba, mówi, że pracuje dla Wennera Reeda i ma wiadomość dla pani Whitehall.

Stainez westchnął i skinął głową.

- Przyślij brudasa na górę - powiedział.

\* \* \*

Abdullah ibn'Azziz ukłonił się nisko Suzette. Ucieszył się, mogąc to zrobić otwarcie, skoro tak wielkim sekretem było, komu naprawdę służył, ucieszył się niemal tak bardzo jak z używania prawdziwego imienia. Wiele czasu upłynęło, od kiedy ludzie, których miał wokół siebie, znali go jako sługę Boga.

- Mój pan, dostojny messer Wenner Reed, dowódca sił rezerwowych dystryktu miasta i hrabstwa Sandoral, przesyła pozdrowienia pani Whitehall i zastanawia się, czy jakieś opóźnienie powstrzymuje ją od przyłączenia się do niego podczas wycieczki do jego wiejskiego domu, którą zaplanował na dzisiejszy dzień.

- Jestem chora - powiedziała. - Proszę twego pana o wybaczenie, może innym razem.

Arab znowu się ukłonił, widząc oznaki wściekle tłumionego zmartwienia i niecierpliwości. - Powrócę do swoich... obowiązków, messa i przekażę twoje słowa...

- Święte gówno ducha! - parsknął żołnierz patrzący przez teleskop. - Wiadomość priorytetowa!

Kapral odepchnął mężczyznę i sam usiadł na krześle. - Kearstin, Hainez, natychmiast na górę! Mefford, zapisuj!

Żołnierz chwycił notatnik i zaczął skrobać na nim na zgiętym przedramieniu.

- Przekaz... Stop kontakt z głównymi siłami kolonistów trzydzieści kilometrów na południe ostatniego posterunku stop most pontonowy po którym mogą przejść całe siły niedługo ukończony stop szacunkowa ocena sił kolonistów osiem tysięcy kawalerii dziesięć tysięcy piechoty sto lekkich pięćdziesiąt średnich dział oddziały inżynieryjne i pomocnicze w odpowiednich proporcjach do powyższych stop jamal prowadzi wojska osobiście stop ani śladu obecności tewfika i armii południa stop szacunkowy czas przybycia głównych sił do sandoralu pięć dni plus minus dwa stop przekazać do wschodniej rezydencji stop zarządzić pełną mobilizację najwyższy alarm stop spróbujemy dotrzeć na wschodni brzeg promem dokładnie o godzinie ósmej stop gerrin mam pełne zaufanie do twojej

oceny sytuacji foley spisuje się świetnie stop suzie kochanie niedługo - do jasnej cholery, nie notuj tego, kretynie! - wróć do domu stop.

- Czy... czy mam ogłosić alarm, kapralu?

Żołnierz przy głównej jednostce kręcił już kołowrotkami, przesuając wielką maszynę na dachu tak, by odbijała promienie słoneczne na północ. Informacja będzie w rękach gubernatora przed zachodem słońca, przebędzie ponad tysiąc kilometrów.

- Kretynie! Jak myślisz, dlaczego dowódca postawił tu ludzi z Piątego, a nie zwyczajną załogę? Miejskie cipki uciekałyby aż by przywalały łbami o Oxheady i spaliłyby miasto biegając w kółko i wrzeszcząc. Lista alarmowa jest w regulaminie, zacznij robić notatki - odwrócił się na pięcie. - A ty, szmaciany łbie...

- Odpowiadam za tego człowieka, kapralu. I już ci schodzimy z drogi, nie ma obaw.

Kapral Stainez zamknął usta. Martwiłbym się o wiele mniej, gdyby ten brudas był w łańcuchach, pomyślał.

- Messa - powiedział na głos.

- Messa Whitehall - powiedział dowódca artylerii. - Ach, messa Whitehall, z całym szacunkiem, nie jesteś, ach...

- Dowódcą, wiem, kapitanie... Grammek Dinnalsyn? - skinął głową. Żołnierze, pracujący przy czyszczeniu siedemdziesiątki piątki, podnieśli głowy i zaczęli się przysłuchiwać. - Mimo tego... - podała mu kawałek papieru - biorę na siebie pełną odpowiedzialność za wydanie ci rozkazu wymarszu. Zauważ, że podbity jest moją osobistą pieczęcią.

Dinnalsyn popatrzył w jej skośne, zielone oczy i przełknął ciężko ślinę. Litościwe awatary Ducha, pomyślał. Dlaczego ja?! Coś się działo, widać to było nawet w ogrodzonym palisadą obozie za murami. Pół tuzina powozów ruszyło drogą na północ - lekkie, wyścigowe bryczki pełne mieszczuchów w bezbarwnych ubraniach, które wyglądały zupełnie nie na miejscu. A podejrzenie wielu chłopów z farm na zachodzie i północy wchodziło do miasta, wioząc na wozach lub niosąc żywność i przedmioty codziennego użytku.

- Messa - powiedział. Odwrócił się i krzyknął. - Poruczniku Harritch! Wymarsz! Baterie od pierwszej do czwartej mają być gotowe do drogi za dwadzieścia minut.

Dziesięć dział. Byłoby dwanaście, gdyby 3/3 i 4/1 nie miały odpowiednio rozebranego zamka śrubowego i pękniętego łoża.

- Ładunek, panie?

Kapitan otworzył usta, by kazać załadować standardowy zestaw amunicji, ale natychmiast je zamknął.

- Dwadzieścia standard, dziesięć kartaczy - powiedział. Trzydzieści pocisków stanowiło maksymalny ładunek dwukołowego kessonu, na którym opierało się łożo działa w czasie transportu. Nie lubił tego uczucia, galopowania z działami bez wsparcia. Na wypadek, gdyby coś nieprzyjemnego wydarzyło się w niewielkiej odległości, kartacze sprawią, że poczuje się dużo lepiej. A każdy, kto będzie próbował kombinować z jego działami, poczuje się dużo gorzej.

\* \* \*

W patrolu Kolonistów było dwudziestu ludzi, różniących się nieco od tych, których Raj widywał wcześniej. Jellaby mieli w cętki, kilku nosiło rude lub jasnobrązowe brody, a twarze nad nimi miały jaśniejszy odcień niż u większości Kolonistów, a jeśli o tym mowa, to również niż Descotczyków. Berberowie, zdecydował Raj. Kabyłscy berberowie z wyżyn Gederosii, Jebal al B'heed. Nie miało to znaczenia poza tym, że ci tutaj wyglądali na bardzo czujnych, większość trzymała karabinki na kolanach. Pierwszy z nich miał wyjeżdżać z wąwozu dokładnie w chwili, kiedy ostatni do niego wjechał. Wąwóz skręcał na południe i zachód, zbliżając się do wysuszonego koryta rzeki, prowadzącego na zachód, wprost do wzgórza do którego zmierzali. Niższy jego brzeg, który wybrał pluton Rządu Cywilnego, porośnięty był krzakami i bardziej stromy niż przeciwległy.

Teraz, pomyślał Raj. Jakby odbijając echem jego myśli, Foley krzyknął - Ognia!

Nie była to salwa, ale wystrzały rozbrzmiały prawie jednocześnie. Żołnierze podnosili się spod płaszczy i spomiędzy krzaków, w których się ukryli. Kilka strzałów chybiło. Wielu przeciwników zostało wielokrotnie trafionych. Ich dowódca krzyknął jedno zdanie i ocaleli już chowali się za psami i przystępowali do walki ogniowej na niewielką odległość. Wszyscy poza dwoma, którzy pognali wierzchowce i galopem popędzili z powrotem po własnych śladach. Kolonialny oficer rozkazał im wycofać się, podczas gdy inni kupowali czas za swoje życie. Taki sam rozkaz wydałby Raj i właśnie dlatego usadowił się na samym końcu szeregu strzelców. Ześliznął się po zboczu, blokując jedyne wyjście. Koloniści pędzili na niego galopem, ich psy odbijały się od ziemi potężnymi nogami, wkładając w każdy krok całą swoją siłę. Raj wyjął pistolet i wypalił pięć razy, mierząc dokładnie, opuszczając lufę za każdym razem, kiedy odrzut podrzucał ją do góry. Pierwsza kula trafiła jadącego z tyłu Kolonistę w ramię. Upuścił szablę. Dwie następne dosięgły jego wierzchowca w pierś i szyję. Pies przewrócił się ze skowytem, aż zadrżała ziemia. Raj usłyszał trzask jego pękającego karku. Drugi jeździec był już niebezpiecznie blisko, i nawet jeśli psy



Kolonistów były o ciężar człowieka lżejsze niż wierzchowce Rządu Cywilnego, to i tak Raj zostałby zmieciony z drogi jak źdźbło trawy. Jeszcze dwa strzały. Jeden trafił psa w bok szyi, sprawiając, że wierzchowiec stracił rytm biegu i kłapnął zębami w bok. Następny dosięgnął punktu, w którym szyja łączy się z ramionami. Pies zwolnił i pochylił się w przód, przewracając w chmurze kurzu. Kolonista uwolnił stopy ze strzemion tuż przed upadkiem i przetoczył się po ziemi, wyrzucony potężną siłą galopu. W niezwykły sposób udało mu się zatrzymać po dwunastu jardach, szybko dojsć do siebie i wstać z ziemi. Jeszcze dziwniejsze było to, że utrzymał w dłoni szablę.

- Umieraj, kapharze! - zaskrzeczał, wyprowadzając błyskawiczne cięcie znad ramienia, o wiele za szybkie na pchnięcie stopujące.

Raj zbił cięcie i zobaczył, jak oczy Berbera rozszerzają się w niemym podziwieniu dla siły Descotczyka. To wojownicy, pomyślał. Chciałbym, żeby wszyscy moi ludzie byli tacy dobrzy. Uderzył lewą ręką, której palce zacisnął na podobieństwo ostrza, mierząc we wrażliwe miejsce pod mostkiem, które nawet u sprawnego człowieka nie jest chronione mięśniami. Trafił, a pod jego ręką coś ustąpiło. Raj uwolnił jelec szabli i uderzył mężczyznę w twarz koszową ochroną dłoni. Rozległ się trzask kości, a Kolonista cofnął się o trzy kroki i upadł z rozłożonymi ramionami.

- Przykro mi, ale mam coś do załatwienia – mruknął Raj, dysząc ciężko i czując w żyłach adrenalinę. Dopiero teraz zauważył siniaki i zadrapania, które powstały, gdy ześlizgiwał się po zboczu. Czuł też klucie w palcach, potrzęsnał nadgarstkiem. Nigdy nie uderzaj pustą dłonią, jeśli masz inne wyjście.

Zapadła cisza, przerywana tylko skomleniem rannych psów. Potem strzały, kiedy pluton kończył ich cierpienia. Szkoda, że robią tyle hałasu, ale nikt przy zdrowych zmysłach nie podszedłby na odległość pchnięcia bagnetem do rannego mięsożercy, jeśli istniał inny sposób na dobiecie go. Nad pobojowiskiem unosił się dym, powoli odpływający z wiatrem. Foley zaczął wykrzykiwać rozkazy. - Bierzcie ich wodę! Wyrzucie wszystko, co macie przy siodłach, poza bronią i wodą! Napójcie psy i dajcie im ostatnią porcję jedzenia! Jazda! - Nawet w takiej chwili żołnierze będą pewnie przeszukiwać sakiewki i kieszenie zabitych, ale nie było sensu tracić czasu na próby zapobieżenia temu. Po chwili byli już przy swoich psach, objuczeni zszytymi kozimi skórami, których przeciwnik używał jako bukłaków na wodę.

Sierżant plutonu podszedł do Foley'a. Był to Fitzin Sherrek, jeden ze szlachciców, których Raj wybrał na swoich towarzyszy. Muszę mu dać stanowisko oficerskie, kiedy tylko będę mógł, pomyślał Raj.

- Panie - powiedział do Foley'a Fitzin. - Mamy rannego.

Przedarli się we trzech do osłoniętych przez krzaki pozycji strzeleckich. Raj zobaczył, że była tylko jedna ofiara, chłopiec, pewnie nie skończył nawet siedemnastu lat, któremu nie było już pisane znaleźć się bliżej domu niż to zapomniane przez Ducha wzgórze. Jeden z żołnierzy ze świeżego zaciągu z hrabstwa, który miał uzupełnić stan Piątego, pełen podziwu i zazdrości dla weteranów spod El Djem i Doliny Śmierci, zawsze chętny udowodnić swoją wartość. Rana wejściowa znajdowała się w podbrzuszu, po prawej stronie pępka. Nie krwawił jeszcze zbyt mocno, ale nikomu nie zdarzało się przeżyć takiej rany. Choć mogło trwać całe dni, zanim zabiła.

- Ponie - wyksztusił, kiedy Foley uklęknął przy jego głowie, a potem jęknął, kiedy jego przyjaciele próbowali go posadzić. - Ponie - powtórzył. Młody porucznik chwycił jego dłoń. Usta żołnierza rozciągnęły się, bardziej w grymasie bólu niż uśmiechu, twarz poszarzała z wysiłku i cierpienia, które przyszło kiedy minął pierwszy szok.

Człowiek żyje swoją dumą i dla niej umiera, pomyślał Raj. Stare motto Descotczyków. Warto spróbować, jak sądził, jeśli tylko mógł sprawić, żeby chłopak myślał o czymkolwiek innym niż stracone pięćdziesiąt lat.

- Wiem... już koniec - powiedział umierający chłopiec tym, którzy mieli dalej żyć. - Ja... nie ma księdza...

- Nie martw się - powiedział Foley, głośno i wyraźnie. Ranny nie zaczął jeszcze przewracać oczami, ale lepiej było się upewnić. Sięgnął pod tunikę i wyjął spod niej amulet. Wsunął go do drugiej dłoni rannego. Był to fragment płyty głównej, oprawiony w złoto i kryształ. - Każdy, kto polegnie broniąc Świętej Federacji, osiąga jedność z rajem.

- Dziękuję... ponie... - powiedział słabnącym głosem chłopiec. - Farma Wayezgate... posiadłości messera Jorgtina... mój tato wynajmuje. Powiedz... że zginąłem w boju - uśmiechnął się szerzej. - Mama mówiła, cobym jeszcze... rok poczekał. Jak zawsze miała rację - ciężki oddech. - Nie możecie zostać ze mną, ponie. Skończcie szybko, dobrze?

Żołnierz przyłożył amulet do ust i zamknął oczy, modląc się między ciężkimi oddechami. Samobójstwo było śmiertelnym grzechem, ale gdyby jego towarzysze zostawili go tutaj, pożyłby pewnie dość długo, żeby znaleźli go padlinożercy lub nieprzyjaciele.

- Powiem im - powiedział Foley, zaciskając palce na dłoni chłopca. - Na mój honor - odciągnął kurek pistoletu.

- Nie mogę przeprowadzić promu na drugą stronę, messa - powiedział mężczyzna, zacierając dłonie. - Tam jest terytorium Kolonii, a niedługo będzie tu wojna. Właściciele promu ukrzyżowaliby mnie. Każdy mógłby podejść i zająć prom.

Prawdopodobnie przesadzał, ponieważ tylko palacze pracujący przy kotłach jego parowca byli niewolnikami i podlegali prywatnej karze o takiej surowości. Suzette osłoniła oczy od słońca i przeniosła wzrok na drugi brzeg rozlewającej się na dwa kilometry rzeki Drangosh. Patrzyła na skupisko chat i molo po drugiej stronie. Woda odbijała południowe słońce tysiącem migoczących lusterek, które ją oślepiały, ale widziała, że po drugiej stronie prawie nic się nie dzieje. Osadnicy z Kolonii opuścili te okolice całe tygodnie temu. Rzeka stanowiła granicę, ale wschodni brzeg był za wysoki do irygacji i mieszkało na nim niewielu ludzi. Handel prowadzono w dole rzeki, a droga po drugiej stronie miała podrzędne znaczenie.

Odwróciła się w stronę promu. Nie był zbyt skomplikowany, po prostu duża, płaska barka, ze składanymi trapami po obu stronach. Cała maszyna znajdowała się na lewej burcie, a stanowił ją dwucylindrowy silnik parowy napędzający wał, który przebiegał przez całą długość promu pod pokładem i napędzał dwa koła łopatkowe, jedno po każdej stronie.

- Jestem messa Suzette Emmenalle Forstin Hogor Wenqui Whitehall, pani Hillchapel - powiedziała, podchodząc bliżej do pocącego się mężczyzny w skórzanej kurtce mechanika i bawełnianych spodniach. - Mój mąż to dostojny brygadier messer Raj Ammenda Halgern da Luis Whitehall, Whitehall z Hillchapel, dziedziczny opiekun parafii Smythe i zarządca tego terytorium na mocy prawa wojennego.

Mówiła bardzo spokojnie, prawie przyjacielsko.

- Dobry człowieku, twoi pracodawcy mogą cię zwolnić i pobić. Mój mąż może natomiast cię ukrzyżować i zrobi to, jeśli łódź nie będzie wkrótce gotowa do wypłynięcia. - Każde słowo podkreślała machnięciem palca wskazującego tuż przed jego nosem. - Zro-zu-mia-łeś-mnie?

Nie znajdując słów, skinął głową i odwrócił się, wykrzykując do swoich podwładnych, by zaczęli sypać do kotła, i to szybko.

- Hmm, pani Whitehall, szmacyanym łbom naprawdę będzie łatwo przechwycić prom - powiedział oficer artylerii. - Czy nie byłoby lepiej poczekać po tej stronie?

- Nie - odrzekła. - Czas jest tu bardzo istotny. Mam pomysł.

- Skręcimy tutaj - powiedział Raj.

Pomiędzy nim a rzeczywistością pojawiła się mapa, pokazująca drogę do brzegu rzeki. Najkrótsza trasa wyróżniona była na zielono, a za każdym razem, kiedy zbliżali się do rozwidlenia dróg wśród tego poskręcane go labiryntu zerodowanych skał, właściwa droga zaczynała migotać. Ich pozycja oznaczona była jako mała kropka, mała, niebieska kropka, która stopniowo przesuwała się na północ, ciągle wyprzedzając zielone znaczki, które przedstawiały ścigających.

Kolumna skręciła w lewo, w wąski wąwóz między skałami. Za jego plecami jechał M'lewis, który położył na karku swojego psa zapasową koszulę i co jakiś czas polewał ją wodą z bukłaka. Robiło się coraz goręcej, choć temperatura nie mogła się nawet równać z tą, która panowała na górze.

- Ponie? - powiedział zaskoczony, a w jego głosie brzmiała obawa. Odgłos łap tłumiony był przez miękki piasek, leżący na dnie wąwozu. Ściany były z wysuszonego mułu, który wyglądał jak naturalna cegła, poprzątykana kamieniami.

- Tak? - odrzekł Raj, mrugając. W wyborze drogi musiał polegać na Centrum, choć nadal miał z tego powodu nieprzyjemne uczucie w żołądku.

- Ponie, jak, na ciemności, trzyma pan kierunek na tym pustkowiu? Jak tu jechaliśmy to przejeżdżaliśmy na południe od tamtych skał - skinął głową w prawo, na wschód - i na Ducha, może i tamtędy było dalej, ale jeśli skręcimy nie tam, gdzie trzeba...

Kurz unoszący się nad batalionem Kolonistów był nadal za nimi, ale niezbyt daleko. Pół kilometra na wschód ziemia nie była taka spękana.

- ... to nas wyprzedzą. - Wsadził sobie dłoń pod krawędź hełmu i podrapał się energicznie. - Widziało mi się, że dobre mam oko do terenu, ale to! Nawet nie ma mapy tej okolicy, bo wszystko się tu pieprzy każdej wiosny.

- Przyglądałem się kanionom z urwiska - odrzekł Raj. Właściwie to jestem awatarem Ducha Człowieka i anioł ze Wschodniej Rezydencji maluje przed moimi oczyma magiczną mapę, pomyślał i stłumił śmiech. Zdarzało się, że zaczynał wątpić we własne wspomnienia i wydawało mu się znacznie bardziej prawdopodobne, że zwariował w tych lochach w zeszłym roku...

- W ciemnościach, ponie? Z takiej odległości? - zaprotestował M'lewis.

- Jeszcze nie wleźliśmy w ślepią uliczkę, prawda, towarzyszu? - powiedział Raj i uśmiechnął się twardo. Oczy chorążego otworzyły się szerzej z podziwu zabarwionego odrobiną niepokoju i M'lewis odciągnął uzdę, by dołączyć do innych.

Raj przycisnął kolano do boku Horace'a, by skierować go za M'lewisem. Chwileczkę, pomyślał, czując w żołądku narastający niepokój. Jeśli Centrum może przewidzieć przyszłość...

»Prawdopodobieństwo«

... i pokazywać mi rzeczy, które wydarzyły się dawno temu i w odległych miejscach, to dlaczego nie pokazało mi tej drogi, kiedy jechaliśmy na południe? dlaczego nie pokazało mi scenariusza, w którym Koloniści budują most, żebym nie musiał wysłać patrolu i ryzykować życia? W jego pamięci odbiło się echo wystrzałów z pistoletu i wyraz oczu Foleya, który schował broń do kabury po trzeciej próbie.

»Obserwuj.«

... Iśniąca, błękitna tarcza wisiała nad czernią bardziej absolutną niż cokolwiek, co Raj widział w życiu, przetykaną tylko punktami kolorowego światła. Białe promienie przesuwają się przez błękit, a granice tarczy były rozmazane, jakby otaczały je jakieś opary. Obraz był mu tak zupełnie obcy, że dopiero kiedy błysk ostrego światła podkreślił zarysy kontynentów, Raj rozpoznał to, co widział. Ziemię...

»Bellevue.«

... z orbity.

Eden, pomyślał, sięgając dłonią do amuletu wolno jak we śnie, jak zawsze, kiedy komunikował się z Centrum.

»Moje źródła danych« mówił dalej anioł. »Moje oczy i uszy.« Świetlne punkty ślizgały się po tarczy... planecie... a po chwili punkt widzenia opadł gwałtownie ku jednemu z nich. Nieznane mu kształty paneli i tajemniczych urządzeń, aż Iśniących świętością. A potem zobaczył ich wewnątrz, a potem widział przez nie, dokładniej niż polujące z powietrza dactosauroidy lub ptaki, widział linię rzeki Hemmar i Wschodnią Rezydencję. Było to koronkowe, olbrzymie miasto z pierwszych wizji, jakie pokazało mu Centrum, miasto sprzed Upadku. Raz jeszcze miasto ogarnęły płomienie, ale tym razem jego bezcielesny wzrok skoczył znowu w górę, w sferę niebios. Dryfujące "oko" Centrum eksplodowało bezgłośnie, a jego fragmenty uleciały dziwnym ruchem, jakby nie spowalniały ich wiatr lub waga. Palce światła strzelające z planety dotykały po kolei innych "oczu" i satelity po kolei eksplodowały.

Zostałeś oślepiiony podczas Upadku? pomyślał Raj i zadrżał. Było to bliskie herezji. Żyjąca pod księżycami ludzkość została okaleczona, ale poza orbitami księżyców rządziła doskonałość.

»Do pewnego stopnia. Mam swoją bazę danych i z niej mogę ekstrapolować. Mam też wszystko, co widzisz lub kiedykolwiek widziałeś, a także zawartość umysłów wszystkich ludzi, którzy zetknęli się z moim... miejscem pobytu, pod wschodnią rezydencją.«

Zatem powiedziałem M'lewisowi prawdę, pomyślał Raj, rozbawiony wbrew sobie. Ale zaraz, pomyślał, marszcząc brwi. Nie widziałem przecież wszystkich przejść, sporządzenie mapy tych wąwozów zajęłoby całe tygodnie.

»Świadomą częścią umysłu postrzegasz tylko część bodźców zmysłowych i wiele z nich zapominasz. Obserwuj.«

\* \* \*

... noc, patrol jechał na południe. Raj zorientował się w porze po położeniu gwiazd i księżyców. Niedługo przed świtem, około trzydziestu godzin temu, znowu poczuł się, jakby widział nieco spoza swoich oczu. Tym razem patrzył ponad karkiem Horace'a na popłątany teren bliżej rzeki. Zwykłe spojrzenie, ale zatrzymało się w bezruchu, jakby narysowany ręką mistrza rysunek w perspektywie. System linii pokrył cały obraz, oznaczając kontury. Rysunek stał się trójwymiarowy i obrócił się, tworząc mapę. Raj zadrżał i raz jeszcze obejrzał się przez ramię. Jasne światło słoneczne wydawało mu się przez moment pozbawione gorąca, zimne i odległe jak wizja, dopóki nie powrócił do niego zapach kurzu i potu.

- Czy dotrzemy przed nimi do promu? - zapytał. »Niedługo przed nimi.« pauza. »Bardzo prawdopodobnie.«

\* \* \*

- Zbliży się chmura kurzu, kapitanie! - krzyknął obserwator artyleryjski, stojący na dachu maszynowni statku. - Dwie. Zbliżają się szybko.

Oficer sapnął i podbiegł do dwóch zasłoniętych płachtami materiału kształtów stojących na rampie. Maleńka wioska Kolonistów była opustoszała i kiedy tak siedzieli na wrogim terytorium, z wielkim drewnianym jęzorem rampy wystawionym na brzeg, udało im się zobaczyć w niej tylko kurczaka...

- Messa Whitehall - powiedział. - Powinnaś wrócić do maszynowni, ukryć się. - Twoja piękna dupcia musi wrócić na tamten brzeg, bo gdyby przypadkiem nas opuściła, równie dobrze mógłbym wsadzić sobie lufę pistoletu w usta.

- Nie, dziękuję, kapitanie - powiedziała spokojnie, zaciągając się papierosem, który zgasł już jakiś czas temu.

\* \* \*

- Prom tam jest! - krzyknął jeden z żołnierzy. - Udało się!

Nadal wyprzedzali pierwszych Kolonistów o dobrych dwieście metrów. Jechali przytuleni do psich karków, by stanowić jak najmniejsze cele. Karabiny trzaskały i pluły, ale trzeba by mieć diabelskie szczęście, by trafić poruszający się cel z galopującego psa. Oczywiście, jeśli się kogoś trafiło, to po prostu umierał, ale droga nie pozwalała w tym miejscu pościgowi rozsypać się w szeroką ławę, której salwa zmiotłaby uciekinierów z siodeł. Oczywiście, kiedy tylko pluton stłoczy się na ślamazarnym promie, nic nie powstrzyma ponad trzystu jeźdźców od wystrzelania ich jak kaczek na długo przed tym, nim znajdą się poza zasięgiem strzałów. A do tego pompom pędzący za Kolonialną kawalerią... Jednym z powodów, dla których armia Osadnika używała tych lekkich szybkostrzelnych dział było to, że naprawdę potrafiły nadażyć za kawalerią. A ćwierćkilogramowe pociski aż nadto wystarczą, by rozprawić się z promem nawet bez karabinów jeźdźców.

Z tego wszystkiego zdawali sobie oczywiście sprawę bardziej doświadczeni członkowie wyprawy.

- Zamknij mordę, pierdoło! - krzyknął kapral do rozentuzjasmowanego żołnierza.

- Wyjąć strzelby i kryć się, jak tylko będziemy na promie! - krzyczał Foley, stopniowo zwalniając. - Próbcujcie wykończyć załogę pompoma!

Wyrównał tempo, kiedy znalazł się obok Raja. Obejrzał się, by popatrzeć w najbliższą z krzyczących, brodatych twarzy.

- No, zawsze chciałem być popularny. Żeby za mną biegali - powiedział. Psy zaczęły zwalniać. - Ale to trochę za dużo... Zapomniałem ci o czymś powiedzieć.

- O czym? - zapytał Raj, wyciągając pistolet. Jeszcze nie, to jeszcze bardziej absurdalne niż próbować z karabinu. Podobne kule, ale dłuższa lufa dawała większą prędkość wylotową.

- Chcielibyśmy, żebyś był gwiazdnym rodzicem dziecka - powiedział Foley.

- Bardzo mi miło - odrzekł Raj.

Domy przemykały obok nich - błoto i szkielety z patyków. Prom był coraz większy i większy, ale czterometrowa przestrzeń rampy załadunkowej wydawała się absurdalnie małym celem dla trzydziestu kilku galopujących na grzbietach psów mężczyzn. Raj uśmiechnął się do siebie, kiedy pomyślał o galopowaniu w jej kierunku bez pościgu za plecami. Byłoby to straszne. Zderzenia, przewracające się psy, ludzie zdeptani lub zmiążdżeni z łamiącą kości siłą, o drewno i maszynię. Niezwykłe, w jaki sposób okoliczności zmieniały znaczenie słowa "niebezpieczeństwo".

Pościg trwał cały dzień, trwał tak długo, aż jakaś część Raja uwierzyła, że nigdy się nie skończy. Huk łap pierwszych psów na deskach rampy wyrwał go z zamyślenia i zmusił do cofnięcia się nieco w siodle. Horace zwolnił, akurat na tyle, by uniknąć zderzenia z rosnącą gromadą psów po drugiej stronie promu. Wielki statek o płaskim dnie chwiał się, kiedy całe tony kości i mięśni wskakiwały na pokład. Psy uderzały i odbijały się od siebie, kręcąc się i walcząc by utrzymać się na łapach na niepewnej powierzchni, skomlały protestacyjnie. Jeden z jeźdźców krzyknął, czując jak jego noga grzęźnie między bokiem psa a relingiem; większość ludzi miała na tyle rozsądku, by w porę wysunąć nogi ze strzemion. W maszynowni zawył parowy gwizdek, a łopatki zaczęły uderzać wodę, ubijając ją jak pianę, by wyprowadzić prom na środek rzeki.

Raj odwrócił się znowu w siodle, czując, jak mięśnie jego brzucha napinają się w oczekiwaniu na kule. Koloniści nawet nie zwalniali. Pierwsi jeźdźcy chcieli najwyraźniej przeskoczyć przestrzeń między brzegiem a burtą statku. Nie było czasu na działanie, tylko na to, by patrzeć jak Suzette (Suzette!) staje na ich drodze i unosi w górę rękę, dając jakiś sygnał.

Pod brezentowymi płachtami po obu stronach rampy schowani byli ludzie w błękitnych mundurach. Pół tuzina po każdej stronie, dość, by chwycić płachtę i odrzucić je w tył. Wszyscy pochodzili z miasta, jak większość artylerzystów. Był to jeden z niewielu rodzajów broni, w których mieszczuchy stanowiły znaczący procent wojska. Większość z nich spędzała czas na trybunach aren corridy i teraz wykrzyknęli starożytny okrzyk, odsłaniając armaty.

- Holay!

PAMM. PAMM. Jęzory płomieni, blade w świetle słońca. Rozpraszające się chmury dymu. Podwójne ładunki kartaczy, które na odległość sześćdziesięciu metrów osiągały maksymalną skuteczność. Wszystkie psy i ludzie w pierwszych czterech rzędach runęli na ziemię, jakby ktoś usunął im ją spod nóg. Setki pozostałych jeźdźców gnały dalej galopem, w niewielkich odstępach, nie chcąc opuścić rzezi po tak długim, frustrującym pościgu. Niektórym udało się sformować kolumnę, żołnierze i psy skręcali i zmieniali tempo z niezwykłą wprawą. Niektóre wierzchowce



przesadziły barykadę wijącego się, posiekanego mięsa wysokimi susami, które kończyły się w błocie tuż przy linii wody. Jeszcze więcej psów wpadło na barykadę, przewracając się i wyrzucając jeźdźców z siodeł z siłą, która gruchotała im kości na twardej ziemi.

Nad ich głowami rozległ się dźwięk przypominający dźwięk dartego płótna. Przez chwilę Raj pomyślał, że to właśnie to, że rozhisteryzowane psy za nim zaczęły drzeć płótno żaglowe, które na nie spadło. Na brzegu wykwitło drzewo błota, dość blisko, żeby krople mułu dosięgły zebranych na promie ludzi. Kolejny pocisk trafił ze śmiertelną precyzją dziesięć metrów w głąb lądu, i kolejne, wham-wham-wham, rząd potężnych, czarno-szarych gejzerów ziemi. Silniki parowe osiągnęły pełną moc i rampa ostatecznie osunęła się na brzeg. Działa strzelały stałym tempem, podczas gdy prom nabierał szybkości.

Podniósł wzrok, poszukując wzroku Suzette. I ona na niego patrzyła, z lekkim uśmiechem, tak różnym od wyuczonych publicznych gestów. Śmiertelnie poważnie podszedł do niej, wziął jej dłoń i pokłonił się, by złożyć na niej pocałunek.

- Trzy razy hura dla messera Whitehalla i messy!!!

Mężczyźni zaczęli wiwatować, unosząc hełmy w górę na lufach strzelb, a artylerzyści uderzali rytmicznie wyciorami o pokład. Nawet członkowie cywilnej załogi promu krzyczeli i rzucali w górę swoje robione na drutach czapki.

- Zamknąć się! Cisza w szeregach! - Raj trzymał żonę za rękę. Jej szczupłe palce zaciskały się wokół jego potężnej dłoni, poznaczonej odciskami od smyczy i rękojeści szabli. - Znowu uciekliśmy przed Tewfikiem. To nie jest powód do świętowania. Dość mam już uciekania przed nim. Chcę, żeby to on musiał uciekać przede mną! - uśmiechnął się. – A teraz wiwatujcie na cześć mojej żony, ile dusza zapragnie!

## Rozdział czternasty

- Panowie - powiedział Raj. - Oto sytuacja, Wasza Wielbność.

Mówiąc to, skłonił się w kierunku sysupa-biskupa Sandoralu, którego obecność na zebraniu była obowiązkowa. Znamienne, że nie pojawił się legat hrabstwa. Głowa kościoła hrabstwa i Wenner Reed byli jedynymi cywilami na sali. Oczywiście poza dwoma wodzami Skinnerów, siedzącymi w połowie długości stołu. Jeden z nich położył przed sobą swoją kamizelkę i iskał ją z wszy, które potem wkładał sobie do ust. Drugi dłubał po powierzchni starożytnego drewna stołu czubkiem noża. Obecni byli dowódcy batalionów, z których żadnego nie można było lekceważyć (niektórzy dowódcy jednostek kawalerii czuli się urażeni, że odpowiadający im oficerowie piechoty zostali w ogóle zaproszeni) i towarzysze. I oczywiście Suzette. Po tym, co się wydarzyło tego popołudnia na promie, nikt nie miał czelności, by się sprzeciwić jej obecności.

Raj patrzył przez chwilę na twarze zebranych. Oczekiwanie inwazji przez całą zimę, przygotowywanie się na nią, nie było tym samym co wiedza, że armia Osadnika przybędzie za trzy dni. Nawet teraz, w tym wysokim, chłodnym pokoju, wydawało się to bardzo odległe, nierealne w blasku zachodzącego słońca i migoczącej żółci latarni Sandoralu, które zapalano w oknach.

Trzy dni, jeśli będą mieli szczęście.

- Moje dzieci - powiedział sysup, dotykając medalionu Gwiazdy, który nosił na piersi. - Nie jestem żołnierzem. Świątynie miasta zostały opróżnione, a moi kapłani-uzdrowiciele są gotowi. Otrzymali pomoc tych, którzy nie będą walczyć, i zostali sprawnie zorganizowani przez meszę Whitehall - skinienie kształtnej głowy o pięknych rysach. - Co do reszty, będziemy się modlić.

- Messer Reed? - Człowiek wyglądający na miękkiego, jeśli tylko zwracało się uwagę na jego ciało, a nie na oczy.

- Sandoral założono jako miasto-fortecę - powiedział Reed. - Jak długo utrzyma się Sandoral, utrzyma się granica, a my blokujemy wrogowi Górne Drangosh jako drogę ataku. Mamy najsilniejszą obronę w Rządzie Cywilnym, poza samą stolicą. Niech Jamal i Tewfik usiądą tutaj i umrą z głodu, a ich armia wymrze od chorób.

Rozległy się pełne uznania szepty. Ludzie, będący u władzy w mieście, bez przerwy wydawali pieniądze na umocnienia, od ostatniego splądrowania miasta trzy pokolenia temu. Sandoral miało więcej niż mury. Betonowe bunkry chroniły podejścia do miasta, całe mile rowów z ostrymi jak brzytwa szpikulcami na dnie, potężne szańce z przestarzałymi, ale bardzo funkcjonalnymi działami,

ładowanymi przez lufę. Skinnerzy zaczęli rozglądać się wokół siebie niepewnie. Jeden wstał i zaczął wymieniać czyny swoje i swoich przodków, począwszy od ostatniego człowieka, którego zabił. Chwilę zajęło przywrócenie porządku, a Raj poczuł na sobie spojrzenia jak fala uderzeniowa wybuchu, miażdżące i skręcające.

»Obserwuj.«

\* \* \*

... a Oxheady były blisko, na północnym horyzoncie. Długi wał ziemny stał przy wejściu do doliny, powstrzymując nieustająco wody jeziora. Na zboczu wzgórza górującego nad okolicą powiewała flaga Jamala. Tym razem łopotiała wesoło, trzaskając jak grom pod niebieskim niebem, po którym płynęły białe chmurki. Szaty i brody stojących pod nią mężczyzn również poruszał wiatr. Wydawali się być w dobrych humorach. Na południu ciągnęła się wielka równina, poprzecinana nitkami kanałów irygacyjnych i plamami zbóż i sadów. Tu i ówdzie wzbijały się z niej w powietrze kolumny dymu, uginające się pod północnym wiatrem. Były skoncentrowane i gęste tam, gdzie płonęły wsie lub posiadłości, mniejsze, jeśli palono młyny wodne, albo rozproszone tam, gdzie ogień trawił sady lub zboże na polu.

Jamal klasnął w dłonie z okrzykiem. Był tęgim mężczyzną w średnim wieku, ubranym w burnus i ha'aik bez wyszukanych ozdób, czarny i biały jedwab azaniański, i nie nosił broni, poza sztyletem, którego zakrzywiona, wysadzana drogimi kamieniami pochwa zatknięta była za pas. Wyglądał niemal na ubogiego w porównaniu do pawiego przepychu amirów i generałów, którzy stali za nim, albo do kolorowych dywanów, na których stali. Wszyscy mieli pióra przypięte do turbanów spinkami z rubinami i opalami, a słudzy trzymali parasole, na których materiale wyszyto perłami i lapisem wersety z Koranu.

- Tyle pożarów! - roześmiał się Osadnik. - Byliśmy nieostrożni, moi synowie. Uprzejmie byłoby zrobić co w naszej mocy, by je ugasić.

Dwaj młodzi ludzie we wspaniale zdobionych szatach skinęli głowami i roześmiali się wraz ze swoim ojcem. Ali, drobny i nerwowy, z tikiem w kącie oka, i Akbar, który głaskał się po koziej bródce pulchną dłonią. Kawalek dalej stał Tewfik, ubrany w czerwony mundur swojego wojska. Jego mina przywodziła na myśl zaciśniętą pięść, ale to on wydał gestem polecenie umundurowanym inżynierom. Imam uklęknął i zaczął się modlić, skierowany w stronę Sinar, a inżynier zaczął kręcić korbą. Lawina kamieni i ziemi runęła na środku tamy, która ugięła się pod potężną masą wody płynącej z gór. Od skalistych ścian odbił się echem huk, a ziemia zadrżała. Potem tama przepuściła

pierwsze strumienie wody, piękne i niebezpieczne, których pył wodny przerzucił ponad wąwozem tęczę.

Tama ugięła się przed ich siłą niczym zamek z piasku.

... zaciemnionymi zaułkami Sandoralu jechał wózek ciągnięty przez mężczyzn ubranych od stóp do głów tak, że widać im było tylko oczy w szparach pozostawionych w materiale. Często się zatrzymywali, chociaż w ich wózku leżało tylko kilka ciał.

- Wynieście zmarłych! - wołał jeden, kręcąc drewnianą kołatką. - Wynieście zmarłych!

Artyleria huczała, rozbłyski wybuchów widać było ponad dachami budynków, bo w mieście nie było innych świateł. Nic, poza pomarańczową poświatą nad budynkiem, który spłonął do fundamentów. Mężczyźni ciągnący wózek przeszli obojętnie obok niego. Podobnie jak ludzie, którzy wyszli z domu, niosąc między sobą małe zawiniątko.

- Wynieście zmarłych!

... w rowie przy drodze leżał mężczyzna. Była wiosna, i za linią drzew kwitły winogrona. Pod nimi wprost z gliny rosła trawa. Mężczyzna był bardzo chudy, kiedy zmarł. Ktokolwiek wyciął mu ciało z ramion i nóg, musiał ciąć aż do kości, by w ogóle się pożywić. Sądząc ze śladów, ten ktoś stracił szybko cierpliwość i zaczął żuć pokarm na miejscu.

\* \* \*

Raj zamrugał, a twarze przed nim odzyskały ostrość. Uśmiechy u kilku towarzyszy, parsknięcia lub pełne powątpiewania spojrzenia innych dowódców batalionów, którzy słyszeli już o zdarzających mu się chwilach zamyślenia. Wzruszył lekko ramionami. Na Ducha, wizja pola bitwy była już dość niepokojąca...

- Nie, panowie - powiedział, rozkładając mapę na sztalugach. - Obserwujcie. - Postukał miejsce oznaczone jako miasto Sandoral. - W tym hrabstwie mieszka prawie milion ludzi... - a prawdopodobnie więcej, bo nikt nie lubił urzędników z ministerstwa finansów, którzy przeprowadzali spisy ludności - ... z których nie więcej niż siedemdziesiąt tysięcy mieszka w samym mieście Sandoral. To nie handel prowadzony przez fabryki stanowi o wartości miasta, to fakt, że utrzymuje ono Górne Drangosh w rękach Rządu Cywilnego. - Wskaźnik powędrował w dół rzeki. - Kiedy Tewfik przybędzie tu z Armią Południa, Koloniści będą mieli ludzi więcej niż trzeba, by

dokładnie zablokować Sandoral, a potem wypalić sobie drogę na północ obok nas, podczas gdy jedyna armia polowa Rządu Cywilnego będzie siedziała i jadła własne buty. Za kilka miesięcy psy trafiłyby do garnków. - Nie tyle po to, by nakarmić mieszkańców, lecz dlatego, że jadły więcej niż tuzin ludzi. - I w ten sposób zamkniemy sprawę strategicznej mobilności. Prawda jest taka, że Koloniści są tutaj bliżej zaopatrzenia... - poprowadził wskaźnik do Al-Kebir - ... niż my - i przesunął go dwa tysiące kilometrów na wschód, do doliny Hemmar i wybrzeża półwyspu. - Ziemia na północ od Sandoralu to jedyny gęsto zaludniony i produkcyjny obszar, który może wspierać linię obrony. Jeśli ich tam wpuszczymy, Koloniści będą mogli czekać, aż miasto się podda, nie licząc się z upływem czasu. A wątpię, byśmy zdołali utrzymać ich na południe od Oxheadów lub na zachód od Komar. Całe stulecia trwałaby odbudowa tego, co by zniszczyli, o ile w ogóle byłoby to możliwe.

Wziął głęboki oddech i zamknął na chwilę oczy, by otworzyć je z olśniewającym uśmiechem, przez który prawie się wygłupił.

- Mam za zadanie bronić tej granicy. Jedyнным sposobem jest usunięcie groźby, jaką stwarza polowa armia Kolonistów, działająca na terenie Górnego Drangosh. A to oznacza spotkanie z nią poza murami i ostateczne jej zniszczenie.

Poruszenie, krzyki, wiwaty z ust młodych towarzyszy, powolne skinienie głowy Jorga Menyeza. Suzette popatrzyła na niego, a w jej oczach lśniły wzbierające łzy. Okrzyki przerażenia z ust większości zebranych. Raj podniósł rękę, prosząc o ciszę, ale wielu z obecnych odbierało własne wizje. Ucieczka, z wyciem kawalerii Kolonistów za plecami, jak sądził. Śmierć, kalectwo, niewola.

- Cisza! - krzyknął.

- UWAGA NA ROZKAZY!!! - ryk Da Cruza uciszył ich skuteczniej niż wystrzał z pistoletu. - Dowódca powiedział "cicho", messerowie - łagodniej dodał da Cruz. - Ponie...

- Dziękuję, mistrzu sierżancie. Tak, messer Reed?

Reed pochylił się w przód.

- Ale powiedziałaś, że znacznie przewyższają was liczebnością. To samobójstwo!

- Nie, jeśli uważnie wybierzemy pole i zatroszczymy się, by wróg do nas przyszedł.

Oczy dowódcy milicji zwężyły się: nie ze strachu, pomyślał Raj, ale w takim spojrzeniu, jakie posyła się wrogowi.

- Jak? - zapytał.

Raj uśmiechnął się ponownie, przeniósł ciężar ciała na palce, i zgiął wskaźnik w dłoniach.

Modlą się o pieprzony cud, pomyślał. A na głos powiedział - Messerowie, nie mam zamiaru przyjąć bitwy manewrowej w otwartym polu... nie, mając za przeciwnika siły o jedną trzecią liczniejsze i bardziej mobilne. Zamiast tego - odwrócił mapę, pokazując inną część okolic miasta - mam zamiar okopać się na zachód od miasta. Nawet, jeśli mają trzydzieści tysięcy ludzi, Tewfik i Jamal nie mogą rozciągnąć się tak, by objąć jednocześnie armię polową i miasto. Nie mogą też zostawić piętnastu tysięcy zorganizowanych żołnierzy na własnych tyłach, ani miasta ze statkami parowymi i wodną trasą zaopatrzeniową. Jeśli przesunę się na zachód od miasta, to muszą zniszczyć armię Górnego Drangosh albo zepchnąć ją za mury, zanim ruszą dalej.

Jeden z dowódców batalionów podniósł rękę: Beltin, 12. Rzeźników z Rogor.

- Dowódco, jeśli rozciągniemy linię wojsk tak bardzo, by nie mogli jej obejść, będą mogli się przebić. A jeśli ją wzmocnimy, będą mogli ją obejść. Nawet okopani, nie będziemy mieli dość ludzi.

Raj skinął głową.

- Czas, miejsce i siła, panowie. Wiecie, jaki jest teren w pobliżu rzeki. Nie do przebycia i coraz gorszy, im dalej na północ. Co więcej, na północy są forty, w których zainstalowano wielkie działa, mogące zniszczyć wszystko, co przepływa obok nich. Kontrolujemy dzięki nim rzekę. To dlatego budują most sześćdziesiąt kilometrów stąd. Będą musieli maszerować, przez każdy metr drogi stale oddalając się od brzegu rzeki. Dwadzieścia, trzydzieści tysięcy ludzi, może czterdzieści... ale nie straszmy nikogo... tyle samo zwierząt, z których każde musi jeść i co ważniejsze pić, moi przyjaciele. I to częściej niż raz dziennie. Ile tysięcy litrów zabiorą ze sobą od brodu? To... - wskaźnik nie wystarczał, odrzucił go więc na stół i już palcem pokazał wyschnięte koryto rzeki na południowy zachód od miasta - ... właśnie tutaj się okopimy. Nieprzebyty teren po naszej lewej. Bardzo ciężki po naszej prawej, a źródło zapasów zaledwie pięć kilometrów za nami, w mieście, a także droga ucieczki, gdyby stało się najgorsze. Jeśli pójdą na zachód, skomplikują sobie bardzo sprawę zapasów i wystawią nam swoją flankę. Jeśli będą czekać, w porządku, to my się bronimy.

- Oczywiście - dodał - musimy wzmocnić siły obronne jak tylko się da. Zabierzemy z miasta każdą możliwą do przeniesienia armatę... - Reed wstał na równe nogi, a na jego twarzy malowało się prawdziwe przerażenie. Raj patrzył na niego przez chwilę, uśmiechając się złowrogo. Proszę. Daj mi powód, nawet nie będę musiał cię wyprowadzać, żeby zastrzelić cię z przyczyn osobistych, proszę, daj mi jakiś powód. Głowy towarzyszy skierowały się na Reeda jak wieżyczki strzelnicze. Cywil przełknął ślinę i usiadł z powrotem na krześle.

- ... i zabierzemy ją na polowe fortyfikacje. Będą mi towarzyszyć artylerzyści milicji. Pozostali milicjanci będą strzegli murów. Wszyscy uchodźcy w mieście... - sęczyli się do niego od tygodni - ... wszyscy sprawni na ciele, a nie należący do milicji ani do drużyn medycznych, zostają niniejszym

uznani za siłę roboczą. - Wyjął zegarek. - Spodziewam się, że zaczniemy za dwie godziny. Jakies pytania?

- Panie - znowu Menyez, marszczący brwi nad swoimi notatkami. - Panie, będziemy potrzebować dachu nad linią okopów. - Szrapnele mogły zamienić otwarty okop w rzeźnię, a działa i psy były jeszcze czulsze na ich działanie. - Drewno, panie.

- Jest go dużo na zboczach Oxheadów - powiedział Raj i roześmiał się na głos, widząc miny zebranych. - I spławia się je rzeką od długiego czasu, by stawiać budynki, panowie. Teraz trzeba je będzie wyjąć. - Reed wyglądał na chorego. Właśnie miał stracić znaczące źródło dochodów, nawet w razie wygranej.

Zapadła cisza, a Raj pochylił się do przodu i oparł o stół.

- Messerowie - powiedział, celowo ścisząc głos, by wszyscy zebrani pochylili się w jego stronę. - Wszyscy jesteście wojownikami, co gorsza, wielu z was to kawalerzyści... - krótki śmiech - ... więc wychowaliście się na opowieściach o zwycięstwie. Eleganckim zwycięstwie, w którym ktoś uderza na flankę, dowódcy puszczają nerwy, i szaleńcza szarża przebija się przez linię wroga. - Przenosił wzrok z jednej twarzy na drugą. - Takie przypadki są jak dwugłowe psy. Zdarzają się, ale nie ma co na nie liczyć. Zwykle jedna ze stron ma znaczącą przewagę, w liczebności, uzbrojeniu, morale, wyszkoleniu lub dowództwie. - Stuknął lekko pięścią w blat stołu. - Nie walczymy z barbarzyńcami. Walczymy przeciwko dużej, twardej armii, dobrze wyposażonej i wyszkolonej. Przeciw ludziom, którzy nie lękają się śmierci, którzy uczyli się w twardej szkole. Użyję każdego podstępku, każdej szansy na zaskoczenie ich, jaką będę miał, ale sztuczkami i zaskoczeniem tej bitwy nie wygramy. Jest... - przerwał, marszcząc brwi w poszukiwaniu odpowiednich słów - jest pewna brutalna prostota w większości starć równych mniej więcej sił. My właśnie będziemy walczyć w takiej bitwie, a naszą jedyną prawdziwą przewagą nad nimi będą linie obrony i pozycja. Nieprzyjaciel przyjdzie do nas, a my zaprzemy się stopami o ziemię i systematycznie będziemy tłuc go na śmierć. Zabijać, ciągle zabijać, aż ich serca ugną się, aż zaczną uciekać. I wtedy zakończymy naszą misję i pozostawimy prowincję bezpieczną.

Długa cisza, w której nawet Skinnerzy poczuli uroczystość chwili. Głos Raja był spokojny.

- Messerowie, Duch Człowieka Gwiazd jest z nami. Wiem to. Wiem, jakbym miał wizję. Ale Duch działa przez upadłych, niedoskonałych ludzi. Przez nas. Zróbmy więc co w ludzkiej mocy i wycierpmy to, co będzie trzeba. - A potem dodał głośniejszym głosem - Spotkanie zakończone!

Przeciągły huk walącego się muru obudził dziecko śpiące na piersi Fatimy. Uspokoila je, patrząc ciągle na ulicę, przy której znajdowały się kwatery oficerów. Jej miała być ostatnia. Żołnierze i wyznaczeni cywile ruszyli, zanim jeszcze opadł kurz. Cegły błotne były bardzo wytrzymałe gdy podlegały naciskowi, ale pozbawione go rozsypywały się w ziemię, z której je zrobiono. Mieszczanie krzyczeli, rozbijając kawały gliny motykami, łopatami i kilofami. Descotczycy zarzucali lassa na końcówki belek stropowych, zawiązywali końcówki lin o łąki siodeł, i wyciągali na ulicę długie deski z drewna sosnowego. Psy, cofając się, chowały ogony między łapy. Pochodnie oświetlały twarze mężczyzn, którzy sapali i jęczeli, schylając się razem, podnosząc belki i rzucając je na wozy.

Była czwarta nad ranem. Dziwne, pomyślała, że ulice są jasne jak w dzień, kiedy wszyscy powinni spać. Lubiła te momenty między karmieniami, kiedy leżała w milczeniu i wsłuchiwała się w oddech mężczyzn... dziwne było też, że ciągle przebywała z mężczyznami, po tylu latach spędzonych w kwaterach kobiet. Otarła z kącika oka łzę.

- Dlaczego się smucisz, Fatimo? - zapytała Damaris Tinnisyn, rzucając kolejne zawiniątko na wóz. Mieszkanie Kaltina Grudera znajdowało się obok Staenbridge'a i kobiety dzieliły przykry obowiązek przenoszenia swoich rzeczy do świątyni.

Zatrzymała się, by popatrzeć tęsknie na twarz dziecka, a dwie pozostałe konkubiny stanęły za jej plecami i zaczęły gaworzyć do malucha. Wszystkie były o kilka lat starsze niż Arabka, ładne, choć o surowych twarzach.

- Czy on naprawdę go adoptuje? - zapytała Zuafir. Fatima skinęła głową.

- Papiery już są gotowe - odrzekła z satysfakcją. W dokumentach prawnych była jakaś... solidność. Potwierdzone notarialnie kopie miała zaszyte w pasie na pieniądze, razem z dokumentem stwierdzającym, że jest wolnym człowiekiem. Barton i Gerrin bardzo na to nalegali. - Raj... messer Whitehall i jego pani zostaną rodzicami gwiazdowymi.

Zazdrość kobiet była przyjazna, nie było w niej wrogości, która mogłaby się pojawić, gdyby kobieta używała swej pozycji by się nad nie wywyższać. Żona gubernatora Barholma zaczynała jeszcze niżej niż one, jako zwyczajna prostytutka, a nie oficjalna kochanka. Była to jednak opowieść z bajki, jak o Dzinie i jego lampie, o wozach które latały, czy o skrzynce z której wylatywały zdjęcia. Mężczyźni nie żenili się z kobietami, które poznawali na wojnie. Szczęście Fatimy oznaczało, że będzie ona miała szanowane miejsce przez całe życie, a jej syn będzie szlachcicem. Był to uśmiech losu, o którym śniły, oszczędzając każdy grosz na posag, dzięki któremu mężczyźni byli gotowi zaakceptować pewne rzeczy, albo gromadząc kapitał, by pewnego dnia otworzyć sklep.



- To dlaczego jesteś smutna? - zapytała Aynett. Wóz ruszył, a one poszły za nim; wszystkie będą pracować w szpitalu. Podążając za wojskiem zdobywało się praktyczną wiedzę na temat ran i ich leczenia. Piąty troszczył się o nie, ale wymagał w zamian czegoś więcej, niż leżenia na plecach.

- Ja tam szczęśliwa - powiedziała cicho Fatima. - Nikt mnie nie bił, nie poniżał, nie mówił, że ja głupia, niepotrzebny pomiot Szaitana. Mój własny dom. - Podniosła głowę. - Módlmy się do Alla... Ducha Gwiazd, żeby nasi mężczyźni wrócili zdrowi i zwycięzcy.

\* \* \*

- I dwa w tył! - krzyknął Jorg Menyez, patrząc przez lornetkę okiem mierniczego. Szeroka dolina, w której miały się okopać wojska Rządu Cywilnego, wydawała się w świetle księżyca biało-czarno-pomarańczowa.

Drużyna żołnierzy stanęła wzdłuż linii wyznaczonej przez sznurek i zaczęto wbijać kolejne kołki. Menyez wyprostował się, zakładając ręce za plecy. Było chłodno, jak zawsze w wiosenne noce, a gwiazdy lśniły na niebie jasno. W hrabstwie Kelden niebo było tak kryształowo czyste tylko zimą. Latem było zawsze miękko rozmazane, a powietrze pachniało koniczyną i przesiąkniętą rosą ziemią. Był to bogaty kraj ze spadzistymi wzgórzami, sadami i gęstymi lasami dębowymi, zupełnie inny niż ta kraina na południe od Oxheadów. Tutaj widać było same kości ziemi, a ziemie uprawne były tylko tam, gdzie stworzyli je ludzie. Pustynia czekała, by zasypać piaskiem kanały i gorącym wiatrem zdusić owoce ich pracy i odwagi.

- A połowę naszych sił poświęcamy na zabijanie się nawzajem - mruknął.

- Jorg? - powiedział Raj, podnosząc głowę znad stołu z mapami. Zebrali się wokół niego oficerowie, notujący szybko ważniejsze sprawy, od czasu do czasu odchodzący na chwilę, by sprawdzić ukształtowanie terenu.

- Przyszło mi do głowy, że powinniśmy mieć stałe korpusy inżynieryjne, tak jak Koloniści - odrzekł Menyez, zawstydzony nieco swymi zupełnie nie wojskowymi myślami.

- Hmm, są argumenty za i przeciw - odrzekł dowódca. - Mamy większą elastyczność, ucząc wszystkich podstaw. Ale mam szczęście, że się nad tym zastanawiasz. Zbyt wielu oficerów mojej kawalerii mogłoby być szlachcicami w Eskadrze lub Brygadzie, którzy nie interesują się niczym, jeśli nie można tego wypić, zapolować, ujeździć albo zerznąć. No dobrze, tu macie rysunek schematyczny i w perspektywie.

Dolina biegła z północnego zachodu na południowy wschód, łącząc pofalowane wzgórza z

osypiskami i pustkowiem, które ciągnęło się aż do rzeki. Woda płynęła tędy tylko dwa miesiące w roku, ale i tak zostawiła szeroki pas piasku, wijący się na dnie obniżenia. Za nimi było łagodne wzniesienie, na szczycie którego zbudowano miasto, przed nimi długi, łagodny stok, który kończył się niskim grzbietem wiele kilometrów dalej.

- Z góry wygląda to tak. - Palec Raja wykreślił szerokie V, którego czubek mierzył w kierunku wroga. Ramiona różniły się nieco długością. - Dwa koma pięć kliknięcia na lewo, dwa koma dwa na prawo. Z tej strony jest łatwiej podejść, więc bok ma być lepiej chroniony. Dokładnie tutaj - postukał palcem w czubek V - będzie stanowisko dowodzenia, szaniec i miejsce stacjonowania Piątego. A także połowa artylerii, ciężkie armaty z miasta. Resztę dział z murów, siedemdziesiątki piątki i haubice połowe rozmieście wzdłuż skrzydeł, w równych odległościach, poza... - pokazał samą końcówkę prawego skrzydła - ... tym miejscem. Chcę tu mieć sześć haubic wymierzonych w wąwozy na naszej flance, gdyby Koloniści okazali się sprytni. Umieszczę tam również pograniczników - dwie setki tych ludzi pokazały się jakiś tydzień temu.

- Cholera - dodał. - Nie wiem dlaczego, ale od kiedy poprowadziłem Piąty na El Djem, te szalone sukinsyny ze wzgórz Komar chyba mnie lubią.

- A teraz: cała kawaleria, poza Piątym, ma się znaleźć w drugiej linii, jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt metrów za pierwszą, tyle, żeby mieli swobodne pole ostrzału ponad głowami pierwszej linii. Psy ukryjcie zaraz za nimi. A za tym wszystkim usypcie wał ziemny i zróbcie za nim drogę, nic wymyślnego, niech tylko łączy ramiona V. I okopy komunikacyjne między wszystkimi pozycjami.

- To strasznie dużo kopania, Whitehall - powiedział Menyez.

- Masz piętnaście tysięcy żołnierzy i trzydzieści tysięcy cywilów - odrzekł Raj. Wszyscy odwrócili się i spojrzeli w górę zbocza, na światelka i poruszenie na drodze z Sandoralu. Wszędzie płonęły pochodnie, a z wozów wyładowywano drewno.

- Co więcej - mówił dalej Raj - chcę mieć tu rozsiane dziury, jakieś dwieście metrów w górę przeciwnego stoku... - pokazał gestem - ... około trzydziestu. Pochylone w kierunku naszych szanownych przeciwników brudasów, na tyle duże, by pomieściły stulitrowe beczki, wiecie, takie w jakich trzyma się tu olej i wino.

- Nie masz wielkich wymagań, co? - roześmiał się Menyez.

- Chcę zwycięstwa - powiedział stanowczo Raj.

Starszy mężczyzna odwrócił wzrok.

- Powiedz - zapytał nagle - co byś zrobił, gdybyś to ty był Jamalem albo Tewfikiem?

- Zostałbym w domu pod jaśminem, popijał kawe, a kobiety z haremu wrzucałyby mi obrane winogrona do ust - odrzekł natychmiast Raj. Stojący za nim oficerowie zachichotali. - A gdybym miał teraz atakować? mniej więcej to, co oni robią w tej chwili. Nie ma, prawdę mówiąc, dla tego alternatywy, jak długo to my mamy Sandoral, armię rozsądnej wielkości, i kontrolujemy rzekę, czego im się nie uda zrobić, bo mamy lepsze łodzie. Oni mają lepszych inżynierów, my mamy lepszych mechaników... Cieszę się jednak, że to Jamal dowodzi.

- Dlaczego? - zapytał Gerrin, przerywając szeptaną naradę z Kaltinem Gruderem.

- Tewfik to szermierz. Finta, finta, i już nie masz głowy. Jamal... studiowałem jego kampanie na wschodzie i przeciwko Zanj. Korzysta z metody młota. Podchodzi i zaczyna walić. Jeśli młot mu pęknie, posyła do magazynu po większy.

- Miejmy nadzieję, że tym razem nie będzie miał wystarczająco dużego...

- Przynajmniej tym razem - powiedział zamyślony Raj.

\* \* \*

- Co ty robisz?!

Głos rozległ się z jednego z okien. Antin M'lewis podniósł nad głowę lampę karbidową. Dom był duży, z jedynym oknem wysoko nad wielkimi, obitymi mosiądzem drzwiami. Dochodził do niego odgłos wody, przelewającej się w fontannie na dziedzińcu.

- Czy to dom messera Bougiva Asseda? - zapytał, wiedząc że ma za plecami dwa szwadrony i lekki wóz, który kiedyś należał do oficera.

- Tak! A messer nie będzie zadowolony z tego najścia!

- Pieprzę go - powiedział bez skrępowania M'lewis. - To tutaj, chłopaki.

Żołnierze zeskoczyli z siodeł, a jeden zaczął łomotać do bramy.

- Zamknęli, chorąży! - powiedział.

- Ty, niewolnik! - krzyknął M'lewis do okna. - Chodź no na dół i otwórz!

- Ni ma mowy! - oburzenie przemogło strach.

- Ta... Słyszeliście sukinsyny, co gnojek powiedział - rzekł M'lewis.

- Ta jest, chorąży - powiedział żołnierz, przysuwając lufę karabinu do zamka. - Uwaga na rykoszet!

Pozostali przyciągnęli psy do ścian. Karabin wypalił z “czung-ping!” rozdieranej stali. Kawałki miękkiego ołowiu i potrzaskany metal zabrzączały o bruk. M’lewis zsiadł z psa, wyjął broń i kopniakiem otworzył drzwi, wyłamując zniszczony zamek.

- Zawsze żem chciał to zrobić - powiedział, błyskając złotym uśmiechem. - Znaczy się wykopnąć messerowi drzwi.

- Nudno tak ciągle grzebać wytrychem, co? - zapytał jeden z żołnierzy. Ustawili się w kolumnę i ruszyli za M’lewisem, rozglądając się po rzeźbionych ścianach i zgromadzonych w środku bogactwach.

- Hoho, Duchu! - gwizdnął M’lewis. Byli w Descott szlachcice z dziesięcioma tysiącami akrów, którzy nie mieli nawet połowy tego. Oczywiście w domu bogactwo liczyło się w żywym inwentarzu, psach, wojownikach, broni i mocnych murach. Wszystko to trudno było ukraść... Descotczykowi. - Nie, już nie potrzebuję wytrychów. Wasze żony i córki spuszczają mi z okien liny. Nieźle się zawsze zmacham, zanim się wezmę do kradzieży.

Po schodach zszedł do nich tęgi mężczyzna w drogiej koszuli nocnej. Idący za nim strażnicy z latarniami i pistoletami w dłoniach zatrzymali się, widząc tuzin żołnierzy w hełmach, rozglądających się po przedpokoju.

- Jestem messer Assed - powiedział arystokrata, z trudem opanowując wściekłość. - Za kogo się uważasz, żołnierzu, włamując się tutaj?! Twój oficer każe cię wychłostać, wychłostać!

- Wątpię - powiedział spokojnie M’lewis. Cały czas uśmiechał się szerokim, przyjaznym uśmiechem, nawet wtedy, kiedy odbezpieczył karabin i oparł jego lufę o brzuch szlachcica. - To też zawsze żem chciał zrobić... No to teraz to ja jestem facet ze spluwą, a co do mojego oficera, to sam mnie tu przysłał. Po jakiś - spojrzął na kartkę, którą miał wepchniętą za pasek - e-lek-try-czny ge-ne-ra-tor. Zanim - dodał rozpromieniony - zaczniemy rozbierać ten budynek na drewno. - Mrugnięcie. - Ale niech się szanowny messer nie martwi. Mamy rządowe kwity, o tutaj.

\* \* \*

- Ostrożnie, dupo wołowa - powiedział da Cruz.

Pojemnik, który zdejmowali z wozu, był wyższy niż człowiek i szeroki na swą podwojoną wysokość. Nawet dla sześciu żołnierzy ciężkie naczynie z terakoty było ciężkim orzechem do zgryzienia. Do niedawna napełnione było oliwą, a teraz zarówno zapach, jak możliwość pewnego złapania któregoś z uchwytów, były absolutnie nie do przyjęcia.

- Trzymacie? - zapytał, zaglądając do dziury. Wykopano ją w mule na dość stromym zboczu, a przed zapadnięciem się chroniła ją wiklinowa siatka podparta kijami. Stojący w niej mężczyzna był artylerzystą, co można było poznać po ciemnoniebieskich spodniach z czerwonym lampasem wzdłuż szwu, a także po pogardzie dla każdego, kto próbował zgłębić tajniki jego kunsztu.

- Mmm-hmm - mruknął artylerzysta. - Tak będzie dobrze. - Podniósł głos tak, by usłyszano go na górze. - Murchyzen, rusz swój bezużyteczny tyłek i rzuć mi tu kabel.

Z dziury prowadził w dół zbocza rów głęboki na łokieć. U jego szczytu widać było końcówkę drewnianej rurki, która sterczała z dna wielkiego dołu. Inny artylerzysta kucał, palił papierosa, i przyglądał się cywilom i żołnierzom z radością, którą czuje każdy wojskowy, kiedy to kto inny musi pracować. Teraz wstał i ostrożnie podniósł zwój kabla. Były to splecione miedziane druciki, na zewnątrz pokryte roślinną gumą, lśniącą i giętką, a w tym upale również trochę klejącą. Jakiś metr na końcu został obdarty z izolacji i rozpleciony w wachlarz metalicznych nitek, z których każda oplatała pół tuzina dużych spłonek uderzeniowych, takich, jakich używało się do odpalania dział ładowanych przez lufę. Artylerzysta potrząsnął nimi, i rozbrzmiał dźwięk jakby ktoś grał na sistrum.

- Znowu się opieprzasz, Murchyzen? - zapytał niecierpliwie mężczyzna z dołu.

Da Cruz spojrział na detonatory z nienawiścią. Pracował w młodości jako kamieniarz. Do dnia, kiedy jego ojca rozerwał na strzępy źle założony ładunek. Potem znaleziono jego buty, ciągle z kawałkami łydek i stopami w środku. Ale dowódca rozkazał, by dopilnował poprawnego założenia fugasów, więc na Ducha, zajmie się tym.

- Podaję - powiedział artylerzysta, owijając detonatory kawałkiem szmatki i spuszczaając kabel w dół drewnianą rurą. Choć cały czas zachowywał się swobodnie, z kablem radził sobie z mistrzowską, zgrabną delikatnością. Mistrz sierżant wychylił się za krawędź dołu, żeby zobaczyć, co robi żołnierz na dole. Kiedy tylko owinięta szmatą końcówka kabla pokazała się na dole, mężczyzna rozłożył druty na kształt korzeni drzewa na płótnie, które leżało u jego stóp, przypinając je do ziemi kawałkami zgiętego drutu. Kiedy skończył, sapnął z satysfakcją i krzyknął przez ramię - Teraz proch! - Dziesięć kilogramowych bawełnianych worków z gruboziarnistymi ładunkami. Gwiżdżąc pod nosem, artylerzysta rozcinał po kolei worki bagnetem, a potem odwracał je i ostrożnie wysypywał zawartość w odpowiednie miejsca. Kiedy skończył, pogłaskał nierówną powierzchnię i, chwytając się wiklinowej konstrukcji, wy dostał się na górę.

- Trzeba tyle detonatorów? - zapytał da Cruz, podając mu manierkę.

Artylerzysta był żyłastym mężczyzną około czterdziestki. Pochodził z wyspy Chongwe, sądząc po akcencie, i miał blond włosy, które kontrastowały z karnacją niemal tak ciemną jak skóra

Descotczyków. Przepłukał usta i wypluł, a potem wylał sobie połowę zawartości manierki na głowę, mieszając wodę z potem, który kreślił jaśniejsze linie na brudnej piersi.

- Nie - odrzekł. - Dwa albo trzy by wystarczyły. Ale tak se myślę, co mi tam, mamy ich dużo, dlaczego nie skorzystać?

Spojrzenie niebieskich oczu napotkało wzrok oczu czarnych, a da Cruz skinął głową z aprobatą. Jedną z rzeczy, których można się było nauczyć na służbie, to to, że rzadko opłacało się być subtelnym, i że nigdy nie bolało, gdy się kopnęło odrobinę mocniej niż było trzeba, tak na wszelki wypadek.

- Włóżmy to - powiedział da Cruz, kiedy tylko sierżant artylerii złapał oddech. Nawet jeśli się nienawidziło materiałów wybuchowych, prawdziwą przyjemnością było oglądanie profesjonalisty przy pracy. Cywile, których zaangażowano do tego zadania, rozładowywali beczki i dzbany, których zawartość przeleje się później do kotła, tworząc ładunek ogniowego fugasa. Płynny bitumin, smoła, nafta, siarka i gęsty, zielony, ohydnie śmierdzący olej otrzymywany z tłustych ryb.

- To jedno z moich ulubionych zajęć, wkładanie - powiedział sierżant. Żołnierze przyciągnęli olbrzymi pojemnik na skraj dołu.

- Ach, przyjaciele. - Podnieśli głowy. - Wiecie, wokół prochu jest usypana ziemia, więc nawet jeśli upuścicie, to nie powinno wałać tak mocno, żeby wybuchło, ale mimo to fajnie by było, jakbyście to położyli bardzo, bardzo ostrożnie.

\* \* \*

- Zadziwiające!

Raj wyszedł z bunkra i rozejrzył się. Przez rozkopaną ziemię linii okopów zbliżał się do nich jakiś człowiek. Wysoki, wzrostem równy Rajowi, ubrany w drogi bawełniany strój w kolorze khaki i zawijane wokół czoła nakrycie głowy. Około pięćdziesiątki, z piętrem wyciśniętym na skórze przez wiatr i słońce, i z brodą o kolorze soli z pieprzem. Wysoko na prawym biodrze nosił pistolet, a pod lewą ręką miał ramię Suzette. Ona miała z kolei na sobie wyszukaną, dworską sukienkę do jazdy konnej, uzupełnioną wielką peruką ze złotych loków.

- Messer Falhasker - powiedział Raj neutralnym tonem. Wątpliwym jednak było, czy mężczyzna zasługiwał na tytuł. Był bogaty bogactwem samodzielnie zdobytym, nie odziedziczonym, w dodatku zarabiał głównie na handlu. - Dzień dobry messer, dziękuję za twoją pomoc. - Która była rzeczywiście cenna. Kupiec przekazał wszystkie swoje łodzie rzeczne do pomocy przy budowie,

oddał każdy skrawek płótna żaglowego z magazynów na worki, a nawet kazał je szyć setkom kobiet, które na co dzień tkwały i przędły doskonałą bawełnę, którą później sprzedawał w delcie Drangosh. Delta była sercem Kolonii, a także miejscem urodzenia matki Falhaskera, która była córką wpływowego domu kupieckiego z Al-Kebir... rodziny wpływowej politycznie. Koloniści nie podzielali uprzedzeń, które w Rządzie Cywilnym żywiono w stosunku do kupców.

- Wszyscy tkwimy w tym razem - powiedział kupiec. Suzette lekko ścisnęła jego ramię. Skinął głową, rozglądając się wokół siebie. - I to wszystko w dwie noce i jeden dzień! - mówił dalej. - Chciałbym potrafić zmusić ich, by dla mnie pracowali chociaż w połowie tak ciężko. A ja im przecież płacę.

Czterdzieści tysięcy par rąk pracowało od trzydziestu godzin. Pięciokilometrowy odcinek wysuszonej doliny wyglądał jak ogród nawiedzony przez krety o zapędach geometrycznych. Skończono już pierwszą fazę kopania okopów, linii których miała bronić piechota, a także forty za nimi, z których kawaleria miała zapewniać wsparcie ogniowe, zablokować atakujących lub ruszyć w pościg. Rozmieszczone w równych odstępach półkola, połączone zygzakującym okopem, oznaczały miejsca rozmieszczenia dział. Szaniec, który miał stanąć w środku, był jeszcze po prostu głębokim dołem, głębokim prawie na dwa piętra. Platforma bojowa będzie miała również piwnicę. Nawet kiedy podawano belki, które miały wzmocnić podłogę, na dolnym poziomie składano proch i kule.

Ustawiono tymczasowe rampy, po których żołnierze i cywile spuszczaali ostrożnie działo, ciągnąc ze wszystkich sił za pajęczynę lin. Działo było jedną z defensywnych broni miasta, trzymetrowa rura z czarnego, odlewanego żelaza, na kołach wyższych niż człowiek, wyrzucająca trzydziestokilogramowe pociski. Przepchnięto je kilka ostatnich metrów i usadowiono z hukiem na zachodzących na siebie belkach podłogi szańca. Z tyłu rozległ się kaszłący dźwięk silnika, kiedy jeden z pancernych samochodów cofnął się i skręcił, gotów jechać w ślady działa. Raj popatrzył na żółwi kształt bez entuzjazmu - w Sandoralu był tuzin pojazdów opancerzonych, ze skorupami z kutego żelaza, napędzanych jedyymi silnikami spalinowymi w Rządzie Cywilnym. W środku było miejsce dla tuzina strzelców, a pancerz mógł powstrzymać ogień broni ręcznej i odłamki. Nie chronił za to przed pociskami artyleryjskimi, a pojazdy były straszliwe, kiedy przychodziło do utrzymywania ich, psuły się przy lada okazji, zawieszenie miały tak delikatne, że trzeba je było przewozić na pole bitwy na ciągniętych przez woły platformach... jak również mogły okazać się decydującym atutem w odpowiednim momencie.

Niestety, Kolonia także je miała.

Falhasker przełknął ślinę, a Raj wzdrygnął się lekko. - Ach tak. Cóż, sam wiesz, teraz pracują by uratować życie - powiedział łagodnie.

- Falhasker wyzwał Reeda - powiedziała Suzette, kiedy kupiec odszedł na bok, by obejrzeć samochód pancerny.

- Tak? - mruknął Raj, wpatrując się w przeciwległą krawędź zamiast w kobietę u swego boku. Powinniśmy mieć tam siły nękające, pomyślał. Wiele rzeczy w życiu stawało się prostszych, kiedy człowiek skupiał się na swojej pracy. Z wytkniętym celem wszystko było łatwe. Oddział nękający oznaczałby, że rozbiją obóz na szczycie. Przydatne. Robiło się, co konieczne, żeby dojść do celu.

- Reed nazwał go publicznie przeklętym szpiegiem szmacianych łbów.

- Co jest zresztą możliwe - powiedział Raj. Kaltin? Tak, do tego będzie dobry towarzysz. Siódmy, oni sobie z tym poradzą.

- Falhasker powiedział, że Reed to cholerny głupiec.

- A to na pewno prawda - stali chwilę w milczeniu.

- Suzette - powiedział po chwili Raj. - Wiesz, mogłoby... okazać się przydatne, gdybyś powiedziała Falhaskerowi, że udało się nam zdobyć tylko pięć generatorów do fugasów... więc podłączono tylko pięć na prawym skrzydle, pozostałe działają na uderzenie.

W rzeczywistości każdy generator napędzał tablicę, z której będzie można odpalić sześć fugasów.

Dotknęła lekko jego łokcia.

- Powiem mu - powiedziała miękko. - Bardzo go interesują techniczne szczegóły.



Wszystko, co było trzeba. Absolutnie wszystko.

## Rozdział piętnasty

- Tutaj? - zapytał Kaltin, ściągając uzdę.

- Tutaj - potwierdził Raj.

Byli o kilometr na południowy zachód od linii obrony. Raj odwrócił się na chwilę, by popatrzeć na linie pochodni płonących wzdłuż kończonych pospiesznie okopów. Niektóre z ostatnich poprawek wprowadzano by sprawić, że umocnienia będą wyglądały na mocniejsze niż w rzeczywistości. Duch jeden wiedział, jak mocne były naprawdę, skoro usypywały je pospiesznie niewprawne ręce. Na szczycie wzgórza było chłodno, a hałasy z placu budowy docierały tu przytłumione, jakby z innego świata. Cywile wrócili już do Sandoralu, wszyscy poza ochotnikami ze szpitali pierwszej pomocy, umieszczonymi za drogą komunikacyjną. Po trzech dniach zamieszania i hałasu pozycje wydawały się teraz, gdy zostali na nich tylko żołnierze, zupełnie puste.

- Hmm - mruknął Kaltin, spoglądając na przeciwległe zbocze. - Wiesz - powiedział, pokazując palcem - myślę, że tamten wąwóz biegnie aż do rzeki.

Raj odwrócił się i spojrzał. Po ich lewej, na wschodzie, znajdowało się strome obniżenie terenu, zygzakujące wprost w kierunku Drangosh.

- Nie sądzę, by przydał się na wiele nieprzyjacielowi - powiedział Raj. - Trochę tam gęsto. - Płatanina chwastów, krzewów dusznika i dzikich róż, wszystkie oblepione przez trujogęby i żądłoglisty.

- Nie sądzę, żeby nieprzyjaciel w ogóle z tego skorzystał - dokończył Kaltin, uderzając lekko zaciśniętą pięścią w otwartą dłoń. - Tam jest zdecydowanie za gęsto. Szczególnie wzdłuż krawędzi. Można by tam ukryć cały batalion.

Wszyscy odwrócili się, by spojrzeć na towarzysza.

- Który znalazłby się dokładnie za miejscem, w którym brudasy postawią artylerię - mówił dalej. Jego twarz osłaniał cieniem skraj hełmu, ale zęby lśniły w uśmiechu. W świetle Maxiluny miały lekko czerwony odcień. Ogień artylerii zabił jego brata Evrarda podczas ucieczki z El Djem; nadszedł czas zapłaty.

Raj skinął powoli głową. Warto zaryzykować trzystu ludzi, pomyślał zimno. 7. Zwiadowczy z Descott miał braki kadrowe. Pionki na szachownicy, a nie chłopcy z jego ojczyzny... A Kaltin chce tu być, przypomniał sobie, gdy dyskutowali szczegóły techniczne, sygnały i zgranie w czasie.

- Dobrze - skinął głową. - Lepiej zacznij już ich rozmieszczać. - Trzeba było wejść tam od wschodu, przez wąwóz. Gruder zawrócił psa. - Ach, Kaltin.

- Tak?

- Zemsta smakuje najlepiej jako deser, nie jako przystawka. Po wszystkim będę cię potrzebował.

Trębacze zaczęli grać wzdłuż fortyfikacji Defilada, sformować szereg. Och, Duchu, pomyślał, przemówienie...

\* \* \*

- ... więc myślcie o tym, o co walczyacie - mówił dalej Raj. Słowa wydawały się ginać ponad morzem zwróconych do niego twarzy. Bezpośredni przełożeni powtórzą sens jego przemówienia, dodając odpowiednie ubarwiające regionalizmy, ale ludzie chcieli na własne uszy słyszeć dowódcę. Stali teraz w wielkim półkolu przed szańcem, na którym stał Raj, a pododdziały tłoczyły się z przodu, by usłyszeć jak najwięcej.

- Osadnik idzie na północ i będzie nadal szedł na północ, dopóki ktoś go nie powstrzyma; pójdzie aż do Wschodniej Rezydencji, jeśli mu się uda.

- To on tak myśli - mówił dalej. - Myśli tak również jego armia. - Raj przerwał na chwilę. Oparł nogę na skrzynce z amunicją i pochylił się konfidencjonalnie. - Widziałem jego armię...

Słowa te zostały przywitane pomrukiem. Przez chwilę miał pustkę w głowie i zdał sobie sprawę, co zrobiły plotki z opowieścią o ich patrolu. No, to dopiero głupota, która przypadkiem zadziałała... Chyba że uważali go za goniącego za sławą szaleńca, przez którego wszyscy zginą.

- ... jest duża, cholernie duża. I ładna. O wiele ładniejsza niż nasza. Do tego ładniej pachnie - kopanie w suchej glinie przez trzy dni nie poprawiło wyglądu żołnierzy. Rozległy się stłumione śmiechy. - Są tak wspaniali, że uważają nas za proch u swoich stóp. No, chyba powinniśmy oczekiwać od tych dostojnych dżentelmenów zaproszenia na pole bitwy!

Bardzo podobnie myśleli o piechocie dobrze urodzeni kawalerzyści. Przekierowanie złości poborowych nikomu nie zaszkodzi, szczególnie poborowych z piechoty.

- Powiem wam, co oni myślą. Są pewni, że mogą przejść po nas jutro rano, i pić i rżnąć w Sandoralu w porze obiadu. Pokażemy im, że się mylą?!

Piąty zaczął wiwatować, a po chwili przyłączyli się wszyscy. Nawet Skinnerzy, choć Raj wątpił, by dużo zrozumieli. Choć większość z nich zna sponglijski na tyle, by pić i pieprzyć.

Prawdopodobnie myślą, że obiecują im imprezę. Pozwolił, by krzyk narastał, a potem rozłożył ramiona nakazując ciszę, zanim wiwaty zaczęły cichnąć.

- To będzie największa bitwa, jaką ktokolwiek widział w naszych czasach lub w czasach naszych ojców. Dzisiejszej nocy wielu ludzi w mundurach modli się, dziękując, że ich tu nie ma. Mówię wam, w przyszłości bogaci messerowie, którzy dzisiejszej nocy leżą bezpiecznie i spokojnie w łóżkach, będą żałować, że ich tu nie było, ale każdy z nich będzie wiedział, że nie może się równać z takimi ludźmi jak wy. Powiecie im: "Byłem z armią Górnego Drangosh, kiedy posłała skomlącego, chowającego ogon pod siebie Jamala, w dół rzeki!", a oni zakryją sobie twarze ze wstydu. - O ile nie skończycie w masowym grobie albo jako beznodzy kalecy zebrzący na ulicach, bez pieniędzy z emerytury, szlag niech cię trafi, Tzetzas...

- Mówię też, że jestem dumny, że mogę nazywać was towarzyszami broni, którym ufam że wykonają zadanie. - I którzy wiedzą, że wydałem rozkaz, żeby zastrzelić każdego dezertera. - Nie jestem politykiem - mówił dalej - więc skończę mowę w ten sposób: nieprzyjaciel przyjdzie jutro zza tego wzgórza, bo tego chce; kiedy odejdzie, stanie się tak dlatego, że my tego chcemy! Synowie Świętej Federacji! Jesteście potomkami władców gwiazd. Walczycie o swoje domy, rodziny, groby swoich przodków i Świątynie Ducha! Do boju! Zwycięzca bierze wszystko!

Tym razem wiwatowano dłużej. Niektóre jednostki z Descott zaczęły nawet śpiewać:

"Idę na Czarną Górę, mam w łapie szablę i gnata,

Jak pierchniesz, to cię zastrzelę, jak staniesz, miecz cię rozplata..."

Raj zeskoczył z parapetu szanca. Tłum cichł powoli, kiedy sysup-biskup Sandoralu podchodził do miejsca, w którym stał ich dowódca. Duchowny miał w dłoni kostur z Gwiazdą na końcu, a jego szaty lśniły w świetle księżyca solną bielą. Szeregi żołnierzy zaszeleściły, gdy wszyscy klękali, a po chwili rozległy się też pełne podziwu szepty, kiedy czterech kapłanów wniosło na podwyższenie małą platformę, na której stał sześcian wykonany z czegoś znacznie jaśniejszego niż kryształ. Przedmiot przewyższał wysokością dorosłego mężczyznę. Przez długą chwilę nic się nie działo. Potem w głębi materiału coś zaczęło migotać, pojawiły się białe i błękitne plamki światła. Rosły, chłodne i bezgłośnie, aż wreszcie wydawało się, że kapłani trzymają na ramionach gwiazdę, a widzowie musieli pochylić głowy, by ukryć oczy przed blaskiem. Światło było jednak widoczne nawet przez zamknięte powieki, i wielu żołnierzy podniosło do twarzy dłonie.

A potem, równie cicho, światło zgasło, a kiedy tak się stało, z tysięcy par płuc wydobyło się westchnienie, na wpół zachwytu, na wpół żalu. Był to jeden z najsłynniejszych relikwów poza Wschodnią Rezydencją i czasami mijała długość ludzkiego życia, zanim widziały go osoby świeckie.

Nikt nie wypowiedział słowa, kiedy kapłani skierowali się z powrotem w kierunku miasta, a ludzie otrzymali pozwolenie rozejścia się do kwater.

- Barton - powiedział Raj. - Pytanie. Skąd wzięłeś te cytaty, które mi dałeś? Masz przyszłość w literaturze, jeśli to twoje.

- Och, w większości z Kodeksu fragmentarycznego. Bardzo stary, spisano go niedługo po Upadku ze strzępków wiedzy, jakie zapamiętali ludzie. - Informacje przechowywane na urządzeniach optycznych nie miały większego zastosowania dla ludzi, których pozbawiono nawet elektryczności. - Większość w starym nameryjskim. Bibliografia z tamtego okresu nie jest bogata. Nikt nie wie, kim był święty Cryssin, ani gdzie walczyli synowie Grików. Ale zapisano to pięknymi słowami.

\* \* \*

Cóż, wydaje się, że wszystko idzie lepiej niż się spodziewałem, pomyślał Raj, mrugając w świetle poranka. Jorg Menyez przekonał go, by jako oddziału nękającego użył regularnej piechoty, skoro 7. Zwiadowczy został oddelegowany pod komendę Kaltina Grudera. Kolejna salwa zagrziała nad południowo-zachodnim wzniesieniem, a dym uleciał w poranne słońce, mieniąc się na biało i pomarańczowo. Zjadł garść ryżu z miejscowym, twardym chlebem. Nie sądziłem, że piechota tak się utrzyma, pomyślał z uznaniem. Było to niezwykle, może stanowiło dobry omen.

BAM-BAM-BAM, stłumione odległością. Niemal tak równo, jak by mogła strzelać kawaleria.

Tra-ta-ta-ta-ta-ta, cichsze, ale znacznie szybsze: odpowiadały powtarzalne karabinki Kolonistów. Potrząsnął głową, nasłuchując. Dużo karabinków. Co najmniej dwa bataliony, posuwające się naprzód kompaniami i zsiadające z psów, by oddać salwę. Strzelanina trwała dłużej, niż się tego spodziewał, i...

Pierwsze kompanie batalionu nękającego pojawiły się na zboczu wzgórza i wycofywały się truchtem, przy czym żołnierze mieli karabiny w pogotowiu. Za nimi rozlegał się co chwila huk kolejnych salw. Podniósł lornetkę do oczu jedną ręką, nie przerywając jedzenia i opierając łokcie na workach z piaskiem tworzących tu balustradę. Szaniec miał je dwa, wyższy dla dział i niższy dla strzelców z Piątego, którzy zgłosili się by go obsadzić. Żaden z wycofujących się żołnierzy nie uciekał w panice. Żaden nie biegł też do linii okopów, poza tymi, którzy nieśli swych ciężko rannych towarzyszy.

Doskonale, pomyślał. A na głos powiedział - Da Cruz, pošlij kilka oddziałów wierzchem, niech zabiorą rannych. - Ponie!

Zajmie to chwilę, bo psy znajdowały się w schronach na tyłach, przywiązane w boksach smyczami z łańcuchów. Piechota przegrupowała się tuż pod szczytem wzgórza. Widział oficerów chodzących wzdłuż linii z szablami w dłoniach i ustawiających szeregi. Chorąży wbili drzewca flag w ziemię, a ludzie zajęli pozycje - pierwszy szereg położył się, a drugi przyklęknął. Doskonałe wykonanie manewru żabich skoków, stworzyli nowe stanowisko strzeleckie, które stało nieporuszone, podczas gdy żołnierze, do tej pory walczący w tylnej straży, wybiegali zza wzgórza i zbiegali po jego zboczu, by przegrupować się dwieście metrów za pierwszym szeregiem. Na szczycie wzniesienia pojawiła się jadąca galopem kawaleria Kolonistów, mniej niż pięćdziesiąt metrów od uciekających, już wychylali się z siodeł, pewni że wystarczy strzelać w plecy uciekinierów. Zamiast tego natknęli się na trzysta karabinów, strzelających w doskonałej harmonii.

BAM-BAM-BAM-BAM-BAM-BAM. Ohydna perfekcja, ogień bezpośredni, smukłe psy i ludzie w szpiczastych hełmach i czerwonych jellabach padali całymi szeregami. Oficerowie i podoficerowie płacili cenę za agresywną odwagę, która ich tu przygnała.

- Och, doskonale wycucie, doskonale - szeptał Raj. Kogo ten Menyez tam posłał? zastanawiał się. Twarze pod hełmami były blade, chyba ludzie z północnego zachodu?...

BAM-BAM-BAM-BAM-BAM-BAM. Szereg Kolonistów był zbyt nierówny, by odpowiedzieć salwą, ale zaczęły padać pojedyncze strzały, a na tę odległość lekkie karabinki były równie skuteczne jak karabiny ze zbrojowni. Ludzie padali, ale strzelcy poderwali się dopiero na rozkaz i zaczęli się cofać. Raj poprawił ostrość i zobaczył krzepkiego chłopca w mundurze, który niósł przerzuconego przez ramię oficera, a sztandar kompanii zwinięty pod łokciem drugiej ręki. Ze wzgórza ruszyła kolejna szarża Kolonistów. Ci mieli w dłoniach szable, licząc na to, że uda im się dopaść wycofujących się, zanim ci znajdą się bezpieczni za plecami swoich towarzyszy.

Raj napiął mięśnie. Wycofujący się ludzie zasłaniali strzelcom cele. Szereg nie mógł rozpocząć ognia nie trafiając własnych ludzi. Wiedzieli o tym, wiedzieli, że tracą przewagę płynącą z władania bronią palną. Zobaczą błyszczącą stal i wyszczerzone kły tuż nad swoimi głowami. Gdyby zaczęli uciekać... Zaczęło się poruszenie. Leżący szereg powstał na kolano, a klęczący wstał.

- Przygotować się do udzielenia wsparcia ogniowego, tylko działa z lewego skrzydła - powiedział Raj. Łącznik wybiegł.

Tym razem mogli wystrzelić znacznie później. Psy były od nich o pięć skoków, kiedy ostatni z wycofujących się piechurów ukrył się za szeregiem strzelców. Pierwszy szereg wypalił z tak bliska, że płomienie wylotowe osmałiły pyski szarżujących psów. Linia Kolonistów zdawała się zatrzymać w pół skoku. Na ich spotkanie wyskoczyły bagnety, a drugi szereg wypalił ponad głowami

towarzyszy. Przez chwilę trwała walka wręcz, pistolety i szable przeciwko karabinom i bagnetom, a potem ludzie, którzy przed chwilą uciekali, zawrócili i zaczęli iść w kierunku toczącej się potyczki, jednocześnie przeładowując. Ze szczytu wzgórza zagrała trąbka, głosem wysokim i mosiężnym, a Koloniści szarpnęli uzdy psów i zaczęli się cofać. W samą porę, bo pierwsze działa polowe zaczęły strzelać z tyłów formacji V, trafiając szrapnelami dokładnie nad głowy umykającej kawalerii.

- Dobra robota, dobra robota, och dobra robota! - krzyknął Raj, uderzając pięścią w worek piasku, kiedy na całej pięciokilometrowej długości okopów rozległy się wiwaty. Skinnerzy, rozmieszczeni po obu stronach szanca, strzelali ze swoich potężnych strzelb albo w powietrze albo w plecy uciekających. Prawie dwa kilometry, a jednak udawało im się trafiać. Ludzie na psach zbierali z pola walki rannych i wycofywali się na tyły.

- Oddział sztandarowy... - zaczął Raj i spojrzał na swoją prawą dłoń, w której zgniótł chleb i ryż w małą kulkę. - Oddział sztandarowy, za mną! - Wyszedł przez otwór strzelecki i ruszył na spotkanie wracającemu batalionowi, mając za plecami wartę honorową i sztandar 5. z Descott.

- Baczość! - warknął, wyciągając energicznie szablę. Sztandar Piątego pochylił się, a piechota ustawiła się, by przejść obok niego w drodze do swojej części okopów.

Pojawił się ich dowódca. Był nim Jorg Menyez, uśmiechający się jak urwis i cały ubrudzony dymem prochowym. Na czubku jego szabli lśniła czerwień.

- Niech to Duch, to była dobra robota, niesubordynacja czy nie - powiedział Raj, ściskając mu rękę. - Powinieneś to komuś zlecić.

- Dobrze ci mówić - odrzekł Jorg i uśmiech zniknął mu z twarzy. - Było to kosztowne - powiedział. - Ale musieli zobaczyć stojącego z nimi messera... i że potrafią to zrobić. - 31. Piechoty z Kelden rekrutował się w większości z terenów otaczających posiadłości Menyzeza. - Inne bataliony liniowe pewnie by tego nie dokonały... ale teraz bliżej im do tego, bo widzieli na własne oczy.

\* \* \*

- MAMMOOO! MAAAAMMMOOO! - krzyczał chłopak, wyginając plecy w łuk na pokrytym płótnem stole. - Mamo, pomocy, mamooo!

- Trzymaj go, niech ci się rdzeń stopi! - warknęła, umartwiona.

Pierwsze ofiary, nie licząc poszkodowanych podczas budowy. Pierwsza fala rosnącego przyływu. Stojąca w nogach łóżka Zenafir ścisnęła z całej siły nogę rannego i wyginała głowę, by wymiotować do pustego, drewnianego kubła.

Fatima poczuła, jak pod jej dłońmi trzeszczy kość. Trzymała jego rękę własnymi rękami, naciskając łokciami, by nie mógł się poruszyć. Nie był starszy od niej i prawdopodobnie był przystojny, kiedy jego twarzy nie wykrzywiał straszliwy grymas kogoś cierpiącego katusze większe niż zdolne jest znieść ciało. Żył na jego szyi wystąpiły prawie na wierzch, kiedy skalpel kapłanki-lekarki wykonał pierwsze nacięcie.

- Jodyna i zacisk - syknęła. Akolitka ruszyła po potrzebne rzeczy.

- Więcej opium, wielebna? - zapytała w desperacji Fatima.

- Nie, niech cię szlag, pierwsza dawka nie zaczęła jeszcze działać. - Arabka podejrzewała, że żołnierz już odczuwał jej efekty na tyle, by nie zemdleć z szoku, ale nie było ani chwili do stracenia. - Niech Duch przeklnie wszystkie wojny, z tego kolana nie zostało już nic oprócz krwawych strzępów. Trzeba będzie ciąć w udzie. Zacisk w tym miejscu, idiotko! Trzymaj go!

W innej części pomieszczenia, w którym stały tuziny stołów, również rozlegały się wrzaski. Jeden głos bełkotał bez przerwy "zatrzymaliśmy ich, zatrzymaliśmy ich, zatrzymaliśmy ich", jakby słowa te były talizmanem.

- Igły gotowe - powiedziała kapłanka przez zaciśnięte zęby. Igły były zakrzywione jak narzędzia tortur i miały nawleczoną żyłkę. Fatima odwróciła wzrok i przełknęła ślinę, kiedy lekarka wzięła piłę. Znowu rozległ się wrzask chłopca, pulsujący w rytm zgrzytających na kości zębów narzędzia. Zamknęła oczy. To po to jest ten kubeł, zrozumiała. Kubeł był bardzo duży.

\* \* \*

- Sądziłem, że zlecisz komuś to zadanie - powiedział Raj, kiedy wchodzili na szaniec.

- Zleciłem - powiedział Menyez. Uśmiechnął się, a jego długa, zwykle poważna twarz wyglądała przez chwilę chłopięco, nawet pokryta brudem i potem. - Przydzieliłem je sobie.

Raj zaklął i podniósł do oczu lornetkę, regulując kciukiem ostrość. Pierwsza straż Kolonistów nie wykazywała chęci na robienie czegokolwiek oprócz czekania na szczycie wzniesienia i lizania ran. Wyobrażał sobie ich dowódcę piszącego raport i dającego go kurierowi, który zanieśnie go do Jamala. Nie mógł powiedzieć wiele, chyba że wszyscy zaczęliby lekceważyć jego rozkazy. Większość ludzi siedziała na podłodze, trzymając głowy poniżej parapetu, a wszystkie działa milczały.

- A teraz - mówił dalej - ilu, Jorg?



Menyez wzruszył ramionami.

- Tam, po drugiej stronie, jest pełno szmacianych łbów. Kolumny maszerujących brudasów jak okiem sięgnąć. Piechota, kawaleria i działa. Teraz jest tam również sztandar Tewfika. Z tego co widziałem, zanim dosięgła nas ich przednia straż, ich rezerwy rozbijają obóz jakieś trzy, cztery kilometry stąd. Siły Tewfika są o około połowę mniejsze niż siły Jamala, ale ma więcej kawalerii i lekkiej artylerii.

- Mmm. Gdybym miał zgadywać, to szedł prosto zachodnim brzegiem, a potem skręcił dalej na zachód, najdalej jak mógł, by osłaniać przeprawę Jamala. Prawdopodobnie wystawi baterie na szczycie wzgórza, by razić nas ogniem bezpośrednim, albo tuż za nim. Nie zrobimy mu wielkiej krzywdy po tamtej stronie wzniesienia... a poza tym będą chcieli najpierw pertraktować. Lepiej przyprowadzić delegatów ministerstwa do spraw barbarzyńców. Nie ma to sensu, ale zwłoka działa raczej na naszą korzyść niż na ich.

Menyez skinął głową. - Dziękuję, że salutowałeś moim ludziom - dodał cicho.

- Zasłużyli na to - odrzekł Raj. A kiedy Jorg wyszedł, dodał - My wszyscy zasłużymy, zanim to wszystko się skończy.

- Panie - kapitan Dinnalsyn, szef artylerii. Silny nacisk na samogłoski, wskazujący człowieka ze średniej klasy ze Wschodniej Rezydencji. Ślad "h" na wydechu, kiedy wymawiał "seyor".

Nie miał pojęcia, dlaczego wszyscy, którzy uczestniczyli w ucieczce spod El Djem, tak bardzo chcieli spróbować jeszcze raz, ale Raj uznał, że to bardzo użyteczne.

- Tak?

- Przyszedłem tylko po potwierdzenie, panie. Artylerzyści z milicji, pracowali na pół etatu i obsługiwali odlewane z żelaza działa zabrane z fortecy, mówią, że brudasy na szczycie wzgórza są już od dawna w zasięgu strzału.

- I co im na to powiedziałaś, kapitanie Dinnalsyn?

- Że pierwszy, który pociągnie za linę, zostanie przywiązany do lufy przy drugim strzale - tłumiony uśmiech. - I mam tam swoich chłopców, którzy w razie czego to zrobią.

- Ponie - nosowa wymowa rodem z Descott. M'lewis. - Ponie, kwatermistrz chce potwierdzenia pańskiego rozkazu.

Przez chwilę Raj zastanawiał się, którego rozkazu? wydał ich przecież tak wiele! i wtedy pojawiła się przed nim dłoń strzelca grzebiąca nerwowo w pustej ładownicy. Zwyczajna procedura

polegała na dawaniu żołnierzom przed akcją stu pocisków, a ewentualnych uzupełnień dopiero za zgodą podpisaną przez oficera lub podoficera. Tylko w ten sposób można było powstrzymać żołnierzy w garnizonach przed sprzedażą amunicji na alkohol.

- M'lewis, pozdrowienia dla kwatermistrza. Chcę otwartych skrzynek dla każdego plutonu znajdującego się w linii strzeleckiej. I to od zaraz.

- Mmm, po przyjacielsku czy siłą, ponie? - Jeszcze jeden błyskający złotem uśmiech. Wyznaczenie M'lewisowi zadania równało się z wykonaniem go, choć nadmierny entuzjazm mógł również być problemem.

- Po przyjacielsku, o ile to się da zrobić.

Huk werbli zatrzęsł ziemią. Raj popatrzył w niebo. Jeszcze nie było południa. Werbliści muszą być tuż za szczytem wzniesienia, a myśl o skierowaniu na nich ognia artylerii wydawała się tak kusząca... ale dla Jamala i Tewfika poznanie rozmieszczenia i zasięgu dział byłoby równie cennym darem, jak odwiedziny samego Mahometa. Wykorzystywali też psychologiczną przewagę, jaką dawała im muzyka, i do huku werbli przyłączały się kolejne tony, w miarę jak przybywały coraz to nowe oddziały, które mijając szczyt wzniesienia szły w dół przez całą długość pięciokilometrowego odkrytego odcinka. Kawaleria, piechota i działa, wszyscy co prawda wyglądali, jakby mieli za sobą całodniowy marsz, ale widać było po nich również obeznanie z wojaczką. Gerrin notował wytrwale dane, które podawał mu Foley, oglądający przedpole przez teleskop ustawiony na trójnogu.

- Mają około... stu sześciu dział, jak do tej pory - powiedział. - Połowa to pompomy, czwarta część... siedemdziesiątki - podobne do dział siedemdziesięciopięciomilimetrowych, którymi dysponował Rząd Cywilny. - A reszta to mieszanka, przy czym mają sporo haubic. Jeśli jest też coś cięższego, to nadal się nie pokazują.

- Mogliby przestać bębnić - powiedział Gerrin. - To źle wpływa na morale... mają dużo artylerii, Raj.

- Cóż. Gra się rozpoczyna... Och, Duchu, co oni robią?!

Raj podszedł znowu do balustrady. Szaniec miał dwa parapety - wyższy, dla dział, i ten, na którym stali, mniej więcej na poziomie ziemi, dla żołnierzy Piątego. Okopy Rządu Cywilnego skierowane były wprost na przeciwległy stok, dzięki czemu każdy pocisk z nich wystrzelony pozostawał na wysokości piersi, dopóki nie osiągnął wierzchołka wzniesienia, a być może mógł też wyrządzić szkody, kiedy przeleciał za niego. Ale takie rozmieszczenie umocnień ograniczało nieco pole widzenia. - Ponie! - krzyknął jeden z obserwatorów, którzy siedzieli na dachu szańca. - To Skinnerzy!

- Co robią?

- Tańczą i śpiewają, ponie! W rytm tych werbli.

Raj zamrugał, wychylając się przez otwór strzelniczy, by popatrzeć. Oddziały Skinnerów były po obu stronach szanca. Nie zdziwiłby się, gdyby zobaczył ich opalających się na workach z piaskiem... ale oni tańczyli, tupali i podskakiwali w szeregach, które raz za razem na siebie zachodziły, trzymając się za ręce, pokrzykując chórem, cały czas do rytmu wyznaczanego przez werble nieprzyjaciół.

- En roul'en reyoulouran, En roul'en reeeeboula...

Piosenka miała również wewnętrzny rytm, wyznaczany karabinowymi strzałami w powietrze albo w kupy ziemi wznoszące się w pobliżu maszerujących Kolonistów. Co chwilę któryś ze Skinnerów wypinał się, podnosił tylną część przepaski biodrowej i pokazywał muzułmanom nagie pośladki.

Raj opuścił z rezygnacją lornetkę, a potem zaczął się krztusić, próbując powstrzymać śmiech. Żołnierze Piątego nie zadawali sobie takiego trudu. Wszyscy próbowali przepchnąć się do przodu, by popatrzeć, a potem padali na worki z piaskiem, zanosząc się śmiechem. Śmiech rozprzestrzenił się wzdłuż okopów, wybuchnął też w bunkrach kawalerii. Raj wyobrażał sobie ludzi tłoczących się wokół oficerów, by choć przez chwilę popatrzeć przez lornetkę. Dowództwo Kolonistów dowiadywało się właśnie, co Skinnerzy sądzili o ich sztuce wojennej...

- Po raz pierwszy w życiu mam ochotę pocałować Skinera - sapnął Gerrin, opierając się o parapet. - Póki co, to by było na tyle, jeśli chodzi o morale.

- Byłbym zazdrosny, gdybym nie czuł dokładnie tego samego - śmiał się Foley, ocierając oczy. - Wiesz, nigdy nie widziałem, by robili coś w równie zorganizowany sposób. O cholera, popatrzcie... czy to nie ten Juluk Peypan, ich wódz?

- Co? - Raj spojrzał na przedpole. Samotny Skinner jechał na rudo-białym psie wprost na Kolonistów. - Wiadomość do obu grup Skinnerów, nie atakować! - warknął. Goniec zawahał się, chwycił mocno swój amulet i pobiegł. Raj podniósł lornetkę do oczu. Tak, zygzakowata blizna na nagiej piersi mężczyzny nie pozostawiała wątpliwości. Skinner wysunął stopy ze strzemion. Na ramieniu trzymał swoją potworną, dwumetrową strzelbę.

W połowie drogi do nieprzyjaciela Skinner popędził psa do galopu, w którym wielkie uszy wierzchowca zaczęły łopotać jak skrzydła. Mężczyzna wstał, stanął na jednej nodze, spadł po jednej stronie psa, by natychmiast przeskoczyć na drugą, stanął na rękach... był to olśniewający popis woltyżerki, który z pewnością przyciągnął uwagę maszerujących Kolonistów. Ich szeregi przez

moment zafalowały. Raj wyobraził sobie wznoszące się w górę bicze oficerów. Juluk kończył pokaz stojąc na siodle, padając w tył i przekręcając się na plecach z rozłożonymi szeroko nogami. Pomiędzy nimi pojawiła się nie wiadomo skąd długa lufa strzelby, która wyrzuciła z siebie dym i płomień. Na szczycie wzgórza upadł sztandar, a trzymający go chorąży osunął się na ziemię z głową roztrzaskaną piętnastomilimetrowym pociskiem na sauroidy.

To wywołało reakcję. Odwrócono pompoma, który natychmiast zaczął wypluwać pociski. Wokół wodza barbarzyńców zaczęły wykwitać chmury wybuchów. Ten zatrzymał się z bezczelnym spokojem i zaczął pykać fajkę. Dopiero po dłuższej chwili zawrócił wierzchowca i klusem podążył w kierunku okopów Rządu Cywilnego. Kiedy znalazł się w połowie drogi, odwrócił się w siodle, wyciągnął przed siebie zaciśniętą pięść, z której po chwili wystrzelił środkowy palec, i zamachał nią kilka razy w kierunku Kolonistów, by wreszcie wbić pięty w boki psa i popędzić w kierunku okopów.

- Na tym zakończyliśmy wstęp - powiedział Raj. - Teraz będziemy negocjować.

Przez półmetrową szczelinę między parapetem a dachem dostały się do środka grudy ziemi.

- Cholera - mruknął, otrzepując kurtkę i czyszcząc lornetkę. Tuż nad nim rozległ się potężny ryk, kiedy wypaliło jedno z dział. Kładziono właśnie ogień zaporowy na ustawione na szczycie wzniesienia szybkostrzelne działa Kolonistów, które wstrzeliwały się w otwory strzeleckie na stanowiskach jego ludzi. Zanikający huk gromu, gdy wielkie działo cofało się i wjeżdżało po pochylonych prowadnicach. Potem szum kół, gdy ustawiano je na miejscu, i krótkie "klik" lin zaczepowych. "Ssssszzzzzz", gdy artylerzyści przecierali nasączonymi wodą gąbkami lufę, by zgasić wszystkie iskierki.

- Przeładuj, zapalnik uderzeniowy, pełen ładunek! - krzyczał dowódca baterii nieco piskliwym głosem. Milicjanci znali dobrze swoje działa, ćwiczyli z nimi od wielu lat, ale żołnierzami byli tylko od święta. Byli członkami różnych gildii handlowych lub bractw religijnych, w każdym razie ludźmi, którym sprawiało przyjemność ubieranie się raz w tygodniu w fantazyjne mundury, a nie prawdziwym wojskiem. To, że ktoś odpowiadał na ich strzały ogniem, było dla nich zupełnie nowym doświadczeniem. Przy odrobinie szczęścia skoncentrują się na automatycznych ruchach, które ćwiczyli, wykorzystując znajomość przyrządów, by zdystansować się od otaczających ich strachu i niepewności.

Raj spojrzał uważnie na linie wroga. W dolinie dym stawał się coraz gęstszy, a smród spalonej siarki wgrzyzał mu się w gardło i wyciskał łzy z oczu. Było go jeszcze więcej na górze, gdzie tłum żołnierzy co chwila oświeślały błyski strzelających dział, i gdzie unosił się ku niebu, na którym poranne gwiazdy dopiero zaczęły blednąć. Wtedy za linią dział zaczęło się jakieś poruszenie.

Falowanie, kolumny ludzi przechodziły między pozycjami artylerii i schodziły w dół zbocza. Poprawił ostrość pokrętle lornetki. Spieszona kawaleria, u boków mieli szable a nie krótkie tasaki, które nosiła piechota Osadnika. Było ich coraz więcej, co najmniej pięć batalionów, które miały stanowić pierwszą falę. Działa za ich plecami umilkły na chwilę, poprawiono celowniki, by po chwili znowu rozpocząć ostrzał. Skoncentrowany tym razem na lewej flance jego V, w kierunku której ruszyły również kolumny żołnierzy.

- Cóż, teraz przynajmniej wiemy, kto się sprzedał, prawda? - powiedziała Suzette głosem równie zimnym jak stal lufy jej karabinu. Mówiła głośno, by przekrzyczeć nieustający ryk wystrzałów.

- Wiesz, cieszę się, że to nie Falhasker - powiedział Raj. Nienawidzę go, ale on przynajmniej jest mężczyzną.

- Tak naprawdę, to mało mnie to obchodzi - odrzekła Suzette.

\* \* \*

Jakieś dwa kilometry przed linią obrony kolumny atakujących zaczęły się rozpraszać, poszczególne formacje grupowały się pod sztandarami i ustawiały w szyk bojowy. Szrapnele rozrywały się co chwila nad ich głowami. Małeńkie figurki padały na ziemię. Czarne kolumny ziemi unosiły się wszędzie wokół nich, ożywiane na chwilę czerwonym ogniem, w górę leciał kurz, żelazo i fragmenty ludzkiego ciała. Atakujący zignorowali to i ruszyli naprzód jednostajnym truchtem. Nawet przez huk kanonady słyszać było ich entuzjastyczne okrzyki. Za nimi, na krawędzi wzgórza, pojawiły się kontury czarnych kadłubów, to samochody pancerne czekały, aż ucichnie artyleria Rządu Cywilnego.

To miał być długi dzień.

\* \* \*

- Ponie - szepnął ktoś do ucha Kaltina Grudera.

- O co chodzi, Fitzin? - zapytał normalnym głosem Kaltin. Nikt ich przecież nie usłyszy przez huk artylerii brudasów, stojącej pół kilometra od nich. Ukąszenia nocnych owadów nieznośnie swędziały. Będzie musiał przez miesiąc smarować ukąszenia jodyną. Dzięki Duchowi, że nic nie wlaźło mu w nocy w slipki. Miejscowe rośliny, które zapachem przypominały psujący się miód, śmierdziały nieznośnie, ale dzięki temu byli tu bezpieczni, nawet psy przeciwnika ich nie wywęszą. - Ponie, kiedy już ruszymy?

Mogło to oznaczać strach lub ochotę, albo obie te rzeczy naraz. Kaltin odwrócił głowę i popatrzył w dół zbocza, gdzie żołnierze 7. Zwiadowczego z Descott czekali, kucając przy swoich psach. Od czasu do czasu ktoś pociągał z manierki, żuł suchara lub drapał się w miejsce, gdzie pozostawiła ślady swej obecności gryząca i kłująca miejscowa fauna. Wsłuchiwali się w huk dział, wiedzieli, że są pół kilometra za liniami przeciwnika i trzy kilometry od przyjaznych okopów. Nie podobało im się, że prowadzi ich obcy, ale był tutaj, a to się pewnie będzie bardzo liczyć.

Raj wspominał mu, że rozważał wyznaczenie na dowódcę Fitzina Sherreka. To też wiele tłumaczyło.

- Najważniejsze jest wyczucie czasu, Fitzin - powiedział, wskazując gestem linie Kolonistów.

Ze swej kryjówki doskonale widzieli tyły pozycji Kolonistów, linię ciągnącą się ponad pięć kilometrów na zachód i skręcającą lekko tam, gdzie wyginał się grzbiet wzniesienia. Działa polowe i pompy ustawiono na samym szczycie lub nieco za nim, by wystawały tylko lufy. Jako osłonę wykorzystywano zarówno rzeźbę terenu, jak i wzniesione naprędce wały ziemne. Wśród nich raz po raz wybuchały pociski, pozostawiając poskręcaną masę płonącego drewna i potrzaskanego metalu, z której noszowi wynosili zabitych i rannych. Zaprzęgi i kesony umieszczono daleko z tyłu, a ludzie nosili cały czas amunicję. Za krawędzią wzniesienia umieszczono także inne działa, haubice o grubych lufach, które wystrzeliwały pociski w górę pod kątem pięćdziesięciu stopni.

Piechota nieprzyjaciela znajdowała się jeszcze dalej z tyłu. Żołnierze, utrzymując szyk, klęczeli wzdłuż drogi do miasta namiotów, w którym obozowali. Od czasu do czasu jakiś zabłąkany pocisk przelatował nad szczytem wzniesienia i wybuchał wśród nich. Wokół eksplozji ludzie padali jak muchy, ale poza rannymi i noszowymi nikt się nie poruszał. Co kilka minut rozbrzmiewał sygnał trąbki, unosiła się chorągiew, i kolejny batalion podrywał się na nogi i ruszał w stronę wzgórza, by po chwili za nim zniknąć. Coraz więcej Kolonistów włączano do ataku na lewą flankę pozycji Raja. Teraz piechota, a nie spieszona elita, której psy czekały z uzdami przypiętymi do ziemi.

- Czekamy, aż szmaciane łby się zapamiętają - mówił dalej Kaltin. - Aż skoncentrują się na ataku. Raj nam powie, kiedy to będzie. - Wyszczrzył zęby, czując lekki ból blizn, które szpeciły mu twarz kiedy napinały się mięśnie, lecz tym razem nie miał nic przeciwko niemu. Jego pamięć raz za razem podsuwała mu widok padającego Evrarda, którego wybuch pozbawił połowy torsu. - A wtedy my pojawimy się za ich plecami i zerzniemy ich w dupę.

\* \* \*

Pocisk haubicy, pomyślał Raj. Miały tendencję do zakopywania się głęboko w ziemi, zanim eksplodowały. Na szczycie szanca było o wiele głośniejsze, przecież otaczały go tylko worki z piaskiem i pancerny wokół stanowiska obserwacyjnego, ale przynajmniej nie trzeba było rzucać się co chwila na ziemię i kaszleć w kurzu, który spadał z sufitu... Jeden z potężnych pocisków wyrwał krater w linii okopów jakieś pół kilometra na lewo. Zobaczył przez lornetkę spanikowanych piechurów, którzy wybiegali z potrzaskanych fortyfikacji i rzucając strzelby pędzili w kierunku tyłów. Kolejna salwa z bunkrów kawalerii została wymierzona prosto w nich. Jeszcze jedna i zawrócili do okopów, obawiając się niebezpieczeństwa pewniejszego niż pociski armatnie i idący w dół zbocza nieprzyjaciele.

Kawaleria nadal strzelała raz za razem, a salwy rozlegały się szybko, jedna po drugiej. Ze zbyt wielu pozycji piechoty słychać było natomiast bezładny grzechot pojedynczych wystrzałów. Zbyt wiele armat ucichło zmiażdżonych wybuchami pocisków Kolonistów. Raj wahał się długą chwilę, patrząc ciągle na prawe skrzydło. Tam panowała cisza, piechota nie strzelała, bo dla niektórych wróg znajdował się poza zasięgiem, a innym blokował linię strzału znajdujący się w centrum szaniec. Działa wyrzucały pociski w kierunku pozycji Kolonistów, ale mogły tylko kłaść ogień zaporowy na linii nieprzyjacielskiej artylerii. Przełknął śliną i przepchnął się przez klapę w podłodze, zmierzając na niższy poziom szanca.

WHUMMP. WHUMMP. WHUMMP. Wypaliły potężne działa forteczne. Teraz załogi dział polewały rozpalone lufy całymi wiadrami wody, a z gorącego metalu unosiła się para, która zmieniała pomieszczenie w saunę. Żołnierze rozebrali się do pasa, a ich kolorowe kurtki leżały na podeptanej ziemi. Obnażone ciała były czarne od prochu, a naturalny brąz widać było na nich tylko w miejscach, gdzie pot wrył jaśniejsze ścieżki w brudzie. W miejscach, gdzie na skórę padały drobinki rozżarzonego metalu, pozostawały czerwone ślady.

- Dinnalsyn! - krzyknął Raj. - Gerrin!

Pierwszy pojawił się przy nim artylerzysta. W jednej dłoni miał kartkę z jakimiś obliczeniami, a w drugiej dalmierz.

- Panie!

- Potrzebujemy wsparcia ogniowego na lewej flance! - krzyknął Raj. - Nie utrzyma się. Na trzysta metrów zacznijcie strzelać kartaczami, pošlij gońca - Dinnalsyn skinął głową - a potem sam tam idź i zbierz wszystkie ruchome działa z prawej flanki, siedemdziesiątki piątki i te ładowane przez lufę, i przeprowadź je na lewą stronę. Przygotuj się na przyjęcie samochodów pancernych.

Wahanie. Droga komunikacyjna, łącząca flanki Rządu Cywilnego, chroniona była nasypem

ziemnym, ale nie było tam żadnej osłony nad głową, a działa będą przecież bezlitośnie ostrzeliwane przez Kolonistów. Ogień zaporowy położony na znacznie liczniejsze działa przeciwnika do tej pory sprawdzał się, ale działo się tak tylko dzięki ochronie, jaką posiadały jego działa. Na otwartej przestrzeni, ciągnięte przez psy oszołomione odgłosami i zapachem śmierci...

- Wykonać, natychmiast - powiedział Raj. Dinnalsyn skinął głową i ruszył biegiem, zwołując swoich przybocznych.

- Raj? - Twarz Gerrina.

- Popatrz. - Mężczyzna zszedł z drabiny i popatrzył na lewe skrzydło.

Tyraliera Kolonistów zbliżała się do nich po zboczu. Wszyscy z pewnością rzucą się biegiem do przodu za pięć, sześć sekund. Żołnierze rzucili się na ziemię i zaczęli strzelać. Następni przeskoczyli nad nimi i powtórzyli manewr. Na zboczu wzgórza nie było żadnego schronienia. Nawet pojedyncze krzaki zostały usunięte, kiedy armia Górnego Drangosh się okopywała. Ogień obrońców przerzedzał szeregi atakujących, szrapnele wrywały okrągłe dziury w ich formacji. Ranni staczali się w kratery po wybuchach, a kolejne eksplozje wgniatały ich w ziemię. Kilometr do przebycia w ogniu artylerii, a potem kolejny pod śmiertelnym ostrzałem sześciuset karabinów, a oni nadal szli...

Raj skupił się na szczycie wzniesienia. Pojawiało się nad nim coraz więcej sztandarów, płynących ku nim nieprzerwanym strumieniem, oddziały formowały się i ruszały naprzód. Teraz szła piechota, druga fala. Jeden z oddziałów zawahał się, kiedy żołnierze zobaczyli, co dzieje się na dole, stosy i rzędy ciał, nieruchomych lub wrzeszczących i poruszających się jeszcze, ukrytych w dymie wystrzałów, który wypełniał całe koryto wyschniętej rzeki. W powietrzu zamigotały baty oficerów, a jeden z pompomów wystrzelił kilka razy ostrzegawczo w ich kierunku. Ludzie pochylili ramiona, jakby wchodzili w zawieję śnieżną i ruszyli naprzód.

- Duchu Człowieka, ależ to dobre wojsko - powiedział Gerrin, patrząc na pierwsze szeregi Kolonistów, przesuwaną się o kolejne dziesięć metrów.

- Nie - powiedziała głośno stojąca za nimi Suzette. - Nie chcę, żeby byli mężni. Zabijcie ich wszystkich. - Popatrzyli na nią obaj. Skośne zielone oczy były nieruchome, nie dostrzegały, że da Cruz skinął potakująco głową.

- Gerrin, piechota pęka. Weź da Cruza i zmusz ich, żeby znowu zaczęli strzelać salwami. Jeśli nie będą tego robić, połowa karabinów przegrzeje się i pozacina, czy będą je polewać wodą, czy nie. Może powinienem przenieść tam Jorga z prawej. - Nie, Jamal miał dość rezerw, by tam również zaatakować, potrzebował kogoś o żelaznej woli, by utrzymać to skrzydło pozbawione połowy dział. - Powiedz im, że ufam im bezgranicznie.



Piętnaście minut, pomyślał Raj, gdy Gerrin i mistrz sierżant wybiegli. Kaltin będzie potrzebował dokładnie tyle czasu, by przejść ze swoimi ludźmi przez te krzaki.

- Rakiety - warknął. Jeden z żołnierzy miał między zębami cygaro. Wyjął je, pociągnął energicznie kilka razy, aż na końcu pojawił się żar, a potem wystawił je przez otwór strzelniczy i przytknął do lontów trzech rakiet sygnałowych. Wystrzeliły w niebo z sykiem, który zniknął w kanonadzie, ale szkarłatne smugi będzie widać aż w Sandoralu i obozie Kolonistów za wzniesieniem.

- Cóż, to na tyle - mruknął do siebie. Zrobił wszystko, co można było zrobić...

Na szczycie wzgórza pojawiły się sylwetki samochodów pancernych, które sunęły powoli w ich kierunku. Ich silniki produkowały kłęby gęstego, czarnego dymu, który unosił się nad ich żelaznymi kadłubami. Sunęły w lewo, podobnie jak wszystkie nieprzyjacielskie formacje. W każdym razie usuwało to je z linii ognia Skinnerów zgromadzonych na prawo od szańca...

- En ivan, mes garz!

Spojrzał w prawo, a jego hełm stuknął o pancerną płytę wokół otworu strzeleckiego. Skinnerzy z prawego skrzydła biegli, wysypywali się z okopów i wspinali na dach szańca. Niektórzy biegli dalej, wiwatując i śmiejąc się, gdy wpadali do okopów swoich pobratymców na lewo od fortu. Inni nie mieli ochoty czekać tak długo, a może nie chcieli walczyć u boku ludzi z wrogiego klanu. Zatrzymywali się na skraju szańca, opierali karabiny na podpórkach lub klękali. Jeden z samochodów pancernych szarpnął się, a pancerz z miękkiego żelaza sypnął iskrami z miejsc, w których piętnastomilimetrowe pociski Skinnerów otarły się o niego lub przebiły. Samochód zatrzymał się, gwałtownie skręcając. Pomarańczowe języki płomieni buchnęły ze środka przez szczeliny strzelnicze i wieżyczkę pompoma. Po chwili samochód eksplodował w pomarańczowej kuli ognia, gdy płomienie sięgnęły zbiorników z paliwem.

Padali także ludzie, ale pozostałe samochody sunęły powoli naprzód. Zbliżało się ich około tuzina. Ranni Koloniści odczołgiwali się na bok lub znikali pod potężnymi metalowymi kołami. Pompomy zamontowane na wozach bojowych zaczęły wystrzeliwać pojedyncze pociski w kierunku linii artylerii Rządu Cywilnego. Działa strzelały teraz kartaczami, których ołowiane kulki kładły trupem całe szeregi żołnierzy, ale nie stanowiły zagrożenia dla ludzi ukrytych za pancerzem. Pierwsze szeregi nacierających nieprzyjaciół były poszarpane, a bliżej niż trzysta metrów podchodziły już tylko resztki tuzina batalionów, które wyruszyły do szturm. Teraz ogień ich karabinków stał się skuteczniejszy, a ludzie poczuli się pewniej, gdy zobaczyli niedaleko przed sobą kres ciężkiej drogi. Z niewielkiej odległości mogli rozgnieść żołnierzy Rządu Cywilnego na miazgę dzięki przewadze liczebnej i szybkostrzelnym karabinkom. Okopy, które do tej pory chroniły obrońców, teraz stałyby

się dla nich pułapką. Za plecami pierwszych szeregów załopotwały sztandary, a kolejne fale nacierających ruszyły naprzód, jak morze uderzające o skalisty brzeg.

Artyleria Kolonistów ucichła, gdy żołnierze Osadnika dosięgli okopów Rządu Cywilnego.

- Ognia - krzyknął Kaltin, machając szablą. Ludzie stanęli w pełnej gotowości szybciej niż się spodziewał, ale brudasy i tak szybko się zorientują, nawet mimo tego, że koncentrowali swoją uwagę po drugiej stronie wzgórza. W armii Kolonistów występowało wiele wzorów mundurów, ale żadna z ich jednostek nie nosiła okrągłych hełmów, niebieskich kurtek, bordowych spodni... ani nie niosła sztandaru z Rozbłyskiem Gwiazdy na drzewcu. BAM-BAM-BAM-BAM-BAM-BAM. 7. Zwiadowczy podniósł się nad krawędzią wąwozu i wypalił salwą wprost w bok oddziału zmierzającego w kierunku pola bitwy.

BAM-BAM-BAM-BAM-BAM-BAM. Ludzie, którzy przed chwilą biegli wiwatując ku pewnemu zwycięstwu, teraz się zatrzymali, pomimo tego, że bezpieczny teren mieli teraz przed sobą. Okrzyki zmieniły się we wrzaski. Niespodziewane niebezpieczeństwo zawsze uderza mocniej niż to, na spotkanie którego można się przygotować. Najlepsze oddziały posłali naprzód, pomyślał chłodno Kaltin, gdy karabiny znówu warknęły. Tych tutaj trzymano na koniec, by ich uderzeniem przechylić szalę zwycięstwa. Musimy nacierać, nie pozwolić im zorientować się, co się dzieje.

BAM-BAM-BAM-BAM-BAM-BAM. Ustawione na szczycie wzgórza działo wypaliło w kierunku oddziału Rządu Cywilnego, który pojawił się w miejscu, w którym nie powinno go być.

- Na siodło! - krzyknął Kaltin. Żołnierze Siódmego wskoczyli na siodła leżących na ziemi wierzchowców, przewieszając karabiny przez ramię, nie było przecież czasu, by chować je do pokrowców. Syknęły wysuwane z pochew szable, a ich stal zamigotała wzdłuż linii.

- Trębacz, zagraj szarżę! - Psy zawyły, zagłuszając okrzyki swoich jeźdźców. - Piekło albo łup, psi bracia - teraz!

- W GALOP I NA NICH!!

\* \* \*

- Teraz! Dowódca mówi "teraz"!!

Barton Foley poderwał się, czując na ramieniu czyjąś dłoń. Stał tuż za pierwszą linią, która właśnie strzelała zza krawędzi parapetu w lewo. Przednia część szanca mogła pokryć ogniem cały pierwszy rząd Kolonistów, tak blisko podeszli do okopów Rządu Cywilnego. Strzały Skinnerów zabijały po trzech i czterech ludzi naraz.

Oderwał wzrok od hipnotyzującego zamętu. Inni dowódcy plutonów i podoficerowie będą w stanie sami nad nim zapanować. Barton cofnął się razem z pierwszą linią. Żołnierze drugiej przepchnęli się obok nich, wsuwając karabiny w otwory strzelnicze. Foley odwrócił się. Dwóch wyznaczonych tylko do tego żołnierzy machało już ramionami przenośnego generatora, a wokół rozlegało się buczenie ładujących się baterii. Trzy przełączniki zamontowano na zaimprovizowanej tablicy, a każdy z nich podłączono do trzech miedzianych drutów. Druty znikwały pod workami z piaskiem i prowadziły metrowej głębokości kanałami na przedpole.

Młodzieniec zacisnął dłoń na drewnianej rękojeści pierwszego przełącznika. Mam nadzieję, że nic nie przecięło drutów, pomyślał. Naprawdę mam taką nadzieję.

Pociągnął w dół i na drucie błysnęła błękitna iskra.

\* \* \*

Eksplozję, która wstrząsnęła liniami artylerii Kolonistów słysząc było pomimo ogłuszającego huku bitwy. Błada kula ognia uniosła się ponad milczącymi działami, unosząc w górę coś, co mogło być ludzkimi ciałami. Skład amunicji wyleciał w powietrze, pomyślał z ulgą Raj. Kaltin. Pomiędzy działami pojawiły się uciekające postaci, a za nimi następne, jadące wierzchem i wymachujące szablami.

Pocisk z pompoma zamontowanego na jednym z samochodów uderzył w worki z piaskiem punktu obserwacyjnego wystarczająco mocno, by dosięgnąć metalowego pancerza. Raj poczuł, jak coś zimnego i białego zaciska mu się wokół piersi i sięga do karku. To coś oczyściło jego pełne żwiru oczy i sprawiło, że otoczenie znowu stało się jasne. Podeszedł do drewnianych drzwi i otworzył je kopniakiem.

- Sygnalista, chorąży, za mną - powiedział, przestępując ponad ciałem martwego Skinnera. Skinnerzy, którzy pozostali przy życiu, wznieśli na jego widok radosny okrzyk, nie przerywając ostrzału, który wgryzał się w szeregi Kolonistów. Ci dobiegli już do skraju lewej flanki Rządu Cywilnego, a mężczyźni w jellabach wsadzali już w lufy karabinów pociski, strzelając na ślepo i próbując wyważyć worki. Z okopów kłuto bagnetami, które jednak zniknęły szybko, gdy samochody pancerne zaczęły ostrzeliwać umocnienia z minimalnej odległości. Atak Kolonistów mógł się jeszcze powieść zwyczajnie dlatego, że pierwsza fala atakujących była zbyt zajęta, by zauważyć, co się działo.

- Obejrzyjcie się, durne brudaszy! - ryczał Raj, biegnąc w kierunku okopów. Obok świsnęła kula, a chorąży opadł na kolana krztusząc się. Inny żołnierz złapał drzewce sztandaru, zanim ten upadł na

ziemię, i znowu ruszyli naprzód. Usłyszał za sobą kobiecy głos.

- Raj, nie...

Teraz nie miało to znaczenia.

- Za wami, kretyni! Za wami! - wymachiwał szablą w kierunku sztandaru Osadnika powiewającego na wzgórzu na południu. - Patrzcie na południe, oni są za wami!

Kilku mężczyzn rzeczywiście popatrzyło w górę zbocza. Ale to wybuch pierwszego samochodu pancernego naprawdę przykuł ich uwagę. Z hukiem wyleciał w powietrze, sypiąc na boki kawałkami metalu i płonącym paliwem, które trafiły ludzi, których miał chronić samochód. Raj spojrział na północ i zobaczył drugą i trzecią siedemdziesiątkę piątkę, wyjeżdżające zza osłaniającego drogę nasypu. Właśnie ustawiano je na pozycjach strzeleckich na wysokości bunkrów kawalerii kilkadziesiąt metrów za linią okopów. Jedna z armat weszła w zbyt ostry zakręt i przetoczyła się na bok, staczając się w dół zbocza wśród krzyków załogi i pisków zaplątanych w uprząż psów. Inne zaczynały już jednak strzelać, wciskając pomarańczowe sztylety we wszystkie możliwe szczeliny. Wyleciał w powietrze następny samochód, potem jeszcze jeden.

Wypalił także pierwszy z fugasów, położony najbardziej na lewym skrzydle. Ładunek nie był duży, zaledwie dziesięć kilogramów prochu, ale wystarczył, by wyrzucić na zbocze wzgórza potężny pióropusz płonącego oleju i nafty, prosto w twarze Kolonistów z drugiej fali. Wybuchowi towarzyszył przeciągły “fffumph”, po którym płonący ludzie rzucili się z wrzaskiem do ucieczki. “Fffumph”, kiedy wybuchł następny, a po nim jeszcze piętnaście, rozmieszczonych w równych odstępach na całej lewej flance, dwieście metrów od okopów. W płomieniach znalazło się niewielu ludzi, ale widok płonących ludzkich pochodni okazał się być nie do zniesienia dla nacierających. Odwrócili się i rzucili do ucieczki, krzycząc, strzelając, i tnąc oficerów którzy stawali im na drodze. Nawet w takiej chwili Koloniści, którzy znaleźli się już poza strefą ognia, zawahali się. Kolejny samochód pancerny wyleciał w powietrze, wysyłając w górę potężną kolumnę dymu. Pozostałe pojazdy zaczęły zawracać najszybciej jak potrafiły, a za nimi ruszyli żołnierze, rzucając karabiny i biegnąc.

- Zagrać “Kawaleria, naprzód”! - krzyknął Raj. - Mój pies, niech ktoś kurwa pójdzie po mojego psa! Goniec, niech samochody pancerne wyczołgają się ze swoich nor i atakują, szybko, natychmiast!

\* \* \*

Kula karabinowa przeleciała Kaltinowi Gruderowi tuż koło ucha. Chwilę później jego szabla wbiła się w brzuch artylerzysty, niosąc ze sobą siłę psa i człowieka. Uwolnił ostrze, skręcając

nadgarstek i szarpnął wodze, zmuszając psa do cofnięcia się. Inni zgromadzili się wokół pompoma, zarzucali lassa na jego lufę i odciągali działa na bok.

Przetarł przedramieniem czoło - lewym, bo prawe miał już mokre do samego łokcia. Artylerzyści uciekali na zachód wzdłuż linii dział, by schronić się na nienaruszonym lewym skrzydle Kolonistów, ukrytym za skarpa. Formowały się tam poszczególne jednostki, obracając lufy tam, gdzie przed chwilą było ich własne prawe skrzydło.

- Poruczniku Ynez! - warknął. - Obróćcie kilka dział w tamtą stronę. Strzelajcie do uciekających brudasów i ostrzelajcie działa na zachodnim skrzydle. Chcę tu mieć szereg strzelców z trzech kompanii, gotowych do wycofania się i oddania salwy. - Wstał w strzemionach i obejrzał się za siebie. Ostatni z samochodów pancernych płonął w połowie drogi na szczyt wzniesienia. Maszyny Rządu Cywilnego wyjeżdżały zza szanca, widać też było ludzi wylewających się z okopów i dosiadających psów przed bunkrami kawalerii. Całe masy Kolonistów biegły przez pole bitwy, uciekając w górę zbocza tam, gdzie ich towarzysze ciągle utrzymywali pozycje. Zasłaniają linię strzału dla własnych dział, zauważył Kaltin, gdy dym uniósł się nieco znad okopów. Wielu z nich biegło dokładnie w kierunku pozycji Siódmego, ale dla tych walka skończyła się już na dzisiaj.

- Sądzę... - Coś wyrzuciło go z potężną siłą z siodła. Ale wygraliśmy, wyszeptano coś w jego myślach. Uderzył o ziemię.

\* \* \*

Barton Foley cofnął się do wnętrza bunkra kiedy wybuchł ostatni z fugasów. Jedną z dłoni wsunął nieświadomie pod koleczą osłonę szyi, próbując zlikwidować męczące napięcie mięśni karku. Koloniści wahali się i zaczęli uginać pod ogniem Skinnerów, kiedy samochody pancerne zawróciły i opuściły ich.

Rzucą się do ucieczki, pomyślał. Jeśli ich popchnąć. Spokojnie i obojętnie sięgnął prawą dłonią do kabury i wyjął z niej pistolet. Odciągnął kurek i oparł lewe ramię o worki z piaskiem. Wszystko stało się odległe, jak rozważania taktyczne w jednej z książek Gerrina.

- Za mną - powiedział i wskoczył na worki. Żołnierze poszli za nim, z wyciem, które rozległo się nad polem bitwy niczym wołanie wilków.

\* \* \*

- Miłosierny, dobrotliwy - szeptała Fatima, schodząc po schodach z wyższej galerii świątyni.

Zatrzymała się, słysząc dźwięk dzwonu, sygnał oznaczający, że do miasta przybyły kolejne wozy z rannymi.

Umyła się od pasa w górę i zmieniła bluzkę kiedy karmiła syna, ale spódnica zwisała na niej wilgotna i nieprzyjemnie pachnąca. Wydawało się jej, że piecze ją cała skóra, jakby ktoś pocierał ją zimnymi drobinkami piasku. Znowu poczuła torsję, ale zacisnęła zęby, starając się nie czuć ohydneho smaku w ustach. Cały plac za oknem wypełniony był noszami, łózkami polowymi i ciałami. Mężczyźni ładowali zmarłych na wozy, a pośpiech zmuszał ich do szorstkości, bo przecież żywi potrzebowali miejsca. Lekarze biegali wzdłuż szeregów leżących na ziemi rannych, szybko ich klasyfikując. Dla tych, których nie da się już uratować, potężna dawka opium i transport do bocznej uliczki, w której leżały beznadziejne przypadki. Najgorzej było, gdy wiedzieli, co się z nimi dzieje i wyciągali ręce do lekarzy-kapłanów. Lekko rannych pozostawiano tam gdzie leżeli, ze zwykłymi polowymi opatrunkami, by zająć się nimi gdy czas pozwoli.

Fatima przełknęła ślinę i ruszyła na dół, w kierunku stołu, do którego ją przypisano. Porządek, który panował tu rano, zniknął bez śladu, teraz został już tylko cuchnący chaos, który niewiele dzieliło od zupełnego załamania. Noszowi klęli i krzyczeli, przepychając się między mężczyznami i kobietami wyciągającymi na zewnątrz żołnierzy umarłych na stołach, których mnóstwo stało w tej wielkiej sali, albo kosze pełne poszarpanych fragmentów ciał tych, którzy przeżyli. Lekarze i ochotnicy prosili o leki, wodę, bandaże. Ranni krzyczeli, jęczeli lub płakali. Kiedy zeszła z ostatnich stopni, poczuła pod stopami lepiącą i śliską podłogę, zanurzając się w smrodzie i hałasie.

Z trudem rozpoznała mężczyznę leżącego na stole. Obok niej przepchnęła się Damaris, która właśnie zaczynała przerwę, rozglądając się wokół wzrokiem pełnym odrętwienia, który Fatima знаła już dobrze z własnego doświadczenia. Pacjent był trupioblady z upływu krwi, jego cera straciła zupełnie naturalny lekki brąz. Sądząc z kabury pistoletu i epoletów, oficer, do tego młody...

- Jazda ode mnie suki, nie moją rękę suki, wszystkie won ode mnie, won... - pomocnik lekarza cofnął się, niemal upuszczając szklankę pełną płynnego opium i rumu, którymi próbował napoić rannego.

Fatima podeszła do szarpiącego się mężczyzny i chwyciła jego ranną rękę tuż poniżej łokcia. Opaskę uciskową założono na lewym przedramieniu, a widząc, co stało się z dłonią i nadgarstkiem, Fatima odwróciła wzrok. Szczególnie, że tak dobrze znała tę dłoń...

- Barton! - powiedziała, pochylając się tak, by widział jej twarz. Z jego oczu zniknęło szaleństwo. - Barton, umrzesz, jeśli ci doktor nie pomoże. Gerrin będzie sam, jak umrzesz. Ja będę sama. Ty dzielny żołnierz, ty się zachowuj!

Napięte ciało opadło na stół, a młodzieniec zamknął oczy z westchnieniem. Fatima uniosła mu nieco głowę i sama podała środek uśmierzający ból.

- Cofamy się? - zapytała, odwracając jego uwagę od lekarza, który właśnie podnosił zgłębnik.

- Nie - powiedział wyczerpany. - Wygraliśmy. To zwycięstwo.

\* \* \*

- Najświętsze awatary - szepnął ochrypnięty Raj. - Dopiero godzina po południu.

Mężczyźni wokół niego siedzieli bez ruchu, przyglądając się, jak Koloniści wynosili z poboju rannych. Prosił o to wysłannik Tewfika, a przerwa mogła się tylko przysłużyć Rządowi Cywilnemu.

- Ilu, jak sądzisz? - zapytał Dinnalsyn, podając dalej manierkę.

- Pięć tysięcy zabitych, może sześć - powiedział Gerrin Staenbridge, pociągając potężny łyk.

- A naszych? - zapytał Raj. Chciał wytrzeć dziobek manierki rękawem, lecz poczuł ciężar wilgotnego od potu materiału, więc po prostu przyłożył naczynie do ust i pociągnął z niego trzy szybkie łyki. Na dwie części wody przypadała trzecia część rumu, którego płomień wlały do jego żołądka trochę sił.

Koloniści leżeli długim pasmem, zaczynającym się w miejscu, z którego rano ruszyli do szturm, wyginającym się w lewo niczym fala załamująca się na falochronie. Pasma stawało się grubsze im bliżej okopów, jak morska piana śmierci. Atmosfera cierpienia nasilała się w gorących promieniach popołudniowego słońca, a powietrze wypełniał oprócz niej smród prochu i nieustające wycie rannych, którzy czekali, aż ktoś ich zabierze na wzgórze, z którego wcześniej tak ochoczo zbiegali.

- Ze dwa tysiące, większość podczas kontrataku - powiedział Gerrin.

- Cholerny Tewfik - skinął głową Raj. Był to prawie pogrom, ale lewe skrzydło Kolonistów nie pękło. Obróciło się tylko, formując szyk, którego nie potrafili złamać zbyt nieliczni żołnierze Rządu Cywilnego. Stało się to jasne po jednym szturmie. Popatrzył na ciągle płonące samochody pancerne, tuzin Kolonijnych i cztery jego własne. - On wie, że nadal nie możemy wygrać bitwy manewrowej...

- Jak sądzisz, co zrobi? - zapytał Menyez. Ze wszystkich zebranych to on wyglądał na najmniej zmęczonego. - Jego własne siły nie były zbyt długo w boju. Nadal są wypoczęci.

- Podobnie jak nasze prawe skrzydło, a ono widziało dziś, jak uciekają ludzie Jamala - powiedział Raj. Popatrzył w niebo. Jeszcze dziewięć godzin światła, ale potem na większość nocy

zapadną czarne ciemności.

- Dinnalsyn - mówił dalej. - Ile nieprzyjacielskich armat przyprowadziliśmy?

- Dwadzieścia pompomów - odrzekł artylerzysta. - Zniszczyliśmy drugie tyle, ale również nasze linie dział będą jutro słabsze.

- To nie ma znaczenia, jeśli będą silne tam, gdzie trzeba - powiedział Raj. - Menyez, weź sześć... nie, cztery bataliony z prawej flanki, gdyby poszło więcej, wydałoby się to podejrzane. Przeprowadź je na lewą, niech pomogą w porządkach. Potem - mówił dalej - po zmroku sprowadź ich z powrotem, a z nimi co drugi batalion z lewej. Wybierz te najmniej wyczerpane. Dinnalsyn, zostaw działa na lewej, niech to wygląda, jakbyś się tam okopywał. Potem przeprowadź je na prawą, podobnie jak wszystkie ruchome działa lewej.

Spojrzeli na niego wszyscy. Raj poczuł, jak ramiona opadają mu między kolana i patrzył na unoszący się w powietrzu dym z papierosa.

- Nie będziemy silni wszędzie - powiedział. - Nadal mają więcej ludzi i armat. Lewa była naszą silniejszą flanką. Musimy przyjąć zakład, że nie uderzą ponownie w ten sam sposób.

Nawet dla armii tak dużej, jak ta którą Osadnik sprowadził w górę Drangosh, takie straty były poważne. Ale walczyli w niej dzielni, zdyscyplinowani ludzie, którzy dziś udowodnili swoją przydatność.

- A jeśli Tewfik także zmieni front? - zapytał da Cruz. Doświadczony podoficer również wyglądał na wstrząśniętego. Nikt w Rządzie Cywilnym nie widział od dwudziestu lat podobnej rzezi. Koloniści oczywiście walczyli w wojnach Zanj...

- On może i by to zrobił, ale nie sędzę, żeby Jamal się na to zdecydował - powiedział Raj. - A stoimy przecież naprzeciw dwóch armii. Założę się, że przy całym zamieszaniu, jakie tam teraz mają, nie będą się kłopotać przesuwaniem całego wojska. Jamal zrobi najprostszą rzecz, czyli walnie nas większym młotem w drugą stronę głowy.

- A jeśli się mylisz? - zapytał Menyez, spoglądając z ciekawością na Raja.

- Wtedy wszyscy umrzemy - odrzekł dowódca. Jedyna pociecha w tym, że już tego nie zobaczę, pomyślał.

\* \* \*

“ ... upadnie, a wiatr zadmie -



Zagubieni umrą w górskich śniegach

Dusze połamią skrzydła na ścianach nieba

Musi nadejść ciemna noc, nadejść dla wszystkich”

Niech to Duch, ależ oni mają pogodne piosenki, pomyślał Raj, opierając głowę na kolanach Suzette. Srebrne struny jej gitary dźwięczały smutno, akompaniując piosence, której nauczyła ją opiekunka z zachodnich plemion. Żołnierzom chyba się podobała. Około setki opuściło swoje ogniska, żeby posłuchać. Nikt nie chciał spać wewnątrz szańca, jeśli tylko mógł tego uniknąć. Zresztą tej nocy w ogóle mało kto miał ochotę na sen... Rajowi udało się zdobyć dla wszystkich gorący posiłek, który przywieziono z Sandoralu na wozach. Było to więcej niż mieli nieprzyjaciele, w każdym razie wnioskując z tego, co mówili jeńcy. Najwyraźniej przybyli na północ żywiąc się tylko sucharami i suszonym mięsem w wydzielonych racjach, które ledwo pozwalały na przetrwanie na tych niegościnnych ziemiach. Mieli przed sobą zimną noc, bo wokół ich obozowiska nie było dość drewna na opał, by rozpalić ogniska.

- Jeszcze raz - mówił ludziom, przechadzając się wśród ognisk. - Jeszcze raz i ich złamiemy. Nikt nie zniesie więcej niż dwa razy tego, co im dziś zaserwowaliśmy. - Pytanie brzmiało: czy jego ludzie zniosą to jeszcze raz?

Strzały w ciemnościach poderwały ludzi na nogi.

- Spokojnie! - krzyknął Raj i usłyszał jak jego okrzyk jest powtarzany wzdłuż ognisk rozpalonych za liniami okopów. Strzałów było za mało, by mogły oznaczać atak, a na zboczu wystawiono wielu zwiadowców spośród Skinnerów i Descotczyków. Wspiął się na dach szańca i ze zmarszczonym czołem patrzył na zapalające się w ciemnościach języki płomieni. Poczul za plecami obecność Suzette.

- Pieprzony Tewfik! - powiedział nagle Raj ze złością. - Pieprzony Tewfik! - pokręcił głową z podziwem.

- Co się stało? - zapytała Suzette.

- Fugasy. On również nie pozostawia niczego przypadkowi - odrzekł Raj. - Tak naprawdę nie są tak niebezpieczne jak kartacz, ale wywierają wielki wpływ na psychikę. Nie tylko na nich, również na naszych ludziach, dla których ich wybuch będzie dużą pociechą. Zgaduję... tak, sądząc z tego, gdzie są... chce przechwycić linie detonatorów fugasów. Posłaniec! - Podbiegł do niego żołnierz. - Do zwiadowców, niech skoncentrują się wokół fugasów i nie pozwolą wrogowi ich uszkodzić!

- Czy będziesz mógł wymienić przewody? - zapytała Suzette, stając bliżej niego i ściskając go za

ramię.

- Nie - powiedział, odwzajemniając uścisk. - Ale mam w zanadru jedną lub dwie podobne sztuczki. - Popatrzył na jej twarz i przyszło mu do głowy, by nakłonić ją do odejścia na tyły. Nie, pomyślał. To bez sensu. Poza tym istniały granice bezinteresowności.

- Póki co, wcale nie chce mi się spać - powiedział.

- I mamy cały bunkier tylko dla siebie...

\* \* \*

- Nie zatrzymamy ich - powiedział spokojnie Menyez.

Raj wyrzał na zewnątrz przez szczelinę obserwacyjną. Krajobraz przypominał jeden z tych powtarzających się koszmarów, w których zawsze się umiera i nie można zmienić niczego w swoim postępowaniu. Ta sama nieustająca kanonada, te same kłęby drażniącego dymu...

Oczywiście były pewne różnice. Linie dział po obu stronach zageściły się. Poranne słońce pokazało, że działa, które pozostały Kolonistom, skoncentrowano tak, by wymierzone były w prawe skrzydło obrońców. Pieprzony Tewfik, pomyślał ironicznie znużony Raj. Staje się to moim mottem. A przecież to mnie ktoś cały czas pieprzy. Również atak przeprowadzano inaczej, szybciej i w luźniejszym szyku. Teraz szli ludzie Tewfika, Kolonialna Armia Południa, która walczyła z nim podczas wojen Zanj na ziemiach za Zatoką Kolonialną. Oni także stosowali taktykę żabich skoków, tyle że między jednym a drugim puszczały się biegiem, a nie truchtem, a ogień ich karabinów był zabójczo skuteczny.

- Nie utrzymalibyśmy się nawet do tej pory, gdybyśmy nie ogołocili lewej flanki - powiedział Raj.

- Która także się nie utrzyma, kiedy oni zejną tu na dół - powiedział Menyez. Lewa strona wzniesienia była spokojna, ale sformowane na nowo bataliony Osadniczej Armii Północy zmierzały w jej kierunku, utrzymując szyk pod ogniem ładowanych przez lufę dział Rządu Cywilnego. Patykowaty mężczyzna z hrabstwa Kelden westchnął. Bitwa na prawym skrzydle zmieniała się w strzelaninę na niewielkie odległości, a pierwsi ludzie Tewfika znaleźli się o jakieś dwieście pięćdziesiąt jardów od linii okopów.

- Prawdopodobnie uda ci się przenieść większość kawalerii do Sandoralu - powiedział Menyez, odwracając się. Zatrzymał się jednak, kiedy Raj dotknął jego ramienia.

- Suzette - powiedział Raj. - Jak brzmiał ten toast, który wzniosł w zeszłym roku ambasador

Brygady? Stała obok niego.

- Ten się obawia swego przeznaczenia, a nagrodę dostanie niewielką...

Dokończył jej słowa - ... kto nie zaryzykuje, by wygrać lub przegrać wszystko - powiedział. - Bitwy wygrywa się w umysłach ludzi... Sygnalista, rakiet.

Z szańca uniósł się w powietrze pojedynczy warkocz dymu, wysoko ponad kłębiący się dym dziesięciu tysięcy karabinów i dwustu dział. Za linią okopów kawalerzyści podbiegli do zdobycznych pompomów i pociągnęli za liny spustowe. Nie próbowali nawet mierzyć, zresztą nie potrafiliby, nawet gdyby całe przedpole nie było zasłonięte dymem. Każde z dział Kolonistów miało tylko jeden magazynek... i tylko jeden cel. Każde wycelowano tego ranka na fugasa przez ludzi Dinnalsyna, zanim ci zajęli się swoimi armatami. Pompomy wypaliły, i poleciały ogniste smugi, nie jedna po drugiej, ale wszystkie naraz. Żołnierze zaczęli uciekać, porażeni bronią, która, jak obiecał im ich dowódca, została rozbrojona. Grzechot karabinów umilkł na chwilę.

- Sygnalista! - krzyknął Raj. - Wszystkie jednostki z lewej flanki, naprzód! Kawaleria, przygotować się do pogoni!

- Ludzie Tewfika się nie złamią, nie odnieśli wystarczających strat - zaprotestował Menyez. Pod nimi rozległ się warkot samochodów pancernych, a na całej długości lewej flanki żołnierze wychodzili z okopów i formowali tyralierę, by uderzyć na flankę Kolonistów. - Nie możesz tego zrobić, ludzie Jamala nadal są w przewadze i zaatakują nas od tyłu!

- Nie zrobią tego - powiedział cicho Raj. Patrzył przez lornetkę na nieruchome oddziały, stojące na wzgórzu, bataliony wycięte do liczebności kompanii. Jeden ze sztandarów zachwiał się i upadł. Widział oficera, który wymierzył pistolet w żołnierza, który go upuścił, a potem błysk tuzina karabinów, które przyłożono oficerowi do piersi. - Uciekną... od własnych wspomnień. Jak sądzisz, dlaczego zgodziłem się wczoraj na zawieszenie broni? Spędzili cztery godziny w piekle, a potem dziesięć na zbieraniu rezultatów tego i paleniu ich.

Wyjął pistolet. Horace został przyprowadzony pod skraj szańca i teraz pisał z niecierpliwości po całym dniu spędzonym na łańcuchu w bunkrze.

\* \* \*

- Pieprzony Tewfik - powiedział Raj. Muszę z tym skończyć. - Niech mnie szlag, jeśli nie lubię tego faceta - dodał.

Wystrzeliła jedna ze stojących za nim siedemdziesiątek piątek, a tuż obok mostu wykwitł z wody

potężny, czarno-biały grzyb. Most okazał się imponującą budowlą. Ze szczytu wzgórza, górującego nad jego zachodnim końcem, wydawał się jeszcze bardziej majestatyczny. Z okopów na wschodnim brzegu buchały co chwila smugi ognia, a niski grzmot owocował po chwili potężnymi eksplozjami na równinie poniżej. Cała szerokość mostu przez Drangosh czerwieniła się mundurami uciekających Kolonistów, w większości rozproszonych. Kurczące się półkole obrońców wokół końca mostu wymieniało salwy z kawalerią Rządu Cywilnego, która ścigała ich przez cały dzień.

- Dlaczego... - zaczął Menyez i zaczął kaszleć, by oczyścić nieco płuca. Dla takiego widoku gotów był pojechać na psie, uznając tygodniową chorobę za niewielką cenę. - ...tak mówisz? - dokończył z czerwoną twarzą.

- Bo nie interesowało go nic poza tym, żeby wydostać stąd tylu ludzi, ilu się uda, skoro stracił już szansę na wygraną. Zostawił nawet swoje tabory - strzegł ich teraz Piąty, a towarzysze opiekowali się ciężkimi skrzyniami. Oczywiście nie było wśród nich M'lewis; nie było powodów, by sprawdzać ile byłby w stanie znieść. - Szkoda, że musi pracować dla tego rzeźnika, Jamala - powiedział Raj, wzdychając.

Sądziłem, że zwycięstwo przynosi uczucie tryumfu, pomyślał. Może po prostu jestem zbyt zmęczony. Teraz chcę tylko Suzette, kąpieli i tygodnia w łóżku... z czego przespałbym pierwsze dwa dni.

- Eh, mun ami! - Juluk Peypan był w doskonałym humorze. - Jey ahz un caddawper tuh!

Prezent? pomyślał Raj. Słońce już niemal zachodziło, a brzegi rzeki rzucały cienie, w których wystrzały lśniły jaśniej niż odbite promienie słońca. Przez jego myśli defilowały wszystkie nie zakończone szczegółliki administracyjne. Cóż, to z pewnością lepsze niż porażka, pomyślał.

- Tak, coś się tu ma dla ciebie! - odrzekł Skinner, uśmiechając się od ucha do ucha i sięgając do torby przypiętej do siodła.

Jamal również odsłaniał zęby, ale Raj uznał, że na jego twarzy odbiło się raczej zaskoczenie. Trudno było jednak stwierdzić to z całą pewnością, bo dużej części twarzy brakowało.

## Rozdział szesnasty

- Trochę inaczej niż ostatnim razem, co? - powiedział Foley, stając przed jednym z luster w salonie parostatku. Jego mundur kapitana był nieskazitelny, siatka kolcza na epoletach pasowała do wypolerowanego na największy połysk haka, który zastępował mu lewą dłoń. Kikut był prawdę mówiąc nadal nieco dla niego za delikatny, minął przecież dopiero miesiąc, ale podczas wizyty na dworze należało zachować wszelkie pozory.

- Wszystko jest względne - odrzekł zamyślony Raj, wyglądając przez okno i patrząc na przesuwane się światła Wschodniej Rezydencji; pałac był jasny jak za dnia, dodano nowe światła. Wilgotne powietrze łagodnie pieściło jego skórę po długim pobycie na południowej granicy, ale coś w nim znowu się napięło. Strach. Inny niż ściskające moszną napięcie w czasie walki, ale jednak strach. - Mamy nieco więcej czasu, ale przecież wygraliśmy.

- Tym razem - powiedział Menyez, patrząc w książkę. - Czy naprawdę będzie chciał nas wysłać, byśmy odebrali Południowe Terytoria? - przerwał. - Wiesz, że moja rodzina stamtąd pochodzi? Mieliśmy posiadłości wokół Port Murchison. Opuściliśmy je niedługo przed tym, jak Eskadra zajęła miasto - Kolejna przerwa. - I mogą je sobie zatrzymać, jeśli o mnie chodzi.

- No cóż, decyzja będzie należała do gubernatora, prawda? - powiedziała neutralnie Suzette. Zmarszczyła brwi, wyglądając dworską sukienkę. Nieformalną, bo przecież oficjalna audiencja odbędzie się dopiero jutro, ale po tylu tygodniach w ubraniu do jazdy lub w mundurze czuła się w niej nieswojo.

- Może to Tzetzas chciał, żebyśmy wrócili - mówił dalej Foley. - Może ma zamiar wysłać Raja na śmierć za to, że nie oddał wszystkich skrzyń ze skarbcza Jamala. Pamiętacie wiadomość, którą przysłał, kiedy dowiedział się, że rozkazałeś przekazać połowę na renty dla inwalidów?

- "Fiskalnie nieprawidłowo", tak to chyba brzmiało - powiedział Muzzaf. Komarianin siedział na jednym ze stołów w salonie i skupiony pisał coś na papierze. Jego nowe spodnie i kurtka o północnym kroju wykonane były z azaniańskiego jedwabiu, a apaszkę miał spiętą szpilką z rubinem. - Czy mam napisać messerowi Gruderowi, że podróż przebiegła bez nadzwyczajnych wydarzeń? - zapytał, kończąc list.

- Napisz Kaltinowi, żeby leżał spokojnie w łóżku jeszcze przez jakieś cztery miesiące - powiedział Gerrin Staenbridge, przeciągając się jak kot. Trafienie w udo i pęknięta kość udowa to nie żarty, szczególnie po ciężkiej infekcji. A cał w prawo, i kapitan Gruder zostałby ostatnim Gruderem, niezależnie od tego czy by przeżył, czy nie. - Wykorzystał już chyba całe swoje

szczęście... - Spojrzał na wschód, w stronę Sandoralu. – Wiecie? nienawidzę zostawiać za sobą nie zamkniętych spraw, i niepokoi mnie zostawianie tam wszystkiego pod opieką kogoś przykutego do łóżka. Czy znaleźli w końcu tego brudasa, który zamordował Reeda? jak mu było na imię, Abdullah?

- Nie - odrzekła Suzette zupełnie bezbarwnym głosem. Wszyscy na nią spojrzeli. Jej tajemnicze, nieodgadnione zachowanie wydawało się być odwrotnie proporcjonalne do odległości od dworu.

- Chcieli pewnie zdezorganizować milicję na wypadek, gdyby zwyciężyli - zauważył Gerrin.

- Pewnie tak - zgodził się Raj. Suzette spojrzała na niego, ale natychmiast spuściła wzrok.

- A niech mnie szlag! - wykrzyknął Menyez siedzący przy bulaju. Gwizdek parowca zawył, a parowiec wpływający tyłem do doku zadrżał lekko. Grały trąbki. - Naszą eskortą będzie 2. Żandarmerii!

- Półdupek Stanson we własnej osobie?

- Na litość Ducha, uważajcie - roześmiał się Raj. - Słyszałem, że zaczął rekrutować zbirów - setka ocalałych z Drugiego po szaleńczej ucieczce z Doliny Śmierci nauczyła się czegoś. Czegoś poza determinacją, by nigdy więcej nie opuszczać stolicy, jak donosili mu jego korespondenci w pałacu.

\* \* \*

- Planujesz odwiedzenie gubernatora od razu? - zapytał Stanson, rozpierając się na poduszkach po drugiej stronie powozu.

Raj mrugnął, strzelając oczyma w stronę Desa Poplanicha. Dziwne było, że brat jego starego przyjaciela przyjechał wraz z eskortą, by go przywitać. Był absolutnie persona non grata na dworze, a sposób, w jaki Stanson nalegał, żeby Raj pojechał z nimi sam powozem, był jeszcze dziwniejszy.

- Cóż, tak, oczywiście - odrzekł Raj, nagle zdając sobie sprawę, że ma przy boku pistolet, a na kolanach szablę.

Nie bądź śmieszny, powiedział sam do siebie, wyglądając przez okno. Tłum opuszczał właśnie teatr, roześmiane kobiety w sukniach i pierzastych kapeluszach oraz klejnotach, które mężczyźni we wspaniałych mundurach prowadzili do lekkich, miejskich powozów, cacuszek z kryształu, metalu i szkła. Jasne światło gazowych latarni iskrzyło na klejnotach i metalu, marmurach budynków, bogato zdobionych liberiach niewolników, którzy trzymali uzdy psich zaprzęgów, których z kolei futra były rozczesane i lśniące jak peruki dam. Maxiluna była w pełni i wisiała nad pałacem. Ulice rozbrzmiewały odgłosem żelaznych obręczy kół na bruku, krzykami handlarzy pchających swoje

wózki. Mc się nie wydarzy. Będzie tylko mnóstwo nużących parad i przemówień, kiedy dotrą tu żołnierze. I może duża wojna w przyszłym roku, ale południowe terytoria są przecież naszą prawowitą własnością.

Rzucił okiem za siebie. Des wydawał się zakłopotany, ale od Stansona aż biło podniecenie. Raj przypomniał sobie, jak trzymał pistolety podczas niespodziewanego ataku w zeszłym roku, jakby były przedłużeniem jego rąk. Tutaj Stanson był w domu tak samo, jak Raj był domu na polu bitwy z przeciwnikiem naprzeciw siebie.

- Naprawdę byłoby lepiej... dużo lepiej - powiedział cicho Stanson - gdybyś wysłał wiadomość, że jesteś zmęczony, i że zobaczysz się z gubernatorem podczas porannej audiencji. - Cisza, zakłócona tylko stukotem kół, które zmieniło się w jednostajny szum, kiedy zbliżywszy się do pałacu przejechali z kostki brukowej na beton. Rozległo się jeszcze miękkie dudnienie psich łap i sapanie zaprzęgu.

- A jeszcze lepiej - mówił dalej dowódca Drugiego - gdybyś wracał z granicy dzień lub dwa dłużej. Jak rozumiem, niektórzy z twoich ludzi nadal leczą się z ran.

Niewypowiedziana groźba. Raj wyjrzał ponownie przez okno. Nowe mundury Drugiego były wspaniale uszyte, ale kurtki miały piaskowy kolor khaki, a żołnierze trzymali karabiny na kolanach.

- Cóż - powiedział po chwili Raj. - Sądzę, że to ty masz zostać nowym gubernatorem, Des?

Des Poplanich zaczął się jąkać. Był bardziej pulchny niż kiedyś jego starszy brat (nie kiedyś, pomyślał Raj, on żyje, tylko... został wyłączony z obiegu), ale miał w sobie tę samą dobrze pojętą powagę. Raj zawsze raczej go lubił. Des był dokładnie taki, jaki mógł być jego brat, tyle że bez siły woli i z dziewięcioma dziesiątymi rozumu.

- Raj, wiesz, że nie jestem ambitny - zaczął. Raj skinął głową. Był to jedyny powód, dla którego Des jeszcze żył. I jeszcze głęboka pogarda, jaką żywił do niego Barholm. Des mówił dalej. - Ale to... dla dobra państwa. Barholm to szaleniec i on... Raj, nie było cię na dworze, a z nim jest coraz gorzej. Ta polityka wyznaniowa, to obłąd! Oczywiście, nie możemy nadać równych praw tak oczywistym poganom jak chrześcijanie, ale nie ma powodu, by odbierać im majątki albo pozbawiać podstawowych wolności. Podatki zmieniają to, co pozostało z klasy wolnych chłopów, w zadłużonych wyrobników, i dokąd to prowadzi? Dokąd trafia każdy grosz? Prosto do kieszeni Tzetasa i jemu podobnych drani, a to, co pozostaje, przeznaczają na nowe świątynie i szalone plany, jak na przykład budowa kolei do Sandoralu i zagraniczne wojny, na których nie korzysta nikt poza najemnikami i zleceniobiorcami - znowu Tzetas... - On musi odejść, Raj. On, i ta dziwka, którą miał czelność uczynić panią gubernatorową. Czy wiedziałeś - mówił gorzko, a w jego głosie zabrzmiała obrażona duma piętnastu pokoleń patrycjusza - że rozkazał bić jej podobiznę na

monetach? Że szanowane messy zostały wyrzucone z dworu, a nawet uwięzione, bo nie chciały traktować zwykłej prostytutki jak równej sobie?

Raj skinął głową. Ponieważ wszystko to było prawdą, tak, a także dlatego, że musiał dowiedzieć się jak najwięcej. Chociaż większość tych dam... a w każdym razie Anna... zawsze przywiązywała wagę do pieniędzy.

- Barholm to sukinsyn, oczywiście - powiedział. Stanson patrzył na niego swymi przymkniętymi oczami sauroida. Ostrożnie, to nie głupiec. - A Tzetzas jest jeszcze gorszy. Nie tylko okrada skarbiec, ale jeszcze próbował ograbić ludzi pod moją komendą. - Lekkie rozluźnienie. Jego starcia z kanclerzem przeszły już do legendy. - Ale złożyłem Barholmowi przysięgę i nie wezmę udziału w jego zabójstwie.

- Raj! - wykrzyknął Des, a w jego głosie odezwała się prawdziwa uraza i zdziwienie. - Chyba znasz mnie lepiej! Barholm, a nawet jego... kobieta... cóż, znajdują się pod strażą, oczywiście, i nie pozwolimy im wrócić do hrabstwa Descott... nie obraż się...

Raj skinął głową. Hrabstwo przywykło mieć na Krześle swojego człowieka, a czwarta część kawalerii rekrutowała się właśnie stamtąd.

- ... zostanie zabrany na wyspę Chongwe, do jednej ze swoich posiadłości. Może zapić się tam na śmierć albo oddać religijnej demencji, a sądzę, że już jest na wpół przekonany, że sam jest awatarem... czy czym mu tam przyjdzie do głowy. Wystarczy mi to jako zemsta za Thoma i mojego dziadka.

Stanson kaszlnął i zakrył twarz dłonią, ale odbicie w oknie za plecami Desa pokazało, że jego twarz miała wyraz odpowiedni raczej dla polującego sauroida. Jednego z mniejszych i zwinniejszych, które zabijają, odgryzając kawałki ciała uciekającej zwierzynie. Raj pomyślał, że mężczyzna zmienił pozycję. Był pewnie gotów zastrzelić Raja na miejscu, gdyby ten przystał na ich plan zbyt łatwo, i szlag niech trafi komplikacje. Może warto było przeznaczyć nieco wysiłku na zostanie mistrzem pistoletu, a Suzette mogłaby zainteresować się truciznami - Des, Des, pomyślał Raj. Trzeba było zostać w domu, a jeszcze lepiej wyjechać i pisać traktaty filozoficzne i sztuki, i spędzać czas będąc dobrym messerem dla swych podopiecznych. Poczul głęboki smutek, zamknął oczy i westchnął ze znużeniem. Bo jeśli biegasz z sierpostopem, lepiej miej chociaż pazury.

- Kto za tym stoi? - zapytał na głos. - No bo przecież Stanson, nie jestem taki głupi, żeby uwierzyć, że sam to wszystko wymyśliłeś. Nie masz dość wpływów w armii.

Oficer pochylił się do przodu i zaczął wymieniać nazwiska. Raj kiwał głową, słysząc ich coraz więcej. Kilka milionów akrów ziemi, wliczając w to najbogatszą dolinę Hemmar (Trahn Minh też w



tym był, nie dziwnego) i następnie kilka milionów Fed-Kredów w transporcie i fabrykach we Wschodniej Rezydencji. Ludzie, którzy z pewnością niechętnie będą płacić podatki na odzyskanie zachodnich terytoriów, i nie zgodzą się na zakłócenie importu i eksportu.

- Cóż, to imponujące - powiedział Raj. - Ja... nie jestem samobójcą, niezależnie od tego, co mówią plotkarze. Mam ośmiu ludzi, siebie i Suzette... - Stanson skrzywił się lekko - ... a to raczej nie wystarczy w razie strzelaniny. Nie sądzę też, żebyś był na tyle głupi, by ją zaczynać nie umieściwszy Drugiego w pałacu, Stanson. Nie chodzi o to, że Barholm jest najlepszym gubernatorem, jakiego mieliśmy, wystarcza jednak do realizacji planów Ducha Człowieka... Ale o ile nie będę musiał zrobić niczego, czym złamałbym przysięgę - wzruszył ramionami - co mogę zrobić?

Rozpromieniony Des oparł się wygodnie i klasnął w dłoń.

- Wszyscy wiedzą, że bardziej dbasz o swój honor niż jakikolwiek oficer w armii, i że jesteś najzdolniejszym dowódcą Rządu Cywilnego. Ale nie jesteś jednym z tych fanatyków, którzy wierzą, że można odbudować Świętą Federację w jedną noc, zależy ci za bardzo na twoich ludziach - powiedział. - Jeśli przyjmiesz funkcję naczelnego wodza u mojego boku, wszyscy uczciwi ludzie przejdą na naszą stronę.

Będę marionetką, pomyślał chłodno Raj uśmiechając się, a jeśli bierze w tym udział Stanson, to bez wątpienia będę martwy w przeciągu roku. Nie można było na to pozwolić, ale konsekwencje dla państwa, które uosabiało Świętą Federację tu na Ziemi...

»Najbardziej niekorzystna możliwość. Prawdopodobieństwo 15%, 200 lat od dzisiaj, plus minus 20. Obserwuj.«

\* \* \*

... Wschodnia Rezydencja płonąła. Była to ulica w mieście, które Raj znał, ale w jakiś sposób zniszczona, budynki były zaniedbane i nie reperowane od dziesięcioleci. Między kostkami bruku rosła trawa, a port był pusty. Ludzie na ulicach, w każdym razie ci, którzy nie byli nadzy lub w łachmanach, nosili dziwne ubrania. Nierówny szereg żołnierzy szturmował barykadę. Ludzie po jej drugiej stronie wyglądali na zwykłych obywateli Wschodniej Rezydencji, ale żołnierzami byli czarni Zanj w mundurach Rządu Cywilnego.

»Najwyższe prawdopodobieństwo. 83%, plus minus 4. Obserwuj.«

... Wschodnia Rezydencja płonąła. Oddział żołnierzy wycofywał się ulicą. Rozpoznał sztandary

7. Zwiadowczego z Descott, a także własnego Piątego. Ich szeregi były bezlitośnie szarpane przez kartacze, a gonili ich inni żołnierze w mundurach Rządu Cywilnego. Rębacze z Rogor, piechota z Kelden i wmieszani między nich ludzie w dziwnych krótkich kurtkach Brygady. Cywile stojący na dachach rzucali w dół kamienie i cegły, aż wreszcie piechota Kelden zatrzymała się i skierowała salwę w górę...

\* \* \*

Wojna domowa, pomyślał Raj. W najlepszym razie za stulecia, kiedy zniknie już wszelka nadzieja. Bardziej prawdopodobne, że w przeciągu roku. Znał szlachtę z Descott, nie stanęliby za reżimem zdominowanym przez miejskich kupców i, co gorsza, przez hrabstwa doliny Hemmar i ich panów. Ludzie nizin mieli pod dostatkiem pieniędzy, ale niechętnie dawali swoim chłopom broń. Zatrudniliby cudzoziemców, co znaczyło, że obie strony byłyby zmuszone szukać pomocy za granicą. Zadrzał.

\* \* \*

- No i? - zapytał Stanson. Byli już za zewnętrzną bramą pałacu. Raj spojrzał mu w oczy.

- Wszystko jest lepsze niż wojna domowa - powiedział. - Absolutnie wszystko.

Wiara, bo Stanson na swój sposób dobrze znał się na ludziach, a teraz usłyszał absolutną prawdę.

- Ale byłoby bardzo podejrzane, gdybym nie złożył gubernatorowi przynajmniej kurtuazyjnej wizyty. - Palce Stansona poruszyły się, jakby żyły własnym życiem.

- Sam? - zapytał spokojnie. Napięcie w głosie zdradzało powód, dla którego pytał, ale w twarzy nie było tego widać. Des Poplanich przenosił wzrok z jednego na drugiego, nie wiedząc najwyraźniej, co myśleć.

- Nie, to również nie byłoby naturalne - odrzekł Raj. - Człowiek o mojej randze nie może poruszać się bez eskorty, nawet jeśli wiadomo, że nie lubi ceremonii. Ale, oczywiście - mówił dalej. - Suzette nie wolno dopuścić w pobliże pani Anny.

Stanson ochoczo skinął głową. - Oczywiście, że nie - powiedział.

- Dobrze - powiedział Raj, postukując się kciukiem w podbródek. - Mógłbyś wyznaczyć kilku ze swoich ludzi i oddelegować ją do jej komnat... warta honorowa, to będzie dobrze brzmiało... a ja wezmę dwóch swoich ludzi i na chwilę zajrzę do Barholma. Potem dołączę do Suzette w naszych

apartamentach - o wiele większych, jak mówiła otrzymana od pani Anny wiadomość. - I zamkniemy za sobą drzwi, dopóki nie zrobicie tego, co musicie zrobić.

Stanson zastanawiał się przez długie sekundy, a potem skinął głową. Raj proponował swoją żonę jako zakładnika. I samego siebie również, jeśli o to chodzi, biorąc tylko dwóch ludzi do komnat gubernatora. Gdyby zdarzyło się najgorsze, Desowi można by było powiedzieć, że jego przyjaciel dostał się przypadkiem w krzyżowy ogień.

- Tak, tak będzie doskonale - powiedział Stanson, przecinając podziękowania Desa Poplanicha.

To pokazuje, jakim autorytetem cieszyłby się jako gubernator, pomyślał Raj.

- Świetnie. Musimy postarać się, aby nic złego nie przydarzyło się pani Suzette...

To pani Whitehall, ty sukinsynu...

- ... za wszelką cenę. Ja, ach - zawahał się - pamiętam dobrze, że uratowała mi życie. Niezależnie od innych naszych nieporozumień, ten brudas się do mnie zbliżał, nie miałem już amunicji i ani chwili czasu, kiedy strzeliła do niego...

- Tak, ja też to pamiętam - powiedział Raj. Szkoda, ale Suzette taka już jest. - A co się stało z Mertą? - zapytał. Przypomniawszy sobie, jak dziewczyna rzuciła się między mężczyznę a stal. Lepiej prowadzić rozmowę jak mężczyzna z mężczyzną i starać się, aby czuła na kłamstwa antena Stansona była zakłócana przez wspomnienia, od których na jego czoło występował pot.

- Merta? - zapytał Stanson, a po chwili jego twarz się rozjaśniła. - Ach, ta ruda. Wydałem ją za jednego z moich sierżantów i dałem im gospodarstwo zwolnione z czynszu - powiedział.

Raj aż zamrugał z zaskoczenia. Bardzo ucziwie jak na...

- Właściwie zasugerowała mi to pani Suzette.

\* \* \*

- Co się dzieje, Raj? - szepnęła wściekła Suzette. Raj cofnął się. Stanson patrzył na nich nieruchomym spojrzeniem gada.

- Chorąży M'lewis - powiedział Raj. - Messer Staenbridge.

Obaj podnieśli głowy, zaniepokojeni zarówno sposobem, w jaki się do nich zwrócił, jak i tonem głosu. Towarzysze wysiedli już ze swoich powozów, a dwudziestu żołnierzy Drugiego uformowało już pieszy szyk, podczas gdy pałacowi słudzy odprowadzali ich psy. Był to dziedziniec Starego Portu, znajdujący się w pobliżu Apartamentów Honoru, starożytnych budynków wysokich na mniej

więcej trzy piętra, najbardziej prestiżowej części skrzydła mieszkalnego. Za nimi wznosiła się Wieża Gubernatora, wykonana ze stopionego kamienia jeszcze przed Upadkiem, tak samo alabastrowo-doskonała, jak była tysiąc lat wcześniej.

- Będziecie towarzyszyli mi, kiedy będę zdawał raport gubernatorowi - powiedział, zdejmując rękawice. - Tymczasem nasi towarzysze broni - pokazał na żołnierzy Drugiego i zauważył, jak kilku towarzyszy mrugnęło niespokojnie - będą stanowić eskortę, która odprowadzi panią Whitehall do naszych komnat, gdzie pozostanie dopóki do niej nie dołączę.

Widział przed sobą ich oczy, w których odbijała się czujność, której nie można było poznać po minie ani postawie. Foley podrapał się hakiem w szczękę swej staro-młodej twarzy. Zewnętrzną krawędzią, bo wewnętrzna była tak ostra, że można się nią było golić.

- Mam do was pełne zaufanie - powiedział tym samym głosem rodem z defilady. - Pojawiły się pogłoski o niepokojach w mieście - mówił dalej - a messer kapitan Stanson zgodził się łaskawie, aby ci żandarmi stanowili dodatkowe zabezpieczenie naszych apartamentów oraz samej pani Whitehall.

- Raj, idę z tobą... - zaczęła Suzette.

- ... a wy dopilnujcie, aby dotarła tam bezpiecznie i tam pozostała, w razie potrzeby powstrzymując ją przed wyjściem. Wyznaczam waszą szóstkę odpowiedzialnymi za jej bezpieczeństwo. Czy to jasne?

Foley zasalutował.

- Najzupełniej, mój panie - powiedział. Da Cruz podszedł do Suzette i ostrzegawczo położył jej dłoń na ramieniu. Inny z żołnierzy podszedł cicho, by zobaczyć, czy karabiny i broń osobista, które mieli w bagażach, znajdują się w ich zasięgu.

- Życzę przyjemnego wieczoru, messer kapitanie Stanson - powiedział Raj, ściskając mu rękę. - Spodziewam się, że nie zobaczymy się aż do jutrzejszego ranka?

- Bez wątplenia, messer brygadierze Whitehall - odrzekł Stanson.

\* \* \*

- Wasza Wysokość, uknuto spisek na twoje życie, nie podnoś wzroku - szepnął Raj, uśmiechając się promieniście. - Zaproś mnie i tych dwóch ludzi do sanctum, natychmiast, mój panie, nie mamy czasu.

Barholm zeszywniał, obejmując Raja jak równy równego. Nie pokazał po sobie niedowierzania.

Gubernatorzy, którzy zmarli ze starości, nie należeli co prawda do kategorii takich nieprawdopodobieństw jak dwugłowe cielaki, ale z pewnością nie byli w większości.

- Nie ma formalności między mną a moim najlepszym dowódcą! - powiedział, szczerząc zęby. Na jego górnej wardze pojawiły się kropelki potu. - Musisz do mnie wstąpić chociaż na kieliszeczek przed snem. Nie chcę nawet słyszeć odmowy.

Barholm odwrócił się, biorąc Raja pod ramię. Żandarmi stojący przy drzwiach do osobistych komnat gubernatora nie mogli nic zrobić. Raj spojrział na ich oficera i uniósł bezradnie ramiona. Nie odrzucało się takiego zaproszenia składanego przez absolutnego władcę państwa.

- I oczywiście tych dwóch śmiałków - dodał gładko Barholm. - Jako wiceregent człowieka na Ziemi muszę dowiedzieć się, jak służyli mu przeciwko wypierającym się Ducha.

Drzwi do jego kwater zamknęły się za nimi. Zrobiono je z kości słoniowej ze stalowym rdzeniem. Barholm osobiście zamknął zasuwę, odsuwając na bok przerażoną służącą. Zanim się odwrócił, M'lewis i Staenbridge już przepychali wielką kanapę po dywanie z Al-Kebir, by zablokować nią drzwi.

Gubernator popatrzył na Raja szklistym wzrokiem.

- Czy tym dwóm można zaufać? - zapytał.

- Najzupełniej, mój panie - odrzekł Raj. Dłonie gubernatora poruszały się bez jego wiedzy, zdradzając dialog, jaki prowadził w myślach sam ze sobą.

- Ocalcie mnie, a obu was uczynię najbogatszymi panami w Rządzie Cywilnym - powiedział szybko. Staenbridge i M'lewis pokłonili mu się, ukrywając pogardę odpowiednio pod chłopską spolegliwością i arystokratycznym opanowaniem.

- Chodźmy, chodźmy - powiedział Barholm. - Musimy... Stara Wieża, ona jest nie do zdobycia. Szybko!

Służąca nadal stała w miejscu, na przemian otwierając i zamykając usta jak ryba. - Idź po panią Annę - powiedział jej Raj prosto z mostu. - Idź po nią natychmiast.

- Mój panie - zwrócił się do Barholma. - Oto szczegóły, które udało mi się poznać...

\* \* \*

Wewnętrzne pomieszczenia w Starej Wieży były jeszcze sprzed Upadku. Zgodnie z obowiązującą wtedy modą miały dziwne kształty i rozmiary, pomimo wszelkich zabiegów, które podejmowano by

je unowocześnić. Kominki wykonano z alabastru, przypominającego topioną skałę starożytnych, mimo to pozostawały w rażącym kontraście do reszty. Sufity jaśniały spokojnym światłem, które nie zmieniało się od czasów Upadku. Pod znajdującą się sto metrów wyżej koroną z kamienia nie było ani jednego okna. Raj widział pokoje jako serię taktycznych przeszkód, a szczegóły umykały świadomości skupionej na przeprowadzaniu linii ognia. Obok niego stał ze skrzyżowanymi na piersi ramionami Staenbridge. M'lewis był bardzo spięty i chodził wokół z dubeltówką, którą zabrał służącemu, choć nie zmartwił się sytuacją na tyle, żeby nie schować do kieszeni kilku przedmiotów...

- Wszyscy zwrócili się przeciwko mnie! - powiedział Barholm, siadając bezwładnie na krześle ze srebra z jedwabnymi obiciami. - Nawet Stanson! Był zniszczony, a ja go podniosłem z niczego, słyszysz, z niczego, spłaciłem długi, które by go zrujnowały i to w taki sposób mi się odplaca! - W oczach gubernatora pojawiły się łzy, może ze strachu, może z prawdziwego żalu.

- Mój panie - powiedział Raj, używając cierpliwości jak narzędzia, które miało wykuć rezultaty w skale, jeśli miało dość czasu. Umysł podsuwał mu widok Suzette rozdartej salwą żołnierzy żandarmerii, kiedy tylko konspiratorzy odkryją, że komnata gubernatora jest zamknięta i zabarykadowana. Odsunął od siebie te myśli nadludzkim wysiłkiem woli. Podjąłeś decyzję, pomyślał sobie. A teraz wszystkiego nie zaprzepać. - Mój panie, mamy bardzo mało czasu. Rozumiem, że samochód pancerny jest w ciągłej gotowości?

Barholm wciągnął do płuc powietrze i skinął głową.

- Na poziomie ponad piwnicą - powiedział. - Są tam, są tam klejnoty i... paliwo, starczy na 100 kilometrów, brama stamtąd wychodzi wprost na drogę. - Stara Wieża była kiedyś sercem murów Wschodniej Rezydencji i nadal prowadziła z niej droga prowadząca ku wybrzeżu. - Możemy, możemy uciec do Osadnika, on by, ach... sądzę... on by nas ochronił. Wyświadczałem mu w przeszłości przysługi i...

- Mój panie, Osadnik nie żyje - powiedział prosto z mostu Raj. - Przypomnij sobie, że przysłałem ci jego głowę w alkoholu jakiś miesiąc temu. Ale możemy...

- Zostać dokładnie tu, gdzie jesteśmy teraz!

Anna, pani Clerett, wiedziała co znaczy dobre wejście. Wystarczyło jej czasu na złożenie kompletnego stroju pani gubernatorowej, włącznie z tiarą, rozciętą z przodu spódnicą i ogonem długim na pół tuzina kroków. Klejnoty urzędu iskrzyły na niej jak gwiazdy... a Raj nie widział na jej twarzy strachu. Był tam za to gniew, największy, jaki zdarzyło mu się oglądać.

- Barholmie Clerett - powiedziała. - Nie po to wyczołgiwałam się z rynsztoka, ani nie po to wychodziłam za ciebie, żeby nosić woalkę i mieszkać w willi przy Zatoce Kolonialnej. Albo żeby

uciekać. Tak zawsze brzmi twoja odpowiedź, prawda, Barholm? Gdy mój protektor znalazł nas razem w łóżku, to wyskoczyłeś oknem i biegniesz nagi ulicami, żeby całe miasto widziało i śmiało się z ciebie. Motłoch próbował obalić cię i osadzić na Krześle jednego z tych robaków, Poplanichów, i też chciałeś wtedy uciekać. Uciekałbyś nadal, gdybym ja nie zamknęła cię w pokoju, dopóki nie wydałeś rozkazu by posłać wojsko. A teraz znowu chcesz dać nogi za pas, ty glisto, no to ja ci pokażę, jak powinien umierać gubernator, ty tchórze, bo ja mam zamiar umrzeć tu, w pałacu. Podpalę go i zamienię we własny stos pogrzebowy, zanim znowu wszystko stracę!

Brawo, bis, pomyślał Raj. Anna miała jednak w twarzy coś, co czyniło ją równie zniechęcającą jak szarża Kolonistów. Pistolet, który trzymała w dłoni był zabawką, stal zdobiona złotem, ale Raj był prawie pewien, że w lufie znajduje się nabój... a ona mogła postanowić zabić Barholma i siebie. Jej umysł był tak rozedrgany, że zdolna była do wszystkiego.

- A ty! - powiedziała, zwracając się do Raja. - Ja... - Z jej rysów zniknął obłęd, zastąpiony szerokim uśmiechem. - Cóż, oczywiście, że nie chciałeś uciekać, generale Whitehall. Wiesz, że możemy wygrać, nie mogą przecież mieć po swojej stronie całej armii... te ściany są nieprzebyte, możemy utrzymać się tu tydzień lub dłużej, a oni musieliby wysadzić Starą Wieżę z jej fundamentów. - Co było prawdą. - Na dachu jest heliograf, moglibyśmy wezwać lojalne bataliony z, och, z prowincji nadmorskich, z Descott, gdyby było trzeba.

A wtedy, tak czy inaczej, dojdzie do wojny domowej, pomyślał Raj. Jeśli da się spiskowcom czas na umocnienie się w pałacu.

Zaraz, pomyślał nagle. Musieli o tym pomyśleć, znają Annę zbyt...

»Obserwuj.«

\* \* \*

... a Raj rozpoznał Wieżę, lśniąca doskonałością. Wszystkie ściany świeciły, a podłogę przebijały tuziny tajemniczych, przezroczystych rur. Czas przyspieszył, światło padało zewsząd oprócz sufitu, a przezroczyste rury były puste i zakurzone. Przyszli jacyś ludzie i rozbili je młotami, na lśniącej podłodze położyli cegły, przykryli nimi otwory... które sięgały aż do systemu kanałów. Długo później przyszli inni mężczyźni i rozmieścili w wysokiej komnacie belki i dźwigary, by podzielić ją na dwa pomieszczenia. Na belkach ułożyli kamienne płytki. Nagle znalazł się w samych ściekach. Klęczeli tam ludzie ubrani w mundury 2. Żandarmerii. W dłoniach mieli łomy i młoty, a karbidowe lampy pokazywały ceglane okręgi nad ich głowami. Jeden z nich ustawiał właśnie drabinę...

\* \* \*

- Prowadzi tu droga od dołu - powiedział Raj. Anna odwróciła się i popatrzyła na niego spod przymrużonych powiek. - Ze ścieków biegnących pod podłogą, prosto do magazynu. - Tam trzymano samochód pancerny, gotowy unieść ich poza bramy. - Planują... to znaczy prawdopodobnie planują przebić się przez cegły do komnaty z samochodem pancernym. Kiedy się tam dostaną, nie powstrzymamy ich, bo podłoga wyższego piętra opiera się na krokwiach, które też mogą przebić, a my nie możemy zamknąć klatki schodowej w głównej części Wieży.

- Ty też jesteś tchórzem? - zapytała Anna, podnosząc pistolet. - Strzelaj z działa w samochodzie, strzelaj do nich, zabij ich!

- Pani Anno - powiedział zdesperowany Raj. Jak to wytłumaczyć komuś, kto nigdy nie brał udziału w walce? Z pewnością nie uda się oszukać jej instynktów. - Moja pani, to działa się nie obniży, nie zegnije, by w ogóle strzelić w podłogę. A po tym, jak zablokowaliśmy główne wejście do Wieży, to kiedy przyjdą do nas przez podłogę, będzie ich co najmniej... nie uda nam się... - podniósł dłoń. - Zaraz. Jest sposób!

Popatrzył na lampy elektryczne, które mogły dostarczyć dodatkowego oświetlenia w czasie przedstawień.

Na twarzy Barholma zakwitł rumieniec nadziei, a na twarzy Anny radość, kiedy Raj wyjaśniał szczegóły swojego planu. Raj starał się nadać wyrazowi swojej twarzy pozory obojętności. Tak samo zrobił z umysłem - koncentrował się na zadaniu, a nie na tym, co będą musieli zrobić.

- Chodź, Gerrin - powiedział, kiedy Barholm pokiwał ochoczo głową. - Mamy pracę do wykonania i bardzo niewiele czasu. M'lewis, zostań tutaj.

\* \* \*

Końcówka łomu przebiła się przez cegły niemal nie stawiające oporu. Musieli wyskrobać zaprawę już całe dni temu, a potem wzmocnić to deskami, pomyślał Raj i wyciągnął pistolet.

- Gerrin! - krzyknął. - Już czas, Gerrin, już czas!

Cegły poleciały w dół, w krąg ciemności rozświetlonej światłem lamp. Oparł dłonie o nitowany bok samochodu pancernego i strzelił, dodając do błysku lamp pomarańczowy płomień. Na dole krzyk i światła wycofały się.

- Jeszcze trzydzieści sekund, Raj. - Głos Gerrina, obojętny jak głos kogoś, kto koncentruje się na



zadaniu wymagającym pracy dłoni i umysłu.

- Whitehall, już po wszystkim! - Głos Stansona, a pod całą podłogą rozległo się stukanie, gdy żelazo uderzało o osłabione cegły. Trzask i brzęk, gdy cegły w innym tunelu poddały się i poleciały w dół w chmurze sproszkowanej zaprawy murarskiej.

- Raj! - głos Desa Poplanicha, rozpaczliwie szczery. - Nie chcę, żeby coś ci się stało. Nikomu nic się nie stanie, ale tobie nie wolno. Twoje miejsce jest przy nas, nie przy tym uzurpatorze Cleretcie.

- Whitehall, nie martw się, potrzebujemy cię - kontynuował Stanson. - Wszyscy zgodzili się, żebyś przejął dowództwo polowe na zachodniej granicy na tak długo, jak będziesz miał ochotę. - Kolejne uderzenia i odgłos spadających cegieł. - Nikt nie powie, że nie dotrzymałeś przysięgi, Whitehall, ale to już koniec.

Rajowi wydało się, że słyszy pełen niechęci podziw w głosie mężczyzny, nie wiedział tylko, czy dotyczył on odwagi Raja, czy umiejętności, jakich użył by ich oszukać.

- Raj, gotowe - powiedział Gerrin.

Strzelił raz jeszcze i obaj mężczyźni skoczyli na górę po drabinie. Klapa w podłodze uniosła się, a służąca, która stała obok niej, na widok wysmarowanej olejem i potem twarzy Raja upuściła marmurową statuetkę.

- Tylko tego mi trzeba, żeby pokojówka rozpieprzyła mi głowę - syknął, kiedy Gerrin wdrapywał się na górę. Stukot cegieł ustąpił teraz miejsca krokom i dźwiękowi kolb karabinów, uderzających w boki samochodu pancernego.

Muszę ich odpowiednio ustawić, pomyślał Raj. Strzelił przez otwór w podłodze i odpowiedziała mu wielka salwa. Musiało tam być ze stu żołnierzy, wszyscy, którym mogli zaufać Stanson i inni konspiratorzy, i którzy byli zdolni do działania a nie tylko do akceptowania rezultatów. Oni stanowili rdzeń spisku. Słyszał głos Stansona, Desa Poplanicha i innych z akcentami messerów. Odkopnięto na bok mosiężne łuski.

- Messer - powiedział ktoś na dole. - Tu jest coś dziwnego... myślę, że to jakiś syfon...

- Ponie? - zapytał stojący po drugiej stronie pokoju M'lewis. Jego ręką spoczywała na przełączniku zapalającym światła w piwnicy pod nimi. W jego złotych zębach i pełnych napięcia oczach odbijał się blask sufitu.

Gerrin spojrział dowódcy w oczy wzrokiem tak samo pełnym niesmaku. Raj wyprostował się. To była jego decyzja, jego odpowiedzialność.

- Teraz - powiedział. M'lewis przekręcił włącznik. Prąd elektryczny popłynął przewodami

prosto do wielkiej beczki, którą Raj i jego towarzysz przewrócili na bok, wypełnili mieszanką paliwową węgla i oleju z samochodu, i prochem z pocisków do jego działa. Zaimprovizowany ogniasty fugas eksplodował zebranych w pomieszczeniu żołnierzom w twarze.

Suzette...

»Obserwuj.«

\* \* \*

... a żołnierze Drugiego siedzieli pod drzwiami apartamentu, trzymając ręce na karkach, kiedy drzwi się otworzyły i rzuciła mu się w ramiona...

\* \* \*

... a pierwsza salwa ludzi, których prowadził, trafiła szturmujących barykadę żołnierzy Drugiego w plecy. Zza barykady wstał uśmiechający się Foley, zaraz po nim Muzzaf, a Suzette już się między nimi przeciskała, a jej twarz rozpromieniła się, gdy zobaczyła...

\* \* \*

»Prawdopodobieństwo, że pani Whitehall coś się stanie, jest zbyt niskie, by brać je pod uwagę.«  
- czy w bezosobowym głosie pojawiła się nutka litości?

Raj otworzył oczy. Zobaczył Barholma Cleretta, który potrzasał wyciągniętymi w górę dłońmi. Z jego twarzy zniknął strach, zastąpiony przez tryumf, o wiele mniej przyjemny dla obserwatora. Pani Anna stała u jego boku i wyciągała rękę, by go dotknąć, jakby był talizmanem.

- Będę rządził światem, całym, całym, tak postanowił Duch Człowieka!

Tak, pomyślał Raj, czując mdłości. Złożyłem przysięgę, że podbiję dla niego świat. Niech moja dusza znajdzie przebaczenie.

- Mój panie - powiedział. - Lepiej chodźmy na górę. Podłoga prawdopodobnie się zapadnie.

Choć kłapa była zamknięta, nadal było słychać krzyki.

## **Koniec Księgi Pierwszej**